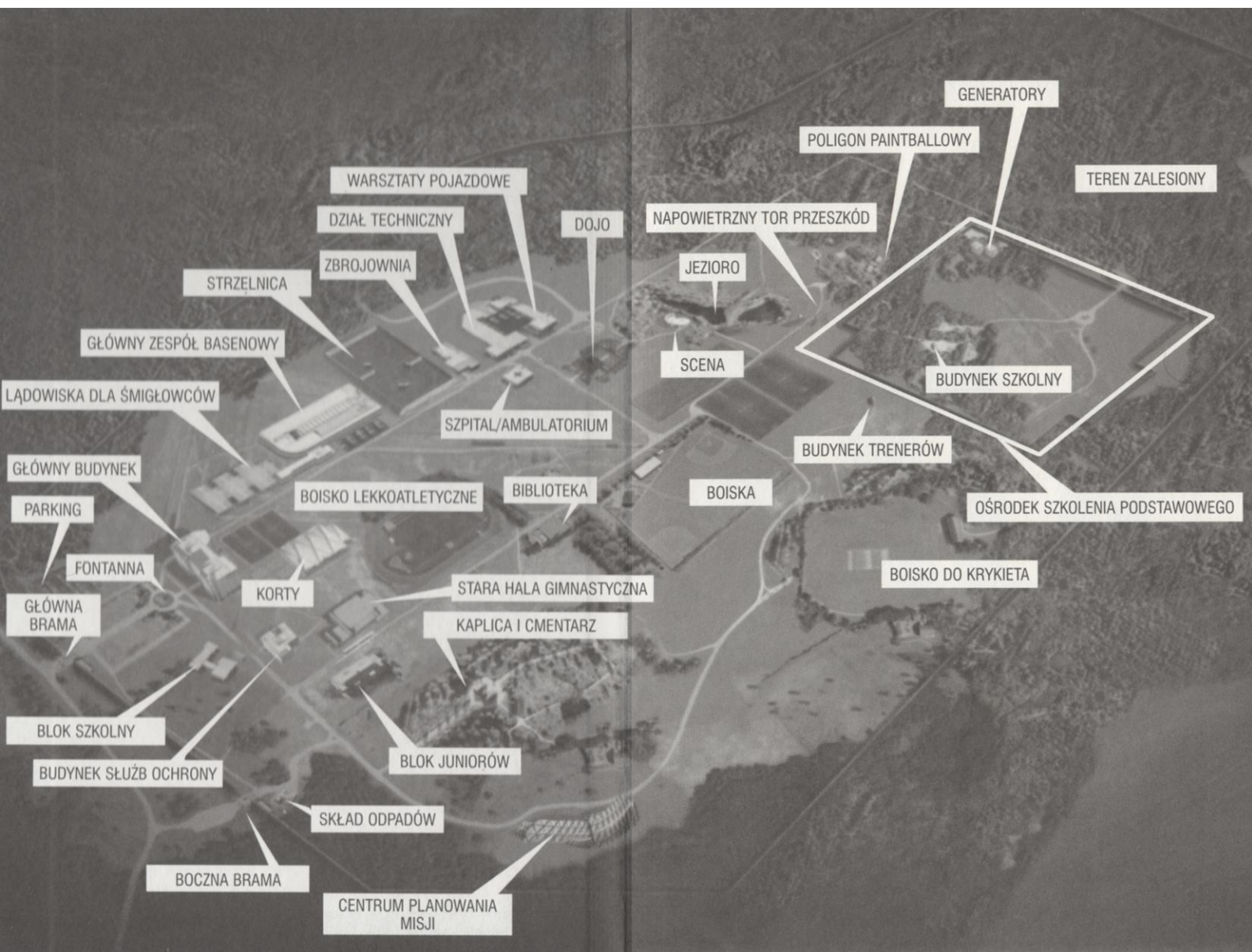




FAALLA

Robert Muchamore





FALA

Robert Muchamore

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

EGMONT

Tytuł oryginalny serii: *Cherub*
Tytuł oryginału: *Shadow Wave*

Copyright © 2009 Robert Muchamore
First published in Great Britain 2010
by Hodder Children's Books

www.cherubcampus.com

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2011

Redakcja: *Agnieszka Trzeszkowska*

Korekta: *Anna Sidorek*

Projekt typograficzny i łamanie: *Mariusz Brusiewicz*

Produkcja: *Jolanta Powierża*

Wydawca prowadzący: *Maria Deskur*

Wydanie pierwsze, Warszawa 2011

Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o.

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel. 0 22 838 41 00

www.egmont.pl/ksiazki

ISBN 978-83-237-5288-2

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

ebook:

wydanie pierwsze – 12.2011

przez: Piotr „Hartigan”

<http://chomikuj.pl/hartigan>

CZYM JEST CHERUB?

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

JAKI POŻYTEK MA WYWIAD Z DZIECI?

Całkiem spory. Ponieważ nikt nie podejrzewa dzieci o udział w tajnych operacjach szpiegowskich, mogą sobie pozwolić na znacznie więcej niż dorośli agenci.

KIM SĄ BOHATEROWIE?

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem opowieści jest siedemnastoletni JAMES ADAMS, ceniony agent, mający na koncie wiele udanych misji. Pochodząca z Hongkongu KERRY CHANG jest jego dziewczyną, zaś wśród najbliższych przyjaciół są BRUCE NORRIS i SHAKEEL DAJANI. Siostra Jamesa LAURA ADAMS ma czternaście lat i cieszy się reputacją jednej z najlepszych agentek CHERUBA. Najczęściej można ją spotkać w towarzystwie jej chłopaka GREGA RATHBONE'A oraz najbliższej przyjaciółki BETHANY PARKER.

PERSONEL CHERUBA

Utrzymujący rozległe tereny, specjalistyczne instalacje treningowe oraz siedzibę łączącą funkcje szkoły, internatu i centrum dowodzenia CHERUBA w istocie zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż nieletnich agentów. Są wśród nich: kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarzy, psychiatrzy, koordynatorzy i specjaliści misji. Dyrektorką CHERUBA jest Zara Asker.

KOD KOSZULKOWY

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze za małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego; szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach; granatowa jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Laura i James noszą koszulki czarne, przyznawane za znakomite wyniki podczas wielu operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, jakie nosi także część kadry.

Maj 2009

1. BANDYCI

Gwałtowne starcia podczas motocyklowego festiwalu znanego jako Herbatka Buntowników w sierpniu 2008 r. zapoczątkowały brutalną wojnę gangów pomiędzy klubem Brigands MC a ich zaprzysiężonymi wrogami Mściwymi Bękartami. Fala napadów nożowniczych, strzelanin i aktów wandalizmu osiągnęła kulminację w październiku, kiedy prezes Bandytów Ralph „Führer” Donnington zaordynował szereg udanych podpaleń klubów gangu Mściwych Bękartów.

Triumf Bandytów był jednak krótkotrwały. Podczas rutynowej policyjnej kontroli podejrzanego pojazdu skonfiskowano zapas materiałów zapalających domowej roboty przeznaczonych do następnego zamachu Bandytów. Aresztowano dwóch członków chapteru Południowy Devon, zaś przeszukanie ich pokoju hotelowego w Londynie zaowocowało przejęciem broni palnej, sześćdziesięciu tysięcy funtów w gotówce oraz laptopa, na którego dysku znaleziono obciążające Bandytów e-maile. Wiadomości wspominały o podpaleniach klubów i zawierały dane finansowe odnoszące się do operacji przemytu i nielegalnego handlu bronią prowadzonego przez Bandytów z Południowego Devonu.

Spośród dziewiętnastu pełnoprawnych członków chapteru ośmiu aresztowano i postawiono przed sądem. Podczas kolejnych rewizji ujawniono nowe dowody przestępczej działalności klubu, co doprowadziło do aresztowania kolejnych dwudziestu bikerów z innych chapterów Bandytów, jak również ich gangów satelickich.

Führer nadal utrzymuje kontrolę nad brytyjskimi Bandytami, ale za

kratki trafiło tak wielu jego najbliższych współpracowników, że sam nie może już odseparować się od codziennej przestępczej działalności gangu i musi brudzić ręce czynnościami, jakie dawniej pozostawiał swoim ludziom. Po latach wymykania się sprawiedliwości Führer jest wystawiony na ciosy bardziej niż kiedykolwiek.

Wyjątek z wewnętrznej notatki policyjnej napisanej przez głównego inspektora Rossa Johnsona, szefa Krajowej Grupy Operacyjnej do spraw Gangów Motocyklowych (KGOGM), sporządzonej w styczniu 2009 r.

*

James Adams podsunął złożone w miseczkę dłonie pod kran, ochlapał sobie twarz letnią wodą i podniósł badawcze spojrzenie na własne odbicie w łazienkowym lustrze. Dawno niestrzyżone włosy spływały mu na twarz mokrymi strąkami, a na podbródku jeżyły się kępki sianowatej szczeciny. Na szczęście jego trądzik ostatnio zanadto nie dokazywał, jeśli nie liczyć czerwonego wulkanu tuż obok jabłka Adama.

James nosił się w stylu bickerskim opartym na spłowiałych najkach, poplamionych smarem dzinsach i pozbawionej rękawów koszulce AC/DC. Efektu dopełniał skórzany pas z o wiele za dużą chromowaną klamrą w kształcie czaszki. James naprężył bicepsy i uśmiechnął się z zadowoleniem. Podobał się sobie: muskularne ramiona, szeroka klatka i gęste kępy włosów pod pachami. Ten skok pokwitaniowy miał być już ostatnim, pozostawiając go równo na stu osiemdziesięciu trzech centymetrach wzrostu.

– No co tam, przystojniaku? – rzucił od niechcienia swojemu odbiciu, by nagle zrobić złowrogą minę. – No i co się tak gapisz? Masz jakiś problem? No, dawaj, zobaczymy, czy masz dziś fart, zasrany tottenhamski kujonie. BAM! – Wystrzelił pięść w stronę lustra i zaśmiał się triumfalnie, kiedy wyimaginowany fan Tottenhamu padł jak rażony piorunem.

W domu jednak nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Przy-

braną tożsamość Jamesa Ravena ugruntował jeszcze poprzedniego lata, kiedy działał w Devonie wraz z koordynatorką misji i dwójkiem młodszych agentów, ale teraz, podczas drugiej fazy misji, mieszkał tu zupełnie sam. Legenda dla wścibskich głosiła, że pokłócił się z rodzicami, przerwał przygotowania do matury i uciekł do letniego domu swojej rodziny w Devonie, by rozwijać karierę pełnoetatowego wyrzutka.

James chwycił skórzaną kurtkę i naciągając ją sobie na plecy, potruchtał po schodach w dół. Z kryształowej misy przy frontowych drzwiach wyłowił klucze i telefon. Kombinacja krzyżyk-sześć-dziewięć otworzyła ukryty spis kontaktów, z którego wybrał numer swojego koordynatora Johna Jonesa.

– Wciąż ani śladu Führera, szefie – powiedział do aparatu. – Spóźni się co najmniej piętnaście minut.

W słuchawce rozległ się spokojny głos Johna:

– Czy on kiedykolwiek przyszedł gdzieś punktualnie?

– Po waszej stronie wszystko gra? – zapytał James. – Kerry w porządku?

– Gra i buczy – przytaknął John. – A o Kerry się nie martw, zna się na rzeczy.

– Wiem. Po prostu nie możemy zgubić Führera z haczyka – powiedział James poważnym tonem. – Siedzę mu na ogonie od dziesięciu miesięcy.

– Trema? – zapytał John.

– Spocone łapy, żołądek w supeł – przyznał James. – Tyle misji mam już za sobą, ale wciąż jeszcze zdarzają się momenty totalnego spięcia.

John się roześmiał.

– Pociesz się, że to już twój ostatni raz, jeżeli wszystko pójdzie jak należy.

Jamesowi zakręciło się w głowie.

– Lepiej kończmy, pewnie zaraz tu będą – powiedział niewyraź-

nie i wsunął telefon do kieszeni.

„Twój ostatni raz”.

Te trzy słowa spadły na niego jak cegła z dachu. W pamięci błysnęły mu wspomnienia dawnych misji: Help Earth, GKM, więzienie Arizona Max, Leon Tarasów, ta sekta w Australii, OWZ, Denis Obidin, Wściekłe Psy, SAG... Czy Führer miał być jego ostatnim celem? Czy on sam szykował się właśnie do ostatniego aktu swojej kariery w CHERUBIE?

Myśl ta przepętniła Jamesa smutkiem, a wspomnienie własnego odbicia w lustrze jeszcze bardziej pogłębiło jego gorycz. Agenci CHERUBA musieli być dziećmi. Byli skuteczni, dopóki jako niewinni malcy pozostawali poza kręgiem podejrzeń dorosłych. James jednak nie był już mały. Miał siedemnaście lat, posturę skłaniającą nadchodzących z naprzeciwka przechodniów do przechodzenia na drugą stronę ulicy, a jego niedogolona twarz z krzywym nosem wyglądała równie niewinnie jak sowiecki czołg.

Jamesowi łza zakręciła się w oku, ale po chwili fala adrenaliny przegnała melancholię, gdy za oknem rozbrzmiał znajomy warkot mercedesa Führera. Wóz wtoczył się z rykiem na ślepą uliczkę, miął kilka eleganckich willi i zachrobotał oponami na wyźwirowanym podejździe. Była to imponująca bestia: sedan klasy E, topowy model AMG z ośmiocylindrowym silnikiem, przyciemnionymi szybami i szerokimi oponami na ogromnych aluminiowych obręczach.

James złapał za klamkę tylnych drzwi po stronie pasażera i zajrzał do wnętrza wozu, obrzucając spojrzeniem trzech mężczyzn w środku. Za kierownicą siedział Führer, niski i jadowity ze swoim miniaturowym hitlerowskim wąsikiem. Przednie miejsce pasażera zajmował Kasa, motocyklista, wieloletni współpracownik i przyjaciel Bandytów, który jednak nigdy nie zdecydował się wstąpić do gangu, z tyłu zaś rozpierał się Brudny Dave, wielki, łysy, z bujnym wąsiskiem pod nosem, właściciel połowy klubów ze striptizem i salonów masażu w Południowym Devonie.

– Cześć – rzucił pogodnie James, wsuwając się tyłem na skórzaną kanapę.

Nim zdołał usiąść, Brudny Dave bezceremonialnie wypchnął go na zewnątrz.

– Gdzie z plecami – warknął gniewnie wąsacz.

Jamesa oblała fala gorąca, gdy pojął, że wciąż ma na sobie biker-ską skórę. Jej plecy zdobiła naszywka Monster Bunch naznaczająca go jako członka satelickiego gangu Bandytów.

– W barwach pchać się do puszek – prychnął pogardliwie Führer, kręcąc głową z niedowierzaniem, po czym sięgnął pod deskę rozdzielczą do dźwigni otwierającej bagażnik. – Bezmózgi gnojek, psia-krew – mruknął.

Dla zrzeszonych bikerów plecy, czyli godło i oznaczenia klubu, naszyte na kurtkę, to rzecz święta. Motocykliści często podróżowali samochodami, ale noszenie barw klubu podczas jazdy na więcej niż dwóch kołach było surowo wzbronione.

Sploszony James potruchtał wokół mercedesa i stanął nad jego przepastnym bagażnikiem. W środku leżała różowa torba golfowa małżonki Führera oraz dwie skórzane kurtki Bandytów, troskliwie poskładane w taki sposób, aby naszywki dumnie prezentowały się na wierzchu. Uwagę Jamesa zwróciły jednak dwie pałki baseballowe, dwa łomy i duża torba krykietowa, której materiał wypychały od środka lufy i kanty pudełek z amunicją.

– No to suniemy po kasę! – wykrzyknął radośnie Kasa, kiedy James wrócił do wozu bez kurtki.

James trzasnął za sobą drzwiami i spod osiemnastocalowych kół strzeliły fontanny żwiru.

*

Celem podróży była restauracja Kam's Surf Club, około dwunastu mil na wschód od Salcombe. Drewniany dwupoziomowy budynek stał niepokojąco blisko krawędzi urwiska, obity niebieskimi deskami spłowiałymi od słonych rozbryzgów szalejącego w dole morza. Był

to makaronowo-hamburgerowy fast food z kontuarem w stylu lat 50., zabytkową szafą grającą w kącie i surferskimi pamiątkami zdobitymi ściany. W sezonie turystycznym o tej porze pękałby w szwach, ale do wakacji brakowało jeszcze dwóch miesięcy i w to wtorkowe popołudnie, o godzinie czternastej, jedynymi klientami była para niemieckich turystów z plecakami, która, zamknięta we własnym romantycznym świetle, raczyła się półmiskiem kalmarów i podziwiała fale atakujące skalistą zatoczkę poniżej restauracji.

– Kelner! – zagrzemiał Führer, otworzywszy drzwi kopniakiem. – Panie Kam, przestań pan smażyć te szczury i dawaj tu ten swój brudny żółty łeb!

Nagle wejście czterech agresywnie wyglądających bikerów wyraźnie popsuło Niemcom humor. James przeszedł przez wahadłowe drzwi ostatni. Łowiąc uchem dźwięki *Ring of Fire* Johnny'ego Casha, przesunął łakomym wzrokiem po opalonych nogach wysuwających się spod krótko obciętych dżinsów Niemki.

Właściciel lokalu i szef kuchni w jednej osobie wyszedł zza kontuaru. Kam był krępy męczyzną, proste czarne włosy miał zebrane w kucyk, a jego brzuch opinał pasiasty fartuch. Przywitał Führera uśmiechem, ale mowa jego ciała nie pozwalała wątpić, że biker był ostatnią osobą, jaką życzyłby sobie widzieć.

Führer zwrócił się do Jamesa:

– Jazda po kasetę.

Kiedy James podbiegł do kontuaru, Brudny Dave ruszył w stronę pary turystów. Dziewczyna spojrzała trwożnie na swojego chłopaka. Był tęgi, pozujący trochę na twardego człowieka lasu w kraciastej koszuli i irlandzkim swetrze, ale widać było po nim, że nigdy w życiu nikogo nie uderzył.

– Nie szukam kłopotów – zapewnił Niemiec szkolną angielszczyzną, unosząc dłonie w pojednawczym geście.

Brudny Dave zatrzymał się pół kroku od stolika. Niemcy szarpnęli się lekliwie, kiedy gwałtownym ruchem sięgnął do ich talerza, by

po chwili wepchnąć sobie do ust strzęp smażonego kalmara.

– Smaczne – mlasnął, żując i kiwając głową z uznaniem. – Brudny Dave lubi sobie przegryźć kawałek starej ośmiornicy.

Turystka zerknęła nerwowo na swojego partnera i powiedziała coś szybko. James nie mówił po niemiecku, ale nie trzeba było geniuszu, żeby zrozumieć: „Wynośmy się stąd”.

Brudny Dave sięgnął do spodni. Niemcy skulili się, sądząc, że wyciągnie broń, ale biker zaczepił kciuki na szlufkach dżinsów i szarpnął je w dół. Na widok dyndającego nad stołem sflaczałego członka dziewczyna poderwała się od stołu z okrzykiem grozy.

– Co powiecie na solidną porcję prawdziwej angielskiej kiełbasy?!
– zawołał Dave. – Chodźcie, pokażę wam, dlaczego wygraliśmy tę wojnę!

Chłopak wyciągnął dwudziestkę z portfela i rzucił ją na stół, po czym chwycił plecaki, złapał dziewczynę pod ramię i pociągnął ją w stronę wyjścia.

– Eeeej, no co ty, mała! – zawołał Brudny Dave, szurając za nimi na rozstawionych nogach, z opuszczonymi do kolan spodniami. – Co zgrywasz taką świętoszkę?

Kasa i Führer wyli ze śmiechu. Tymczasem James wszedł za kurtkę i odnalazł zdezelowany magnetowid systemu nadzoru schowany pomiędzy zmywarką a beczkami z piwem. Wyjął kasetę i pomachał nią w powietrzu.

– Taśma, szefie – oznajmił.

– Żebyś mi jej tu nie zostawił – ostrzegł Führer, po czym zwrócił się do Kama z sarkastycznym uśmiechem na twarzy. – Skąd ta kwaśna mina? – zadrwił.

– Jak mam ci płacić, kiedy płoszysz mi klientów?! – wykrzyknął z furią Kam.

Führer się roześmiał.

– Dwoje klientów robi taką różnicę? Przez całe lato miałeś tu dzikie tłumy. Wisisz mi za trzy tygodnie, to będzie w sumie siedem

stów.

– Czteryście pięćdziesiąt – poprawił Kam.

– Cena rośnie, kiedy migasz się od płacenia – oznajmił Führer, łapiąc Kama za fartuch i szarpnięciem przyciągając do siebie. – Nie myślałeś sobie chyba, że zapomnę o tobie tylko dlatego, że paru moich kumpli poszło do pierdła.

– Nie mogę płacić tak dużo po sezonie – wił się Kam. – Sam widziałeś, jaki mam ruch.

– Te stare drewniane budynki łatwo się palą – zauważył złowrogo biker, po czym puścił Kama i rozczapierzył dłonie w geście naśladowającym eksplozję. – Pufff... i nie ma.

– Kto jeszcze jest w domu? – zapytał Kasa.

– Tylko żona i tłumaczka, o którą prosiłeś – odpowiedział restaurator. – Są w kuchni.

– Dawaj ich tu, chcę mieć wszystkich na widoku! – krzyknął Kasa do Jamesa.

Wciąż walcząc z niemieszczącą się w kieszeni kurtki kasetą VHS, James pchnął podwójne drzwi i wszedł do przestronnej, nieskazitelnie czystej kuchni. Pierwszą osobą, którą tam ujrzał, była żona Kama Alison, ubrana w strój kelnerki: w jasnoniebieską sukienkę mini i białe czółenka. Drugą osobą była Kerry Chang. Kerry to szesnastoletnia agentka CHERUBA i obecna dziewczyna Jamesa, ale w tamtej chwili nie mogli zdradzić, że się znają, i oboje starannie unikali kontaktu wzrokowego.

– Ej, laski, wypad stąd! – huknął James.

Alison ruszyła do wyjścia, a James zajrzał w kilka kątów, by się upewnić, że nikt się tam nie chowa. Wychodząc z kuchni, Kerry uśmiechnęła się do niego nieznacznie i powiedziała bezgłośnie: „Wszystko dobrze”.

– Ojoj, patrzcie na tę małą lasencję! – wyszczerzył zęby Brudny Dave, obrzucając pożądliwym wzrokiem wychodzącą z kuchni Kerry. – Rewe-kurde-lacja, chociaż kapka silikonu w cyckach byłaby nie

od rzeczy.

Kerry wstydziła się swoich jej zdaniem zbyt małych piersi i Jamesa zaświerzbiliły ręce, żeby przywalić Dave'owi w twarz, kiedy wąsasty biker przysunął się do jego dziewczyny.

– Ach, więc to jest ta nasza mała cjing-cjong chińska tłumaczka – zamruczał lubieżnie Dave, kładąc dłoń na ramieniu Kerry, by natychmiast zsunąć ją na plecy dziewczyny. – Ty chcesz mój numer, dziecino? Ja lubię małe Chinki.

Bliskość Brudnego Dave'a przyprawiała Kerry o mdłości nie tylko dlatego, że śmierdział cygarami i kwaśnym potem. Pamiętała go z policyjnych raportów o dziewczętach napastowanych w jego klubach, zbyt skutecznie zastraszone, by zeznawać przeciwko Bandydzie. Kerry miała wystarczające umiejętności, by w razie potrzeby rozłożyć Dave'a na łopatki, ale była na misji i musiała odegrać swoją rolę, wzdrygnęła się więc i skrzywiła ze stosowną do sytuacji odrazą.

– Trochę młoda – zauważył Kasa, przenosząc wzrok na Kama. – Jesteś pewien, że da sobie radę?

– Dlaczego ty tego nie zrobisz? – dodał Brudny Dave.

Kam zachnął się.

– Bo nie rozumiem chińskiego – odpowiedział ze złością. – Wychowałem się w Exeter, jasne? A moja matka była z Filipin, nie z Chin.

Kerry cofnęła się o pół kroku, czując, że ręka Dave'a wpełza jej na pośladek. Biker szarpnął ją z powrotem i przyciągnął do siebie jak do pocałunku. Na szczęście Führer wtrącił się, zanim musiałyby zareagować ostrzej.

– Łapy przy sobie, Dave – ostrzegł. – Zostaw, masz własnych lasek na pęczki. Ta będzie nam potrzebna przy spotkaniu na górze.

Reprimenda rozsierdziła Brudnego Dave'a. Nie mógł odreagować na Führerze, więc przeszedł zwawym krokiem przez salę i rąbnął Kama w żołądek.

– Piękny strzał! – ucieszył się Kasa, kiedy restaurator zgiął się wpół z bólu.

– Gdzie nasza forsa? – zapytał Führer. – Ty mały żółty draniu, załóżę się, że chowasz ze sto patoli pod materacem, co nie?

– Zapłacę, jak tylko będę mógł – wystękał Kam.

– Widzisz pan tego chłopaka, panie Kam? – zapytał Führer, wskazując na Jamesa.

Kam skinął głową, prostując się powoli. James nie miał pojęcia, do czego zmierza gangster.

– James to moja wschodząca gwiazda – wyjaśnił Führer, mierząc Kama złym spojrzeniem. – Jest młody, ale twardy jak gwóźdź, i przydzielam mu twoją sprawę. Będzie zjawiał się regularnie po nasze pieniądze. Nie będzie pieniędzy, spodziewaj się bólu.

– Dlaczego nie zostawicie go w spokoju?! – wrzasnęła z rozpaczą Alison, kiedy biker pchnął jej męża na Jamesa.

– Pokaż panu, co potrafisz – uśmiechnął się Führer.

Dwa czynniki umożliwiły Jamesowi przeniknięcie do wewnętrznego kręgu Bandytów w ciągu zaledwie kilku miesięcy: jego znaczne umiejętności bojowe czyniły zeń osobę, którą podczas wojny gangów dobrze jest mieć po swojej stronie, zaś młody wiek stawiał go poza podejrzeniami o pracę dla policji.

James nie miał problemów, gdy przychodziło mu prac członków innych bikerskich gangów, ale polecenie pobicia zwykłego uczciwie pracującego człowieka, takiego jak Kam, budziło w nim wewnętrzny opór.

– Znaczy... co ja mam zrobić? – zapytał James z zakłopotaniem.

– No już, rozwal go – ponaglił Dave. – Twój wybór. Połam mu palce czy coś.

James musiał szybko coś wymyślić. Większość młodocianych bikerów zrobiłaby wszystko, byle tylko popisać się przed Führerem. Nie chciał wyrządzić Kamowi krzywdy, ale nie mógł się wycofać, nie rujnując swojej wiarygodności.

– Palców to mu raczej nie mogę połamać – powiedział swobodnym tonem, kupując sobie cenne sekundy. – Kucharz nie będzie zarabiał pieniędzy z unieruchomioną ręką.

Rozwiązanie przyszło Jamesowi do głowy w błysku olśnienia. Złapał mężczyznę za kark, a drugą ręką ścisnął prawy nadgarstek. Kam był masywny i prawie tak silny jak jego przeciwnik, ale bez żadnego doświadczenia w dziedzinie sztuk walki, i nie miał pojęcia, jak się obronić, gdy James wprawnym ruchem wykręcił mu rękę za plecami. W tej pozycji najłatwiej byłoby złamać ofierze kość, ale James tylko ścisnął Kama za biceps i gwałtownie wykręcił mu ramię. Rozległ się upiorny chrzęst wyłamywanego stawu.

Kilka lat wcześniej James doznał podobnego urazu podczas treningu samoobrony. Zwichnięcie stawu barkowego wyglądało dramatycznie i było paskudnie bolesne, za to o wiele mniej poważne niż złamana kość. Każdy lekarz mógł szybko nastawić Kamowi rękę. Przez kilka dni byłaby nieco sztywna, ale w ciągu tygodnia odzyskałaby pełną sprawność.

Troska Jamesa nie znalazła uznania w oczach Kama, który osunął się na podłogę z jękiem bólu.

Kasa, Brudny Dave i Führer zarechotali z satysfakcją, zaś Alison wrzasnęła wściekle i rzuciła się na Jamesa. Nie chciał zrobić jej nic złego, więc tylko przechwycił dłoń grożącą rozoraniem mu policzka długimi paznokciami i odepchnął kobietę od siebie. Alison zatoczyła się w tył, wpadając na stół, który przechylił się, zrzucając na podłogę zestaw przypraw i serwetnik.

Kerry podbiegła do Alison, by pomóc jej wstać. Podczas gdy starała się ją uspokoić, James odegrał scenkę z demonstracją siły, spluwając na podłogę tuż przed twarz Kama i uderzając pięścią w dłoń.

– Na twoim miejscu nie rzucałbym się za bardzo – warknął ostrzegawczo. – A następnym razem, jak cię zobaczę, to lepiej, żebyś miał pieniądze, albo usmażę ci tę rękę z frytkami.

2. ZASADZKA

Kam siedział na odwróconym wiadrze w kuchni własnej restauracji, przyciskając woreczek z lodem do zwichniętego ramienia. Z oczu ciekły mu łzy bólu i upokorzenia, brudny Dave dyżurował przy barze na zewnątrz, a reszta Bandytów poszła na piętro.

– To tylko zwichnięcie – wyszeptała Kerry, pochylając się nad Kamem. – Zaraz po tym spotkaniu zabierzemy cię do szpitala.

Alison była wściekła z powodu obecności Bandytów w jej lokalu, a widok atrakcyjnej szesnastolatki krzątającej się wokół jej męża również nie budził jej zachwyty.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co mu jest? – wypaliła z furją. – Nie wyglądasz mi na lekarza, dziecko.

Kerry stłumiła w sobie falę gniewu i frustracji.

– Znam się na udzielaniu pierwszej pomocy – powiedziała łagodnie. – Żaden ze mnie ekspert, ale moim zdaniem pan Kam ma zwichnięte ramię.

Alison zwróciła się do męża, wyciągając oskarżycielsko palec w stronę Kerry:

– A ty skąd ją w ogóle znasz, co?

– Zrozumiesz, kiedy to się już skończy – wystękał Kam, krzywiąc się z bólu. – Uspokój się i zaufaj mi.

– Zaufać ci? – zasyczała Alison. – Dopiero co cię stłukli i zapowiedzieli gorsze rzeczy. Nie zapłaciłeś Bandytom haraczu i teraz ci pomyleńcy robią sobie salę konferencyjną z naszej restauracji. Jak mo-

żesz mi mówić, że mam się uspokoić?! Mówiłam ci już dawno: idź z tym na policję.

– Troszkę ciszej, dobrze? – syknęła Kerry, pokazując palcem sufit.

– Jak usłyszą, że grozi im pani policją, pozabijają nas wszystkich.

– Zaufaj mi, Alison – powtórzył Kam. – Na życie naszych córek, jeśli to się nie uda, dam ci rozwód. Dostaniesz wszystko.

– To jakaś kpina – prychnęła Alison. – Co niby dostanę? Hipotekę na dom? Długi restauracji? Jesteś tak durny, że nie mogę na ciebie patrzeć.

Alison wybiegła z kuchni do głównej sali, gdzie przy małym barze Brudny Dave raczył się burbonem.

– Niezła pupcia – powiedział z uznaniem, unosząc szklanę. – Seksownie wyglądasz w tej niebieskiej kiece.

Alison zadarła nos i pokazała bikerowi środkowy palec, po czym usiadła przy jednym ze stolików i ukryła twarz w dłoniach.

– Pewnie ma okres – szydził Dave i zaśmiał się z własnego dowcipu.

Tymczasem w kuchni Kerry spojrzała na Kama z wyrzutem.

– Trzeba było powiedzieć żonie, co się dzieje – powiedziała szep-tem.

Kam westchnął.

– Alison miała dzisiaj nie pracować, ale kelnerka nam się rozcho-rowała.

– Alison musi zachować spokój – powiedziała z naciskiem Kerry.

– Szlag by trafił tego obdartego gnojka za to, co mi zrobił – jęknął restaurator. – Mam nadzieję, że przymkną sukinsyna na długie lata.

Kerry uśmiechnęła się w duchu. Kam zgodził się współpracować z policją, by powstrzymać Bandytów przed wyciąganiem pieniędzy z jego restauracji. Powiedziano mu, że Kerry jest młodo wyglądającą dziewiętnastoletnią kadetką policji, ale nie miał pojęcia, że James także jest tajnym agentem, ani tym bardziej, że pomysł zorganizowania zasadzki w jego lokalu pochodził właśnie od niego.

Przed restauracją zatrzymał się ogromny lexus, z którego wysiedli dwaj Chińczycy. Starszy z nich, niemrawy i przygarbiony, poszurał niespiesznie do wejścia Surf Clubu. Zanim zastukał w matową szybę ponad tabliczką z napisem „Zamknięte z powodu braku prądu”, jego syn otworzył bagażnik limuzyny i dźwignął w górę dwie torby Louis Vuitton.

Drzwi uchyliły się, odsłaniając Führera.

– Ach, pan Xu – powiedział przymilnie biker, potrząsając dłonią starca. – Zapraszam na górę. Nie było korków, mam nadzieję?

Pan Xu bardzo słabo mówił po angielsku i nie odezwał się, jeśli nie liczyć bolesnego westchnienia, jakie wydał na widok dwóch stromych wstęg schodów. Jego syn Liam był zupełnie inny. Miał czterdzieści kilka lat i wyglądał jak filmowy złoczyńca w skrojonym na miarę garniturze, ciemnych okularach i z oryginalnym chronometrem Breitling na nadgarstku.

– Jak wam lata? – zapytał enigmatycznie Liam, stawiając na ziemi swój designerski bagaż.

Führer widział się z nim już kilkakrotnie i wiedział, że angielszczyzna Liama nie wykracza poza kilka grzecznościowych formułek i zamawianie posiłku. Zamiast marnować czas i energię na słowa, mężczyźni odtańczyli męski rytuał poklepywania się nawzajem po plecach, szczerzenia zębów i głośnego rechotu.

Kerry zbliżyła się do nich i stanęła nieopodal wyprostowana, na złączonych stopach, z dłońmi schludnie splecionymi za plecami.

– Jestem do dyspozycji w razie jakichkolwiek trudności językowych – powiedziała, po czym skłoniła się lekko i powtórzyła zdanie płynnym mandaryńskim.

Kiedy Kerry ruszyła na górę za Liamem i Führerem, James zbiegł po drewnianych schodach, by zaoferować ramię wdzięcznemu panu Xu. Surf Club nie miał wielu klientów poza sezonem wakacyjnym, dlatego górne piętro zamykano na zimę. Przestronna jadalnia na planie litery L tchnęła klimatem opuszczenia, rozświetlona tylko

kreskami światła w szparach wokół zasłoniętych okiennicami okien, z przykrytym folią barem i krzesłami położonymi na stolikach.

Kasa siedział na środku sali obok dwóch zsuniętych stolików. Na tym zaimprovizowanym kontuarze leżało pięć pistoletów maszynowych, magazynki i pudełka z amunicją. Resztę stołów ustawiono przy ścianach, otwierając szerokie przejście do tarczy umocowanej na blaszanym kulochwycie.

Liam podbiegł do broni, a James pomógł jego kruchemu ojcu usadowić się na krześle.

– Pierwsza klasa! – zawołał Liam z entuzjazmem, kiedy Kasa podsunął mu białe rękawiczki, by nie zostawił odcisków palców.

– Ma pan dobry gust – pochwalił Kasa, patrząc, jak Chińczyk bierze ze stołu jeden z pistoletów.

Kerry pospiesznie przetłumaczyła.

– MP7, tak jak w zamówieniu – ciągnął Kasa. – Z wysuwaną kolbą i celownikami mocowanymi na szynie, tak że masz pan w sumie trzy w jednym: karabinek szturmowy, pistolet maszynowy, a nawet pistolet do strzelania z ręki. Kaliber cztery i sześć milimetra; niby nieduża kulka, ale piekielnie skuteczna co najmniej do pięćdziesięciu metrów. Przebija trzydzieści warstw kewlaru. Taki duży facet jak pan spokojnie chowa tę zabawkę pod marynarką, wchodzi do pokoju i w sekundę wykańcza wszystkich, których gęby się panu nie spodobały.

– Są piękne – powiedział Liam z zachwytem. – Znam wielu ludzi gotowych sprzedać mi broń, ale tylko wy, panowie, zapewniacie mi tak wyrafinowany sprzęt.

– Bo tylko my mamy takie kontakty – odrzekł Kasa z dumą. – Bandyci w Stanach kradli broń, prawie że zanim wsiedli na harleye. Większość handlarzy ma jeden kontakt, my mamy tuziny, a z każdym współpracujemy od lat.

Liam obrócił pistolet w dłoniach.

– A co z nietypową amunicją? – zapytał. – Czy w razie potrzeby

będziecie w stanie ją zdobyć?

Führer przejął rolę handlowca.

– Czy sprzedawałbym wam broń, z której nie moglibyście strzelać? – rzucił lekko i uśmiechnął się z pobłażaniem. – Takich zabawek używa Bundeswehra. Nie twierdzę, że taką amunicję można dostać równie łatwo jak kule do standardowych dziewięćmilimetrówek, ale wszystko, czego używa niemiecka armia, można skołować w ten czy inny sposób.

– A do każdej spluwy dorzucamy po tysiąc pestek – dodał Kasa. – Na dobry początek.

Liam zamaszystym gestem wymierzył broń w stronę tarczy, marząc o lustrze, by móc podziwiać siebie w filmowej pozie. Pan Xu spojrział na Kerry, a kiedy nachyliła się nad nim, szepnął jej coś do ucha.

– Pan Xu pyta o pańskie niedawne trudności z policją – powiedziała Kerry beznamiętnym tonem. – Chciałby wiedzieć, jak zamierza pan kontynuować działalność po ostatniej fali aresztowań, jak również, na ile bezpieczne jest robienie z panem interesów.

– Mandaty za bzdety. – Führer machnął ręką. – Siedzę w tej branży od ponad trzydziestu lat. Kupuję, sprzedaję, tu unik, tam zmyłka, ja jestem nie do ruszenia. Ludzie przychodzili i odchodzili, ale jedyne, na czym glinom udało się mnie złapać, to parkowanie na żółtej linii i jazda dziewięćdziesiątką na terenie zabudowanym. Zresztą proszę mi wierzyć, ciupa jest dobra dla młodziaków. Ja już za stary jestem, a z tego, co mi z życia zostało, nie mam zamiaru spędzać za kratkami ani sekundy.

Prezes Bandytów wydawał się pewny siebie, ale James wiedział, że to tylko poza. Zanim wybuchła wojna z Mściwymi Bękartami i aresztowano połowę jego ludzi, Führer trzymał się na dystans od broni i jej odbiorców. Spotkanie przy stercie rozłożonych na stole automatów i rozmowa z dwoma mężczyznami trzymającymi torby z pieniędzmi były czymś, co dawniej zleciłby podwładnemu, ale

wojny gangów nie są tanie i Führer musiał zacząć podejmować ryzyko osobiście.

– To jak, wszyscy zadowoleni? – zapytał Kasa i puścił po blacie pełen magazynek. – Jakby facet chciał sobie postrzelać, to tarcza jest gotowa. Dzieciak dobrze wybrał miejsce; w promieniu pół mili nie ma tu żadnych sąsiadów.

Liam zachłannie sięgnął po magazynek, niepowściągliwym zachowaniem wyraźnie irytując ojca. Starzec odezwał się opryskliwie po mandaryńsku, a Kerry zaczęła tłumaczyć:

– Pan Xu mówi, że towar jest wybornej jakości. Pragnie jak najszybciej sfinalizować transakcję i powrócić do Londynu. Ufa, że reszta dostawy nie będzie ustępowała przedstawionej próbce, i prosi uniżenie o rozpoczęcie przeliczania pieniędzy, gdyż nie chciałby odejść, nie mając pewności, że są panowie całkowicie usatysfakcjonowani.

Kasa pochylił się nad jedną z toreb Louis Vuitton i rozpiął suwak, ale Führer odpędził go niecierpliwym pacnięciem.

– Ufamy sobie, prawda? – powiedział.

– Oczywiście! – Liam się uśmiechnął.

Pracując z Führerem, James nauczył się, że stopień wzajemnego zaufania pomiędzy kryminalistami był tym wyższy, im wyżej stali w hierarchii przestępczego półświatka. Prawdopodobieństwo, że uliczni dilerzy spróbują wykołować się nawzajem przy drobnej transakcji narkotykowej, było duże, ale umowa na dostawę broni wartej pół miliona funtów, zawarta pomiędzy Führerem a chińskim syndykatem przestępczym, dla którego pracował Xu, musiała opierać się na wzajemnym zaufaniu, ponieważ każdy spór miałby drugoczące konsekwencje dla obu stron.

– Tu ma pan klucz i mapkę z zaznaczonym miejscem, gdzie schowaliśmy resztę towaru – powiedział Führer, wręczając Liamowi kopertę wyściełaną folią bąbelkową. – Czy panowie życzą sobie zwrotu toreb?

Pan Xu uśmiechnął się, kiedy Führer potrząsnął jego pomarszczo-
ną dłońią.

– To znakomite podróbki, jedno z naszych lukratywnych przed-
sięwzięć – przetłumaczyła Kerry. – Pan Xu ma nadzieję, że spodoba-
ją się pańskiej żonie, oraz zapewnia, że są nie do odróżnienia od
oryginałów.

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony – uśmiechnął się Führer,
podczas gdy Kerry pomagała staruszkowi dźwignąć się z krzesła.

Jamesowi serce zabiło mocniej, kiedy zobaczył obu panów Xu
zmierających ku schodom. Był niespokojny, chociaż wszystko szło
zgodnie z planem. Policjanci naszpikowali restaurację ukrytymi ka-
merami i mikrofonami. Mieli na taśmie całą transakcję, a nagranie z
Führerem chwającym się, że handluje bronią od ponad trzydziestu
lat, było po prostu bezcenne.

Tu jednak następowała nieprzewidywalna część planu. Policja
musiała działać tak, by nie dać nikomu szansy na zdobycie broni ani
zniszczenie dowodów. Zaplanowano zmasowany szturm przepro-
wadzony błyskawicznie przy pomocy uzbrojonych funkcjonariuszy,
którzy aresztują wszystkich obecnych na spotkaniu i przejmą broń,
pieniądze oraz kopertę z lokalizacją reszty dostawy.

Żaden z przycajonych wokół restauracji policjantów nie miał po-
jęcia, że wśród gangsterów jest tajny agent. James mógł spodziewać
się niezbyt delikatnego traktowania, a co gorsza, sterta broni na stole
budziła obawy, że pierwszy błąd atakujących przemieni sytuację w
krwawą jatkę.

3. JATKA

Kerry prowadziła pana Xu w dół schodów, idąc tuż przed Liamem i Führerem. Pierwszym sygnałem obecności policji był grzechot dwóch aluminiowych drabin uderzających o ścianę budynku. Odziani od stóp do głów w czerń komandosi, z kewlarowymi hełmami na głowach i automatami w dłoniach, wysypali się na górny taras restauracji i przypadli do okiennic z płyty wiórowej przykręconych wkrętami do okien.

W ramach przygotowań do akcji dwie okiennice zostały poluzowane, ale ten punkt planu nie wypadł zbyt dobrze i wkręty nie chciały puścić. Podczas gdy policjanci mocowali się z płytami, Kasa, nie wstając z krzesła, chwycił ze stołu MP7 i wbił w gniazdo dwudziestonabojowy magazynek. W tej samej chwili dwoje funkcjonariuszy wparowało do lokalu przez wahadłowe drzwi na parterze. Megafon na zewnątrz skrzeknął metalicznie.

– Policja! Wszyscy na ziemię!

– Szlag! – zaklął Führer, po czym zdecydowanie ruszył do działania.

Szybkim pchnięciem zrzucił pana Xu ze schodów, a sam pognął z powrotem na górę. Kerry, która trzymała staruszkę pod ramię, nie zdążyła go puścić ani złapać się barierki. Spadła razem z panem Xu, staczając się bezwładnie po siedmiu stopniach w dół.

Runęliby twardo na podłogę, gdyby nie dwoje komandosów, którzy wbiegli do restauracji od frontu. Kobieta miała wziąć na muszkę

ludzi schodzących po schodach, podczas gdy jej partner ruszyłby do kuchni, by zająć się Brudnym Dave'em. Zamiast tego Kerry i pan Xu zderzyli się z policjantami, wpychając ich do wnęki z nieczynnym od lat automatem telefonicznym.

Zwłoka przy okiennicach i zderzenie na schodach opóźniły atakujących o zaledwie sekundy, to jednak wystarczyło, by zaprzepaścić szansę na sukces ataku z zaskoczenia. Zapanował chaos.

James zmartwił z przerażenia. Wolał nie stać zbyt blisko Kasy, kiedy on i policja zaczną do siebie strzelać. Poderwał się do krótkiego biegu, by zanurkować za barem. W tej samej chwili salę zalało światło, a na tarasie załomotała oderwana płyta okiennicy.

Kasa z MP7 w dłoni zawahał się na ułamek sekundy. Czy naprawdę chciał atakować dwóch wyszkolonych komandosów w kompletnym uzbrojeniu? Z drugiej strony nie było mowy, by zdążył rzucić broń, zanim policjant zacznie strzelać.

Dlatego Kasa strzelił pierwszy. Nie był doświadczonym strzelcem; cały dwudziestonabojowy magazynek rozpylił dwiema krótkimi seriami, trafiając w podłogę, sufit i we wszystko pomiędzy nimi z wyjątkiem policjanta, który zachowując imponująco zimną krew, złożył się do strzału. Dwa pociski przeszły klatkę piersiową Kasy, uśmiercając go na miejscu.

Skulony za barem James nie miał pojęcia, co się dzieje w pomieszczeniu ani kto oberwał podczas strzelaniny. Spodziewał się usłyszeć albo Kasę, albo policjantów wpadających do sali przez okna, ale jedynym dźwiękiem, jaki doń dotarł, był brzęk toczących się po podłodze naboji ze strąconego ze stołu pudełka z amunicją.

– Nie mam broni! – krzyknął James, wynurzając się ostrożnie zza baru z uniesionymi rękami.

Wtedy zobaczył Kasę. Impet pocisków pchnął bikera w tył, zrzucając go z krzesła. Na jego piersi powoli wykwitowało czerwone jezioro krwi, a twarz zastygła w wyrazie zaskoczenia.

Policjanci zniknęli bez śladu i James wiedział dlaczego. Inaczej niż

żołnierze policyjni komandosi szkoleni są do zachowywania maksymalnej ostrożności. Nie weszliby do żadnego pomieszczenia, nie wiedząc dokładnie, co zastaną w środku, a teraz na pierwszy sygnał kłopotów wycofali się na taras.

– Tu policja! – zaskrzeczał megafon na zewnątrz. – Jesteście otoczeni przez uzbrojonych funkcjonariuszy!

– Walcie się, psy! – krzyknął Führer, przesadzając jednym susem ostatnie stopnie schodów i wbiegając do górnej sali Surf Clubu. Spojrzał na Kasę, ale widok martwego kolegi nie zrobił na nim wrażenia. – Biedny skurwiel. Wszystko w porządku, James?

– Bywało lepiej.

Przygięty do ziemi, by nie wystawiać się na strzał zza okna, Führer przemknął między stolikami i porwał jeden z MP7. Wętknąwszy do kieszeni dwa zapasowe magazynki, sięgnął do jednej z toreb Chińczyków i wyjął z niej plik dwudziestofuntowych banknotów.

– Co robisz? – James zachłysnął się ze zdumienia. – Oni mają diabelnie dobrych strzelców. Zabiją cię!

James nie odczuwał najmniejszego dyskomfortu na myśl o zastrzeleniu Führera; po prostu nie chciał znaleźć się na linii ognia.

– Sława albo śmierć – parsknął biker. – Adolf nigdy się nie poddał i niech mnie diabli porwą, jeżeli ja to zrobię. Dobra, łap spluwę i pomóż mi się stąd wydostać.

Führer odwrócił się, słysząc tupot butów na schodach.

– Jazda mi stąd! – zawołał i wystrzeloną bez celowania serią omiótł wylot klatki schodowej. Potem spojrzał na Jamesa. – A ty co tak stoisz? Bierz broń, rób coś! Idziemy!

James był zły na siebie, bo mimo lat szkoleń i treningów stracił koncentrację w krytycznym momencie i zmarnował szansę na obezwładnienie Führera, zanim ten dopadł broni.

– Dzięki, ale raczej zostanę – burknął. – Wolę odsiedzieć parę lat w poprawczaku, niż dać odstrzelić sobie łeb.

Führer skierował MP7 w jego stronę i uśmiechnął się jadownicie.

– Fajnie, ale to nie była prośba – wyjaśnił. – Walcz albo giń, ty mała cioto!

Jamesa przeszył dreszcz. Nie pierwszy raz patrzył w wycelowaną w siebie lufę, ale jeszcze nigdy nie był tak bardzo przekonany, że trzymający broń zabije go bez wahania, mając choć cień pretekstu, a być może nawet dla samej frajdy zabijania.

Kiedy wychodził z baru, na dole rozległ się krzyk, który brzmiał jak głos Kerry. James ostrożnie przestąpił nad kałużą krwi otaczającą Kasę i sięgnął po ostatni MP7, jaki pozostał na stole. W tej samej chwili coś stuknęło o podłogę kilka metrów za nim i sala zaczęła wypełniać się dymem.

– To CS! – krzyknął James.

– Tacy jesteście cwani?! – ryknął Führer, puszczając serię z automatu przez okno.

Obezwładniający gaz wirował gęstniejącymi kłębami wokół Jamesa, paląc mu oczy i krtań, jakby całe powietrze w sali podmieniono na gorącą zupę. James poczuł, że się dusi, ale w następnej chwili Führer złapał go za kołnierz skórzanej kurtki i pociągnął na tył pomieszczenia.

Biker otworzył tylne drzwi wściekłym kopniakiem i James zachłysnął się świeżym morskim powietrzem. Byli na drewnianym balkonie z widokiem na morze. Podczas pięknej pogody było to najbardziej pożądane przez klientów miejsce restauracji, ale tego dnia wiał porywisty wiatr i fale atakowały z furją skalisty brzeg opadający ku morzu ponadtrzydziestometrową skarpą.

Policjanci otoczyli budynek z trzech stron, od lądu, zakładając, że nikt nie będzie tak szalony, by salwować się skokiem z balkonu na strome urwisko poniżej. Teraz kłęby gazu bijące z okien na piętrze zasłaniały im widok na uciekinierów.

– Na pewno nie jest tak źle, jak się wydaje – powiedział Führer, patrząc w dół, po czym uśmiechnął się półgębkiem do Jamesa. –

Skaczesz pierwszy.

*

Kerry przeleciała między policjantami i upadła tak niefortunnie, że skręciła sobie nogę w kostce i uderzyła podbródkiem w bok automatu telefonicznego. Przez jedną niebezpieczną chwilę komandosi sądzą, że są atakowani.

– Nie strzelać! – wrzasnęła Kerry.

Oszołomiony policjant w pierwszym odruchu uciekł na zewnątrz, a jego koleżanka próbowała się podnieść. Stanąwszy na nogach, zgodnie z pierwotnym planem skierowała broń w stronę schodów, ale stojący na nich Liam już od dłuższej chwili trzymał ręce wysoko nad głową.

Gramoląc się spod jęczącego pana Xu, Kerry zajrzała do dolnej sali restauracji i zobaczyła Brudnego Dave'a ściskającego Alison za gardło. Wąsacz zamachnął się potężnie i wbił kobiecie w twarz swoją ogromną pięść.

– To ty nas wrobiłaś, może nie?! – ryknął i uderzył Alison jeszcze raz. – To jeszcze nie koniec. Jeszcze cię dopadniemy, zobaczysz. Spalimy ci za to córki.

Dave był potężnie zbudowany i miotał Alison jak szmacianą lalką. Kam stał w drzwiach kuchni, krzycząc na bikera, żeby przestał, ale ze zwichniętym ramieniem ledwie mógł się poruszać.

Kerry wyjrzała na zewnątrz, mając nadzieję zobaczyć biegnących na pomoc policjantów, ale wokół restauracji było pusto. Wszyscy nieuzbrojeni funkcjonariusze wycofali się na drogę, czekając na sygnał bezpieczeństwa od komandosów.

Kerry była zdana na siebie.

– Hej, smętny kutasie! – zawołała, wbiegając do sali.

Pochyliła się odruchowo na odgłos strzelaniny na górze – to były strzały, które uśmierciły Kasę, ale Kerry nie mogła tego wiedzieć i pomyślała ze strachem o Jamesie.

Dave roześmiał się na widok wścieklej miny dziewczyny. Spo-

niewierana Alison była ledwie przytomna i biker trzymał ją w powietrzu niczym zwiotczone trofeum.

– Ty też w tym siedziałaś? No pięknie! – zawołał. – Podejdź no bliżej, tobie też wypłacę nagrodę.

Kerry nie potrzebowała powtórnego zaproszenia. Skoczyła naprzód i z rozmachem okręciła się na lewej stopie. Nim Dave zdążył mrugnąć, jej prawa stopa przecięła powietrze i ze straszną siłą grzmotnęła go w skroń. Oszołomiony biker runął na bar, wypuszczając z rąk Alison, która osunęła się na podłogę.

– Już nie jesteś taki chojrak, co?! – krzyknęła Kerry i wyprowadziła najpotężniejszy cios karate w swoim życiu.

Trafiła Dave'a w podstawę czaszki z taką siłą, że głowa odskoczyła mu w tył, przemieszczając jeden z kręgów szyjnych.

Dave leżał teraz na podłodze pomiędzy dwoma barowymi stołkami, łapiąc desperacko powietrze i uświadamiając sobie ze zgrozą, że nie może poruszyć nogami. Tymczasem policjant, który umknął na zewnątrz, odzyskawszy zimną krew, wbiegł z powrotem przez wahadłowe drzwi restauracji.

– Ręce do góry, tak żebym je widział! – krzyknął, idąc w stronę baru z automatem gotowym do strzału.

– Jesteśmy po waszej stronie – powiedziała Kerry, posłusznie unosząc dłonie.

– Nie czuję nóg! – zawył Dave.

Kolejni trzech funkcjonariusze wbiegli do restauracji, by przejąć kontrolę nad sytuacją. Kerry spojrzała z niepokojem na sufit, nie wiedząc, czy James jeszcze żyje.

*

Z okrzykiem strachu James przeleciał trzy metry dzielące balkon od gruntu i grzmotnął ciężko na skalną półkę pod ścianą restauracji. Gruba skórzana kurtka ocaliła mu ręce, ale dżinsy rozerwały się i kiedy usiadł, by ocenić swój stan, spostrzegł, że ma zakrwawione obie nogi. Dwadzieścia pięć metrów niżej szalało morze.

Podczas treningów wspinał się po bardziej stromych ścianach, ale to urwisko było wyjątkowo wredne. Nieustannie zwilżane słonymi rozbryzgami, tworzyło idealne warunki dla oślizgłych zielonych glonów porastających większą część skarpy, które pod naciskiem szukających chwytu palców natychmiast przemieniały się w oleistą pastę.

Na balkonie Führer wcisnął sobie za pas pistolet maszynowy i przerzucił za barierkę najpierw jedną, a potem drugą nogę.

– Kto chciałby żyć wiecznie? – powiedział do siebie i skoczył.

Rezultat nie był dobry. James miał siedemnaście lat, doświadczenie we wspinaczce i był w wyśmienitej formie. Führer dobiegał sześćdziesiątki i dźwigał na sobie mnóstwo zbędnej wagi. Odbił się boleśnie od twardego zbocza, złapał za skalny występ, ale nie zdołał się utrzymać i straciwszy równowagę, potoczył się w dół.

James skoczył w bok, o włos unikając zderzenia z glaniem koziołkującego Führera. Założyłby się o ostatniego funta, że prezes Bandytów spadnie na sam dół, do morza, ale noga Führera trafiła w wąską szczelinę pomiędzy sterczącymi ze zbocza skałami i uwięzła tam.

Spadające ciało całym ciężarem wykręciło w dół zaklinowane poziomo udo. Kość złamała się z trzaskiem, a brutalne szarpnięcie wciśnęło uwięzioną nogę jeszcze głębiej w szczelinę między skałami. Naddarta naszywka Krajowego Prezesa Bandytów na kurtce bikerza załopotiała na wietrze, gdy Führer zawisł głową w dół, podtrzymywany przez strzaskaną kość, której odłamek przebijał się przez nogawkę dzinsów.

James widywał makabryczne obrażenia na misjach i podczas ćwiczeń, ale jak dotąd to wyglądało najboleśniej.

– Proszę – załkał Führer. – Niech mi ktoś pomoże.

W pierwszym odruchu James chciał ruszyć mu z pomocą, ale próba zejścia po porośniętych glonami skałach byłaby samobójstwem, tym bardziej że oczy i gardło wciąż paliły go od gazu. Zresztą nawet gdyby zdołał dotrzeć do Führera, nie było mowy, by go

udźwignął. Najlepsze, co mógł zrobić, to skupić się na znalezieniu najbezpieczniejszej drogi na górę i sprowadzeniu pomocy.

Po ryzykownym przeskoku wykonanym w zwisie na jednym palcu oraz niespełna dwóch metrach stosunkowo łatwej wspinaczki James znalazł się na stromo nachylonej półce, po której popętał w górę niepokojony tylko przez rozwiewające się smugi CS.

– Błagam! – jęczał Führer. – Wyciągnijcie mnie stąd!

Gramoląc się na krawędź urwiska, James ujrzał trzech policjantów czekających już na niego na drodze. Gdy uniósł swoje okropnie porharatane ręce, bez zbędnych ceregieli zakuli go w kajdanki. Mógł mieć tylko nadzieję, że John Jones zdoła załatwić mu zwolnienie, zanim trafi do komisariatu.

Poprowadzono go do policyjnej furgonetki. Uśmiech na twarzy Kerry przyniósł mu niewielką ulgę, ale poranione uda sprawiały, że chodzenie było męczarnią.

– Jak my teraz mamy go stamtąd wyciągnąć? – zastanawiał się jeden z mijanych przez Jamesa policjantów – Śmigłowcem czy jak?

– Niech sobie powisi – odpowiedział wesoło starszy funkcjonariusz stojący obok mercedesa Führera. – Zasłużył na to.

James pomyślał o wszystkich podłościach, jakich dopuścił się Führer, w szczególności o zamordowaniu niemal całej rodziny jego kolegi cherubina Dantego Welsha. Uznał, że nie miałby nic przeciwko temu, by zespół ratowników trochę się spóźnił.

4. PIEŁĘGNIARKA

Było już ciemno, kiedy Kerry podeszła do automatycznych drzwi Szpitala Devonu Południowego. Stres związany z misją już minął. Była zmęczona, ale wesoła, kiedy przeszła po mocno wytartych niebieskich kafelkach i uśmiechnęła się do pielęgniarki czytającej „Heat” za kontuarem recepcji.

– James Raven – powiedziała. – Jest w pokoju 16J.

Czasem wiadomo od razu, że niczego się nie wskóra, a zaciśnięte wargi i uniesiona brew pielęgniarki powiedziały Kerry, że to właśnie jedna z takich chwil.

– Odwiedziny są między trzecią a szóstą trzydzieści.

– Ale musiałam złapać dwa autobusy – skłamała Kerry.

Była na misji. CHERUB pokrywał wszystkie jej wydatki, więc pojechała taksówką.

– Zasady to zasady. Pacjenci muszą też odpoczywać.

– Ale ktoś mi powiedział, że będę mogła zobaczyć się z Jamesem, bo leży w prywatnej sali.

– Kto ci to powiedział? – prychnęła kobieta. – Zresztą nieważne, bo to i tak bzdura. Po wpół do siódmej nie ma odwiedzin.

Kerry zgrzytnęła zębami.

– Sprawdziłam to na stronie szpitala. Przed wyjściem z domu.

– Ach, nasza strona internetowa. – Pielęgniarka uśmiechnęła się krzywo. – Złociutka, nie możesz kierować się tym, co na niej znalazłaś. Nikt jej nie aktualizował, odkąd otworzyliśmy szpital trzy lata

temu.

Kerry odsunęła się od kontuaru z jękiem zawodu.

– Dzięki za ogromną pomoc i wszystko – powiedziała kwaśno.

Pielęgniarka przywykła do niezadowolenia odwiedzających i nie oburzył jej ten sarkazm. Wyszedłszy na zewnątrz, Kerry przykucnęła przy słupku bariery chodnikowej i wyjęła telefon. Chciała zadzwonić do Jamesa i poinformować go, że nie wpuszczono jej do szpitala, ale zanim wybrała numer, jej uwagę przyciągnęła karetka podjeżdżająca właśnie pod wejście na ostry dyżur.

Wózek z pacjentką i jej butlą tlenową wtoczono przez automatyczne drzwi. Kerry mignęło wewnątrz zatłoczonej poczekalni, a rzut oka w górę, na elewację szpitala, upewnił ją, że ostry dyżur i pokój Jamesa mieszczą się w oddzielnych budynkach połączonych zadaszoną kładką.

Kerry zawahała się. Jej instynkt domagał się respektowania zasad, ale tak bardzo chciała zobaczyć się z Jamesem, no i męczyła się chyba ze sto lat, nim wyczaiła, jak ściągnąć klipy z reportażami o Führerze na komórkę, żeby James mógł je obejrzeć. Poza tym to przecież żadna wielka zbrodnia. Najgorsze, co mogło się zdarzyć, to to, że ochrona wywali ją za drzwi.

W poczekalni ostrego dyżuru było gorąco jak w piekle. Pijacy i narkomani snuli się półprzytomnie, chore dzieci wrzeszczały, a na krzeselkach siedzieli smutni starzy ludzie, którzy wyglądali tak, jakby już dawno powinni umrzeć. Brakowało tylko dzieciaka z nocnikiem na głowie, obowiązkowego elementu seriali o szpitalach.

Kerry włączyły się odruchy wyćwiczone przez lata szkoleń w CHERUBIE. Pierwszym krokiem przy każdym nielegalnym wejściu była ocena obiektu. Kerry zajęła miejsce za dzieciakiem z paskudnie rozciętym kolanem oraz otyłym mężczyzną o ciężkim gwizdzącym oddechu i rozpoczęła dyskretną obserwację.

Na oddziale obowiązywał numerkowy system przyjęć dla mniej pilnych pacjentów, ale cyfry na diodowym wyświetlaczu wydawały

się nigdy nie zmieniać. Recepcjonistka z obłędem w oczach wypełniała formularze, jednocześnie odbierając telefony. Zachrypnięte głośniki radiowęzła raz po raz wzywały lekarzy, posyłały sprzątaczy do gabinetów albo nakazywały pielęgniarzom odprowadzenie pacjenta na prześwietlenie.

Kerry chciała sprawić Jamesowi trochę frajdy, dlatego ubrała się raczej skąpo, miała na sobie krótką czarną spódniczkę i dzinsową kurtkę założoną na obcisłą białą koszulkę. Kłopot polegał na tym, że strój ten sprawiał frajdę także siedzącemu naprzeciwko koleśowi z drutami kolczastymi wytatuowanymi na ramionach.

– Nie gap się tak, bo ci gały wyleżą – prychnęła z niesmakiem Kerry i wstała.

Otoczona chaosem postanowiła po prostu działać zdecydowanie i być dobrej myśli. Pewnym krokiem okrążyła kontuar recepcji, przeszła pomiędzy szeregami przegród dla ciężko chorych i rannych, po czym wyjrzała na korytarz prowadzący do pozostałej części szpitala.

Drzwi na drugim końcu otwierało się kartą magnetyczną. Kerry stanęła pod ścianą, gdzie udawała pochłoniętą lekturą ulotki: „Czy jesteś uprawniony do zimowego szczepienia przeciwko grypie?“, dopóki nie minął jej jeden z pielęgniarzy. Wtedy ruszyła kilka metrów za nim, a kiedy przeszedł przez drzwi, skoczyła naprzód i złapała za klamkę tuż przed zatrzaśnięciem zamka.

Przytrzymała drzwi i odczekawszy, aż pielęgniarz się oddali, przekroczyła próg i skręciła w przeciwną stronę. Przekląła w duchu swoje szczęście, gdy znalazła się nagle przed drzwiami windy, zaledwie pięć metrów od tej samej recepcjonistki, która dziesięć minut wcześniej odprawiła ją z kwitkiem. Na szczęście kobieta była tak zatopiona w seksskandalach telenowelowych gwiazdek, że nawet nie uniosła głowy, i Kerry nieniekajona wsiadła do windy, by pojechać nią na piąte piętro.

Rozklekotana kabina była wystarczająco duża, by pomieścić dwa wózki z pacjentami. Pomocny plan na tylnej ścianie podpowiedział

Kerry, dokąd ma iść. Korytarz, na którym się znalazła, miał duże okna wychodzące na parking i urokliwą wiejską okolicę.

James leżał w sali 16J, jednoosobowym pokoju zwykle zarezerwowanym dla prywatnych pacjentów. Kiedy wspinał się na urwisko, z powodu poranionych nóg stracił dużo krwi i wkrótce poczuł się słabo. Przewieziono go karetką do szpitala i przyjęto pod przybranym na potrzeby misji nazwiskiem Jamesa Ravena. Formalnie wciąż był aresztantem i przed drzwiami jego pokoju czuwał policjant.

– Szef dzwonił, że może przyjdiesz – rzucił młodzian w mundurze i wyszczerzył radośnie zęby, sunąc wzrokiem w górę długich nóg Kerry. – Wiesz, będę cię musiał przeszukać, zanim wejdiesz.

– Jasne, użyj sobie – westchnęła Kerry i z rezygnacją uniosła rękę.

– Taki bandycki śmieć nie zasługuje na taką ładną dziewczuchę jak ty – mruknął policjant tonem skargi, kiedy Kerry pozwoliła mu obejrzeć swój telefon i zerknąć do małej czarnej torebki. – Te zbiry może i wyglądają fajnie na tych swoich czoperach, ale...

– Oszczędź mi kazania, dziaduniu – przerwała mu Kerry. – Mogę wejść czy nie?

– Uwierzyłabyś, co tu się, kurna, dzieje?! – zawołał James, kiedy tylko Kerry zamknęła za sobą drzwi.

Ze złością zabrzączał kajdankami, którymi przykuto go do ramy łóżka.

Kerry parsknęła śmiechem, a potem tylko wzruszyła ramionami.

– Najważniejsze było, żeby cię pozszywać, zanim stracisz za dużo krwi. John powiedział, że załatwia śmigłowiec, który zawiezie cię do kampusu. Nie martw się, jutro rano będziesz z powrotem Jamesem Adamsem.

– A wiesz, co jest najgorsze? – ciągnął James. – Nie mogę nawet się odlać, jak ten gliniarz mnie nie odepnie, no i raz mi się zachciało, a ten sobie przysnął. Darłem się chyba z pół godziny. A potem, zbok jeden, stał za mną w kabinie przez cały czas, kiedy lałem. Mam na-

dzieję, że nie będę musiał się wysrać, zanim mnie stąd wypuszczą.

– Tia – Kerry uśmiechnęła się z przekąsem. – Akurat tej wizji spokojnie mogłeś mi oszczędzić.

James miał na sobie górę od szpitalnej piżamy i bokserki. Kiedy próbował unieść się wyżej na poduszce, Kerry obrzuciła wzrokiem bandażę skrywające rozległe rany na jego udach i przysiadła na rogu łóżka.

– Wyglądasz rewelacyjnie – powiedział James, kładąc jej dłoń na nodze. – Powinnaś częściej się tak ubierać.

– Tak myślałam, że spodobam ci się ubrana zdzirowato – westchnęła Kerry i uśmiechnęła się krzywo. – Ale już nigdy więcej. Faceci tak wybałuszają gały, że nie wiem. Okropność.

– To znaczy, że się podobasz, powinno ci być miło – powiedział James i spróbował wsunąć Kerry dłoń między uda, ale natychmiast mocno zacisnęła nogi. – No weeeż – jęknął. – To po co przyszłaś w takim stroju? Daj się do siebie dobrać, bo zaraz mi coś pęknie.

Kerry ze śmiechem odsunęła niesforną dłoń i położyła na prześcieradle.

– Jesteś wiecznie napalonym satyrem, James. Chciałbyś się do mnie dobrać nawet wtedy, gdy przyszedłabym tu w kożuchu Eskimosa.

– Pewnie tak – wyszczerzył zęby James. – Ale nie aż tak bardzo.

– Laura mówiła, że wysłała ci esemesa, ale nie odpisałeś – powiedziała Kerry. – Dante jest zachwycony z powodu Führera. Mówi, że jest twoim dłużnikiem.

– Gliniarze zabrali mi komórkę, kiedy mnie aresztowali – wyjaśnił James.

Kerry sięgnęła do kieszeni kurtki.

– Ale mam coś dla ciebie, wiesz?

– Gumki? – ożywił się James.

– Nie! – Kerry cmoknęła z niesmakiem. – Czy tobie w ogóle zdarza się myśleć o czymkolwiek innym niż seks?

– No, sporo myślę o piłce, ale nie wtedy, kiedy nie dotykałem cię od tygodnia.

Kerry zignorowała odpowiedź i przez chwilę szperała w menu telefonu, szukając zapisanych klipów wideo. Wybrała reportaż z wiadomości, uruchomiła odtwarzanie i wręczyła komórkę Jamesowi.

Film zaczynał się od ujęcia Surf Clubu ze śmigłowca. Podczas gdy kamera wykonywała powolny najazd, głos z offu wyjaśniał, w jaki sposób przywódca gangu Ralph Donnington próbował wymknąć się policyjnej obławie.

– Straszna pikseloza – poskarżył się James.

– Zdaje się, że można ściągnąć w lepszej jakości, ale robiłam to szybko – wytłumaczyła Kerry.

Po zakończeniu najazdu obraz się wyklarował i w zbliżeniu James ujrzał Führera dyndającego na swojej straszliwie strzaskanej nodze.

– O mój Boże – sapnął, odwracając wzrok. – To jakaś masakra. W jakich to było wiadomościach, regionalnych czy krajowych?

– Zaczęło się w regionalnych – powiedziała Kerry – ale inni zaraz podchwycili temat. Teraz jest w BBC, Sky, ITN, wszędzie.

Z malutkiego głośnika telefonu wciąż dobiegał głos reportera.

– Donnington spędził, wisząc na skale, blisko trzy godziny, podczas których załoga helikoptera RAF-u i lokalnej łodzi ratunkowej szukały sposobu na bezpieczne zdjęcie podstarzałego bika z urwiska. Policja twierdzi, że przejęła ponad czterysta tysięcy funtów w gotówce, jak również zapas broni automatycznej ukryty w jednym z szeregowych garaży niedaleko Bath.

Zsunięty ze stopy sandał stuknął o podłogę przy łóżku. James uniósł wzrok znad wyświetlacza dokładnie w chwili, kiedy Kerry przerzuciła nogę nad jego talią i przysunęła się do przodu, aż jej długie czarne włosy załaskotały go w twarz.

– Wiedziałem, że w końcu mi się nie oprzesz – wyszczerzył zęby James.

– Gliniarz siedzi tuż za drzwiami – powiedziała Kerry. – Może-

my się poprzytulać, ale nie licz na nic więcej.

5. FUJ

Tydzień po strzelaninie w Surf Clubie James był z powrotem w kampusie. Ze względu na szwy na udach musiał chodzić na szeroko rozstawionych nogach i mógł nosić tylko szorty albo luźne spodnie od dresu. Był ciepły majowy piątek i większość drzwi sypialni na korytarzu szóstego piętra była albo otwarta, albo przynajmniej uchylona dla lepszej wentylacji.

Drzwi Bruce'a Norrisa stanowiły wyjątek. Licząc na to, że jego przyjaciel właśnie się przebiera, James znienacka wparował do środka, by zdybać go w krępującej sytuacji. Udało się. Naga dziewczyna zapiszczała przeraźliwie i pokicała po podłodze, by owinąć się kołdrą Bruce'a.

– Nie słyszałeś o pukaniu?! – wrzasnęła Bethany Parker.

Mózg Jamesa wszedł na wysokie obroty, próbując przetworzyć skandal, jaki rozgrywał się przed jego oczami. Bruce miał szesnaście lat, ale Bethany o całe dwa lata mniej. Bruce nie był typem łamacza serc i miło było widzieć, że w końcu załapał się na trochę akcji, jednak z drugiej strony James nie znosił Bethany.

Rozważywszy sytuację w ciągu czterech sekund niezręcznej ciszy, James wzdrygnął się i wyartykułował tylko jedno słowo:

– Fuuuj!

– Co znaczy fuj?! – zawołała rozjuszona Bethany i cisnęła w głowę Jamesa jedną z poduszek Bruce'a. – Nie słyszałeś o pukaniu, wieśniaku jeden? Wynocha mi stąd!

– Nie słyszałaś o zamykaniu drzwi? – odkrzyknął James.

Zza uchylonych drzwi łazienki wychynęła głowa Bruce'a. W oczach miał poczucie winy, ale jednocześnie uśmiechał się jak kot, który właśnie opróżnił wielki dzban śmietanki.

– Masz te odpowiedzi do porównawczego z reli, o które prosiłem?
– zapytał.

James pomachał paskudnie wymiętym zeszytem ćwiczeń, a Bruce wyszedł z łazienki ubrany w zielony szlafrok z wielką koniczyną i napisem „Irlandia” na plecach.

– Gustowne wdzianko – parsknął James.

Bethany prychnęła z pogardą.

– Bruce, naprawdę chcesz spisywać pracę z religii na poziomie dwulatka? Przecież to totalny przygłup, chyba że chodzi o matkę.

– Obaj jesteśmy do niczego – przyznał Bruce. – Jak zerznę od kogoś łebskiego, nauczyciele zaczną mi zadawać trudne pytania. Sztuka polega na tym, żeby zawsze spisywać od kogoś, kto z danego przedmiotu jest co najmniej tak cienki jak ja.

W tym momencie Bethany straciła panowanie nad sobą.

– Bruce, ja jestem goła! Czy mógłbyś łaskawie poprosić tego durnia, żeby się stąd wyniósł?!

– Za nic nie chciałbym się zasiedzieć. – James uśmiechnął się krzywo, gorączkowo myśląc, jak by tu jeszcze zagrać Bethany na nerwach, zanim wyjdzie. – Tym bardziej że pewnie zawszawiła ci cały pokój.

– Wal się! – krzyknęła Bethany i natarła na Jamesa z furją, jedną ręką podtrzymując kołdrę, a drugą popychając go w stronę wyjścia.

Trzasnęły drzwi i oddalając się korytarzem, James usłyszał jeszcze Bethany łajającą Bruce'a za jego karygodną postawę.

– No, ładnie mnie bronisz, nie ma co! – piekliła się czternastolatka.
– I co, pozwolisz tej świni tak się do mnie odzywać?

Wchodząc do swojego pokoju, James myślał o tym, że związek jego kumpla z dziewczyną, której nie cierpi, może zniszczyć ich przy-

jaźń. Usiadł na łóżku i włączył laptop, żeby poszukać najków, jakie chciał kupić w necie, ale zanim zdążył kliknąć zakładkę z adresem sklepu, do pokoju wparował Bruce.

Miał na sobie workowate dzinsy i naciągniętą w pośpiechu czarną koszulkę CHERUBA. James złożył ekran laptopa, uniósł jedną brew i zaśmiał się drwiąco.

– Pedofil jeden – prychnął. – Przecież ona ledwie wyszła z pieluch.

– Bez żartów, James – powiedział nerwowo Bruce. – Parę osób wie, że ze sobą chodzimy, ale nie wolno ci nikomu zdradzić, że przyłapałeś Bethany u mnie w takiej sytuacji.

– Tak uważasz? – roześmiał się James. – Jak wy się w ogóle spiknęliście? Nie pamiętam, żebyś z nią choćby rozmawiał.

– Pojechaliliśmy na misję zaraz po świętach. Na krótko, głupie trzy tygodnie, infiltracja grupy dilerów narkotykowych. Ale wiesz, był styczeń, mieszkaliśmy razem, w bloku, centralne ogrzewanie było do bani. Długie, mroźne noce, ciemne zimowe poranki, gorące kakao, długie przytulanki... No i wyszło, jak wyszło.

– Znaczy to, co widziałem, nie było tylko zakończeniem solidnej macanki? Ty i Bethany... rany, wy się naprawdę bzykacie, tak?

– No... tak – odpowiedział zmieszany Bruce. – Ale nie byłem nawet jej pierwszym, no i nie możesz zaprzeczyć, że ma superfajne małe ciało.

– Superfajne małe czternastoletnie ciało – poprawił James. – A ty lepiej uważaj. Jak kadra się dowie, że uprawiasz seks z nieletnią, wywalą was oboje.

– Dlatego jesteśmy tacy ostrożni.

– Nie, tępaku. – James uśmiechnął się kwaśno. – Być ostrożnym, to znaczy pamiętać, żeby przekręcić klucz w zamku.

– Zaczynałem się czuć jak ostatnia dziewczica w kampusie – wyznał ponuro Bruce. – Wszyscy oprócz mnie mieli jakieś doświadczenia. A ona i tak nie może zajść, bo przepisali jej hormony, żeby uregulować

trochę jej masakryczne okresy.

James wetknął sobie palce do uszu i zacisnął oczy.

– Ja w ogóle nie chcę tego słuchać. Pogadajmy o czymś innym.

– A Bethany mówi, że Laura do niczego się nie przyzna, ale jak kiedyś weszła do niej i Rata, to oboje wyglądali jak świeżo po prysznicu i zjarali nieziemską cegłę, kiedy spytała ich, co robili.

– Weź się już zamknij – jęknął James błagalnie. – Od tej pory jedyną osobą, której życie seksualne mnie interesuje, jestem ja sam.

– To ty kazałeś mi zmienić temat.

– Na niemający nic wspólnego z babami – odparł James. – A Bethany mówi takie rzeczy tylko po to, żeby się wybielić. Stary, uwierz mi, u Rata wciąż trwa posucha.

– Wiesz, że wymieniają nam wykładzinę na korytarzu? – zapytał Bruce. – Wykładzina to bezpieczny aseksualny temat do rozmowy.

– Pamiętam jeszcze stare dobre czasy, kiedy wszyscy byliśmy niewinni, i wiadomość, że ktoś pocałował się z dziewczyną, byłaby skandalem tygodnia – powiedział James półżartem. – Kiedy myśmy dorośli? Jeszcze z pięć lat, a zaczniemy się żenić i kupować kosiarki z katalogu Argosa.

– Patrzcie no, James Adams zatęsknił za starymi dobrymi czasami – powiedział Bruce z uśmiechem. – Spójrz prawdzie w oczy, byliśmy mali, durni i beznadziejni w sprawach damsko-męskich. Ja tam się cieszę, że dorastam. Dzieciństwo jest do bani.

James potarł dłońmi policzki i ziewnął.

– No tak, zmieniam się w nostalgicznego starego pryka. Ale spójrz tylko na tego wielkiego włochatego dryblasa, którym się stałem. Pamiętasz, jak się czuliśmy, kiedy przeszliśmy szkolenie podstawowe? Byliśmy królami świata. A potem pierwsza misja. Człowiek tak naprawdę nie miał bladego pojęcia, co powinien robić, był półżywy ze strachu, ale wszystko było zupełnie nowe i tak niesamowicie ekscytujące!

Bruce przytaknął, kiwając głową.

– Wiem, o czym mówisz. Czasem, jak patrzę na Kevina, Jake’a czy w ogóle tych smarkatych, co biegają tam i z powrotem po korytarzach, to mam wrażenie, że minął milion lat, odkąd my tacy byliśmy.

– Cóż, takie życie – westchnął filozoficznie James. – My przynajmniej idziemy jutro na ślub.

Bruce przewrócił oczami.

– Hip, hip, hurra – powiedział beznamiętnie. – Nie ma to jak postać godzinkę w kaplicy, słuchając smęcenia klechy.

– No, to oczywiście będzie ta główniana część. Ale będzie też mnóstwo starych twarzy. Kyle przyjedzie...

Bruce uśmiechnął się złośliwie.

– I Dana powiedziała, że może się zjawi – dodał.

– O, dzizas, lepiej nie! – skrzywił się James. – Na szczęście kampus jest duży, więc w razie czego będzie jak ją omijać. Zamierzam nażreć się jak świnia, wypić tyle alku, ile tylko uda się zdobyć, i balować, dopóki nie padnę na twarz.

6. CEREMONIA

Był to pierwszy ślub, w jakim James wziął udział w ciągu pięciu lat życia w kampusie. Na teren CHERUBA mogli wchodzić tylko obecni lub byli pracownicy i agenci. Nie wolno było przyprowadzać żon, partnerów, znajomych z uczelni ani z pracy, toteż odbywające się tam śluby były niemal zawsze zawierane przez dwoje byłych cherubinów, mieszkających i pracujących w kampusie.

Chloe Blake była dwudziestoósmioletnią koordynatorką misji, która pracowała z Jamesem w kilku tajnych operacjach. Jej przyszły mąż Izaak Cole był od niej o cztery lata starszy. Zakończywszy karierę w CHERUBIE, Izaak przez krótki czas zarabiał na życie jako zawodowy rugbysta, po czym ukończył psychologię dziecięcą i powrócił do kampusu, gdzie zatrudnił się jako opiekun w bloku juniorów. Pracował z najmłodszymi sierotami, pomagając im w oswojeniu demonów przeszłości i przystosowaniu się do nowego życia w kampusie.

Podczas drugiej fazy misji infiltracji Bandytów Jamesowi udało się złożyć kilka krótkich wizyt w kampusie, ale większa część przedślubnej gorączki ominęła go i nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ogromnie ważnym wydarzeniem w życiu większości dziewcząt w CHERUBIE było owo wesele.

Ceremonia miała rozpocząć się w południe, ale James został wyrwany ze snu już o siódmej rano przez dwie szare koszulki świeżo po szkoleniu podstawowym. Dziewczyny w koszulach nocnych sta-

ły na korytarzu tuż za jego drzwiami, drąc się wniebogłosy i obrzucając nawzajem obelgami.

– Hej, dzieciaki, w co wy tu pogrywacie? – zapytał James zaspany, stając w otwartych drzwiach. – Niektórzy próbują spać, wiecie?

– Odwal się, Vanessa! – krzyknęła niska blondynka, całkowicie ignorując Jamesa. – To ja poprosiłam go pierwsza.

– Jezu, ale ty kłamiesz, Rhiannon! – drobna Azjatka zachłysnęła się z oburzenia. – Nawet nie rozmawiałaś z Kevinem, dopóki nie zaczęłam z nim robić tej pracy na plastykę. On się przyjaźni ze mną, wiesz? Nie pójdzie z tobą tylko dlatego, że dwa dni temu zaczęłaś go wyrywać na bezczela.

James był półprzytomny, ale natychmiast domyślił się, że dziewczęta awanturują się o Kevina Sumnera mieszkającego w pokoju naprzeciwko.

– Dziewczyny, hej, dziewczyny! – powiedział stanowczo, ale zignorowały go i tym razem.

– Weź se Ronana, podobasz mu się.

– Ronan jest obrzydliwy! – krzyknęła Vanessa. – Sama go sobie weź.

– Chcesz, to zapukam i zapytam Kevina, z kim chce iść! – zawołała Rhiannon. – Założę się o milion funtów, że to nie będziesz ty z tymi twoimi chomiczymi pućkami!

– Chomicze pućki?! Spójrz na siebie, ty małpo z pyskiem jak patelnia!

Vanessa skoczyła naprzód, by załomotać w drzwi Kevina, ale Rhiannon odepchnęła ją do tyłu. W tym momencie normalne dwunastolatki wdałyby się w mniej lub bardziej bezładną szamotaninę, ale tu przeciwniczkami były dobrze wyszkolone agentki CHERUBA, dlatego zamiast chaotycznej bójki nastąpiła błyskawiczna sekwencja perfekcyjnie wyćwiczonych chwytów i uników. Starcie zakończyło się patem, w którym Vanessa ścisnęła ramieniem szyję rywalki, podczas gdy Rhiannon boleśnie wyłamywała jej palce.

– Spokój! – huknął James. – Już!

Wyprowadzony z równowagi okazywanym mu lekceważeniem przyskoczył do dziewcząt i pchnął je brutalnie na drzwi Kevina. Potem złapał Vanessę za ramię i wysupławszy Rhiannon z duszącego chwytu, rozdzielił walczące, rozsuwając je na odległość rozpostartych ramion. W tym momencie ze wszystkich drzwi na korytarzu sterczały już głowy ciekawskich, w tym, dwa pokoje dalej, głowa Kerry.

– James, zostaw dziewczyny w spokoju! – zawołała.

– Ja?! – oburzył się James. – Gdyby nie ja, toby się tu pozabijały.

Przedmiot sporu Vanessy i Rhiannon także został wyrwany ze snu. Kevin stanął na progu swojego pokoju z lekko otępiałą miną. Nie wyglądał na atrakcyjną partię, ubrany w jedną skarpetkę, o wiele za małe spodnie od piżamy ze Spidermanem oraz podartą szarą koszulkę CHERUBA z rozsmarowaną na niej połową wczorajszej kolacji.

– Kevin, powiedz Vanessie, że obiecałeś, że pójdziesz na ślub ze mną – zażądała Rhiannon.

– Powiedziałem? – stropił się Kevin. – Och... No cóż, chyba faktycznie...

– A gówno! – ryknęła Vanessa. – Na plastyce powiedziałeś, że idziesz ze mną.

Kevin nieco się zmieszał.

– Zapytałaś, czy chcę pójść na ślub. Odpowiedziałem, że w sumie mogę.

Obie dziewczyny zamarły w osłupieniu.

– Przecież nie możesz iść z nami dwiema! – wypaliła Vanessa.

Kevin podrapał się w szyję.

– Słuchajcie, ja myślałem, że po prostu pytacie, czy tam będę. Wtedy myślałem, że tak, ale w sumie uznaliśmy z większością chłopaków, że to będą straszliwe nudy. Pewnie po prostu pójdę z Jakiem i innymi na basen, a wieczorkiem może wpadniemy coś przekąsić i

zabawić się na imprezce.

– Ale Siobhan powiedziała, że Jake idzie na ślub z nią – powiedziała Vanessa.

Kevin parsknął śmiechem.

– Taa, już widzę, jak Jake siedzi na jakimś drętwym ślubie, i to z Siobhan. Przecież on jej nie cierpi. Założę się o ostatniego pensa, że powiedział jej to tylko po to, żeby ją wkurzyć. W końcu to był jego pomysł, żebyśmy skoczyli na basen, kiedy wszyscy inni będą na ślubie.

Vanessa i Rhiannon wymieniły zaszokowane spojrzenia.

– To znaczy... że żaden z was nie idzie?

Kevin się roześmiał.

– A po co? Kto by chciał się stroić w garniak i nudzić godzinami w kościele?

Rozległ się głośny trzask, kiedy Rhiannon plasnęła Kevina otwartą dłonią w policzek.

– Hej, a to za co?! – krzyknął Kevin z oburzeniem.

– Jesteś totalną świnią – zasyczała Vanessa. – I powiedz Jake'owi, żeby uważał. Kiedy Siobhan się dowie o tym basenie, zrobi z niego krwawą miazgę.

– Zostawmy tego niedojrzałego frajera – prychnęła Rhiannon, zwracając się do Vanessy.

Pocierając dłonią czerwoną pręgę na policzku, Kevin popatrzył za dziewczętami, które oddaliły się korytarzem najwyraźniej w jak najlepszej komitywie, po czym skierował błędne spojrzenie na Jamesa.

– Czy ty masz może pojęcie, co się właśnie stało? – zapytał cicho.

– Baby to wariatki – westchnął James. – Nawet nie próbuj zrozumieć, co się dzieje w ich głowach.

*

Od kiedy James skończył siedemnaście lat, miał prawdziwe prawo jazdy, a także prawo do korzystania z samochodów floty kampusu, kiedy chciał pojechać gdzieś dalej. Warunkiem korzystania z

pojazdów było odbębnianie dyżurów przy wożeniu młodszych cherubinów do miasta, kiedy wybierali się tam na kręgle, zakupy czy w jakimkolwiek innym celu.

Zwykle dyżury traktowano jak uciążliwość, ale tym razem James z zadowoleniem dołączył do konwoju minivanów krążącego pomiędzy kampusem a stacją kolejową i dowożącego przybyłych na ślub gości. W pierwszym kursie trafiła mu się grupa byłych agentów CHERUBA z czasów Izaaka i Chloe. Ich twarze nic mu nie mówiły. Dopiero pociąg, który przyjechał godzinę później z kolejnymi dwoma tuzinami byłych cherubinów, przywiózł kilkoro jego starych znajomych.

Wiedział, że w pociągu jest jego stary kumpel Kyle, ale aż zaniemówił z wrażenia na widok długich jasnych włosów i opalonego ciała Amy Collins. Kiedy zaczynał karierę w CHERUBIE, Amy była dlań kimś w rodzaju mentorki. Nie widział jej od prawie trzech lat.

– Jasny gwint! – wykrzyknął James, ignorując Kyle'a i przygarniając blondynkę do siebie, by ją uścisnąć.

Starszy brat Amy John stanął za siostrą i uśmiechnął się.

– No, no, kawał chłopca z ciebie – zachichotała Amy, cofając się o krok. – Gdzie się podział ten pyzaty mały pędrak, który zjawił się w kampusie pięć lat temu? Posunę się nawet do stwierdzenia, że nie-gorsze z ciebie ciacho, ale prawdziwe pytanie brzmi: czy jesteś w wystarczającym stopniu mężczyzną, by poradzić sobie ze mną?

Z tymi słowy Amy wyprowadziła nieco teatralne kopnięcie karate. James uchylił się bez trudu, ale wykonując unik, wpadł na plastikowy pojemnik na śmieci i otarł sobie łokieć. Kyle, Amy i John parsknęli śmiechem.

– Co za draństwo! – zawołał James, krzywiąc się i łapiąc za ranę. – Jezu...

– Powolna reakcja, niska świadomość sytuacyjna – szydziła Amy. – Wygląda na to, że wciąż jesteś moją sunią, hę?

– Nawet nie wiedziałem, że jesteście w kraju – powiedział James,

uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

Odezwał się brat Amy:

– Chloe Blake i ja kumplujemy się od bardzo dawna. Razem kończyliśmy szkolenie podstawowe, byliśmy na kilku misjach. Wciąż utrzymujemy kontakt, no i wreszcie trafił się dobry pretekst, żeby wsiąść do samolotu.

– A jak tam twoja szkoła nurkowania? Biznes się kręci? – zapytał James, kiedy grupa ruszyła w stronę parkingu.

– Jakoś idzie – odpowiedział John, wzruszając ramionami. – Mamy sporo klientów z Japonii, bo znam język, ale konkurencja jest straszna. Ledwie wychodzimy na swoje.

– A ja skończyłam studia i pracuję w Brisbane – wtrąciła się Amy.
– Zajmuję się głównie tłumaczeniami i trochę ochroną osobistą.

– Tak? Kogo pilnujesz? – zainteresował się James.

– Różnie – powiedziała Amy. – Przyjezdnych biznesmenów, gwiazdki pop na koncertach w Brisbane, drużyny sportowe. Nie specjalnie rozwijająca praca, ale ludzie potrafią zapłacić porządne pieniądze, żeby mieć młodą dziewczynę za goryla.

– Nie myślałaś nigdy o powrocie i zatrudnieniu się w kampusie? – zapytał Kyle.

– Co ty! Za zimno – odparła Amy, ostentacyjnie trąc dłońmi ramiona i wzdrygając się na samą myśl. – Ja jestem ciepłolubna. Tam mam dwa kroki do plaży, dookoła dobre kluby i knajpy, surfing w każdy weekend. Nie widzę siebie brodzącej w kampusowym błocie w połowie stycznia.

– Też myślę, żeby zadekować się w jakimś ciepłym miejscu, jak już wykopią mnie z CHERUBA – powiedział James. – Z moją głową do matny może dostanę stypendium na jakimś fajnym uniwerku w Stanach, w Kalifornii, może na Florydzie...

– A co wtedy będzie z Kerry? – zapytał Kyle.

James wzruszył ramionami z lekko stropioną miną.

– Coś się wymyśli. Kerry jest ode mnie o rok młodsza, ale w Ame-

ryce studia są modułowe, więc mogę zaliczyć jeden rok, a potem zrobić sobie roczną przerwę na wspólne podróżowanie.

– A Kerry podoba się pomysł wyjazdu do Ameryki? – zapytała Amy.

James skinął głową.

– Pod warunkiem, że wciąż będą razem – uśmiechnął się krzywo Kyle. – Ile razy już zrywaliście, James? Pięć? Sześć?

James podniósł ręce w geście irytacji.

– Nie mów tak! Tym razem jest inaczej. Jesteśmy dojrzałsi. Oboje mieliśmy innych partnerów i tak dalej, ale zatoczyliśmy koło i zrozumieliśmy, że najlepiej jest nam ze sobą.

Czwórka przyjaciół dotarła do parkingu. James wcisnął guzik breloczka, odblokowując drzwi dużego volkswagena, i John wrzucił torby do bagażnika. Nieopodal dwa inne minivany i terenowy mercedes także szykowały się do zabrania kolejnej grupy weselnych gości.

– Nie mogę się już doczekać – powiedziała entuzjastycznie Amy. – Tyłu starych znajomych! Macie jakieś nowe budynki, coś się zmieniło w kampusie?

– Mamy bibliotekę, całkiem fajną zresztą – odpowiedział James. – Aha, i odnowili starą halę gimnastyczną.

– No i w budynku kontroli misji nareszcie wszystko działa bez zarzutu – powiedział Kyle.

– Gdzie tam – prychnął James z lekceważącym uśmieszkiem. – System rozpoznawania tęczyówki ostatnio znowu nawalił, a dach przecieka jak sito.

James uruchomił silnik i zwolnił hamulec ręczny, ale kiedy zaczął wyjeżdżać tyłem z zatoczki parkingowej, jakiś mężczyzna zastukał gwałtownie w okno tuż przy jego głowie.

– Zmieści się jeszcze jeden? – Norman Large wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Okryty hańbą były szef wyszkolenia CHERUBA utracił sporą

część włosów, co zrekompensował sobie jednak, wyhodowując fantastyczny wąs, rozrośnięty teraz w gigantyczny obiekt przypominający wiewiórczy ogon.

– Niech to szlag! – jęknął Kyle. – Kto zaprosił na ślub tego oprycha?

Jamesa korciło, by wcisnąć gaz i odjechać, ale odbieranie gości ze stacji było jego obowiązkiem i wycięcie takiego numeru mógłby przypłacić utratą prawa do korzystania z samochodów kampusu.

Nikt nie lubił Large'a i fakt ten zawisł w grobowej ciszy niczym psie pierdnięcie. Volkswagen ruszył w dwudziestominutową drogę do kampusu.

Kyle w końcu przerwał milczenie.

– No więc... – westchnął – co były instruktor CHERUBA porabia w tych ciężkich czasach?

– Pracuję w ochronie – powiedział Large.

– O, ekstra – uśmiechnęła się uprzejmie Amy. – Też siedzę w tej branży, tyle że w Brisbane. Co to za praca, politycy, celebryci, te sprawy?

– Asda* – wyznał z zakłopotaniem Large. – Żadna rewelacja, ale przynajmniej łatwa robota. Stałe godziny.

James nie powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– I biada dzieciakowi, który zwędzi cukierka z twojego działu!

* Asda – brytyjska sieć popularnych supermarketów (przyp. tłum.).

7. CIUCHY

Do 11.25 ogólne podekscytowanie przemieniło się w histerię. James stał przy oknie swojego pokoju ubrany w czarne sportowe buty, czarne spodnie od dresu i białą koszulkę polo. Patrzył w dół na dziewczyny biegające tam i z powrotem po alejce łączącej kaplicę z głównym budynkiem. Dzień był pogodny i wszystkie włożyły swoje najszykowniejsze, najbardziej olśniewające buty i sukienki pozostające w jaskrawym kontraście z wojskowymi bojówkami i glanami, w jakich poruszały się po kampusie na co dzień.

W pokoju Kerry panował rozgardiasz podsycany paniczną bieganiem bosonogich dziewcząt, które od blisko godziny były już prawie gotowe: Gabrielli, Amy, Laury, Bethany i co najmniej trzech innych. Ostra woń dezodorantu wypełniała powietrze, a z łazienki dobiegały odgłosy krzątania i złorzeczenia koleżanek malujących się przed lustrem. Rat, Bruce, Andy Lagan i Dante Welsh czekali ściśnięci na kanapie Kerry. Wyglądali nawet elegancko w swoich marynarkach, koszulach i krawatach.

– Jakby co, to jestem gotowy, Kerry – oznajmił James, wsuwając głowę do pokoju.

Dziewczęce szczęki niemal stuknęły o podłogę, a Kerry wytrzeszczyła oczy zszokowana widokiem chłopaka.

– James, chyba nie zamierzasz pójść tak ubrany! Gdzie twój garnitur?

James wskazał na swoje uda.

– Wciąż mam szwy po tym, jak poharatałem się na tych skałach. Jedyne spodnie, w jakich mogę chodzić, nie wyjąc z bólu, to luźne bermudy albo dresy w rozmiarze XXL.

– No dobra, ale włożyłbyś chociaż normalną marynarkę i krawat – zasugerowała Laura.

– Próbowałem, ale wtedy wyglądałem jak pacjent psychiatryka – poskarżył się James. – Ciuchy sportowe i wyjściowe nie łączą się zbyt dobrze.

– Mogłeś kupić sobie luźniejsze spodnie, kiedy byliśmy na zakupach – powiedziała Kerry z wyrzutem i westchnęła głośno.

James cmoknął niecierpliwie.

– W przeciwieństwie do niektórych ja nie planowałem mojej ślubnej toalety na trzy miesiące naprzód i zapomnij, żebym wydał kasę na ciuch, który mam włożyć tylko raz w życiu. A w ogóle to super ci w tej sukience. Wyglądasz tak obłądnie, że na mnie nikt nawet nie spojrzy.

Rozbrojona komplementem Kerry uśmiechnęła się.

– No cóż, przynajmniej dobrze dopasowałeś kolory.

Rat szarpnął za węzeł krawata pod szyją.

– Dobra, skoro James nie musi tego nosić...

Laura zdławiła bunt swojego chłopaka błyskawiczną ścinką w tył głowy.

– O nie, nie, misiu, ty pójdziesz w krawacie – warknęła ostrzegawczo. – Skoro ja muszę przez cały dzień paradować w tej durnej kiece, to ty też możesz się pomęczyć.

– Wyglądasz bardzo ładnie, Laura – zapewniła ją Amy.

Laura wsunęła stopy w parę czółenek i zabrała się do osadzania na głowie kapelusza.

– A jeśli chodzi o tę przeklętą rzecz...

– Wyglądasz, jakbyś miała na głowie tort weselny – zaśmiał się James.

Chłopcy zachichotali, ale Laurze nie było do śmiechu. Odwróciła

się gwałtownie do Bethany.

– Mówiłam ci, że ten kapelusz nie pasuje. Koniec! Nie zakładam tego.

Bethany rzuciła Jamesowi zjadliwe spojrzenie.

– Laura, przecież wyglądasz w nim pięknie. Kogo chcesz słuchać, mnie czy kolesia, który idzie na ślub w najkach i spodniach od dresu?

– Jak chcemy zająć przyzwoite miejsca, to musimy się zbierać – oznajmiła Gabriella, patrząc na zegarek.

Wybuchła chwilowa panika. Dziewczęta rzuciły się na poszukiwanie swoich kapeluszy, a Kerry przez przypadek włożyła but Bethany. Z łazienki wybiegły jeszcze trzy dziewczyny i James uświadomił sobie, że wszystkie mogły się zmieścić w środku tylko pod warunkiem, że jedna z nich stała w wannie.

– Jeszcze tylko się szybko odleję – powiedział Bruce, otwierając drzwi łazienki.

Powitał go przerażający wrzask. Kiedy otrząsnął się z szoku, ujrzał dziewczynę siedzącą na sedesie z zebraną nad kolanami sukienką i majtkami opuszczonymi do kostek.

– Wynocha! – krzyknęła wściekle.

Bruce pokraśniał na twarzy i cofnął się pospiesznie, żałując, że nie przyszła mu do głowy żadna błyskotliwa odzywka, jaką mógłby zamaskować swoje zawstydzenie.

Tymczasem na korytarzu James uśmiechnął się na widok Kyle'a, który właśnie wyłonił się ze swojego starego pokoju, nienagannie ubrany w ściśle dopasowany niebieski garnitur z rozszerzanymi spodniami i melonik tegoż koloru. Efektownej całości dopełniała drewniana laska oraz ogromne lotnicze okulary à la Elvis.

– Kyle, ale super! – wykrzyknęła Kerry, biorąc go pod ramię. – James, odsuń się. Wybieram się na ten balet z szanownym panem.

– No i to jest styl – powiedziała z uznaniem Gabriella, łapiąc drugie ramię Kyle'a, po czym posłała chłopcom oskarżycielskie spojrze-

nie. – Patrzcie i uczcie się. Oto jak wszyscy powinniście wyglądać.

Dante idący korytarzem obok Jamesa potrząsnął głową i cmoknął z irytacją.

– Słuchaj, wiem, że Kyle to twój stary kumpel – powiedział lekko przeproszającym tonem – ale to najbardziej gejowskie wdzianko, jakie w życiu widziałem.

Dante wyjechał prosto ze szkolenia podstawowego na jedną z najdłuższych misji w historii CHERUBA, dlatego nie znał Kyle'a.

– Kyle jest gejem – wyjaśnił James. – Myślisz, że pozwoliłbym mu prowadzić się z moją dziewczyną pod rękę, gdyby był hetero?

Na widok tłumu czekającego przy drzwiach windy Kerry postanowiła zdjąć szpilki i zejść na parter po schodach. Reszta poszła w jej ślady i wkrótce grupa dołączyła do ludzkiego potoku wylewającego się z tylnego wejścia głównego budynku i płynącego żwirową alejką w stronę kaplicy.

Zwykle James rozpoznawał każdą twarz w kampusie, ale śluby zawsze były okazją do wspominkowych zjazdów i tego dnia po terenie kampusu pętały się dodatkowe trzy setki byłych agentów i dawnych pracowników CHERUBA.

James wyciągnął głowę w górę i krzyknął do Kerry idącej pięć metrów przed nim:

– Oj, kochanie! Może my też weźmiemy kiedyś ślub w kampusie?

Kerry prychnęła drwiąco.

– A kto powiedział, że za ciebie wyjdę?

Odpowiedziało jej kilka rozbawionych parsknięć. James spojrzał na ziemię i spostrzegł czarne smugi w miejscu, gdzie jego własnoręcznie zbudowany wyścigowy wózek golfowy rozbił się i spłonął osiemnaście miesięcy wcześniej. Na trawie obok alejki stały dwie kobiety w średnim wieku, pokazując sobie palcami górne piętra głównego budynku.

– Pamiętam, jak to wszystko budowali – powiedziała jedna z nich.

– Tam był mój pokój, na końcu szóstego piętra. W tamtych czasach

chłopcy mieszkali na siódmym, a na samej górze było centrum planowania misji.

„Znowu nostalgia” – westchnął w duchu James, patrząc na idącą nieopodal Amy. Miała dwadzieścia jeden lat i wyglądała oszałamiająco w sukience bez ramiączek. Straciła jednak ową aurę tajemniczości, jaka onieśmiała go sześć lat wcześniej, kiedy on był nowym rekrutem, ona zaś wydawała się niemożliwie wprost mądrą i doświadczoną agentką w czarnej koszulce.

Teraz Amy była zwyczajną agentką ochrony, Kyle studiował, dorabiając sobie na pół etatu w klubie nocnym, a upiorny instruktor Norman Large strzegł mrożonych kurczaków w supermarkecie. Perspektywa życia poza CHERUBEM jeszcze nigdy nie wydawała się tak bezbarwna i zbliżając się do szeregu białych plastikowych krzesel ustawionych na trawniku przed kaplicą, James poczuł wzbierającą w nim falę przygnębienia.

Mała kampusowa kaplica mogła pomieścić sto pięćdziesięcioro najważniejszych, starannie wyselekcjonowanych gości. Reszta miała zostać na zewnątrz i oglądać ceremonię na wielkim ekranie. Gdyby miało padać, krzesła i ekran rozstawiono by w hallu głównego budynku.

Kerry zajęła Jamesowi miejsce obok siebie, ale przeciskając się między rzędami krzesel, James spostrzegł, że przyzywa go gestem Meryl Spencer. Jego była opiekunka właśnie awansowała na szefa opiekunów, co oznaczało, że ma władzę nad kampusowym losem każdego wykwalifikowanego agenta CHERUBA.

– Cokolwiek masz na myśli, to nie byłem ja – James wyszczerzył zęby w uśmiechu, podchodząc do Meryl w centralnej alejce pomiędzy krzesłami.

– Jak nogi, goją się? – zapytała Meryl.

James skinął głową.

– W poniedziałek zdejmują mi szwy. Mam nadzieję, że będę już mógł zakładać normalne ciuchy.

– Zdaje się, że masz niezły kontakt z Joshua Askerem i paroma innymi czerwonymi koszulkami.

– Można tak powiedzieć. Pomagałem im przy nauce pływania i takie tam.

– Świetnie – uśmiechnęła się Meryl. – Mam tam z tyłu paru opiekunów, którzy przez długi czas pracowali z Izaakiem. Naprawdę zasługują na to, żeby być w tej kaplicy, ale muszą mieć oko na swoich chłopców. Słuchaj, może posiedziałyś z tyłu i popilnował dzieciaków, żeby mogli wejść do środka?

– Jasne – skinął głową James. – Tylko chłopcy, tak?

– Wszystkie dziewczyny pomiędzy trzecim a ósmym rokiem życia zostały druhami – powiedziała Meryl. – Wszystkich trzynaście.

Pięciu małych chłopców odznaczało się żywym temperamentem, dlatego celowo posadzono ich na samym końcu. Wyglądali słodko ubrani w takie same lakierki i marynarki, choć najmniejszy, zaledwie trzylatek, zdołał już pozbyć się zarówno krawata, jak i butów.

Pięcioletni Joshua Asker przysiadł się do Jamesa, częstując go promiennym uśmiechem.

– James, a będziemy znów razem pływać, skoro już wróciłeś? – zapytał przymilnie.

James uniósł jedną brew i potrząsnął głową.

– Za bardzo śmierdzisz.

– Sam śmierdzisz! – zawołał na cały głos chłopiec, po czym wybuchnął głośnym śmiechem i uszczypnął Jamesa w ramię.

Kilka osób obejrzało się na nich, w tym mama Joshuy Zara, która jako prezes CHERUBA miała poprowadzić pannę młodą do ołtarza.

– Zachowuj się, Joshua – syknęła ze złością.

Joshua wskazał na Jamesa.

– To on zaczął. Powiedział, że śmierdę.

Podczas gdy Zara uciszała syna, u wylotu ujętej w szpaler drzew alejki prowadzącej do kaplicy pojawił się biały rolls-royce. Gwar rozmów ucichł, kiedy głośniki zagrzmiały próbnym akordem orga-

nisty i wszyscy siedzący na zewnątrz obrócili głowy w stronę przybyłych. Samochód się zatrzymał.

– Nic nie widzę – poskarżył się jeden z chłopców.

Z pojazdu wysiadła Chloe Blake, a tuż za nią zaroiła się armia małych druhen w identycznych bladożółtych sukienkach. Joshua przycisnął usta do ramienia Jamesa i nadał policzki, szykując się do dmuchnięcia wielkiego pierdziocha.

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego – ostrzegł James. – Mama cię zabije.

Joshua uniósł brwi, jakby się namyślał, a po chwili oderwał usta od ręki Jamesa i usiadł prosto na swoim krześle. Ogromny ekran telewizyjny nagle ożył, ukazując Izaaka, kiwającego się nerwowo przy ołtarzu. Chloe stanęła kilka metrów za Jamesem. Na twarzy miała zbyt ostry makijaż i wyglądała, jakby nie była do końca przekonana, że postępuje właściwie.

– Wstańmy i powitajmy pannę młodą – zasugerował pastor przez głośniki.

Chloe i Zara splotły ramiona i w patetycznym rytmie marsza weselnego ruszyły powoli pomiędzy rzędami plastikowych krzeseł.

8. PODRYGI

James nie palił się do uczestnictwa w ślubie, ale po nużącej ceremonii w kaplicy zaczął się nawet dobrze bawić. Delektował się popołudniowym słońcem, grając z maluchami i kilkoma znajomymi w minikrykieta, podczas gdy goście robili sobie fotografie. Następnie on i Kerry zabrali siedmioro byłych agentów na wycieczkę po nowszych obiektach w kampusie.

Większość uczestników wycieczki przekroczyła już trzydzieści lub nawet czterdzieści lat. James i Kerry wymieniali się ze starszymi cherubinami opowieściami z misji i kampusowymi anegdotkami. James wykazywał szczególne zainteresowanie tym, co robili zaraz po opuszczeniu kampusu. Wszyscy wydawali się zgodni co do tego, że przystosowanie do normalnego życia po niezwykłościach kariery agenta CHERUBA jest szalenie trudne. Pewien brodaty mężczyzna wyznał nawet, że znudziwszy się studiami, próbował uatrakcyjnić sobie życie kokainą i ledwie uniknął więzienia po przyłapaniu na udziale w transakcji narkotykowej.

Jednak ogólny obraz napawał otuchą. Nawet gdy wzięto się poprawkę na imprezową atmosferę, byli agenci wyglądali na szczęśliwych ludzi, z rodzinami i dobrymi posadami. Nawet facet, który omal nie wylądował za kratkami, w pewnej chwili wyciągnął portfel, by pokazać Jamesowi fotografie swoich trzech córek, pięciu kotów i żony, olśniewającej Dunki.

– Będąc w CHERUBIE, należysz do jedno-, może dwuprocentowej

elity – tłumaczył mu brodacz. – Edukacja w kampusie jest rewelacyjna. Załatwią ci miejsce na najlepszej uczelni, a dział socjalny zapewni wsparcie finansowe i psychologiczne po wyprowadzce z kampusu. Nie masz powodu, żeby się niepokoić.

James wciągnął powietrze przez zęby.

– To aż tak widać, że martwię się wyprowadzką?

– Masz to wypisane na twarzy – uśmiechnął się mężczyzna. – Ale pomyśl tylko o wszystkich tych dzieciakach, które są teraz w twoim wieku, a które nie mają połowy tych możliwości co ty.

Po oprowadzeniu gości James i Kerry objęli się i wolnym krokiem ruszyli z powrotem w stronę głównego budynku.

– Jeśli wyjadę na studia do Stanów, to na pewno pojedziesz ze mną, prawda? – zapytał James.

Odpowiedź była rozczarowująco powściągliwa.

– Na pewno o tym pomyślę, ale...

– Ale co? Mówiłaś, że podoba ci się pomysł wyjazdu do Ameryki.

– Może nie spieszy się tak bardzo, dobrze? – poprosiła Kerry. – Zeszliśmy się nie tak dawno temu, a większość tego czasu spędziłeś na misji.

– Kerry, ja muszę zacząć podejmować decyzje. Naprawdę ciągnie mnie do Kalifornii. Wywiad ma podpisane umowy z wieloma krajami. Po CHERUBIE mogę mieć obywatelstwo brytyjskie, australijskie, amerykańskie, kanadyjskie, w zasadzie każde, jakie mi się spodobą, bylebym znał język.

– Musisz podjąć swoje decyzje, to podejmuj – powiedziała Kerry łagodnie. – Ja jeszcze nie wiem, co chcę robić, kiedy stąd odejdę, więc rób to, co uważasz za najlepsze dla siebie. Jeśli w przyszłe wakacje, kiedy będę odchodzić z CHERUBA, wciąż będziemy razem, jestem pewna, że znajdziemy rozwiązanie.

– Pewnie tak – mruknął James i westchnął melancholijnie. – Kerry Chang, chodzący rozsądek...

*

– Aj-low-ju beeejbi! – ryczała Kerry, płasając dziko na środku hali głównego budynku.

Minęła północ i impreza już nieco przycichła. Maluchy, które spędziły noc, ganiając się po budynku, teraz przysypiały pod ścianami. Starsze dzieci wciąż trzymały się nieźle, od dłuższego czasu tocząc bohaterską bitwę na wodę pomiędzy chłopcami a dziewczętami, podczas gdy nastolatki i dorośli siedzieli przy stolikach i rozmawiali albo podrygiwali na parkiecie przy kiczowatej muzyce.

– James, wstawaj! – zażądała Kerry, łapiąc swojego chłopaka za nadgarstek.

James i wszyscy wokół stolika parsknęli śmiechem, kiedy Kerry zachwiała się i pośliznęła w kałuży rozlanego drinka.

– Trochę przesadziłaś z bąbelkami – uśmiechnął się James i wskazał na Amy. – Daj mi chwilę na złapanie oddechu. Dopiero co tańczyłem z nią.

Kerry oparła dłonie na biodrach.

– Aha, czyli z nią możesz tańczyć, a ze mną nie – zażartowała. – No dobra, w takim razie kto chce ze mną zatańczyć? Shak, pohulamy?

Ale Shak, siedzący daleko po drugiej stronie stolika, obejmował Gabriellę i nawet się nie obejrzał.

– Jak chcesz, ignoruj mnie, draniu jeden! – zawołała Kerry, pokazując odwróconemu Shakowi środkowy palec. – Kyle, a ty? Wiem, że dobrze tańczysz.

– A może usiądź na chwilę – zaproponował James. – Napij się wody, odpocznij. Bo rano dopadnie cię kaczor z piekła rodem.

– Yyy! – czknęła Kerry. – Nie jestem pijana. Kyle, tyłek w troki, idziemy!

Kyle rzucił Jamesowi spojrzenie z gatunku: „Lepiej z nią pójde”, po czym pozwolił Kerry zawlec się na parkiet przy pierwszych taktach *Dancing Queen* Abby.

– Moja piosenka! – wrzasnęła Gabriella.

Przestąpiwszy nad Jamesem swoimi pajęczymi nogami, pociągnęła za sobą znacznie cięższego Shakeela, a ten potracił stolik, rozlewając kilka drinków. W tej samej chwili nadeszła Bethany – która wcześniej siedziała przy stoliku z Laurą i jej towarzystwem – i porwała Bruce’a.

– Muszę pocyrkulować wśród ludzi – oznajmiła Amy i wstała, zostawiając Jamesa samego.

Początkowo nie zmartwił się tym zanadto. Wypił pół butelki wody i uśmieł się, obserwując Jake’a Parkera, Kevina Sumnera i kilku ich kolegów przekradających się po trawniku na zewnątrz z balonami napełnionymi wodą. Jednak po kilku minutach samotność zaczęła mu doskwierać, wstał więc, by rozejrzeć się za partnerem do rozmowy.

Kilka stolików dalej siedzieli Laura i Rat, ale James nie miał im nic do powiedzenia. Zrezygnowany już miał usiąść z powrotem, ale poczuwszy mokry dotyk swojej przepoconej koszulki, postanowił wyjść na zewnątrz, ochłodzić się nieco i odetchnąć świeżym powietrzem.

Przeciskając się do wyjścia wokół parkietu tanecznego, wszedł prosto na swoją byłą dziewczynę Danę Smith. Ubrana w podarte džinsy i długą workowatą koszulę siedziała przy stoliku z dwoma kudłatymi typami, których James przypominał sobie jak przez mgłę ze swoich pierwszych dni w kampusie.

– Patrzcie no, kogo tu przyniosło! – powiedziała Dana.

James rozciągnął usta w fałszywym uśmiechu.

– Hej... Miło cię widzieć. Jak tam studia na akademii?

– W porządku – odpowiedziała Dana, po czym podniosła się i szepnęła Jamesowi do ucha. – Co powiesz na małe turlanko po sianku jak za starych dobrych czasów? Mam w torbie świetny towar.

– Chciałbym – powiedział James z udawanym żalem. – Ale Kerry by mnie zabiła, a poza tym... Ktoś czeka na mnie na zewnątrz.

James wzdrygnął się, oddalając pospiesznie od Dany. Nie mógł

uwierzyć, że chodził z nią przez jedenaście miesięcy, a przez co najmniej trzy z nich był w niej nawet zakochany. Dana była dość gruboskórna, nie dogadywała się z żadnym z jego przyjaciół i zawsze chodziła w prastarych znoszonych trampkach, od których śmierdziały jej stopy. Z drugiej strony miała piersi jak piłki do kosza i James bardzo za nimi tęsknił.

Wyjście ewakuacyjne wypuściło go w chłód nocy. Lekko pijany błąkał się bez celu pomiędzy grupkami palaczy, dopóki omal nie potknął się o Dantego splecionego w namiętym uścisku z jakąś młodszą dziewczyną, wyglądającą, jakby wystroiła się w firankę.

– Zmykaj do pokoju, ty chutliwy wieprzu! – zaśmiał się James i podniósł nieotwartą puszkę budweisera leżącą na trawie przy jego nodze. – Za młody jesteś na to. Konfiskuję.

Syknęło otwierane piwo i Dante spojrział w górę. Oczy błysnęły mu gniewem, ale zdecydowanie bardziej zależało mu na wetknięciu rąk pod sukienkę dziewczyny niż na awanturowaniu się z Jamesem.

Był maj i wiatr wciąż kąsał mroźnym wspomnieniem zimy, chłodząc Jamesowi spocone plecy. Szedł w noc bez celu, dopóki dudnienie muzyki w głównym budynku nie stało się prawie niesłyszalne. Jakieś dziewczyny podniosły wrzask obrzucone balonami z wodą przez Kevina i Jake'a, a dwaj juniorzy, odprowadzani do łóżek przez jednego z opiekunów, protestowali głośno, przekonując, że wcale nie są zmęczeni.

James przysiadł na wystającym z ziemi pieńku i odchylił głowę, by napić się letniego piwa. W niemal identycznej pozycji siedział dziesięć minut później, kiedy dostrzegł Kyle'a wyprowadzającego Kerry przez wyjście ewakuacyjne. Zauważył, że Kerry pozbyła się szpilek, ale nawet boso miała poważne problemy z utrzymaniem równowagi.

– Wszystko w porządku? – zatroskał się James, podbiegając ku nim po trawie.

– Powiedziała, że zrobiło się jej niedobrze – wyjaśnił Kyle, po raz

kolejny ratując Kerry przed upadkiem.

– Musiałam zjeść coś nie teges – wybełkotała Kerry.

James się uśmiechnął.

– Cztery kieliszki szampana i nielegalny zapas bacardi breezerów w damskiej toalecie z pewnością nie pomogły.

– Lepiej zaprowadzimy cię do pokoju – powiedział łagodnie Kyle.

– Jestem tylko... odwodniona – powiedziała Kerry i potrząsnęła głową. – Dajcie mi tylko... o Boże...

James odskoczył w tył tuż przed tym, jak Kerry chlusnęła mu pod nogi strugą wymiocin. Kyle był bliżej i zamarł z wyrazem przerażenia na twarzy wpatrzony w swoje świeżo zbezczeszczone buty.

– Sorki – wykrztusiła Kerry, zachłystując się powietrzem i podnosząc na Kyle'a załzawione oczy.

Kyle pobiegł do środka po wodę do przepłukania ust. Kerry zawisła Jamesowi w ramionach i zaczęła szlochać.

– Wszystko dobrze – powiedział James łagodnie, gładząc Kerry po plecach. – Lepiej się tego pozbyć, niż trzymać.

Kiedy Kerry przepłukała sobie usta, James ponowił propozycję odprowadzenia jej do pokoju. Wydawała się zasmucona perspektywą opuszczenia zabawy, ale była blada i miała dreszcze.

– Idź przodem – powiedział James do Kyle'a. – Otwieraj drzwi i uważaj na kadrę. Dostanie milion karnych okrążeń, jak ją złapią w takim stanie.

– Mówię wam, że się czymś strułam – zaprotestowała Kerry, kiedy James objął ją w pasie i zarzucił sobie na ramię.

– Powiedz mi, jak znów robi ci się niedobrze – powiedział, ruszając przed siebie. – Ani mi się waż rzygać na mnie.

Kerry uznała ten koncept za całkiem zabawny.

– Uwielbiam te ramiona – rozczuliła się, podczas gdy James niósł ją okrężną drogą wokół głównego budynku. – Wielkie męskie łapska niosą malutką Kerry.

Kyle wszedł przez frontowe drzwi do głównego budynku i we-

zwał windę. James czekał na zewnątrz, trzymając się w ukryciu, dopóki Kyle nie zasygnalizował wolnej drogi. Ciężar Kerry normalnie nie byłby problemem, ale poranione uda dawały mu się we znaki, dlatego w windzie postawił pijaną dziewczynę na podłodze, opierając ją o lustrzaną ścianę kabiny.

– Jestem ci wdzięczna, Jamesiku – wydusiła z siebie Kerry półprytomnie. – I tobie też, Kyle. Wiszę wam obu przysługę.

Podczas gdy winda sunęła w górę, Kerry czknęła i kolejna porcja wymiocin podeszła jej do gardła. Nie było tego wiele, ale w ciasnej kabinie wystarczyło, by Jamesowi i Kyle'owi zakręciło się w głowie od mdlącego zapachu. Chłopcy sapnęli z ulgą, kiedy wypadli na korytarz szóstego piętra i odetchnęli czystym powietrzem.

Kerry wydawała się nieco bardziej kontaktowa. Zamiast pozwolić Jamesowi ponieść się dalej, ruszyła chwiejnie przez korytarz, opierając się o ścianę. Kiedy dotarła do swojego pokoju, James był pewien, że wejdzie do środka.

– Hej, przegapiłaś swoje drzwi – ostrzegł, widząc, że Kerry idzie dalej.

– Nie chcę sobie zabrudzić dywanu – oznajmiła Kerry i otworzyła drzwi pokoju Jamesa.

Kyle wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu, a James skrzywił się z niesmakiem.

– Rozumiem, że na mój można wymiotować bez przeszkód – mruknął.

Wszedł za Kerry do swojej sypialni i włączył światło.

– Gdzie moje buty? – zapytała Kerry i z westchnieniem opadła plecami na łóżko.

– Ktoś przyniesie – odpowiedział James. – A jeśli nie, to znajdziemy je rano.

– Ale mam samolocik – poskarżyła się Kerry, usiłując usiąść. – Skorzystam z twojego prysznicza. To mnie otrzeźwi.

– Myślałem, że się zatrutaś – zauważył drwiąco Kyle, kiedy James

pomógł swojej dziewczynie wstać i poprowadził ją do łazienki.

James odkręcił prysznic na cały regulator i zaczął mocować się z suwakami na plecach sukienki Kerry. W normalnej sytuacji sprawiałoby mu to frajdę, ale nie teraz, kiedy pani jego serca zataczała się, nuciła coś pod nosem, jej pot cuchnął alkoholem, a oddech wymiocinami.

W samym staniku i majtkach Kerry weszła do wanny i usiadła ciężko pod strumieniem chłodnej wody. Zwiesiwszy jedną rękę na zewnątrz, drugą zaczęła dłubać sobie między palcami stóp.

– Brudne paluchy! – zaśpiewała niespodziewanie i odchyliła głowę, pozwalając, by strumień z prysznica zalał jej usta. W następnej chwili wypluła wodę prosto na rozporek Jamesa i roześmiała się. – Trafiony, zatopiony!

– No fajnie – westchnął James, po czym sięgnął do kranu i pchnął dźwignię regulatora do oporu w pozycję „zimna”.

– Ty draniu! – zapiszczała Kerry, przewracając się gorączkowo na brzuch, by z powrotem puścić ciepłą wodę.

– Krzyknij, gdybyś czegoś potrzebowała – powiedział James, wychodząc tyłem z łazienki.

Kyle siedział na jego łóżku, polerując sobie buty pękiem chusteczek.

– Wyłazi z niej dzika bestia – zażartował Kyle i podniósł wzrok na Jamesa. – Wyglądasz, jakbyś się zlał w gacie.

– Dziewczyny nie umieją pić – westchnął James. – Laura ma tak samo: wypije trzy piwa i lata goła po ulicy, łaszcząc się do latarni.

Chłopcy spojrzeli na siebie, słysząc wołanie Kerry przytłumione szumem prysznica.

– Co znowu? – zapytał James z irytacją, wsuwając głowę przez uchylone drzwi łazienki.

– Dobry z ciebie chłopak, James – powiedziała Kerry, pokazując Jamesowi uniesione kciuki, po czym teatralnie zaszlochła. – Mam do ciebie za mało zaufania, wiesz?

– Dzięki – powiedział James bez przekonania. – Przyzwyczailem się.

– Widzę, że masz nowy plan misji – zagadnął Kyle, wskazując teczkę leżącą na biurku. – Myślałem, że już z tym skończyłeś.

James potrząsnął głową ze wzgardą.

– Jaka tam misja. Dwa dni niańczenia, tydzień po tym weekendzie. Jakiś malezyjski minister obrony przylatuje, żeby podpisać gigakontrakt na brytyjskie pojazdy opancerzone i silniki odrzutowe czy coś tam. Ja, Kevin i Laura mamy się zająć jego dzieciakami, czyli zapewnić rozrywkę, pokazać miasto, jednocześnie pilnując, żeby jakis obrońcy praw człowieka nie wysadzili ich w powietrze albo nie porwali.

Kyle wyglądał na znacznie bardziej zainteresowanego, niż powinien.

– Malezyjski minister obrony? Chodzi ci o Tana Abdullaha, tak?

James uniósł jedną brew.

– Skąd, do diabła, możesz to wiedzieć? Zajrzałeś w papiery, kiedy byłem w łazience?

– Ja i pan Abdullah mamy wspólnych znajomych – powiedział Kyle z tajemniczą miną. – Miałbyś coś przeciwko temu, żebym zerknął w twój plan misji?

James był zdumiony, ale tylko wzruszył ramionami.

– A co mi tam, użyj sobie, stary.

Cztery lata wcześniej

Grudzień 2004 – marzec 2005

9. PLAŻA

Kyle Blueman niedawno skończył piętnaście lat i właśnie relaksował się, leżąc na wznak, z głową opartą o plecak, w wąskim kadłubie bezpokładowej motorówki. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, słońce już solidnie przypiekało. Niebo było bezchmurne, a morze gładkie jak ogrodowa sadzawka.

Absolutną ciszę burzyło tylko brzęczenie zaburtowych silników. Łódź cięła wodę nieopodal gęstej dżungli i dzikich plaż wyspy Langkawi, położonej piętnaście kilometrów od wybrzeża Malezji kontynentalnej. Kyle był mocno nieświeży po trzynastu godzinach spędzonych wewnątrz boeinga 747 i nie mógł się doczekać prysznicza i czystego ubrania.

– Daleko jeszcze? – zapytał, spoglądając w górę na Aizata, młodego sternika łodzi.

– Piętnaście, dwadzieścia minut – odpowiedział Malezyjczyk.

Kyle zgadywał, że Aizat jest w jego wieku, może odrobinę starszy. W podartych szortach, z włosami do ramion i w poplamionej koszulce z Jimim Hendriksem Aizat poruszał się z ogromną pewnością siebie, zupełnie niewrażliwy na kołysanie łodzi, kiedy stąpał pomiędzy ławkami, zwojami lin, kanistrami z paliwem i sprzętem rybackim, bez ani jednego spojrzenia pod nogi.

– To twoja komórka dzwoni? – zapytał Aizat.

Kyle złapał za burtę łodzi i dźwignął się w górę, by wyłuskać nożkę z nieprzemakalnej kurtki zwiniętej w kłęb obok jego stóp.

– Halo? – powiedział i natychmiast pożałował, że przed odebraniem nie sprawdził, kto dzwoni.

– Ty zdrajco! – ryknęła z furją Laura Adams. – Myślałam, że jesteśmy w drużynie.

Laura miała dziesięć lat i została ukarana piekielnym zadaniem przekopywania kampusowych rowów melioracyjnych za uderzenie instruktora Normana Large'a szpadlem. Kyle odbywał identyczną karę za palenie marihuany na swojej poprzedniej misji.

– Laura, posłuchaj... – zaczął Kyle uspokajającym tonem.

Dziewczynka nie pozwoliła mu jednak dojść do słowa.

– Nie mogę uwierzyć, że się tak wyślizgałeś. Teraz będę tu sterzyć sama, po pas w śmierdzącym mule, nie mając do kogo gęby otworzyć przez cały dzień!

Kyle'a zakłuło poczucie winy.

– To nie tak, Laura – zaczął wyjaśniać. – Dowiedziałem się w święta rano. Wracałem na górę po otwarciu prezentów i Meryl Spencer szukała kogoś, kto w trybie pilnym poleciałby do Malezji, bo jeden z naszych instruktorów nagle się pochorował. Nikt nie chciał jechać, bo były święta, ale ja się zdecydowałem, bo w ten sposób mogłem sobie urwać ostatnie dwa tygodnie kopania rowów.

Laura cmoknęła z pogardą.

– Cóż, no to gratuluję, stary.

Słowo „stary” Laura wypowiedziała tonem oskarżenia i Kyle poczuł się podle.

– Powinienem był ci powiedzieć, ale od razu kazali mi spakować plecak, wsadzili do samochodu i wywieźli na Heathrow. Wiedziałem, że będziesz zła, i nie chciałem psuć ci Gwiazdki, ale założę się, o co chcesz, że zrobiłabyś to samo, gdyby tylko trafiła ci się okazja skrócenia kary.

– Może i tak – westchnęła Laura. – Ale ja przynajmniej starałabym się z tobą skontaktować.

– Wiem, że razem było różnie, ale twoja kara nie potrwa dłużej

dlatego, że mnie nie ma.

– Ja już po prostu nie mam siły – jęknęła Laura. – To, że od czasu do czasu mogliśmy się razem pośmiać, to była jedyna rzecz, dzięki której jakoś to znosiłam.

– Przywiozę ci coś ładnego, okej? Aha, i powiedz Jamesowi, że moje zeszłoroczne notatki z *Pan inspektor przyszedł* są w szarym pudle pod moim biurkiem, gdyby ich potrzebował.

– Dobra, dobra – burknęła Laura. – Spróbuj nie bawić się zbyt dobrze.

Kyle zakończył połączenie i spojrzał w stronę wyspy. Przepływali właśnie nieopodal luksusowego kurortu z białą jak śnieg plażą i tuzinami dużych domków na palach połączonych siecią falujących łagodnie pomostów na pływakach. Goście mogli skakać z tarasów swoich wykwintnych apartamentów prosto do ciepłego morza.

– Wygląda obłędnie – powiedział Kyle z podziwem.

Oczy Aizata błysnęły gniewem.

– Jak gubernator postawi na swoim, niedługo cała nasza wyspa będzie tak wyglądać.

Kyle nie wiedział, co odpowiedzieć, i uznał, że czeka go jeden z tych dni, kiedy najlepiej jest trzymać gębę na kłódkę.

Celem ich podróży była plaża na północno-zachodnim krańcu Langkawi. Tuż za żalonym spłachetkiem piasku upstrzonego śmieciami i kępami wodorostów wznosiły się dwa piętra nieco obskurnego hotelu Rozgwiadza o łuszczących się białych ścianach, ze spłowiałymi parasolami ocieniającymi tandetne plastikowe meble ogrodowe.

Bosa dziewczyna w szortach i kamizelce puściła się biegiem w stronę morza, kiedy Aizat wyłączył silniki i pozwolił łodzi dryfować na płyciznę. Po chwili przycumował ją do drewnianego słupka i wyskoczył do wody. Kyle wysiadł z drugiej strony i z rozkoszą zanurkował pod nadciągającą falę, pozwalając, by morze przemoczyło mu ubranie i zmyło pot po długiej podróży.

– Jak lot? – zapytała dziewczyna brodzącego w stronę brzegu Kyle’a.

Mówiła ze szkockim akcentem. Czoło błyszczało jej od potu, a twarz płonęła czerwienią, jakby miała za sobą forsowne ćwiczenia.

– Za długi – odpowiedział Kyle z uśmiechem, przesuwając badawcze spojrzenie po swojej rozmówczyni.

Miała jedenaście albo dwanaście lat, opadające na plecy jasne włosy i pięknie opalone kończyny, oszpecone niezliczonymi skaleczeniami i sińcami po dziewięćdziesięciu siedmiu dniach szkolenia podstawowego. Kyle widywał czasem dziewczynę w kampusie, ale nie znał jej zbyt dobrze.

– Jesteś Iris, tak?

– Iona – poprawiła dziewczyna. – Iona Hardy. Pan Large chce, żebyś wyładował bagaże, a potem jak najszybciej przyszedł do niego na basen.

Aizat podał Ionie worek wypełniony sprzętem biwakowym. Był zbyt ciężki, by mogła go nieść, więc po prostu pociągnęła ładunek po piasku, pozostawiając za sobą głęboką koleinę. Kiedy dotarli do hotelu, portier załadował wszystkie bagaże na wózek i wtoczył do holu.

Kyle chciał wiedzieć, czy może swobodnie rozmawiać.

– Czy w hotelu są inni goście? – zapytał Ionę.

– Tylko ludzie CHERUBA – odpowiedziała dziewczyna. – Pan Large, panna Speaks plus sześcioro ocalałych rekrutów.

– Co z panem Pikiem? – zapytał Kyle.

– Pękł mu wyrostek – wyjaśniła Iona. – Zawieźli go łodzią na kontynent, w Wigilię, ale nic więcej nie wiem. Muszę lecieć, bo Large znowu będzie się na mnie wydzierał.

Obok małego hotelu znajdował się wyłożony cementowymi płytami taras ze zdewastowanym basenem pływackim, leżakami i wysłużoną trampoliną. Norman Large stał przy brzegu tarasu, przypatrując się czemuś przez siatkę ogrodzenia okalającego dwa zapiasz-

czony korty tenisowe. Wyrostek robaczkowy pana Pike'a uczynił wyrwę w jego starannie skomponowanym planie morderczej próby wieńczącej studniowe szkolenie podstawowe, ale to nie zahamowało jego inwencji w wymyślaniu nowych sposobów zadawania cierpień łonie i pięciorgu pozostałym rekrutom.

– Pompki, dwie dychy, już! – krzyknął Large. – Ruchy, ruchy!

Było prawie trzydzieści stopni w cieniu. Dzieci na kortach wyglądały, jakby za chwilę miały stracić przytomność, kiedy padły na twarz, by zacząć kolejne ćwiczenie.

– Proszę pana – zagadnął grzecznie Kyle.

Large jednak zignorował go, odliczając pompki.

– To był koszmar! – krzyknął przez siatkę, kiedy doliczył do dwudziestu. – W związku z tym pobiegacie sobie dookoła kortów. Piętnaście okrążeń, a kto dobiegnie ostatni, biegnie jeszcze raz, ale z torbą mokrego piachu nad głową.

Iona pobiegła przodem, prowadząc grupę wokół krawędzi kortów, ale ciemnoskóry chłopiec imieniem Reece złapał się za brzuch i podszedł chwiejnie do Large'a z drugiej strony ogrodzenia.

– Muszę się napić – wykrztusił błagalnie, wczepiając się palcami w drucianą siatkę, by utrzymać równowagę. – Słabo mi.

– Masz szczęście, że ze mnie jest współczujący i miły człowiek – powiedział Large, podając chłopcu butelkę wody przez dziurę w ogrodzeniu. – Ale ta woda będzie kosztować ciebie i pozostałych dziesięć rundek ekstra.

Rekruci byli zbyt wyczerpani, by choćby jęknąć. Large odwrócił się do Kyle'a i zmierzył go od stóp do głów spojrzeniem pełnym pogardy.

– A więc to ciebie przysłali – mruknął i pociągnął nosem. – Cóż, ale pływasz całkiem przyzwoicie, o ile dobrze pamiętam.

– Nie najgorzej – przytaknął Kyle.

– Opracowałem świetne czterodniowe ćwiczenie końcowe – westchnął Large. – Dzieciaki miały zataszczyć canoe i ciężki sprzęt do

najwyższego punktu wyspy i stamtąd spłynąć rzeką. Po wypadku Pike'a próbowałem przedłużyć szkolenie, ale Mac uznał, że sto dni wystarczy, i nie dał mi zgody. Dlatego dzięki Pike'owi i jego wyrostkowi dziś po południu wyruszamy na okrojone dwudniowe ćwiczenie końcowe. Pomożesz mi przy przygotowaniach i będziesz kontrolerem bezpieczeństwa podczas ćwiczenia.

Kyle skinął głową, choć w duchu westchnął – wieść o rychłym rozpoczęciu ćwiczenia rozwiała wszelkie nadzieje na odpoczynek i wyregulowanie wewnętrznego zegara po zmianie strefy czasowej. Chociaż z drugiej strony wszystko było lepsze od kopania rowów w przejmującym zimnie.

– Panna Speaks jest w dżungli z dwoma naszymi przewodnikami i szykuje kilka sympatycznych niespodzianek dla naszych rekrutów. Chcę, żebyś wziął naszego quada i kopsnął się wzdłuż plaży do wioski po świeży prowiant. A jak wrócisz...

Large przerwał, ponieważ ziemia nagle uciekła mu spod nóg, rzucając go na ogrodzenie. Woda w basenie rozhuśtała się niczym w gigantycznej misce, zalewając brzegi. Kilkucentymetrowa fala pomknęła po płytach chodnikowych w stronę kortów.

– Trzęsienie ziemi? – zapytał zaintrygowany Kyle.

Sterna plastikowych leżaków i stolików spłynęła z falą powrotną do basenu, a wdzięczni rekruci na kortach przerwali bieg, by nabierać wody w dłonie i ochlapywać nią przegrzane ciała.

To rozwścieczyło Large'a tak bardzo, że oczy prawie wyskoczyły mu z orbit.

– Czy udzieliłem zezwolenia na przerwanie biegu?! – ryknął. – Nie przerwiecie szkolenia tylko dlatego, że planecie zachciało się pierdnąć. Ruszać mi tymi nogami, bezużyteczne mazgaje!

– Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego – wyznał Kyle.

– To tylko wstrząs wtórny – powiedział Large, pociągając nosem.

– Mielśmy już parę mocniejszych godzinę temu.

Zgrzani rekruci chłodzący się wodą wyprowadzili Large'a z rów-

nowagi. Szef instruktorów wskazał palcem hotel.

– Quad stoi przed wejściem – oznajmił sucho. – Ładuj się i jazda po warzywa i ryby. Tylko migiem, bo będziesz mi potrzebny przy szykowaniu łódek i sprzętu.

10. RAJ

Kyle przejechał quadem trzy kilometry, ciągnąc przyczepę po miękkim piasku i skręcając na wąską przybrzeżną drogę tylko tam, gdzie przyplływ wdzierał się na plażę za daleko. Pierwszym zwiastunem zbliżającej się osady była łódź Aizata, która została wyciągnięta na piasek i teraz spoczywała do góry dnem nieopodal największej z chat.

Chat było jedenaście, a każda stała na wysokich palach chroniących domy przed zalaniem. Na piasku mali chłopcy grali w futbol, kopiąc sflaczałą piłkę między bramkami zrobionymi z bambusowych tyczek i skrawków starej sieci rybackiej. Nieco bliżej domów dwie stare kobiety siedziały pod brezentowym daszkiem, oglądając teleturniej na małym telewizorze.

– Przepraszam bardzo – zagaił Kyle.

– Nie angielski. – Jedna z kobiet zamachała rękami, po czym krzyknęła: – Aizat!

Aizat wyłonił się z boku chaty, bez koszulki, która wcześniej okrywała jego muskularny tors, i z dłońmi czarnymi od smaru. Kyle otaksował go szybkim spojrzeniem i uznał, że jest całkiem niezły – z łóżka by go nie wyrzucił.

– Czy ty jesteś tu od wszystkiego? – zaśmiał się, kiedy Aizat zeskoczył na piasek.

– Właściwie tak – powiedział Aizat. – Mamy tu staruszków i dzieciaki, ale prawie wszyscy rodzice mieszkają i pracują poza wioską,

w fabrykach na kontynencie albo hotelach. Zostają ja i jeszcze paru starszych do łowienia, uprawy pól i pilnowania interesu.

– Nie mam pojęcia, co mam stąd odebrać – powiedział Kyle.

– Wszystko już spakowałem – uspokoił go Aizat. – Warzywa, gotowany ryż i suszone ryby. Zgrzałeś się, widzę, wstąpisz na szklanczkę piwa mojej babci?

Kyle pamiętał, że pan Large kazał mu wracać jak najszybciej i zając się przygotowaniem sprzętu przed dwudniową wędrówką, ale perspektywa spędzenia kilku chwil z Aizatem była pokusą nie do odparcia.

– Szybkie piwko jeszcze nikomu nie zaszkodziło – doszedł do wniosku Kyle. – Nawet jeśli jest trochę za wcześnie.

Kyle zgrabnie wspiał się na taras wokół domu Aizata i rozejrzał się. Wysokość pozwoliła mu dostrzec metalowe rusztowania wznoszące się sto metrów za wioską.

– Coś ładnego wam tam budują – zauważył.

– Kolejny hotel, prawie skończony – prychnął Aizat. – Pięć gwiazdek, klimatyzacja, trzy restauracje, dwa baseny. Mój angielski jest niezły, więc jak będę miał szczęście, dadzą mi pracę przy zmywaniu garów albo szorowaniu kibli, kiedy zostanie otwarty. Tymczasem budowniczcy wysuszają nam studnie i zabijają ryby syfem, którym zatrują morze.

– Brzmi paskudnie – zmartwił się Kyle, przekraczając próg chaty. – Nie możecie się komuś poskarżyć?

Odpowiedzią było pogardliwe cmoknięcie.

W chacie panował półmrok i przyjemny chłód. Wati, ośmioletnia siostra Aizata, leżała zwinięta na poduszce i słuchała muzyki z walkmana. Wnętrze domu pełne było fotografii i rozmaitych rupieci, a centralną część podłogi zajmował jeden z silników z motorówki Aizata rozłożony na tuzin czarnych od oleju części. Na tylnej ścianie wisiała przypięta na honorowym miejscu koszulka piłkarska.

– Kibic Arsenalu – zauważył Kyle.

– Są najlepsi – przytaknął Aizat. – Mistrzowie Premiership, niepokonani w trzydziestu ośmiu spotkaniach. Oglądasz piłkę?

– Niewiele – powiedział Kyle, potrząsając głową. – Ale mam kumpla, Jamesa, który ma absolutnego fioła na punkcie Arsenalu. Myślę, że szybko byście się dogadali.

– No to zdrówko – uśmiechnął się Aizat, zdejmując z półki zieloną butelkę po winie.

Zębami wyciągnął korek i napełnił dwa małe plastikowe kubki gęstą cieczą o kremowej barwie. Kyle ujął jeden z nich – z nadrukowanym obrazkiem przedstawiającym Garfielda i Odiego – i ostrożnie powąchał zawartość.

– Czy to na pewno piwo?

– Tak to tylko nazywam – odparł Aizat i pociągnął ze swojego kubka solidny łyk.

Kyle wessał odrobinę płynu do ust i przełknął. Odczucie, jakie urosło mu w krtani, było niczym ból, jaki czuł, kiedy osa użądliła go w szyję, połączony z pieczeniem po najostrzejszym chilli, jakiego kiedykolwiek kosztował.

– Święta matko – zaskrzeczał przez ściśnięte gardło. – Toż to płynny ogień.

Siostra Aizata zdjęła słuchawki i zarechotała złośliwie na widok poczerwieniałego nagle Kyle'a, który złapał się za brzuch i zaniósł kaszlem.

– Dobrze, nie? – promieniał Aizat. – Jeden z moich wujków wypił tego ciut za dużo i oślepl.

– I nic, kurde, dziwnego! – wychrypiał Kyle. – Chryste, jakby ktoś podpalił mi głowę.

Kyle pociągnął jeszcze jeden łyk, ale nie było mowy, by zdołał wypić resztę. Aizat osuszył swój kubeczek bez mrugnięcia okiem, po czym porwał naczynie Kyle'a i opróżnił je także trzema pospieszonymi łykami.

– Znowu będziesz pijany – powiedziała z goryczą Wati.

– Pytał cię ktoś o zdanie? – krzyknął Aizat i rzucił w siostrę kubkiem. – Siedzi przez cały dzień na tyłku, a dom zapuszczony jak chlew.

Dziewczynka pokazała Aizatowi język, podniosła z podłogi swoje słuchawki i zniknęła za koralikową zasłoną wiszącą w wejściu do drugiego pokoju. Kyle przesunął wzrokiem po półce z książkami i uniósł brwi ze zdumienia na widok kalibru lektur – były tam dzieła Marksa, Freuda, Kafki i wielu innych wielkich autorów, większość w wydaniu angielskim.

– To twoje? – zapytał Kyle.

Aizat skinął głową.

– Lubię czytać. Mam też korespondencyjnych znajomych, jednego z Chin, dziewczynę z Włoch, chłopaka ze Stanów. Amerykanin jest naprawdę spoko. Piszemy do siebie, odkąd skończyliśmy po siedem lat, i wypala mi płytki z całą najnowszą muzą. Lubisz Foo Fighters?

– Fajni, chociaż szafu nie ma. – Kyle dość obojętnie wzruszył ramionami.

Spojrzał na zegarek i w wyobraźni zobaczył Large'a wydzierającego się na niego za spóźnienie i pijacki oddech.

– Ktoś z Wielkiej Brytanii też byłby nie od rzeczy – powiedział Aizat. – Ale wy zawsze odmawiacie.

– Kto odmawia? – zdumiał się Kyle.

– Ten Large przyjeżdża tu raz, dwa razy w roku – wyjaśnił Aizat. – Za każdym razem przywozi inne dzieciaki na tę swoją wyprawę przez dżunglę, ale kiedy pytam któregoś, czy zostanie moim korespondencyjnym znajomym, zawsze mi odmawiają.

Kyle załapał. Rekrutom CFiERUBA nakazuje się unikać rozmów z ludźmi z zewnątrz, których mogą spotkać podczas szkolenia podstawowego, a Large pękłby z wściekłości, gdyby podczas przeglądu wyposażenia znalazł w czyimś plecaku cudzy adres.

Kyle nie był rekrutem, zaś Aizat bardzo mu się spodobał.

– Ja mogę być twoim korespondencyjnym znajomym – zapropono-

nowa! – Nie mogę obiecać, że będę pisał często, ale wszystkiego trzeba spróbować.

– Pięknie! – uśmiechnął się Aizat.

Przerzucił kilka szpargałów w poszukiwaniu długopisu i notesu, by wymienić się adresami.

– Poczta nie działa najlepiej, więc korzystam z kafejek internetowych na kontynencie.

– Żaden problem – powiedział Kyle, zapisując swój adres mailowy na kartce. – A teraz lepiej zacznę ładować to żarcie na przyczepę, bo Large urwie mi łeb.

*

Przyptyw cofnął się zaskakująco szybko, umożliwiając Kyle'owi szybkie przeprowadzenie quada i przyczepy przez pas równego, mokrego piasku, bez wycofywania się na drogę, jak musiał to robić podczas drogi do wioski. Zbliżając się do hotelu Rozgwiżdza, ze zdumieniem spostrzegł Ione, ile sił w nogach biegnącą mu na spotkanie.

– Szybko! – krzyknęła, kiedy Kyle zatrzymał swój pojazd przed hotelem. – Mamy problem.

– Co mu znowu odbiło? – jęknął Kyle, zsiadając z quada. – Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

– Nie chodzi o Large'a – odpowiedziała Iona. – Pamiętasz tę wodę, która się wylała z basenu? To nie był zwyczajny wstrząs. Zadzwonili z kampusu na satelitarny Large'a. To, co poczuliśmy, to był wstrząs wtórny po silnym trzęsieniu ziemi gdzieś niedaleko Indonezji. Ogromne tsunami już uderzyło w ich wybrzeże, a teraz fala może się zbliżyć do nas.

Kyle spojrzął na morze i przeszył go dreszcz. W bloku edukacyjnym w kampusie widział kiedyś film o tsunami i uświadomił sobie, że byłby całkowicie bezbronny, gdyby wielka fala uderzyła, kiedy jechał quadem po plaży.

– To pewnie dlatego woda opadła tak szybko – powiedział Kyle. –

Pamiętam z geografii: trzęsienie ziemi podnosi całe morze, wysysając całą wodę z okolic wybrzeży. Polem woda wraca jako olbrzymia fala pędząca z pięćset mil na godzinę.

– Jesteś pewien? – zapytała Iona rezolutnie. – Tutaj odpływ zawsze jest szybki.

– Nie jestem, z tego przedmiotu miałem słabą tróję – powiedział Kyle, uśmiechając się przelotnie. – Co z ludźmi z wioski? Czy ktoś ich ostrzegł?

– Próbowaliśmy dzwonić, kiedy u nich byłeś – odpowiedziała Iona.

Kyle wyciągnął telefon z kieszeni.

– Tylko kreska zasięgu – westchnął, osłaniając wyświetlacz przed słońcem. – Pewnie w wiosce nie ma nawet tego.

– Kilku pracowników hotelu zadzwoniło do swoich rodzin i część od razu pojechała do domu. Twoje rzeczy i wszystko przenieśliśmy na dach.

– Kyle! – krzyknął z góry Large, wychylając się zza murku okalającego płaski dach hotelu. Choć raz zamiast sadystycznej złośliwości w jego głosie pobrzmiwała troska. – Dawaj tu szybko to żarcie. Może się przydać. A potem chodź, musimy pogadać.

Kyle, Iona i jej partner szkoleniowy Dante chwycili skrzynki z prowiantem i zanieśli na dach, gdzie mieściła się hotelowa restauracja. Wszyscy się bali, ale dopóki znajdowali sobie zajęcia, strach nie miał nad nimi władzy.

Large siedział przy stoliku na płaskim dachu, z włączonym laptopem przed sobą i telefonem satelitarnym leżącym na drewnianej ławie tuż obok. Pani Leung, leciwa właścicielka hotelu, siedziała nieopodal, wpatrując się z niepokojem w morze.

Dwoje rekrutów z lornetkami zajmowało stanowiska obserwacyjne w narożnikach dachu, wypatrując zwiastunów nadciągającej wielkiej fali, podczas gdy druga para odpoczywała na leżakach wyścieńczona po morderczej gimnastyce na kortach.

– Co wiesz o tsunami? – zapytał rzeczowo pan Large, wskazując na mapę południowo-wschodniej Azji na ekranie laptopa.

– Tylko tyle, ile podłapałem na geografii – odpowiedział Kyle.

Large postukał palcem w zachodni koniuszek Indonezji i odezwał się z nietypową dla siebie szczerością:

– Kyle, sytuacja jest bardzo poważna. Każda decyzja, jaką podejmę, może zaważyć na czyimś życiu lub śmierci. Jesteś tu jedynym wyszkolonym agentem. Speaks siedzi w dżungli, więc potrzebuje cię w roli mojego zastępcy i doradcy. Nie jestem nieomylny. Chcę, żebyś był ze mną szczery, jeżeli uznasz, że w jakiejś kwestii nie mam racji.

– W porządku. – Kyle skinął głową i przełknął ślinę przytłoczony ciężarem odpowiedzialności.

W ciągu kilku minut raj przemienił się w piekło. Kyle wsunął dłonie do kieszeni szortów, by ukryć ich drżenie, podczas gdy Large kontynuował wyjaśnienia.

– Według centrum kontroli misji w kampusie zatrzęsło się dwie godziny temu pod oceanem, gdzieś w tym rejonie, na północny zachód od Indonezji. Wywołane trzęsieniem ziemi tsunami dosięgło Sumatry w ciągu trzydziestu minut. Pierwsze raporty mówią, że oberwało całe wybrzeże. Bóg wie, ilu dokładnie ludzi zginęło, ale ofiar będą setki, jeśli nie tysiące. W tej chwili fala wciąż rozszerza się we wszystkich kierunkach, oddalając się od epicentrum. Na całym zachodnim wybrzeżu Tajlandii ogłoszono alarm. Tsunami ma uderzyć tam w ciągu następnych dwudziestu do czterdziestu minut, a my nie jesteśmy dużo dalej. W Indonezji fala miała około dwudziestu pięciu metrów wysokością ale im dalej od epicentrum, tym bardziej jest rozciągnięta i jej energia szybko maleje, więc to, co uderzy w nas, nie powinno być nawet w części tak groźne.

Kyle zmrużył oczy i dotknął ekranu laptopa. Przy tak ostrym słońcu nawet w cieniu wielkiego parasola obraz na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu był prawie niewidoczny.

– Rozumiem, że trzęsienie ziemi było tutaj, a my jesteśmy na Langkawi, o, tutaj... To znaczy, że Indonezja leży pomiędzy nami a epicentrum trzęsienia.

Large skinął głową.

– Jeżeli nie leżymy bezpośrednio na drodze fali, to może nas to trochę ochronić, ale akurat w tej sprawie nie mogę zdobyć żadnych pewnych informacji. Centrum kontroli w kampusie miało spróbować wycisnąć coś z urzędu meteorologicznego w Londynie i określić, czego możemy się spodziewać, ale jeszcze się nie odezwali.

– Ależ Norman! – zbulwersowała się pani Leung, zdejmując z nosa ogromne okulary na łańcuszku. – Może nie będzie dwudziestu pięciu metrów jak w Indonezji, ale nawet dwa czy trzy metry wody wdzierające się na te plaże zaleją mi basen, zrujną cały parter i Bóg jeden wie, jakich szkód narobią w nadbrzeżnych wioskach.

– Czy na wyspie jest jakiś wyższy teren? – zapytał Kyle.

– Owszem, jest – przyznał Large. – Tyle że zaraz za plażą i nadbrzeżną drogą zaczyna się gęsty las. Nie mamy żadnej gwarancji, że zdążymy uciec wyżej przed uderzeniem fali.

– Ale ten budynek też może popłynąć, jeśli fala okaże się wystarczająco silna – zauważył Kyle.

Large pokiwał głową ze strapioną miną.

– Tak źle i tak niedobrze, ale przecucie mówi mi, żeby zostać tutaj, gdzie budynek hotelu daje nam jednak jakąś ochronę.

Kyle uświadomił sobie, że w tym przypadku nie ma czegoś takiego jak właściwa decyzja.

– W porządku. – Chłopak skinął głową. – Ale wydaje mi się, że nie powinniśmy tkwić na otwartej przestrzeni. Proponuję wrócić do środka i ukryć się w najwyżej położonym pomieszczeniu bez okna. To zmniejszy ryzyko, że ktoś zostanie porwany przez falę albo poraniony szkłem czy innymi szczątkami.

– Dobra myśl – zgodził się Large i przeniósł wzrok na właścicielkę hotelu. – Gdzie masz najwyżej położony pokój bez okna?

– Spizarka, tam, za nami – odpowiedziała pani Leung, wskazując na bar i kuchnię restauracji na dachu. – Zmieścimy się wszyscy.

Large zaklaskał w dłonie.

– Dobra, dzieciaki, wszyscy za panią Leung. Idziemy na zaplecze kuchni.

– Pozbierajcie piankowe poduszki z kanap czy coś w tym rodzaju – dodał Kyle. – Ochronią nas trochę, jeśli zaczniemy objąć się o ściany, no i mogą posłużyć za pływaki, jeżeli woda przeleje się przez dach.

– Dobrze kombinujesz, Kyle – powiedział Large z podziwem, odbierając lornetkę jednemu z obserwatorów. – Zawołam, gdy zauważę falę.

– Skoro jest pan pewien... – powiedział Kyle, zbierając się do odejścia.

W magazynku na tyłach kuchni było niemiłosiernie gorąco, z sufitu zwieszała się naga żarówka, a pod tylną ścianą piętrzyły się sterty worków z ryżem i warzywami. Rekruci przynieśli po kilka poduch każdy i rozgościli się, moszcząc sobie z nich wygodne siedziska lub przyciskając je do piersi dla poczucia bezpieczeństwa. W komórcie schroniła się także pani Leung wraz ze swoją jedyną hotelową pokojówką w czarnej sukience i koronkowym fartuszk.

Kyle wszedł do spizarni i szesnaście par oczu obróciło się w jego stronę. Bał się, a przez głowę wciąż przewijały mu się sceny z filmów katastroficznych, ale wszyscy obecni, w tym dorośli, wydawali się dostrzegać w nim kogoś w rodzaju autorytetu po tym, jak widzieli, że Large pyta go o zdanie i zgadza się z jego sugestiami.

– Dajcie mi jakąś poduchę – poprosił Kyle.

Dante podał mu poduszkę i Kyle usiadł na niej, opierając plecy o stos puszek z curry w proszku. W niewentylowanym pomieszczeniu było ponad czterdzieści stopni, a rekruci po gimnastyce wydzielali intensywny, dojrzały zapach. Cztery dziewczyny z grupy CHERUBA robiły wrażenie dziwnie kruchych i bezradnych, kiedy trzymały

się za ręce, starając się nie myśleć o niebezpieczeństwie, w jakim się wszyscy znaleźli.

– No dobra – zagaił Dante ze słabym uśmiezkiem błakającym się po twarzy. – Zdaje się, że to jest właśnie scena, w której za dwa tygodnie znajdują nasze napuchnięte zwłoki topielców.

Iona, której nie przypadł do gustu wisielczy humor kolegi, plasnęła go dłonią w nogę.

– Nie waż się mówić takich rzeczy – warknęła ostrzegawczo. – Musimy myśleć pozytywnie.

Inna dziewczyna zgodziła się z nią.

– Mogłybyśmy zaśpiewać piosenkę czy coś.

Dante skrzywił się.

– Jak dziewczyny zaczną śpiewać, to tsunami czy nie tsunami, ja stąd spadam.

Kyle podniósł głowę.

– Hej – powiedział stanowczo. – Możemy tu tkwić nie wiadomo jak długo. Nie kłóćcie się, dobrze?

Wszyscy zamilkli, ale kilka sekund później ciszę przerwała hotelowa pokojówka.

– Mówią, że doszła do Phuket. Duża fala. Bardzo źle – oznajmiła mieszaniną łamanej angielszczyzny z malajskim.

Kyle dopiero teraz dostrzegł w jej uchu słuchawkę od telefonu, przez którą słuchała lokalnej rozgłośni radiowej.

– To daleko stąd? – zapytała Iona.

– Niecałe sto kilometrów na północ – powiedziała pani Leung. – Przy takich prędkościach fala będzie tu za kilka minut.

– Tam, dam, daaam! – zaśpiewał Dante grobowym głosem.

11. CIOS

Po dziewięćdziesięciu minutach spędzonych w dusznym półmroku spizarni Kyle nie mógł otworzyć oczu, kiedy wyszedł prosto w oślepiające słońce na hotelowym dachu. Large tkwił wciąż w tym samym miejscu, siedząc z lornetką na szyi przy restauracyjnym stoliku.

– Pokojówka ma radio w telefonie – poinformował go Kyle, dłonią osłaniając oczy przed słońcem. – Fala dotarła do wybrzeża Tajlandii ponad godzinę temu. Gdyby coś miało się zdarzyć tutaj, to już by się zdarzyło.

– Zgadzam się – powiedział Large, z namysłem drapiąc się w wąsy. – Czytałem na laptopie wiadomości i wynika z nich, że wybrzeże Malezji i najbardziej wysunięte na południe wybrzeża Tajlandii są nietknięte. Indonezja zadziałała jak wielki falochron i osłoniła nas. Czekam jeszcze na potwierdzenie z kampusu, zanim odwołam alarm.

– Jasne – odpowiedział Kyle. – Dwie dziewczyny zaraz posikają się w gacie. Mogę je na chwilę wypuścić?

– W sumie czemu nie – powiedział Large. – Ale powiedz im, że jak załatwią sprawę, to mają natychmiast wrócić do schronu.

Zanim dziewczęta zdążyły wrócić z toalety, Large odebrał oczekiwany telefon i wypuścił wszystkich ze spizarni. Rekruci wyszli na dach, uśmiechając się z ulgą, poklepując po plecach i przybijając piątki.

Jeżeli czegoś Norman Large szczerze nienawidził, to widoku swoich podopiecznych uśmiechniętych i zadowolonych z życia. Instruktor trzasnął pokrywą swojego laptopa.

– No, zrobiło się późno! – huknął. – Mniej więcej o tej porze powinniście zaczynać swoje ćwiczenie końcowe, a wy nawet nie zaczęliście szykować sprzętu, nie mówiąc już o zapoznaniu się z planem zadania. Wasz pierwszy rozkaz brzmi: znieść ekwipunek, który wtaszczyliśmy tu na górę, z powrotem na dół, gdzie jego miejsce. Potem widzę was ustawionych w szeregu na kortach, z wyłożonym sprzętem, gotowych do inspekcji i odprawy przed zadaniem końcowym. Macie dwadzieścia minut, więc nie lenić mi się!

Sześcioro rekrutów rzuciło się w wir pracy, biorąc się do znoszenia prowiantu i bagaży z powrotem na parter. Kyle odwrócił się do Large'a i uśmiechnął z ulgą.

– Wygląda na to, że tym razem się nam upiekło.

Large podniósł ciężki wzrok na Kyle'a i sapnął gniewnie. Zatraskana, niemal ludzka postać, która ceniła sobie zdanie Kyle'a w obliczu nadciągającego kataklizmu, zniknęła bez śladu, wrócił za to wredny instruktor i szykował zemstę.

– A ty co tak długo jechałeś z żarciem z tej wioski, co?! – zaatakował Large. – Na parkingu za hotelem jest land cruiser z sześcioma canoe na pace. Zataszczysz je na korty razem z wiosłami, kapokami i całą resztą sprzętu. Ja będę w biurze za recepcją. Muszę wydrukować sześć zrewidowanych planów zadania dla gnojzków.

– Tajest, szefie – powiedział Kyle.

Large wytrzeszczył oczy.

– Coś ty powiedział?! – ryknął.

Kyle rozejrzał się nerwowo.

– Eee... że co?

– Może nie jesteś moim rekrutem, Blueman, ale nadal oczekuję traktowania mnie z należyтым szacunkiem, w każdej sytuacji. Jeżeli proszę cię, żebyś coś zrobił, odpowiadasz: „Tak jest, sir” albo: „Tak,

panie Large”, w żadnym wypadku: „Tajest, szefie”.

Kyle pomyślał z rezygnacją, że Large jest niereformowalnym dupkiem. Korciło go, by przypomnieć mu, że objeżdża człowieka, który na ochotnika w święta przeleciał pół świata, żeby pomóc mu dokończyć szkolenie, ale Large był typem lubiącym chować urazę, a Kyle nie miał ochoty nadziać się na sadystyczny rewanż, kiedy następnym razem wyjedzie na misję ćwiczebną.

– Tak jest, sir! – wyskandował, pozwalając sobie na delikatny sarkazm w formie żołnierskiego salutu, po czym obrócił się na pięcie i odmaszerował w stronę schodów.

Drewniane canoe nie były ciężkie na stumetrowym dystansie pomiędzy parkingiem a kortami tenisowymi, ale wkrótce miały się takie stać dla dziesięcioletnich rekrutów taszczących je na własnych grzbietach przez kilka kilometrów stromego, zarośniętego dżunglą terenu wraz z plecakami wypchanymi racjami żywnościowymi i ekwipunkiem.

Za każdym razem, kiedy Kyle przechodził obok basenu, natrafiał na uśmiech młodej pokojówki, której powierzono zadanie wyłowienia plastikowych mebli zmytych do wody podczas ostatniego wstrząsu. Ułożywszy sześć małych dziecięcych canoe w szeregu na korce, upewnił się, że Large’a nie ma nigdzie w zasięgu wzroku, po czym zajął się pomaganiem rekrutom w czyszczeniu wyposażenia i przygotowaniach do inspekcji.

– Baczość, leniwe worki łajna! – krzyknął Large, nadchodząc z sześcioma świeżo wydrukowanymi planami zadania. – Musiałem skrócić wasze czterodniowe ćwiczenie końcowe z powodu eksplozji wyrostka pana Pike’a, ale nie martwcie się, w tym, co zostało, upchnąłem aż nadto potu i bólu, żeby zrekompensować wam stratę.

Kyle uśmiechnął się w duchu na widok obojętnych min dzieci. Po dziewięćdziesięciu siedmiu dniach szkolenia podstawowego rekruci byli nieźle uodpornieni na zniewagi i groźby Large’a.

Słońce prażyło niemiłosiernie i podczas gdy Large pokrzykiwał

na rekrutów w ramach odprawy przed ćwiczeniem końcowym, Kyle przypomniał sobie o ciemnych okularach, które zostawił w spizarni za kuchnią.

Pani Leung uśmiechnęła się do niego, kiedy minął ją, biegnąc w stronę schodów.

– Norman lubi sobie pokrzyzczyć na dzieciaki, ale to wspaniały mężczyzna – powiedziała, uśmiechając się szeroko.

Kyle odpowiedział uśmiechem.

– Wiem, facet ma gołębie serce – skłamał.

Sadząc długimi susami po schodach prowadzących do restauracji na dachu, Kyle nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słabość pani Leung do Large'a wynikała głównie z tego, że co roku wynajmował na kilka dni cały jej obskurny dwudziestopokojowy hotelik.

Okulary znalazł tam, gdzie się ich spodziewał, ale kiedy wrócił z kuchni na taras, od strony morza doszedł go głuchy ryk, bardziej przypominający odległy dźwięk silnika odrzutowego niż szum fal. Spojrzawszy w dal, ujrzał wybrzuszenie na gładkiej powierzchni wody, jakieś pół kilometra od brzegu. Nie było wysokie, ale zbliżało się z oszałamiającą chyżością.

– Panie Large! – krzyknął Kyle, wychylając się poza krawędź dachu. – Natychmiast wracajcie do...

Fala wtargnęła na plażę, zanim zdążył dokończyć zdanie. Spiętrzenie nie przekroczyło metra, ale to wystarczyło, by rekruci na kortach zostali ścięci z nóg. Ich canoe i cały ekwipunek, rozłożony do inspekcji na zielonej, gumowatej nawierzchni kortu, został porwany i ciśnięty gwałtownie w stronę hotelu wraz z siatką i słupkami ogrodzenia, które ściana wody wyszarpnęła z ziemi.

Ziemia zadrżała i rozległ się ogłuszający huk tłuczonego szkła – to fala dosięgła budynku hotelu Rozgwiazda. Tysiące ptaków wystrzeły w niebo z pobliskich drzew, kiedy zażółcona piaskiem woda przelała się przez drogę i wdarła do dżungli za hotelem. Kyle przypatrywał się temu wszystkiemu z góry, bezsilny i przepełniony gro-

zą.

W ciągu minuty pędząca woda zwolniła, by w końcu przemienić się w niespokojne bajoro z wirującymi chmurami brązowego mułu. Po krótkiej pauzie zaczęła się cofać, łagodniej, niż przybyła, tym razem napędzana grawitacją, a nie kolosalną falą, jaka wtłoczyła ją w głąb lądu.

Kyle spojrział w stronę kortów i odetchnął z ulgą, widząc wszystkich sześcioro rekrutów wyplątujących się ze szczątków ogrodzenia i po kolei wstających na nogi. Large przetrzymał uderzenie wody, trzymając się słupka, teraz żałośnie wygiętego. Jediną ranną była dziewczyna, którą uderzyło dryfujące canoe, pozostawiając krwawą pręgę na ramieniu i karku. Kyle spojrział w stronę budynku i dostrzegł pokojówkę unoszącą się na wodzie twarzą w dół w płątaniu plastikowych stolików nad miejscem, gdzie powinien być basen. Natychmiast puścił się szalonym pędem na dół, przesadzając każdy ciąg schodów dwoma potężnymi susami.

Parter hotelu był zalany brudną wodą sięgającą Kyle'owi do kolan i wypływającą wartkim nurtem przez tylne wyjście. Z ram potrząskanych okien zwieszały się szklane ostrza, nie było prądu, a za kon- tuarem recepcji stała pani Leung, której włosy – na co dzień ułożone w nienaganną fryzurę – sterczały na wszystkie strony i z taką miną, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

Roztrąciwszy stertę lekkich wiklinowych mebli tarasującą wyjście na basen, Kyle ruszył brodząc w wodzie po kolana; ostrożnie stawiał stopy, bojąc się, że szybki nurt przewróci go i porwie ze sobą. Brzeg basenu, niewidoczny pod mętną wodą, okazał się o krok wcześniej, niż się spodziewał.

Kyle runął naprzód, łykając potężny haust brudnej wody z piaskiem. Na szczęście był świetnym pływakiem, a nurt pchał go szybko ponad zatopionym basenem w stronę pokojówki. Zamiast płynąć z powrotem, co kosztowałoby go dużo energii, ostrożnie objął kobietę za szyję i pociągnął ją z prądem, dopóki nie poczuł pod stopami

przeciwległego brzegu basenu.

Pokojówka była nieprzytomna, miała złamany nos i twarz całą we krwi. Dwoje rekrutów zauważyło akcję ratowniczą Kyle'a i teraz brnęło pod prąd, by mu pomóc. Kyle złapał pokojówkę pod pachy, Dante chwycił za kostki i razem dźwignęli ją na ceglany grill wznoszący się powyżej poziomu cofającej się wody.

Wszyscy agenci CHERUBA musieli zdobyć uprawnienia ratownika, ale choć Kyle znał teorię, zdawał sobie sprawę z przepastnej różnicy dzielącej plastikową kukłę leżącą na brzegu kampusowego basenu od nieprzytomnej kobiety, która każdy jego błąd mogła przypłacić życiem.

Kyle obiema dłońmi napaął na pierś nieprzytomnej. Kilka pierwszych naciśnień nie dało widocznego efektu, ale potem pociekła jej po brodzie brązowa strużka, która przy następnym ruchu przemieniła się w potok. Kobieta zakaszłała.

– Wszystko w porządku? – zapytał Kyle.

Pokojówka usiadła gwałtownie, trafiając Kyle'a czołem w podbródek.

– Jezus! – krzyknął Kyle i odskoczył do tyłu, łapiąc się za brodę.

Nie doznał wstrząśnienia, ale na chwilę go zamroczyło i Dante musiał go zastąpić. Przypadłszy do pokojówki, rekrut zaczął uderzać ją w plecy, powtarzając, by brała głębokie wdechy w celu usunięcia resztek wody z płuc.

Oprzytomniawszy nieco, Kyle rozejrzał się wokół i zmartwiał. Większość wody odpłynęła i biała plaża przemieniła się w muliste bajoro upstrzone odłamkami szkła, szczątkami hotelowych mebli, gałęziami drzew i setkami połyskujących srebrzyście ryb, umierających albo już martwych.

Large nie tylko utrzymał pion podczas potopu, ale telefon satelitalny w jego górnej kieszeni okazał się na tyle suchy, by wciąż działać. Instruktor połączył się z dyżurnym w kampusie CHERUBA, pragnąc dowiedzieć się, dlaczego odwołano alarm, skoro pół godzi-

ny później uderzyła w nich fala.

– Co to znaczy, że w tym rejonie nie ma tsunami?! – pieklił się do słuchawki. – To co ja właśnie widziałem, do ciężkiej cholery?! Co zalało hotel, co zabrało nam sprzęt...? Nie, dzieciom nic się nie stało. Jedno niegroźne skaleczenie, ale chcę wiedzieć, kto był taki mądry i postanowił odwołać alarm. Żądam wyjaśnień! Chcę wiedzieć, czy przez tę okolicę przejdą jeszcze jakieś fale, i powiedzcie meteorologowi, który odwołał stan pogotowia, że jak wrócę do kraju, to odra- bię mu jaja, nadzieję na szpikulec i upiekę na otwartym ogniu!

12. MUŁ

Na kortach Large człapał po świeżo naniesionym mule i rozglądał się wokół z posępną miną. Dwa z sześciu drewnianych canoe zniknęły wraz z całym ekwipunkiem, jaki rekruci rozłożyli na ziemi, szykując się do inspekcji.

Sześcioro młodych wszczęło poszukiwania, zbierając porozrzucone przedmioty – manierki na wodę, przemoczone ubrania i zapalarki – ale po chwili Large kazał wszystkim wrócić na dach, ponieważ wciąż nie było pewności, czy nie nadciągną kolejne fale.

Kiedy Kyle prowadził rekrutów na górę, ich oczy błyszczały nadzieją. Mac odmówił wydania zgody na przedłużenie szkolenia poza studniowy limit i teraz, skoro cały ich ekwipunek uległ zniszczeniu, istniała realna szansa, że ćwiczenie końcowe zostanie odwołane.

– Jak myślisz, Kyle? – zapytała Iona, kiedy rozsiedli się przy stołach na dachu, spoglądając na zdewastowaną plażę. – Mają w ogóle jakąkolwiek możliwość, żeby przeprowadzić nam to ćwiczenie?

Kyle uśmiechnął się.

– Znając Large'a, nie robiłbym sobie nadziei. Znajdzie jakiś sposób na obrzydzenie wam życia.

Zanim Kyle skończył mówić, przed hotelem zatrzymał się land cruiser z panną Speaks za kierownicą. Zwalista asystentka Large'a wracała z dżungli, gdzie przygotowywała trasę przed ćwiczeniem końcowym, i fala zastała ją na nadbrzeżnej drodze prowadzącej do hotelu. Teraz z przedniego koła terenówki powoli uchodziło powie-

trze, i nadwozie było całe powgniatane od uderzeń szczątków niesionych przez falę powrotną.

– Myślałam, że już po nas – sapnęła instruktorka, wychodząc na dach do Kyle'a i rekrutów; jej głęboki głos drżał z emocji, kiedy zaczęła opowiadać, co jej się przydarzyło. – Fale oderwały wóz od drogi, prawie wywróciły land cruisera, wyobrażacie sobie? Na szczęście droga jest zarośnięta krzakami i odbiliśmy się od nich z powrotem, ale zaraz potem wielgachna fala powrotna spłynęła na drogę i ruszyła prosto na nas. Miała ze dwa metry wysokości, byłam pewna, że zmiecie nas do morza, całe szczęście, że mieliśmy ciężki tył przez cały ten sprzęt, który wieźliśmy na pace, i na plaży koła zaraz zaryły się w piachu.

– Pan Large próbował dzwonić, ale pani nie odbierała – powiedział Kyle.

Nie lubił panny Speaks niemal tak samo jak Large'a, ale nigdy przedtem nie widział jej w takim stanie i teraz prawie jej współczuł. Patrząc na rozdygotane dłonie instruktorki, zaproponował jej coś do picia.

– Coś mocnego – poprosiła Speaks. – Szkocka, wódka, cokolwiek, byle dużo.

Kyle wszedł za bar, by napełnić wysoką szklankę japońską whisky, a Speaks podjęła opowieść.

– Kiedy woda opadła, byliśmy zagrzebani na pół metra w mule. We troje odkopywaliśmy koła i podtykaliśmy deski pod opony. Droga jest w fatalnym stanie: błoto po kolana, połamane drzewa i sterty szczątków blokujących przejazd. Dobrze, że mamy terenówki; zwyczajne auto nie miałoby szans, dziękuję, Kyle...

Panna Speaks pochłonęła pół szklanki whisky dwoma potężnymi łykami.

– Muszę uspokoić nerwy – wytłumaczyła, po czym podała szklankę Kyle'owi. – Barman, jeszcze raz to samo.

Kiedy Kyle wrócił za bar, na dach wyszedł pan Large z nastro-

szonym gniewnie gargantuicznym wężem.

– Fala wtórna! – zawołał, ale w tej samej chwili zauważył pannę Speaks. – I co tam? – zagadnął. – Dopadło cię?

– Właśnie dochodzę do siebie – odpowiedziała instruktorka, odbierając od Kyle’a drugą whisky.

– Co z tą falą wtórną? – zapytał Kyle, a rekruci nadstawili ciekawie uszu.

– Rozmawiałem właśnie z dyżurnym w kampusie. Kontaktowali się ze służbami meteo w Londynie – wyjaśnił Large. – Okazuje się, że tsunami działa dokładnie tak samo jak krąg na wodzie, kiedy wrzuci się kamień do sadzawki. Fala rozszerza się koncentrycznie, a kiedy dotrze do brzegu sadzawki, odbija się w przeciwną stronę. To, co nas zalało, było tak zwaną falą wtórną, odbiciem fali, która waleńła w wybrzeże Tajlandii. Wyglądała strasznie, ale w rzeczywistości było to mniej niż jedna dziesiąta tego, co spadło na Tajlandię, i może jedna tysięczna kataklizmu, jaki nawiedził wybrzeże Indonezji kilka godzin wcześniej.

Kyle właśnie przeżył jeden z najbardziej przerażających poranków swojego życia i nawet nie próbował wyobrazić sobie, co musieli czuć Indonezyjczycy, kiedy spadła na nich ściana wody o tysiąc-krotnie większej sile.

– Jaką mamy sytuację? – zapytała Speaks. – Co z zapasami? Sprzętem?

Large cmoknął i potrząsnął przecząco głową.

– Dzieciaki wyłożyły sprzęt do inspekcji i wszystko popłynęło. Ale pomyślałem sobie, że jeśli wyżej, w dżungli, wciąż jest czysto, to moglibyśmy posłać rekrutów bez ekwipunku na prowizoryczny dwudniowy surwiwal, no wiesz, taki egzamin z technik przetrwania.

Na te słowa siedzący nieopodal rekruci oklapli, jakby uszło z nich powietrze, ale panna Speaks potrząsnęła głową.

– Z całym szacunkiem, Norman, uważam, że to byłoby nieodpo-

wiedzialne. Po takiej katastrofie służby ratownicze będą miały pełne ręce roboty. Nie możemy posłać dzieciaków do dżungli w takim momencie. A co, jeśli coś pójdzie nie tak? Zdarzy się wypadek, trzeba będzie kogoś ewakuować, a tu okaże się, że nie ma dostępnych łodzi ani śmigłowców, a jak już nawet dowieziemy delikwenta do szpitala, powiedzą nam, że nie ma wolnych łóżek.

Large zasępił się na kilka chwil.

– Chyba masz rację – westchnął w końcu. – Cóż, zawsze możemy dać im łopaty i niech latają przez te dwa dni, kopiąc dziury w całym tym mule.

– A wiesz, co w tym mule jest? – zapytała Speaks, patrząc na Large'a badawczo. – Nie chcę ułatwiać rekrutom życia, ale skąd mamy wiedzieć, że to, co teraz jest na tej plaży, trzy godziny temu nie było w tajlandzkiej oczyszczalni ścieków, zakładzie produkującym toksyczne chemikalia albo Bóg wie gdzie jeszcze.

– Poza tym w mule jest pełno szkła – dorzucił Kyle. – I nadal nie mamy co liczyć na łóżka w szpitalach ani wsparcie ewakuacyjne, jeśli któryś dzieciak się poharata albo dostanie udaru z przegrzania.

Rekruci spojrzeli po sobie z nadzieją, ale nie wazyli się uśmiechać, żeby nie drażnić Large'a. W tej sytuacji nie trzeba było niczego więcej, by go rozjuszyć.

– No to co ja mam zrobić?! – zawołał Large, wymachując rękami nad głową i ciskając Kyle'owi i pannie Speaks oskarżycielskie spojrzenia. – Mac nie pozwoli mi przedłużyć szkolenia, a z tego, co mówisz, to równie dobrze, bez zbędnych ceregieli, możemy całej szóstce dać szare koszulki już teraz!

Dwie pokaźne whisky w krwiobiegu panny Speaks zaczynały działać. Instruktorza przestała dygotać, a jej muskularne ręce były wyraźnie rozluźnione. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Znaleźliśmy się w środku wielkiej klęski żywiołowej, Norman. Mogły zginąć tysiące ludzi. W tej sytuacji szkolenie trzeba odsunąć na dalszy plan.

Iona pochwyciła spojrzenie Dantego i szkoleniowi partnerzy wyszczerzyli do siebie zęby w uśmiechu szczęścia. Potem Reece – chłopak, który wcześniej opadł z sił na korcie – poderwał się z miejsca i przeszył pięścią powietrze.

– Tak! – krzyknął triumfalnie.

W następnej chwili sześcioro rekrutów podskakiwało z radości, gratulując sobie nawzajem i padając w objęcia. Dante padł plecami na płyty posadzki i zaczął opętańczo wierzgać nogami.

– Myślicie, że tacy jesteście cwani, co?! – ryknął Large, usiłując spopielić wzrokiem swoich podopiecznych. – Myślicie, że się wam upiekło, tak? Nie szkodzi, mamy czas. Teraz nie mogę was szkolić, ale możecie być pewni, że odbiję sobie z nawiązką, kiedy tylko ktoś z was zgłosi się do mnie na misję ćwiczebną.

Jednak bez względu na ciężar rzucanych gróźb Large nie był już w mocy odebrać im radości z szarych koszulek. Kyle przypomniał sobie gigantyczną ulgę, jaką poczuł, kiedy sam przeszedł szkolenie podstawowe, ale nie oparł się pokusie wbicia małej szpilki rozanielonym rekrutom.

– Ale nie przeszliście pełnych stu dni szkolenia – uśmiechnął się z przekąsem. – Nie jesteście prawdziwymi szarymi koszulkami.

– A wsadź sobie takie gadanie! – zawołał Dante, pokazując Kyle'owi oba środkowe palce.

– Możemy dostać koszulki teraz? – zapytała Iona błagalnym tonem.

Kyle pomyślał, że Large eksploduje, słysząc taką sugestię, ale ten tylko opadł ciężko na krzesło i zwrócił się do panny Speaks.

– Chrzanić to – powiedział z obojętnym machnięciem ręki. – Przyda mi się trochę odpoczynku po tym wszystkim, co się tu działo od rana.

Panna Speaks spojrzała na Ione.

– Wasze koszulki są w moim pokoju, w niebieskiej torbie z wyposażeniem. Musisz wziąć mój klucz z recepcji. Tylko spokojnie, nie

zrób mi bałaganu.

Iona przycisnęła dłonie do policzków i zapiszczała radośnie.

– Bardzo dziękuję, naprawdę!

Żaden z rekrutów nie miał tyle cierpliwości, by czekać, aż Iona przyniesie koszulki, i cała grupa pognała za nią po schodach.

– Miło widzieć ich takich szczęśliwych – powiedział Kyle z uśmiechem, na krótką chwilę zapominając, że siedzi obok dwojga najwredniejszych szkoleniowców w kampusie.

– To była dobra grupa – przytaknęła Speaks. – Kiedy zaczną wyjeżdżać na misje, nie powinni mieć większych problemów.

Ton Large'a nie był tak życzliwy, kiedy instruktor wskazał na pustą szklanekę panny Speaks.

– Lepiej zrób mi drinka, Kyle.

– Ja też poproszę – przyłączyła się Speaks. – I spróbuj znaleźć gdzieś trochę lodu, dobra?

Wstając z miejsca, Kyle dostrzegł drobną postać pędzącą co tchu plażą w stronę hotelu. Dziewczynce plątały się nogi z wyczerpania i sądząc po śladach błota na jej ciele, musiała wielokrotnie upadać.

– Hej, wszystko w porządku? – zawołał Kyle z dachu hotelu.

Sposób, w jaki dziewczynka wymachiwała rękami, nie pozostawiał miejsca na wątpliwości. Nic nie było w porządku.

– Na pomoc! – krzyknęła, a Kyle uświadomił sobie, że to siostra Aizata, Wati. – Szybko, chodźcie za mną!

13. DACH

Był środek dnia i refleksy słońca w zenicie tańczyły w kałużach wilgotnego mułu, oślepiając Kyle'a, który prowadził land cruisera w stronę wioski rybackiej. Speaks jechała na miejscu pasażera – nie chciała siadać za kierownicą, ponieważ dopiero co wychyliła trzy solidne szklanice whisky.

Na tylnej kanapie skrajne miejsce zajmowała pani Leung, która trzymała na kolanach ubłoconą Wati. Obok siedzieli ściśnięci Iona, Dante i troje innych rekrutów, zaś powierzchnia ładunkowa za nimi została pośpiesznie zapełniona zestawami pierwszej pomocy i wyposażeniem medycznym z zapasów niewykorzystanych w odwołanym ćwiczeniu końcowym.

Trzykilometrowa trasa wzdłuż wybrzeża prowadziła lekko zakrzywionym łukiem. Fala, która na wysokości hotelu Rozgwiązda uderzyła prostopadle do brzegu, w wiosce Aizata nadciągnęła pod sporym kątem, najpierw atakując pobliską budowę.

Tradycyjne domy rybaków z wioski stały na drewnianych palach, a ich lekkie, elastyczne konstrukcje znosiły sztormy i pływy lepiej niż wzorowane na rozwiązaniach zachodnich budowle z cegieł i metalu. Mniej odporne okazały się na zgliszcza i sprzęt budowlany porwany z terenu budowy, w tym czteropiętrowe rusztowanie przywleczone przez rozpędzoną falę.

Spośród jedenastu domów w wiosce cztery położone najbliżej budowy zostały zrujnowane. Pozostałe uległy mniej lub bardziej po-

ważnym uszkodzeniom od niesionych nurtem desek i arkuszy blachy falistej.

– Co się dzieje? – zapytał nerwowo Kyle, zatrzymując samochód przed chatą Aizata.

Łódź Aizata leżała potrzaskana między odległymi palmami, a pod chatą tkwiła przyniesiona przez falę betoniarka, która zaklinała się między podporami, po drodze łamiąc kilka z nich.

Aizat miał nogi pokryte mułem. Wcześniej wyciągnął dwie starsze kobiety ze szczątków zniszczonego domu i ułożył je na arkuszu blachy z budowy. Obie były pokaleczone, a jedna najwyraźniej miała złamaną rękę. Chłopcy, którzy wcześniej grali w piłkę na piasku, teraz stali wśród ruin w niemym oszołomieniu, wpatrując się z nadzieją w nowo przybyłych.

Aizat ponuro wskazał na cztery bardzo mocno uszkodzone chaty.

– Po tamtej stronie jeszcze nie byłem. Spodziewamy się następnych fal?

– Raczej nie – odpowiedział Kyle. – Na wszelki wypadek słuchamy radia i mamy w pogotowiu telefony satelitarne. Z drugiej strony przed ostatnią falą też nikt nas nie ostrzegł, więc nie wiemy na pewno.

Adrenalina nieco otrzeźwiła pannę Speaks i instruktorka szybko zbadała dwie ranne staruszki. Przekonawszy się, że ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, zwróciła się do rekrutów.

– Macie okazję przypomnieć sobie zasady pierwszej pomocy – oznajmiła. – Oczyszćcie i opatrzcie rany, zatamujcie ewentualne krwawienia plastrami uciskowymi, usztywnijcie złamaną rękę. Dajcie jej środek przeciwbólowy, jeśli uznacie, że go potrzebuje.

Podczas gdy czworo rekrutów wyładowywało zestawy medyczne z samochodu, by odegrać rolę sanitariuszy, Kyle i Speaks podążyli za dwiema nastolatkami z wioski, które szczególnie natarczywie ciągnęły ich w stronę jednej ze zniszczonych chat. Kyle i Speaks nie znali malajskiego, a dziewczęta prawie nie rozumiały angielskiego,

ale nietrudno było się domyślić, co próbują przekazać: pod zawalonym dachem byli uwięzieni ludzie.

Porwane z budowy metalowe rusztowanie uderzyło w chatę z dużą prędkością, odrywając werandę i pochylając całą konstrukcję do tyłu na jej drewnianych szczudłach. Ściany domu złożyły się do środka, przemieniając w stos połamanych desek zwieńczonych resztkami blaszanego dachu. Jedynym powodem, dla którego cała budowla nie runęła w muł, było to, że przednia część domu balansowała niebezpiecznie na fragmencie powyginanej kratownicy rusztowania.

Kyle naparł dłonią na bok budowli, by sprawdzić jej stabilność. Cała konstrukcja skrzypnęła ostrzegawczo, a jedna z dziewcząt krzyknęła ze strachu.

– Tylko sprawdzam – zapewnił Kyle, odchodząc o krok od domu i unosząc dłonie w uspokajającym geście.

Panna Speaks wykonała palcami gest, jakby coś odliczała.

– Ile osób?

Wyższa z dziewcząt pokazała dwa palce, ale zaraz potem splotła ręce przed sobą i zakołysała nimi z boku na bok, pokazując, że jedna z ofiar, a może obie są niemowlętami.

Kyle spojrzał na pannę Speaks.

– Na dach nie wejdziemy, bo wszystko trzyma się na słowo honoru. Musimy albo podeprzeć dom, albo go zwalić na ziemię.

Miał nadzieję, że instruktorka zaproponuje lepszy plan, ale Speaks milczała.

– Zwalić dom będzie z pewnością łatwiej, ale jak te szczątki się poprzesuważają, mogą zmiażdżyć ludzi w środku – dodał Kyle.

Speaks przykucnęła pod chatą i uważnie obejrzała stromo pochylone słupy podpór.

– Patrz, pod jakim kątem zaklinowało się to rusztowanie – powiedziała po chwili. – Jeśli chata ma się zawalić, to na pewno polecą do tyłu. A gdybyśmy podprowadzili tu land cruisera i podparli to

wszystko, żeby nie mogło się przewrócić?

– Utrzyma? – zapytał Kyle z powątpiewaniem.

Speaks kiwnęła głową.

– To ciężki wóz. Utrzyma przez jakiś czas, jeżeli potrafisz podeprzeć nim dom z wyczuciem.

– Ja? – przeraził się Kyle.

Speaks nadęła swoją ogromną pierś i naprężyła muskularne ramiona.

– Chyba że sam chcesz tam wejść i spróbować na własnych barkach podnieść ten dach, ale to chyba raczej moja działka, nie sądzisz?

Speaks nie była tak po prostu umięśniona. Jako dawna mistrzyni w podnoszeniu ciężarów była umięśniona monstrualnie, co czyniło ją idealną osobą do pomocy, gdy trzeba było dźwigać domy.

Kyle podbiegł do land cruisera i pośpiesznie objaśnił uzgodniony plan Aizatowi.

– To bliźniaki – powiedział Aizat. – Dwaj chłopcy, mają po jedenaście miesięcy.

– Trochę mnie przeraża, że nie słychać ich płaczu ze środka – wyznał Kyle. – Spróbujemy, ale nie mamy zbyt wielkich szans.

Niełatwo było przeprowadzić land cruisera po plaży, wymanewrować wśród ruin i cofnąć wąskim przejazdem pomiędzy szczątkami dwóch najbardziej zniszczonych chat. Zamieszkujące je rodziny pracowały na kontynencie i na szczęście w chwili uderzenia fali oba domy były puste.

Kiedy Kyle wreszcie zatrzymał land cruisera z tyłem pod pochylonym domem, całą akcję obserwowała już gromada gapiów z wioski, a także dwóch malarzy z budowy, którzy przybiegli na pomoc mieszkańcom.

Kyle wychylił się przez okno samochodu.

– Gotowi? – zawołał.

Panna Speaks obejrzała się na Dantego, który założył żółty kask

ochronny z zamocowaną na nim silną latarką czołową.

– W porządku! – Dante kiwnął głową i uśmiechnął się nerwowo.

Speaks machnęła ręką.

– Dawaj do tyłu! – zakomenderowała.

Kyle włączył reduktor zmniejszający końcowe przełożenie napędu. Dawało to kołom zwiększony moment obrotowy przydatny przy pokonywaniu pagórkowatego terenu w błocie po osie albo przy podpieraniu walących się domów. Kyle zwolnił hamulec ręczny i najdelikatniej jak potrafił, musnął stopą pedał gazu.

Drewniane belki domu zaskrzypiały złowieszczo, huknęła pękająca tylna szyba wozu, a tylne koła land cruisera zagłębiły się w mule, kiedy samochód przejął na siebie ciężar całego domu. Kyle obejrzał się przez ramię. Nadeszła chwila prawdy: czy napierający na drewniane słupy samochód zdoła podtrzymać walącą się chatę, czy spowoduje tylko, że cała chwiejna konstrukcja runie, miażdżąc uwięzione w środku dzieci.

– Dobra, tak trzymaj! – krzyknęła Speaks.

Kyle z ogromną ulgą skonstatował, że wielka terenówka najwyraźniej daje sobie radę z obciążeniem, ale po skroniach ciekły mu strugi potu. Grunt pod kołami był śliski, a on musiał utrzymywać delikatną równowagę, nie pozwalając, by ciężar domu pchnął samochód do przodu, a jednocześnie pilnując, żeby zbyt mocnym wciśnięciem gazu nie przewrócić chaty na rusztowanie po jej drugiej stronie.

Speaks wdrapała się po słupach na platformę domu i wklinowała dłonie pod krawędź zarwanego dachu. Faliste blaszane pokrycie było lekkie, ale uniesienie drewnianej więźby, do której było przymocowane, wymagało całej siły jej mocarnych ramion i ud przypominających pnie drzew.

Kiedy tylko szczelina między dachem a podłogą urosła do odpowiednich rozmiarów, Dante wśliznął się do wnętrza zrujnowanej chaty. W środku dach i ściany wydawały się opierać na nieuszko-

dzonych meblach. Zagląając pod tapczan, odsunął przed twarzy parę lichych plastikowych klapków i jego czołówka oświetliła kilka pustych pudełek po papierosach wśród trucheł martwych karaluchów.

– Co widzisz? – stęknęła panna Speaks, natężając się pod ciężarem dachu.

Świat Dantego zakołysał się nagle – to Kyle w land cruiserze wcisnął gaz odrobinę za mocno. W tej samej chwili nozdrza chłopca złowiły alarmujący zapach gazu do kuchenek. Zgodnie z tym, co udało się zrozumieć z tłumaczenia dziewcząt, ich mali kuzyni spali w dziecięcym łóżeczku, gdzieś w pobliżu środka domu.

Dante wczołgał się głębiej. Z ogromną ulgą stwierdził, że na środku domu jego plecy dzieli od dachu co najmniej pół metra wysokości. Latarka nie była potrzebna, promienie słońca wciskające się przez szczeliny pomiędzy fragmentami zgruchotanego dachu oświetlały wnętrze wystarczająco dobrze.

– Widzę ich! – zawołał Dante, kiedy okrążywszy tapczan na czworakach, zauważył dziecięce łóżeczko.

– Są cali? – odkrzyknęła Speaks.

Dante miał młodszą siostrę, wiedział co nieco o dzieciach i to, co zobaczył, zaniepokoiło go. W chacie było obezwładniająco gorąco, a dwaj maleńcy chłopcy leżeli obok siebie nieruchomo, przykryci cienką warstwą kurzu. Dante wsunął rękę między szczebelki łóżeczka i dotknął dłoni jednego z niemowląt. Była ciepła, a drobne paluszki zareagowały na dotyk, zaciskając się w piąstkę.

– Myślę, że obaj żyją! – zawołał.

Obaj chłopcy mieli nienaturalnie rumiane twarze. Dante podejrzewał, że wyczerpani płaczem stracili przytomność z gorąca.

– Wyciągaj ich, szybko! – rozkazała Speaks.

Dante tylko zaklął w duchu, kiedy spojrzawszy w górę, ujrzał, że drewniane boki łóżeczka podpierają fragment obalonej ściany nad jego głową. Unosząc się nieco, mógł przełożyć rękę nad krawędzią

łóżeczka i sięgnąć dość głęboko, by złapać któregoś z malców, ale szpara pomiędzy łóżkiem a przewróconą ścianą nie była na tyle szeroka, by przecisnąć przez nią dziecko.

Dante naparł plecami na ścianę, ale ta ani drgnęła, przyciśnięta ciężarem zawalonego dachu. Trzeba by siły kilkorga dorosłych, by dźwignąć ją w górę.

– Dajcie mi jakąś piłę! – krzyknął.

Minęły niecałe dwie minuty, nim Aizat przybiegł ze swojej chaty z małą piłką do metalu. W tym czasie Kyle miał kolejny drobny wypadek z pedałem gazu i Dantego ogarnęło upiornie klaustrofobiczne uczucie, kiedy wyobraził sobie, jak rozkołysane ściany chaty wałą mu się na głowę. Ulgę poczuła za to panna Speaks, której mięśnie zastąpiono drewnianymi podporami. Dwaj malarze z budowy wbili je młotami pod dach, by Dante miał otwartą drogę powrotną.

Odebrawszy piłę, Dante popęzł z powrotem do dzieci i zabrał się do przecinania jednego z drewnianych szczebelków. Hałas piłowania rozbudził chłopców i po krótkiej chwili wodzenia wokół zaciekawionym wzrokiem parka zaczęła przeraźliwie zawodzić o trzydzieści centymetrów od głowy ich wybawiciela.

Kiedy tylko Dante nadpiłował pierwszy szczebel wystarczająco głęboko, wyłamał go z ramy łóżka i cisnął w kałużę potu, który kapł mu z czoła. Oceniał, że aby utworzyć szczelinę na tyle szeroką, by móc przecisnąć przez nią dzieci, musi wyciąć co najmniej trzy, z drugiej strony miał pełną świadomość, że każdy usunięty szczebel zmniejsza wytrzymałość łóżeczka, na którym opierał się dach nad jego głową.

Kyle w land cruiserze ostrożnie balansował gazem i hamulcem. W piątej minucie akcji ratunkowej rozbolały go kolana, a prawą łydkę miał na wpół zdrętwiałą. Pomimo bólu zaczynał nabierać wyczucia i coraz lepiej przewidywał reakcje samochodu, ale właśnie kiedy pomyślał, że całkiem nieźle mu idzie, największy szerszeń, jakiego widział w życiu, wpadł przez okno i odbił mu się od głowy.

Kyle skulił się odruchowo i niechcący wdeptał pedał gazu w podłogę. Samochód z rykiem szarpnął do tyłu, a grupa gapiów chóralnie krzyknęła, kiedy chata zachybotła się, wydając serię głośnych trzasków. Z przodu domu jeden z segmentów rusztowania zaczął poddawać się ciężarowi z jękiem wyginanego metalu.

– Kyle, debilu jeden, co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Speaks.

Szerszeń wciąż tłukł się po kabinie i po kilku nieskutecznych próbach wygnania go przez okno Kyle oderwał rękę od kierownicy i szybkim szarpnięciem otworzył drzwi w nadziei, że wielki owad sam wyleci na zewnątrz.

Tymczasem w chacie Dante zmartwiał z trwogi, kiedy wielka ster-ta drewna i metalu nad jego głową zadygotała i zaczęła się przemieszczać. W pierwszym odruchu chciał uciekać, ale świadomość tego, jak blisko jest ocalenia dzieci, przytrzymała go na miejscu. Wtedy jedna z prowizorycznych podpór trzasnęła, a dach zapadł się jeszcze bardziej odcinając Dantemu drogę powrotną.

Speaks natychmiast wskoczyła na rozchwianą budowlę, by spróbować podnieść dach jeszcze raz, ale Dante dostrzegł inną szansę wydostania się spod chaty. Wstrząs poprzesuwał szczątki budowli i dokładnie nad łóżeczkiem malców otworzyła się szczelina, w której zajaśniało słońce.

Dante porzucił piłę i staranował bok łóżeczka, wciskając się do środka, po czym wstał, wysuwając głowę i tors przez nowo powstały otwór, uważając, by nie nadepnąć na żadnego z niemowlaków. Tłumek gapiów tym razem chóralnie westchnął, ale znowu było to wyrazem przerażenia, nie ulgi, bo oto cała budowla zaczęła chylić się do przodu.

– Hej, łapcie! – wykrzyknął Dante, schylając się, by unieść rozwrzeszczaną parkę za pieluchy.

Speaks była ciężka i bojąc się, że resztki dachu mogą się pod nią załamać, przywołała gestem Ione, która wspięła się po rozchwianym rumowisku i odebrała dzieci.

Dwaj mali, wrzeszczący wniebogłosy chłopcy zostali szybko przekazani na dół w wyciągnięte ręce panny Speaks. Iona już miała zeskoczyć na ziemię, kiedy uświadomiła sobie, że Dante nie wydobędzie się samodzielnie przez otwór w dachu.

Iona była drobnej budowy, ale szkolenie podstawowe dało jej nieprzeciętną siłę. Złapała Dantego i wyszarpnęła go z dziury na moment przed tym, jak rusztowanie podtrzymujące przód domu załamało się ostatecznie. Gapie w panice odskoczyli na boki, a fragment dachu, na którym stali Iona i Dante, zaczął osuwać się na ziemię.

Dante chciał skakać, ale Iona zastosowała lepszą taktykę, więc poszedł w jej ślady, zjeżdżając na arkuszu blachy, na którym stali, niczym na snowboardzie, prosto w pokłady mułu przed domem.

W land cruiserze szerszeń nareszcie wyleciał z kabiny. Ze swojej pozycji Kyle nie mógł widzieć drugiej strony domu i nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Kiedy wreszcie spostrzegł, że dom się wali, wpadł w panikę, ale wtedy ujrzał jednego z rekrutów, który pokazywał mu uniesione kciuki.

– Wyszli już! Odjeżdżaj!

Kyle przestawił dźwignię automatu na jazdę do przodu i wielki samochód stęknął z ulgą, wypadając z poślizgiem na plażę. Roemocjonowany Kyle zapomniał, że zostawił otwarte drzwi, które odbiły się z łomotem od drzewa i zatrzasnęły ozdobione wielkim świeżym wgnieceniem.

Zatrzymał się dwadzieścia metrów dalej i spojrzał na rozpadającą się chatę. Rusztowanie od frontu ciągnęło ją w jedną stronę, a ciężar konstrukcji – niepodtrzymywany już przez land cruisera – w drugą. Po kilku sekundach niepewnej równowagi wszystko załamało się jednocześnie i dom runął prosto w dół na strzaskanych podporach.

Kilka chwil później zdyszany Dante podbiegł do dwóch nastoletnich ciotek, z których każda trzymała na rękach płaczące dziecko. Jakiś starszy człowiek za pomocą wody z butelki i kłębków waty ostrożnie zmywał pył z twarzy malców, bardzo uważając, by brud-

ne strużki nie pociekły im do oczu.

Panna Speaks promieniała zadowoleniem.

– Dobrze się spisałeś – powiedziała, częstując Dantego klepnięciem w plecy, które na chwilę odebrało mu dech w piersiach. – Wielka szkoda, że nie jesteś na misji, bo pewnie zaliczyłybyś najszybszy w historii CHERUBA awans na granatową koszulkę.

14. OGIEŃ

Popołudnie przyniosło tropikalną burzę z kroplami wielkości piłeczek pingpongowych bombardującymi muł i zalewającymi wioskę potokami głębokiego do kolan błota. Jedynymi rannymi w wiosce była osoba ze złamaną ręką i pewien starszy mężczyzna raniony w plecy rurą rusztowania. Jedna mała dziewczynka została porwana przez falę na odległość kilkuset metrów, ale uniknęła poważniejszych obrażeń, zaś liczenie obecnych ujawniło, że wszyscy chłopcy, którzy wcześniej grali w piłkę na plaży, zdążyli schronić się w domach, zanim nadciągnęła fala.

Nadbrzeżna droga była zablokowana szczątkami, więc dwoje rannych rybaków przewieziono do szpitala na kontynencie dużą łodzią należącą do firmy budującej hotel. Na pokładzie znalazły się także zwłoki malarza, który zginął, spadając z dwudziestometrowego rusztowania na kółkach i którego ciało odnaleziono potem głęboko w dżungli.

Grupa cherubinów została w wiosce, by pomóc mieszkańcom. Wodę czerpano z pompy zamontowanej przy studni. Ponieważ była zanieczyszczona mułem, rekruci zgromadzili stertę suchego drewna i zbudowali prowizoryczne palenisko, by móc ją przegotowywać.

Choć Langkawi intensywnie się rozwijała, rozbudowując nowoczesną infrastrukturę i bazę turystyczną, północno-zachodni kraniec wyspy odgradzała od cywilizacji rozległa połać dżungli – właśnie tej, w której rekruci mieli odbyć ćwiczenie wieńczące szkolenie pod-

stawowe. Dla rybaków z wioski motorówka Aizata była głównym środkiem komunikacji z kontynentem i resztą Langkawi. To ona dostarczała im pocztę, paliwo i żywność, a także dwa razy w tygodniu odwoziła złowione ryby na targ.

Naprawa łodzi okazała się priorytetem i Kyle zaoferował swoją pomoc dwóm starszym rybakom, którzy wiedzieli, jak się do tego zabrać. W ciągu niespełna dwóch godzin wycięli uszkodzone fragmenty kadłuba i załatali dziury deskami z jednego ze zburzonych domów. Szczęśliwym zrzędzeniem losu z powodzi ocalał jeden z silników zabrany przez Aizata do chaty dla wykonania kilku drobnych napraw.

Large i Speaks pracowali z inną grupą mieszkańców osady. Trzy z czterech chat staranowanych przez rusztowanie nie nadawały się do naprawy, dlatego rozebrano je na materiały, a odzyskanych belek użyto do podparcia uszkodzonych fragmentów czwartego domu.

Nie było potrzeby sprowadzania hydraulików, elektryków ani cieśli – mężczyźni i kobiety z wioski umieli sobie radzić i doskonale znali instalacje domów, które budowali własnymi rękami. Instruktorzy i rekruci zdumiewali się sprawnością, z jaką mieszkańcy usuwają wszelkie szkody, a niejeden cherubin przy okazji uświadomił sobie, jak marnie wypadliby w podobnej sytuacji mieszkańcy typowego brytyjskiego osiedla, którzy po katastrofie najpewniej tłoczyliby się w kościele, czekając biernie na przedstawicieli firmy ubezpieczeniowej.

W miarę upływu godzin i kończenia najpilniejszych prac przez poczucie solidarności zaczynała przebijać się ludzka natura. Mieszkańcy sprzeczali się o to, co powinni zrobić w następnej kolejności, kto gdzie będzie spał i czy powinno się sporządzić spis materiałów zabranych ze zniszczonych chat, by później móc zapłacić za nie właścicielom.

Dwie kobiety pokłóciły się o odtwarzacz DVD i prawie nową kuchenkę gazową z jednego ze zniszczonych domów.

Mimo tych scysji ludzie trzymali się razem. Zanim zapadł zmrok, słońce zapiekło wierzchnią warstwę mułu w suchą skorupę i wioska tchnęła atmosferą wspólnego dźwigania się z upadku. Trzy kobiety wykorzystały palenisko rekrutów do ugotowania ryżu i przyrządzenia ogromnego kotła rybnego curry.

Główne przyłącze elektryczne wysiadło, ale przerwy w dostawach prądu były tu codziennością i wioska miała zapasowy generator, który Aizat podłączył do sznura żarówek. W pobliżu ognia ustawiono antenę satelitarną i telewizor. Zmęczeni, obolali mieszkańcy i cherubini rozsiedli się przed ekranem, by w osłupieniu śledzić obrazy nieporównanie poważniejszych zniszczeń w Tajlandii i Indonezji.

Kyle zaprzyjaźnił się z na oko pięcioletnią dziewczynką, która teraz ułożyła się obok, opierając zmęczoną główkę na jego udzie. Nie uszło jego uwadze osobliwe podobieństwo chat i ludzi w osadzie, w której właśnie siedział, do upiornych, usianych martwymi ciałami pobożowisk na ekranie telewizora. Do miejsc najbardziej dotkniętych kataklizmem należało wybrzeże Tajlandii, niespełna sto kilometrów od Langkawi.

Prezenterka w satelitarnym kanale informacyjnym mówiła po malajsku i Aizat tłumaczył Kyle'owi co istotniejsze fragmenty.

– Właśnie powiedziała, że Malezja doznała stosunkowo niewielkich zniszczeń od fal wtórnych. Dotychczas zgłoszono mniej niż sto ofiar. Trochę oberwały ośrodki turystyczne wzdłuż północnego wybrzeża Langkawi i turyści są właśnie ewakuowani z wyspy. – Aizat przerwał tłumaczenie, by dorzucić coś od siebie. – No i bardzo dobrze. Mam nadzieję, że już nie wrócą.

Kyle się uśmiechnął.

– Masz niezłą jazdę z tymi hotelami i turystami, prawda?

– Rząd uważa, że wioski takie jak nasza stoją na drodze postępu – wyjaśnił Aizat.

Spojrzał w bok i zauważył, że siedząca obok Wati zaczyna zapa-

dać w drzemkę.

– Nie zaśnij, zanim zjesz kolację – powiedział ostrzegawczo, potrząsając nią za ramię. – Obudzisz się głodna i będziesz marudzić.

Podczas gdy Wati przecierała piąstkami oczy i ziewała, Kyle skupił się na grafikach pojawiających się na ekranie telewizora. Nie trzeba było rozumieć malajskiego, żeby pojąć znaczenie naniesionych na mapy liczb: ponad dwieście tysięcy ofiar śmiertelnych w Indonezji, trzydzieści tysięcy w Tajlandii, ponad dziesięć tysięcy w Birmie i niezliczone tysiące na wysepkach rozrzuconych na Oceanie Indyjskim. Kyle, który kiedyś dał się Jamesowi zaciągnąć na mecz Arsenalu, skojarzył, że daje to w sumie sześć stadionów Highbury pełnych martwych ludzi.

Nastrój poprawił się, kiedy kobiety zaczęły rozdawać miski z rybnym curry i ryżem. Kyle nie przywykł do jedzenia palcami i wywołał lawinę śmiechu, kiedy upuściwszy sobie piekielnie gorący, lepki od sosu kawałek ryby na nogę, zaczął szamotać się opętańczo, usiłując zetrzeć go ze skóry.

Na morzu pojawiły się światła dużej łodzi motorowej zdążającej do brzegu z przyływem – to grupa ludzi z osady pracujących na kontynencie na wieść o fali wynajęła transport, by jak najszybciej wrócić do rodzin. Dzieci porzuciły swoje miski z curry i brodząc przez fale, pobiegły ku łodzi, by powitać rodziców, których zwykle widywały raz lub dwa razy w miesiącu.

Mała przyjaciółka Kyle'a wkrótce znalazła się w ramionach mamy i nastoletniego wujka, ale Wati wróciła z zawiedzioną miną.

– Mama pracuje w biurze, w Kuala Lumpur – wyjaśnił Aizat. – Ci tutaj pracują w fabrykach.

Wati wodziła zazdrosnym spojrzeniem za dziećmi witalnymi się z rodzicami. Większość dostawała małe upominki albo raczyła się wyciąganymi z plecaków słodyczami. Potem malcy odciągali rodziców w głąb osady, by pokazać im zniszczone chaty.

Dzieci opowiadały rodzinom historię turystów z hotelu Roz-

gwiazda i Dantego, który wszedł pod załamany dach, by uratować bliźnięta. W ciągu dnia było zbyt wiele do zrobienia, by ludzie myśleli o świętowaniu, ale teraz, ku swemu zawstydzeniu, Dante został gwiazdorem i musiał pozować przed obiektywami telefonów komórkowych, ściskając dłonie z lekko zażenowanym uśmiechem.

Kyle wpatrywał się w ogień, na którym kucharki nastawiły nowy gar ryżu i zaczęły smażyć ryby, by dogotować curry dla nowo przybyłych. Jeśli nie liczyć dwóch niespokojnych drzemek w samolocie, nie spał od ponad trzydziestu godzin, a od przerzucania szczątków i dźwigania drewna bolało go całe ciało. Jednak udział w pracy społeczności zbierającej siły po katastrofie, by odbudować swoje domy i wrócić do normalnego życia, nappełniał go ciepłym uczuciem, dzięki któremu łatwiej zapominał o zmęczeniu.

Zbliżał się przypływ. Wiedząc, że nadmorska droga jest nieoświetlona i trudno przejezdna, Large zawołał na Kyle'a i rekrutów, by szykowali się do powrotu do hotelu. Samolot mieli dopiero za dwa dni, więc Large obiecał rybakom, że następnego ranka wrócą, by pomóc przy sprzątaniu wioski. Wszystkim mieszkańcom, którzy nie mieli gdzie spać, pani Leung zaoferowała darmowy nocleg w hotelu Rozgwiazda.

Land cruiser był mocno sponiewierany. Tylna kłapa, mocno wgnieciona od podpierania walącego się domu, nie chciała się otworzyć, więc troje rekrutów musiało przeleźć nad tylnymi siedzeniami, by przycupnąć w bagażniku. Już mieli ruszyć, kiedy na drodze za wioską zajaśniał sznur świateł. Kolumnę pojazdów prowadził buldożer na kołach.

– Zdaje się, że już oczyścili drogę – stwierdził z podziwem Large.
– Trzeba przyznać, że całkiem sprawnie działają.

Za buldożerem jechały dwie furgonetki pełne policjantów oraz pusty autobus. Po całym dniu pomagania rybakom grupa CHERUBA była zaintrygowana przybyciem policji. Wszyscy wysiedli z land cruisera i skierowali się do wioski, by sprawdzić, czy władza nie ma

jakichś użytecznych informacji.

Z pierwszej furgonetki wyskoczył korpulentny oficer policji z czterema paskami na naramiennikach blezera i megafonem w dłoni. Część mieszkańców wioski ruszyła ku niemu w górę plaży, by się przywitać i zapewnić, że dobrze sobie radzą i w zasadzie nie potrzebują pomocy, ale zamiast podejść do nich i podjąć rozmowę, oficer zaczął krzyczeć coś przez megafon.

– Mówi, że wszyscy mieszkańcy mają opuścić wioskę – przetłumaczyła pani Leung. – Wszystkie nadmorskie osady są ewakuowane ze względów bezpieczeństwa.

Kyle był zaskoczony, ale pomyślał, że widocznie istnieje pewne ryzyko powtórnego wstrząsu oraz że w dramatycznych sytuacjach ludzie mają całkiem uzasadnioną skłonność do dmuchania na zimne.

– Lepiej tam pójde – powiedział Large. – W wiadomościach mówili coś o ewakuacji turystów. Zapytam, co mamy robić.

Kyle, Speaks, pani Leung i większość rekrutów ruszyli za Large'em pomiędzy chatami. Zanim dotarli do drogi, szef policjantów zdążył posprzeczać się z grupą dorosłych mieszkańców wioski.

– Rybacy nie chcą zostawiać swojej ziemi, ale policja nalega – wyjaśniła pani Leung.

Podczas gdy oficer krzyczał na rybaków, z otwartych tyłów furgonetek wysypywało się coraz więcej policjantów. Wyglądali zdecydowanie nieprzyjaźnie w swoich hełmach bojowych i ochraniaczach, uzbrojeni w pałki lub kije baseballowe. Większość nie miała mundurów i oddział bardziej przypominał zgraję wynajętych zbirów niż funkcjonariuszy policji.

Pan Large przepchnął się przez tłumek mieszkańców i spojrzał z góry na pulchnego oficera.

– Rozumie pan po angielsku? – zapytał.

– Turyści mają wrócić do swoich hoteli i czekać na dalsze instrukcje – powiedział policjant stanowczym tonem.

– Dlaczego ci ludzie muszą stąd odejść? – zapytał Large. – Są w stanie doskonale o siebie zadbać.

– Względy bezpieczeństwa! – krzyknął oficer, patrząc na Large'a jak na kompletnego idiotę. – Nadzwyczajne zarządzenie gubernatora. Ten teren należy do władz. Mieszkańcy wioski muszą wykonać polecenie.

– To jest nasza ziemia! – krzyknął z furją Aizat. – Nasze rodziny żyją tu od setek lat.

Tłum rybaków zamruczał z aprobatą. Do grupy wciąż dołączali następni i po chwili przed kordonem policji stała już prawie cała wioska.

Oficer zwrócił się do szeregu swoich ludzi i wskazał na Large'a.

– Odprowadzić tych turystów z powrotem do ich hotelu.

Grupa policjantów przesunęła się w stronę Large'a. Instruktor nie należał do osób, które łatwo zastraszyć, ale kilku z nich miało pistolety, a ich wygląd sugerował, że nie mieliby oporów przed ich użyciem. Tymczasem reszta zbirów z pałkami zaczęła okrążać rybaków.

– Autokar czeka – szczechnął oficer przez megafon. – Macie pięć minut na zebranie dobytku. Każdy, kto nie podda się nakazowi ewakuacji, zostanie aresztowany i surowo ukarany.

Large odwrócił się i spojrzał na rekrutów. Gdyby był sam, zapewne skończyłoby się awanturą, ale musiał dbać o bezpieczeństwo swoich podopiecznych.

– Wracajcie do wozu – polecił. – Odjeżdżamy.

– A gówno tam! – wypalił gniewnie Dante. – Dlaczego oni wyrzucają tych ludzi?

– Dante, zamknij dziób i rób dokładnie, co ci kazałem – wycodził przez zęby Large.

Oficer policji krzyknął coś po malajsku i pani Leung przetłumaczyła jego słowa wycofującemu się Large'owi.

– Mówi, że rozjadą buldożerem chatę, jeśli ludzie nie posłuchają.

Gdzieś na obrzeżach zbiegowiska kilku zbirów zaczęło szamotać

się ze staruszką, próbując zaprowadzić ją do czekającego autobusu. To rozjuszyło tłum i mężczyźni z wioski ruszyli w stronę uzbrojonych policjantów. Ci w odpowiedzi puścili w ruch pałki i kije baseballowe. Większość rybaków wycofała się, ale jeden z mężczyzn potknął się i upadł prosto pod pałki i buty trzech opryszków.

Large popędzał rekrutów do samochodu. Kyle zagotował się z wściekłości i gorączkowo usiłował obmyślić jakiś plan, ale to panna Speaks nie wytrzymała i wkroczyła do akcji.

Chociaż nie miała żadnej broni, skoczyła między trzech pochyłych nad rybakami oprawców i dała pokaz nadzwyczajnej siły, odrywając dwóch z nich od ziemi, a potem ciskając nimi w stronę drugiej grupy, która rzuciła się do ucieczki. Trzeci mężczyzna podskoczył na wysokość pełnego metra, kiedy ogromny bucior panny Speaks trafił go w żołądek, a kiedy wrócił na ziemię, na dokładkę oberwał własną pałką.

Podobnie jak Large, który obliczał swoje szanse wcześniej, Speaks wiedziała, że nawet największa siła fizyczna nie powstrzyma na długo facetów z bronią palną. Instruktorka chwyciła z ziemi skatowanego mężczyznę i bez większego wysiłku zarzuciła go sobie na ramię.

Podczas gdy panna Speaks biegła po plaży w stronę land cruiserów i reszty wycofującej się grupy CHERUBA, Aizat podniósł duży kamień i z całej siły rzucił. Pocisk trafił dowódcę policjantów prosto w twarz, miażdżąc mu nos i rozcinając łysą, niechronioną hełmem głowę. Kiedy oficer osunął się z jękiem na piasek, jeden z jego ludzi złapał Aizata od tyłu za ramiona, a inny zamachnął się pałką i z całej siły uderzył chłopca w brzuch.

Pozostali policjanci bili już na oślep, tratując dzieci i rozkrwawiając nosy staruszkom. W miarę jak kolejni mieszkańcy wioski padali w piach, bandyci z drugiej linii pętali im ręce plastikowymi opaskami zaciskowymi i po kolei wlekli do autobusu.

Aizat był pewien, że żegna się z życiem, kiedy dowódca wtłoczył

mu lufę pistoletu do ust. Jednak zamiast pociągnąć za spust, oficer rozkazał swoim ludziom wrzucić jeńca do furgonetki, a przedtem solidnie go poturbować.

Grupa CHERUBA, w tym Speaks i mężczyzna, którego ocaliła przed pałkami, dotarła tymczasem do land cruisera.

– Co to ma znaczyć?! – pieklił się Kyle. – Dlaczego oni to robią?!

– Dlaczego mieszkańcy po prostu nie wsiedli do autokaru? – zapytała Iona.

– Tan Abdullah chce przejąć te tereny – powiedziała pani Leung.

– Kto? – zapytał Kyle.

– Tan Abdullah – powtórzyła pani Leung. – Jest gubernatorem tej wyspy od ponad dwudziestu lat. Nie da się tu niczego zbudować, jeśli jego firma budowlana nie dostanie swojej działki.

– I może tak po prostu przejąć tę ziemię? – zdumiał się Kyle.

– Tan przepchnął przepis mówiący, że wszystkie plaże są własnością rządu. Wioski są tu od pokoleń, ale ludzie, którzy tam mieszkają, nie mają żadnych tytułów własności ani dokumentów potwierdzających ich prawa do ziemi, więc kiedy nadarza się okazja, Abdullah po prostu ich usuwa.

– A ewakuacja po tsunami to świetny pretekst – mruknął Kyle, kręcąc głową z niesmakiem.

– Fascynujący jest ten wykład z praw obywatelskich, ale w tej chwili musimy się stąd zmywać – warknął Large, podczas gdy Speaks wpychała krwawiącego mężczyznę na przedni fotel land cruisera.

Large rzucił Kyle'owi kluczyki.

– Wszyscy się nie zmieścimy – wyjaśnił. – Pojedziesz z panią Leung i dziećmi, a ja i Speaks pobiegniemy za wami. Buldożer na pewno oczyścił drogę, więc zaraz za wioską zjedź z plaży.

– Jasne – potwierdził Kyle, wspinając się za kierownicę.

Spojrzał na poranionego mężczyznę obok siebie, a potem obejrzał się na dzieci.

– Wszyscy są? – zawołał.

– Cała szóstka – odpowiedział Dante.

Kyle po raz ostatni spojrział na wioskę. Wyglądało na to, że główne siły obrońców zostały pokonane. Teraz policjanci zaganiaли kobiety i dzieci w gromadę i pędzili je do autobusu. W odwecie za stawianie oporu nie pozwolono im nawet wrócić do domów po dobytek.

Trzykilometrowy bieg do hotelu był niczym dla Large'a i Speaks, którzy ruszyli potężnymi susami wzdłuż plaży i wkrótce zniknęli w ciemności. Kyle uruchomił silnik i przejechawszy po połaci zaschniętego mułu, skręcił na drogę.

Iona i jeszcze jedna dziewczyna tonęły we łzach po tym, co zobaczyły, i pani Leung objęła je, usiłując ukoić. Dante walczył ze sobą, by być mężczyzną i nie okazywać emocji, ale czuł niewypowiedziany smutek, siedząc w podrygującym bagażniku z twarzą przyciśniętą do spękanej tylnej szyby.

– Cały ten świat to jeden wielki wór łajna – rozzłościł się nagle i kopnął gumową osłonę nadkola. – Jak widzę coś takiego, to żałuję, że mnie nie zabili razem z moimi rodzicami.

15. OBÓZ

Large próbował zmienić rezerwację na lot powrotny, ale nie było zbyt wielu samolotów do Wielkiej Brytanii, więc niełatwo było o miejsca i najwcześniejszy możliwy lot wypadł rankiem dwudziestego dziewiątego grudnia, zaledwie dzień przed pierwotnym terminem. Przy bezludnej wiosce, nieczynnym hotelowym basenie i plaży pokrytej potencjalnie skażonym mułem dzieci nie miały zbyt wiele do roboty, kiedy rano zwlokły się z łóżek.

Jako świeżo upieczeni agenci CHERUBA powinni być w siódmym niebie, ale świadomość, że ich pomoc przy odbudowie wioski poszła na marne, oraz brutalna eksmisja rybaków mocno nadwątlili nastroje. Wszyscy siedzieli w swoich pokojach, oglądając wiadomości i pocąc się niemiłosiernie, bo zapasowy generator w hotelu dawał za mało prądu, by móc zasilić klimatyzację.

Na dole grupa pracowników hotelu i krewnych pani Leung wyrzucała na zewnątrz przemoczone meble z parteru, szuflowała muł i zbierała potłuczone szkło.

Pan Large wynajął łódź i popłynął na kontynent, by odwiedzić pana Pike'a w szpitalu. Cherubini z nudów przyłączyli się do wycieczki, a panna Speaks wydała im część kieszonkowego, zaległego za czas szkolenia podstawowego, żeby mogli pobuszować po sklepach. Oficjalnie wyruszyli po pamiątki i prezenty, ale w rzeczywistości większość pieniędzy wydali na pirackie płyty DVD oraz gry na Playstation.

W hotelu został tylko Kyle, by zregenerować się nieco i wreszcie powalczyć z różnicą czasu. Obudził się w południe, wziął zimny prysznic i zszedł na dół, gdzie zastał panią Leung siedzącą na stołku przy kontuarze recepcji i sączącą czarną kawę.

– Napracowaliście się, widzę – powiedział Kyle z udawanym entuzjazmem, spoglądając na lśniącą czystością posadzkę i wyblakłą farbę na ścianach, na której ciemniejsze cienie zdradzały kształt wyniesionych mebli.

– Woda nie stała tu długo – powiedziała pani Leung, kiwając głową. – Upał szybko wszystko wysuszy, ale nie wiem, czy w ogóle warto znowu otwierać. Zjadłbyś coś na lunch? Mogę poprosić kucharza, żeby zrobił jakieś kanapki.

– Dziękuję, nie jestem głodny. Wczoraj w wiosce zjadłem prawie wiadro curry – odparł Kyle. – Ale chyba nie zamknie pani hotelu tylko z powodu wody?

– To niejedyny powód – westchnęła pani Leung. – Kto będzie chciał wypoczywać w tej obskurnej ruderze, kiedy obok zostanie otwarty nowy piękny hotel? A dziesięć minut drogi stąd w drugą stronę Tan Abdullah buduje jeszcze większy kompleks do spółki z amerykańską siecią hotelową. Teraz, kiedy wioska już nie ma, ta moja buda jest wszystkim, co powstrzymuje go przed przejęciem kontroli nad dziesięcioma kilometrami wybrzeża.

– Wioska? – zapytał Kyle, kładąc nacisk na końcówkę liczby mnogiej.

Pani Leung zdjęła z nosa olbrzymie ciemne okulary i ponuro po kiwała głową.

– Czterech, z tego, co wiem, tylko na tym pasie wybrzeża. Od lat próbowali pozbyć się rybaków z plaż, a tsunami dostarczyło im wybornego pretekstu.

– Wie pani, dokąd zabrali mieszkańców? – zapytał Kyle. – Jest jakiś sposób, żeby znaleźć Aizata i pozostałych?

– Kilka lat temu pobudowali obozy relokacyjne dla ludzi z likwi-

dowanych wiosek, ale sędzia postanowił, że rybaków nie można eksmitować siłą. Obozy są głęboko w dżungli, z dala od plaż i morza.

– Ale Abdullah nie może pani zmusić do sprzedania hotelu, prawda?

Pani Leung uśmiechnęła się.

– Mam papiery poświadczające, że jestem właścicielką swojej ziemi, więc nie może po prostu mnie wykopać. Ale firma Tana już złożyła mi propozycję wykupienia mnie, a Tan zwykle dostaje to, czego chce. Jeżeli się nie zgodzę, inspektor sanitarny znajdzie u mnie karaluchy i zamknie mi kuchnię, mój wymiar podatku poleci w kosmos, przestaną wywozić mi śmieci, zaczną się przerwy w dostawach prądu...

– A co z gazetami, z telewizją? – zapytał Kyle. – Media nie wiedzą, że gubernator wykopał rybaków z ich wiosek?

– Dla nich to już żaden temat – powiedziała pani Leung, odganiając muchę brzęczącą jej koło głowy. – Osiem, dziesięć lat temu podnosił się krzyk za każdym razem, kiedy ktoś próbował przenieść wioskę. Abdullah jednak urabiał ludzi. Powtarzał, że turystyka kreuje miejsca pracy i otwiera drogę do dostatniego życia. Mówił, że tysiąc osób w drewnianych chatkach nie może wstrzymać rozwoju całej wyspy i że mieszkańcy osad zostaną potraktowani sprawiedliwie i dostaną nową ziemię.

– I dostają? – zapytał Kyle.

Pani Leung wybuchnęła gorzkim śmiechem.

– Areał może i jest ten sam, ale co rybakowi po kawałku wykarczowanej dżungli?

– Hm, pewnie niewiele – mruknął Kyle, uśmiechając się gorzko.

– Nie nadaję się już do walki – westchnęła pani Leung. – Mam sześćdziesiąt siedem lat i za mało pieniędzy, żeby mój hotel mógł konkurować z kurortami Abdullaha. Mam ochotę kupić sobie ładny dom i zająć się uprawianiem ogródka i odwiedzaniem wnuków, a

niesprawiedliwością na świecie niech się martwią tacy przystojni młodzieńcy jak ty.

*

Oba land cruisery były w opłakanym stanie, ale ten z powgniatanymi bokami i nową przednią oponą wydawał się pewniejszy niż drugi, z popękana tylną szybą, wgniecionym tyłem oraz – jak się okazało za dnia – poważnie nadwerężonym tylnym zawieszeniem.

Kyle był drobny jak na piętnastolatka i nie wyglądał na kogoś, kto może mieć prawo jazdy. Nie miał dokumentów, więc w razie zatrzymania miałby paskudne kłopoty z policją, a jeszcze gorsze z panem Large'em. Jednak eksmisja rybaków z wioski nie dawała mu spokoju i w końcu uznał, że jeśli istnieje jakikolwiek sposób, w jaki mógłby pomóc, to warto podjąć ryzyko.

Pokojówka, którą cucił poprzedniego dnia, narysowała mu mapkę z drogą do obozu relokacyjnego. Trasa wiodła wybrzeżem obok wioski, którą buldożery zdążyły już oczyścić z przyniesionych przez wodę szczątków. Ruch był niewielki, ale Kyle wyprzedził kilku handlarzy pedaujących na rowerach w stronę budowanego hotelu, a raz musiał cofnąć się o pięćdziesiąt metrów i zjechać do pobliskiej zatoczki, by przepuścić ciężarówkę wiozącą zniszczone przez powódź hotelowe meble.

Na wysokości wioski zwolnił. Plaża była odgradzona odblaskową plastikową siatką rozwieszoną na drewnianych żerdziach wbitych byle jak w piasek. Terenu pilnowali trzech policjanci z zawieszonymi na piersiach karabinami.

Dwaj trzymali wartę, podczas gdy trzeci zajmował się kolejką byłych mieszkańców, których wpuszczano na teren osady po dwie lub trzy osoby, by mogli zabrać rzeczy ze swoich domów. Kyle pomyślał, że się zatrzyma i zaproponuje komuś podwiezienie do obozu, ale nie chciał zwracać na siebie uwagi w sąsiedztwie policjantów. Pojechał więc dalej, z żalem rzucając spojrzenie parze staruszków

uginających się pod ciężarem swojego dobytku.

Stara, dziurawa jednopasmówka przemieniła się nagle w dwa szerokie pasy nowiutkiego asfaltu z wymalowanymi na żółto oznaczeniami. Po bokach biegły dwa węższe pasy, które dziwiły Kyle'a, dopóki nie ujrzał wielojęzycznych napisów: „Tylko dla wózków golfowych”.

Woda i muł oszczędziły drogę, ale nie można było tego samego powiedzieć o trawnikach wokół dziewięciopiętrowego gmazyska hotelu. Hektary świeżo położonej darni przemieniły się w brązowe bagno nadające się tylko do wymiany.

Gigantyczny billboard wciąż dumnie głosił: „Langkawi Regency Plaza, hotel i centrum golfowe – pięciogwiazdkowe wakacje. Otwarcie: marzec 2005”. Z balkonów hotelu zwieszali się ludzie malujący na wpół wykończoną elewację, podczas gdy ekipa na ziemi wynosiła rulony przemoczonych wykładzin na stertę przed głównym wejściem.

Asfalt ciągnął się zaledwie przez kilometr, obok pól golfowych i bunkrów budowanych na terenach wyrwanych dżungli. Potem droga znów wjechała między drzewa, zwężając się jednocześnie do pojedynczego pasa ruchu.

Z dala od policji Kyle poczuł się na tyle bezpiecznie, by się zatrzymać i zabrać dwie nastolatki, których małych kuzynów pomógł uratować poprzedniego dnia. Dziewczyny niosły pęki foliowych toreb wypchanych ubraniami i butami. Zmieścił się też przenośny odtwarzacz CD, trochę jednorazowych pieluch oraz tekturowe pudełko zawierające garstkę kosztowności i plik rodzinnych fotografii.

Kyle miał szczęście, że zabrał dziewczęta, bo bez nich przegapiłby skręt na wąską dojazdówkę do obozu relokacyjnego. Niewykończona droga wiodła stromo pod górę, by po pięciuset metrach skończyć się prostokątem wykarczowanej dżungli zastawionym rzędami małych blaszanych domków. Po drodze Kyle zatrzymał się jeszcze dwa razy, zabierając rzeczy trojga kolejnych wypędzonych.

Obóz miał rozmiary kilku boisk piłkarskich, zaś jego zabudowania stanowiły identyczne, ustawione w równych odstępach blaszane baraki. Było ich ponad dwieście, a ich pomalowane na żywe kolory ściany kojarzyły się Kyle'owi z klockami Lego. Co osiem baraków stał większy budynek z kranami na zewnątrz oraz toaletami i natryskami w środku.

Było czysto i nowocześnie. Polityk mógł dowodzić, że mieszkańcy mają w obozie lepsze udogodnienia niż w swoich nadmorskich osadach, ale nikt obdarzony duszą nie miałby sumienia porównywać tradycyjnych chat rozsianych na złotych plażach z tym polem baraków wbitym w środek nieprzyjaznej dżungli.

Kilku wygnanych rybaków zgotowało przybyszowi serdeczne powitanie. Kyle otworzył tylną klapę land cruisera, by pozwolić ludziom wyjąć rzeczy, które zawiózł dla nich pod górę. Miejsce wydawało mu się przeraźliwie puste, co było dziwne, biorąc pod uwagę to, że poprzedniej nocy przesiedlono tu całe cztery wioski.

Pomógł dziewczynom zanieść ich rzeczy do jaskrawo-żółtego baraku, w którego wnętrzu było gorąco i duszno, inaczej niż poprzedniego dnia w tradycyjnej drewnianej chacie Aizata. Bliźniaki źle znosiły duchotę i wzięcie na ręce jednego z nich okazało się nie najlepszym pomysłem.

– Emm... Chyba mnie jednak nie lubi – powiedział Kyle, pośpiesznie oddając wrzeszczące i wierzgające niemowlę jednej z dziewczyn. – Zastałem może Aizata?

Dziewczęta nie mówiły po angielsku, ale dzieci z gromadki, która podążała za Kyle'em od wyjścia z samochodu, zrozumiały go i poprowadziły w stronę zielonego baraku. Idąc, strzepnął z ramienia pół tuzina przyssanych do niego komarów, by zaraz potem dostrzec cały rój krążący mu wokół głowy.

Aizat leżał w nieumeblowanym wnętrzu baraku numer trzy, rząd dziewiąty, o zewnętrznych ścianach pomalowanych na jasnoniebiesko. Miał na sobie zakrwawione szorty, a zwinięta w kulę koszulka

pod głową pełniła funkcję poduszki.

Policjanci nie aresztowali go, ale tors i nogi miał całe pokryte krwawymi pręgami i sińcami. Podczas bicia złamano mu dwa palce lewej dłoni, które potem nastawiono i usztywniono szyną, a jego ręce, którymi osłaniał głowę przed razami i kopniakami, były straszliwie spuchnięte.

– Dupki – powiedział Kyle, kiedy oczy przywykły mu do półmroku.

– Wykpiłem się raczej taniuchno, jeśli wziąć pod uwagę, że przyładowałem cegłą w twarz komendantowi policji – zażartował Aizat, zaśmiał się bez entuzjazmu i skrzywił, kiedy ciało przeszył mu spazm bólu.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Kyle. – Pani Leung powiedziała, że wysiedlili cztery wioski.

– A zostałbyś tutaj, gdybyś nie musiał? – prychnął Aizat, po czym stękając boleśnie, usiadł i przysunął się do ściany opierając się o nią plecami. – Dziś z samego rana oprychy Abdullaha pozwoliły spakować manatki każdemu, kto chciał, a potem ściągnęli prom, żeby ich wywiózł na kontynent.

– Mają dokąd pójść? – zapytał Kyle.

– Na ogół tak – cicho powiedział Aizat. – Prawie każdy ma syna, córkę, brata, siostrę czy kogoś tam, kto pracuje na kontynencie. Daj im jeszcze tydzień, a zostaną sami starcy i garstka nieszczęśników, którzy nie mają się gdzie podziać. Najsmutniejsze jest to, że nasza wioska była tam przez setki lat, a zniknęła w jedną noc. Wróc za dwa lata, a zobaczysz tylko narty wodne i plażowe bary.

– To jest chore – powiedział Kyle, kręcąc głową ze smutkiem i rozglądając się po nagim wnętrzu baraku. – W tym stanie nie masz jak zabrać swoich rzeczy. Mogę ci jakoś pomóc? Coś załatwić? Przywieźć tu land cruiserem?

– Wati już poszła do wioski – odpowiedział Aizat. – Zabierze część rzeczy, a co do reszty, umówiłem się z takim jednym cieślą z

budowy, któremu sprzedawałem ryby. Przywiezie mi graty swoją furgonetką, jak będzie miał przerwę na lunch.

– Chcesz przenieść się do Kuala Lumpur, do mamy? – zapytał Kyle. – Życie w mieście będzie zupełnie inne, ale taki rozgarnięty chłopak jak ty...

Aizat przerwał gniewnym prychnięciem.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moja matka – powiedział chmurnie. – Wyjechała z wioski, kiedy Wati była mała. Spotkała jednego gościa, może nawet wyszła za niego, nie wiem. Najpierw mieliśmy przeprowadzić się do nich, ale potem przestała dzwonić. Pisała raz na miesiąc, potem co kilka miesięcy, a teraz... Ostatnio miałem z nią kontakt ponad rok temu. Wati o niczym nie wie. To byłoby dla niej zbyt trudne.

– To znaczy, że jesteś tylko ty i wasza babcia? – zapytał Kyle. – A co z tatą?

Aizat nie odpowiadał przez kilka sekund, podczas których zdawał się zmagać z trudną decyzją.

– Moja mama... była prostytutką – wyrzucił z siebie z widocznym wysiłkiem. – Z dziesięciu klientów na noc uzbierała na łódź i najlepszą chatę we wsi. Ale nikt nie ma pojęcia, kim był mój ojciec.

Wyznanie zawisło w powietrzu niczym brzydki zapach. Kyle przekładał w głowie słowa, pragnąc powiedzieć coś sensownego, ale niczego nie wymyślił.

– Myślę, że to dlatego wioska była dla mnie tak ważna – powiedział wreszcie Aizat. – Wati i babcia to moja jedyna rodzina, ale choć jestem młody, w osadzie byłem kimś. Dostarczałem pocztę, woziłem ryby na targ, naprawiałem prąd. A teraz co mam robić? Złożyć podanie o pracę w Regency Plaza? Założyć kretyński mundurek i skamleć: „Tak, proszę pana, nie, proszę pana” przed bogatymi chamsami?

– Ludzie z wioski polegali na tobie, bo jesteś mądry – powiedział Kyle. – Widziałem wszystkie te ciężkozbrojne książki, które czytasz.

Gdybyś zatrudnił się w Regency Plaza, pewnie przed dwudziestką zostałbyś kierownikiem tej budy.

– Prędzej zjem własne gówno, niż zatrudnię się w hotelu – wypalił Aizat.

– No dobra, czy jest cokolwiek, co mógłbym dla ciebie zrobić? – zapytał Kyle z nadzieją. – Mam czas tylko dzisiaj. Jutro po południu wyjeżdżamy, zostajemy na noc w Kuala Lumpur, a pojutrze łapiemy wczesny lot do Londynu.

Aizat potrząsnął głową.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Kyle, ale jeżeli czegoś przede mną nie ukrywasz, na przykład tego, że jesteś bliskim krewnym premiera Malezji albo że masz miliard dolarów w banku, to sądzę, że muszę po prostu wydobrzeć, a potem zastanowić się, co dalej zrobić ze swoim życiem.

– Jesteś pewien? – zapytał Kyle, zerkając na zegarek. – Bo chętnie pomogę, jeżeli jest coś do zrobienia, ale pożyczyłem land cruisera nielegalnie i nie chciałbym wracać do przekopywania rowów bez dobrego powodu.

Aizat zmarszczył brwi.

– Przekopywania rowów?

– Długa historia, stary – powiedział Kyle, ze smutkiem w sercu wycofując się do wyjścia z baraku. – Uważaj na siebie i trzymaj się z dala od kłopotów. Jestem pewien, że sobie poradzisz.

16. MECZ

Był pierwszy lutego, od powrotu Kyle'a z Malezji minął zaledwie miesiąc. Był to także wtorkowy wieczór i w głównym hallu kampusu CHERUBA pięćdziesięcioro dzieci wraz z tuzinem dorosłych oglądało mecz na wielkim ekranie telewizora projekcyjnego. Salę wypełniały na przemian okrzyki zawodu i wiwaty: Arsenal wygrywał z Manchesterem United dwa do jednego.

Mijała pięćdziesiąta druga minuta meczu. Trzynastoletni James Adams siedział na olbrzymim pufie przyniesionym z góry, z pokoju Kerry. Kerry siedziała tuż obok, ubrana w jedną z jego starych koszulek Arsenalu – bardziej z poczucia lojalności wobec własnego chłopaka niż z rzeczywistej potrzeby kibicowania komukolwiek. Miejsce po drugiej stronie Jamesa zajmował Shakeel, również żarliwy fan Arsenalu, zaś za ich plecami rozsiadła się spora grupa kibiców United, w tym koledzy Jamesa Mo i Connor, jak również garstka starszych agentów.

– U-ni-ted! U-ni-ted! – skandowali, wznosząc równocześnie pięści.

– Ar-se-nal! – wykrzykiwali w odpowiedzi kibice Kanonierów.

– Gramy o niebo lepiej od tych smutasów – powiedział Mo. – Po prostu kokneje mają dziś fart.

James usłyszał to i poderwał się na równe nogi.

– My mamy fart?! – zawołał dotknięty do żywego. – A Rooney? Gdyby ten sędzia nie miał czterech ton łąjna na oczach, zdjąłby go jeszcze przed przerwą.

– Weź się wal, dobra?! – odkrzyknął Mo. – To nawet nie był faul.

Dwaj młodszy chłopcy w strojach Arsenalu ściągnęli spodnie od dresu i wypięli gołe tyłki w stronę kibiców United.

– Fani United, cmokać mistrzów, ale już! – krzyknął jeden z nich.

Miał najwyżej siedem lat. Wstrząśnięta Kerry złapała się za głowę i zwróciła do Kyle'a.

– Jak futbol to robi? Dlaczego oni się tak zachowują?

Kyle roześmiał się.

– Nie pytaj mnie. Przyszedłem tu tylko dlatego, że Ronaldo jest naprawdę słodki.

– To prawda – przytaknęła Kerry ku irytacji Jamesa.

– Zawodnicy Arsenalu powinni bardzo uważać – powiedział komentator poważnym tonem. – Wprawdzie wciąż prowadzą, ale United wyraźnie zaczyna przejmować kontrolę.

– A co ty wiesz o piłce, łysa pało? – krzyknął Shakeel do ekranu. – Jazda, Kanonierzy! Załadujcie im jeszcze jedną siatę! Je-szcze jeden, je-szcze jeden!

James cmoknął z niesmakiem, kiedy piłkarze United przejęli piłkę w połowie boiska. Przed kumplami zgrywał chojraka, ale kiedy znów opadł na wielką poduchę, przygryzał nerwowo koniec sznurka od kaptura.

– Orzeszka? – zaproponowała Kerry.

Stoły w całej sali zastawiono butelkami bezalkoholowych napojów oraz przekąskami w porcelanowych miskach. Nie odrywając wzroku od wielkiego ekranu, James wygarnął dłonią garść orzeszków z podstawionego naczynia. Wpuścił do ust trzy sztuki, by natychmiast wypluć je z gniewnym parsknięciem.

– Kurde, no co ty... prażone? – jęknął, patrząc z wyrzutem na Kerry.

– To czemu nie patrzysz, zanim włożysz sobie coś do gęby? – odparowała.

Kibice United ożywili się, kiedy Ryan Giggs przejął piłkę na środ-

ku boiska i znalazł lukę w obronie.

– Jezu, za nim! – krzyknął zrozpaczony James.

Odsiecz przybyła za późno. Giggs podał do Ronalda biegnącego przy granicy pola karnego. Piłka dotoczyła się prawie do końcowej linii boiska, ale akurat kiedy James pomyślał, że będzie aut i rzut od bramki, Ronaldo dopadł jej i efektywnym strzałem posłał w siatkę za bramkarzem Arsenalu Almunia.

– Neeee! – ryknął James, chowając twarz w dłoniach, podczas gdy fani United wybuchli radosną wrzawą.

– United! United! Czemu już nie śpiewacie, czemu już nie śpiewacie, oj! – wrzeszczeli i śpiewali na melodię *Volare*: – Ronaldo, ooho!

– Ale macie szczęście! – krzyknął James. – Nie ma żadnej techniki w strzale pod takim kątem. Czysty przypadek.

– Drużyna United najwyraźniej wzięła się w garść – oznajmił komentator. – Zaś werwa, z jaką chłopcy zabrali się do gry, pozwala przypuszczać, że zwycięstwo nie jest bynajmniej przesądzone. Cokolwiek się stanie, stadion Highbury płonie i możemy być pewni jednego: ostatnie trzydzieści pięć minut tego meczu z pewnością będzie wyjątkowym widowiskiem.

– Tylko popatrz na te męskie umięśnione uda Ronalda – powiedział Kyle, podczas gdy Arsenal szykował się do wznowienia gry.

James był w podłym nastroju i zaczepka Kyle'a nie zdołała go rozchmurzyć.

– Jak się zaraz nie zamkniesz, Kyle, to nie odpowiadam za siebie.

– Rany, jesteś cały czerwony na twarzy – powiedziała Kerry z udanym przerażeniem, łapiąc Jamesa za rękę. – Wezwać karetkę? Wyglądasz, jakbyś zaraz miał dostać zawału.

James zgrzytnął zębami.

– Dżizas, jak ja nienawidzę United. A zwłaszcza tego kłapouchego dresiarza Rooneya.

Kyle zbliżył zwiniętą dłoń do ust i odkaslnął znacząco.

– A to niezłe. Ciekawa opinia w ustach kogoś odzianego w najki,

dresowe spodnie i bluzę z kapturem.

– No, tak lepiej – pochwalił James drużynę, kiedy Arsenal przejął piłkę i sklecił kilka podań. – Jazda, chłopaki! Skupcie się!

– Normalne fistaszki – powiedziała Kerry, podsuwając Jamesowi inną miseczkę.

James chodził z Kerry już od prawie pięciu miesięcy. Był to jego pierwszy długoterminowy związek, podczas którego nauczył się już dość, by zdawać sobie sprawę, że nawet w gorączce podczas meczu Arsenalu z United należy być miłym dla swojej dziewczyny. Zgarnął dłonią trochę orzeszków i cmoknął Kerry w policzek.

– Fajnie, że przyszłaś – powiedział. – Wiem, że tak naprawdę nie przepadasz za piłką.

– Hej, Kerry! – krzyknął Mo, obciągając swoją koszulkę z godłem Manchesteru United. – Lepiej chodź tutaj, do prawdziwych mężczyzn.

– Prawdziwych, powiadasz? – zaśmiała się Kerry. – Tych, którzy chowają się za tobą?

James i pozostali kibice Arsenalu parsknęli śmiechem, a dwaj starsi chłopcy przybili z Kerry po piątce.

– Celny strzał, mała.

Chwila triumfu fanów Arsenalu skończyła się, kiedy Ryan Giggs znalazł lukę po prawej stronie boiska i przedarł się z piłką pod bramkę przeciwnika.

– Łap tę piłkę! – błagał James.

Ale kiedy Almunia wybiegł z bramki, Giggs wypuścił piłkę pod nogi Ronaldo, który niezwłocznie strzelił kolejnego gola.

Jamesowi opadła szczeka, a kibice United zaczęli skakać z radości i padać sobie w objęcia.

– Cristiano Ronaldo kończy dwadzieścia lat dopiero w sobotę, ale świętuje już dzisiaj. Dwa gole w cztery minuty w wykonaniu młodego portugalskiego strzelca, a pytanie brzmi: czy dla Kanonierów jest jeszcze jakiś ratunek?

– Jezu! – wrzasnął James. – Co ten Almunia wyprawia? Kto miał krzyk Ronalda? Co za gówno!

– Trzy-do-dwóch! – skandowali kibice United.

Kyle, widząc, że James jest na skraju wybuchu, położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie daj się sprowokować, stary – powiedział kojąco tonem.

– Żadnego ratunku – zarżał Mo. – Wasza bezjajeczna drużyna umoczyła mecz oraz walkę o tytuł.

James zerwał się na równe nogi i popchnął Mo. Kilku fanów United zobaczyło to i zaczęło przepychać się do miejsca starcia, gdzie naprzeciwko stanął nieco mniejszy oddział kibiców Arsenalu.

– To jak, chcecie się sprawdzić? – zawołał jeden z fanów Kanonierów.

Kerry mruknęła Jamesowi do ucha:

– Daj spokój. Robisz z siebie idiotę.

W Jamesie gotowała się krew, ale w obu obozach nie brakowało starszych agentów, a on nie miał ochoty znaleźć się między nimi, kiedy zaczną się tłuc, dlatego machnął ręką i odwrócił się. Kilka osób z kadry, które oglądały mecz nad piwem na tyłach sali, podszło bliżej, by rozproszyć zbiegowisko.

– Hej, ludzie, to tylko gra! – zawołał pan Pike. – Siadać albo wyłączymy telewizor.

Kiedy kibice obu drużyn wycofali się na swoje miejsca, Mo wciągnął powietrze przez zęby.

– Tak jest, James – zadrwił. – Podkul ogon i do budy, jak ci twoja flama kazała.

– Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, to ci wbiję łeb w ścianę – ostrzegła Kerry.

– Trzy do dwóch! – krzyknął ktoś i było to więcej, niż James mógł znieść.

Nie był na tyle odważny ani na tyle głupi, żeby uderzyć, ale musiał wyładować agresję, dlatego chwycił z podłogi miskę z fistasz-

kami i cisnął jej zawartością w Connora i Mo. Jeden z kibiców United natychmiast cisnął tubą pringlesów w odwrotnym kierunku, ale kadra zareagowała szybko i stanowczo.

– Starczy! – krzyknął pan Pike.

Trzej barczyści dorośli wcisnęli się pomiędzy zwaśnione grupy. W tej samej chwili opiekunka Jamesa Meryl Spencer złapała go za tył bluzy.

– Co ja zrobiłem? – zaprotestował James, udając niewinnego, podczas gdy Meryl prowadziła go w stronę wyjścia z tyłu sali przy wiewatach i oklaskach fanów United.

– Zrobiłeś dość – odpowiedziała Meryl, popychając Jamesa na ścianę pustego korytarza, który biegł przez całą długość parteru głównego budynku.

– To nie ja zacząłem – burknął James z oburzeniem. – Ta banda głupków od United wkurzała nas przez cały czas.

Meryl parsknęła śmiechem.

– A fani Arsenalu w ogóle nie zadzierali nosa, kiedy wygrywaliście, co? – powiedziała drwiąco, po czym nagle zmieniła ton na poważny. – Słuchaj, James, tam są siedmio- i ośmioletni juniorzy. Co by się z nimi stało, gdyby więksi chłopcy tacy jak ty zaczęli rzucać sobą nawzajem po sali?

James nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Spojrzał w bok, ściągnął usta i wreszcie sapnął gniewnie:

– Dlaczego akurat ja? Wszyscy to robili.

– To ty rzuciłeś orzeszki, co mogło znacząco pogorszyć sytuację.

– No bo wszyscy się nabijali – uzalił się nad sobą James.

Z sali wyszedł Kyle, by wstawić się za kolegą.

– Oni naprawdę mu dokuczali, proszę pani. Przezywali i w ogóle...

– Kto mu dokuczał? Co mówili? – zapytała Meryl.

Kyle wyszedł, by przyjść z odsieczą Jamesowi, ale nie miał najmniejszego zamiaru donosić.

– No... wszyscy. Znaczą kibice United.

Meryl wyglądała na zmęczoną, a jej oddech zalatywał piwem. James wyczuł, że jeśli odegra skruszonego, ma szansę wykpić się takim kosztem.

– Nie pomyślałem o młodszych dzieciakach – powiedział z powagą. – Jest mi bardzo przykro. Przyrzekam, że to się już nigdy nie powtórzy.

Meryl nie wyglądała na przekonaną. Spojrzała uważnie na Jamesa, a potem zwróciła się do Kyle'a.

– Bądź łaskaw odprowadzić Jamesa do jego pokoju, gdzie będzie mógł się uspokoić. James, masz zakaz oglądania meczów na dużym ekranie do końca sezonu. I obcinam ci dwa tygodnie kieszonkowego.

James skinął głową.

– Tak, proszę pani. Przepraszam.

Ale skrucha Jamesa trwała tylko do chwili, w której Meryl zniknęła za drzwiami hallu.

– Co za suka! – syknął z furją, podchodząc za Kyle'em do drzwi windy. – Dwa tygodnie, wyobrażasz sobie? Co ja takiego zrobiłem, czego nie robili wszyscy inni? I ten powalony Mo. Kusi mnie, żeby pójść do jego pokoju i postawić mu wielkiego kloca na środku łóżka.

Kyle wstąpił do pustej kabiny. W jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– James, po pierwsze, to był tylko mecz piłki nożnej. Po drugie, Meryl potraktowała cię raczej łagodnie, biorąc pod uwagę, że omal nie wszcząłeś ogólnej bijatyki. Widziałem ludzi na karnych rundkach i dyżurach w pralni za znacznie mniejsze przewinienia niż twoje.

– Jasne, bierz jej stronę, proszę bardzo – wypalił James z goryczą.

– Wszyscy przeciwko mnie. Manchester srester United, tak ich nie nawidzę, że normalnie... Chcę, żeby ich trener rozwalił się na autostradzie albo żeby w ich szatni podłożyli bombę z gwoździami i że-

by tak gruchnęło...

– Jezu Chryste, James! – zaśmiał się Kyle. – Ogarnij się, świrze.

James jednak był już tak wściekły, że grzmotnął pięścią w aluminiowy pas nad tablicą z przyciskami, raniąc się w dłoń.

– Oźwdumrgh... – stęknął, ściskając się za kostki i krzywiąc z bólu.

Kyle wiedział, że Jamesowi odbije palma, jeśli zobaczy, że się z niego śmieje, ale miał spore trudności z zachowaniem obojętnej miny. Kiedy tylko otworzyły się drzwi, wybiegł z windy i spieszenie pomaszerował korytarzem.

– A ty dokąd? – krzyknął za nim James.

– Muszę siku – skłamał Kyle.

Pokój Jamesa był naprzeciwno, więc Kyle musiał być cicho. Kiedy dotarł do siebie, padł na łóżko, wcisnął twarz w poduszkę i zawył ze śmiechu, odtwarzając w pamięci wybuch Jamesa w windzie oraz jego fenomenalną minę, kiedy omal nie złamał sobie dłoni.

Śmiał się jeszcze długo, słuchając, jak James trzaska drzwiami i miota się po swoim pokoju, złorzecząc na Mo i Meryl, a szczególnie obelżywe epitety rezerwując dla Cristiana Ronaldo.

17. KONTAKT

Kiedy Kyle zdołał wreszcie opanować napad śmiechu, spojrzął na zegar na szafce nocnej i zauważył, że już minęła dziewiąta. Włączył telewizor, by obejrzeć ostatnie minuty meczu, ale choć bawiła go plemienna atmosfera w hallu na dole, sama gra nie interesowała go na tyle, by chciał poświęcić jej wyłączną uwagę. Zamiast przed odbiornikiem usiadł za biurkiem i puknął palcem klawisz spacji w laptopie, by go obudzić.

Jedyny e-mail, jaki czekał na przeczytanie w skrzynce odbiorczej, był od nauczyciela angielskiego, który zawiadamiał Kyle'a, że poziom jego ostatniej pracy pisemnej był poniżej oczekiwań oraz że ma czas do końca tygodnia, by napisać ją na nowo. Wiadomość była zbyt dołująca, by chciał się nią zajmować, ale gdy już miał odejść od biurka, w rogu ekranu wyskoczył dymek z komunikatem Windows Messengera.

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Cześć!

Życie w kampusie CHERUBA toczyło się wartko, wypełnione lekcjami, treningami, misjami i sprawami towarzyskimi. Kyle'a ukłuło poczucie winy, kiedy uświadomił sobie, że od powrotu z Malezji prawie nie myślał o tym, co się tam wydarzyło. Otworzył okno czatu i wystukał odpowiedź.

BLUEMAN 69 powiedział: Witaj znowu. Jak życie?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Straszne gównno, szczerze mówiąc.

BLUEMAN 69 powiedział: Co się dzieje?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Wszystko. Mieszkam w blaszanym pudle. Wszyscy wkoło chorzy, jakiś zarazek w wodzie. Babcia spędziła tydzień w szpitalu, a teraz jeszcze Arsenal przegrywa z Man Utd.

BLUEMAN 69 powiedział: Znalazłeś sobie pracę?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Podłapałem małą fuchę u tego cieśli, który kupował ryby od mieszkańców wioski. Robimy ramy drzwi dla hotelu Regency Plaza.

BLUEMAN 69 powiedział: Sprzedałeś się!

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Dokładnie. Nie miałem wyboru. Płaci dobrze, ale to dorywcza robota. Nic stałego nie mam. Babcia musiała sprzedać naszyjnik, żeby kupić antybiotyki, kiedy Wati była chora.

BLUEMAN 69 powiedział: B. mi przykro.

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Skrzyknęliśmy się z paroma osobami z obozu i organizujemy grupę protestacyjną. Wiele pewnie nie zdołamy, ale próbować trzeba, prawda?

BLUEMAN 69 powiedział: Mogę jakoś pomóc?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Pomysły, pieniądze, rozgłos, książki!!!!!!!!!!!!

BLUEMAN 69 powiedział: Rozgłos i pomysły – muszę pomyśleć. Kasa – golec ze mnie. Książki – jakie książki?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Kampanie polityczne, Che Guevara, taktyki partyzanckie.

BLUEMAN 69 powiedział: Zaczynacie kampanię czy wojnę?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Być może jedno i drugie. Ożeż ty w morde!

BLUEMAN 69 powiedział: Co?

Zanim nadeszła odpowiedź, Kyle domyślił się, o co chodzi, słysząc Jamesa wyjącego z wściekłości i ciskającego przedmiotami w pokój po drugiej stronie korytarza.

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: O'Shea, 89. minuta. Arsenal 2 United 4.

Nienawidzę United, że normalnie nie wiem!

BLUEMAN 69 powiedział: Powinieneś poznać mojego qmpla Jamesa. Macie ze sobą wiele wspólnego.

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: To jak, będziesz mógł przestać mi jakieś książki? Czy w ogóle pomóc? Jesteśmy tylko bandą zapaleńców bez żadnych konkretnych pomysłów:)

BLUEMAN 69 powiedział: Chyba tak. Ale trochę mnie przerażasz. Nie zrób niczego głupiego!

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Nie martw się, jestem zbyt przystojny, żeby pójść za kratki.

BLUEMAN 69 powiedział: Spróbuję wysłać Ci jakąś literaturę. I zobaczę, czy da się tę sprawę nagłośnić. Ktoś MUSI być zainteresowany tym, co się stało z waszą wioską.

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Dzięki. Muszę spadać. Zostały 52 sekundy, a nie mam już kasy.

BLUEMAN 69 powiedział: Kiedy znów będziesz online?

Aizat FIGHT THE POWER powiedział: Trudno powiedzieć. Kiedy mam forę, staram się łączyć raz, dwa razy w tygodniu. W mojej kafejce pokazują piłkę, więc na pewno zawsze, kiedy gra Arsenal.

BLUEMAN 69 powiedział: Na razie.

Twoja ostatnia wiadomość nie została doręczona. Aizat FIGHT THE POWER rozłączył się.

Kyle zaczął intensywnie myśleć, kiedy tylko otrzymał komunikat o rozłączeniu. Zastanawiał się, kiedy Aizat znów będzie w sieci, usiłował przypomnieć sobie, gdzie wetknął kartkę z adresem mailowym Aizata, a jednocześnie próbował wymyślić, w jaki sposób mógłby mu pomóc.

Zaczął od wstukania kilku słów kluczy w Google. „Ofiary tsunami” były zbyt ogólne i sprowadziły tysiące odnośników do materiałów mediowych na temat kataklizmu. Określenie „tsunami wymuszona ewakuacja” okazało się równie mało pomocne. Wtedy spró-

bował innego podejścia i wpisał: „deweloper hotelu kradzież ziemi”.

Pierwszych kilka linków na stronie z wynikami prowadziło do firm budowlanych i artykułów prasowych o sporach prawnych z udziałem amerykańskich przedsiębiorstw deweloperskich. Piąty odnośnik wyglądał na bardziej użyteczny, prowadząc do PDF-u z raportem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dokument nosił tytuł *Koszty i możliwości globalnej turystyki*.

Raport liczył 226 stron pełnych wykresów, tabel i gęstego tekstu. Kyle zachował dokument na twardym dysku, ale postanowił, że zanim się z nim zmierzy, spróbuje znaleźć w Google coś bardziej lekkostrawnego.

Już miał zamknąć plik, kiedy jego uwagę zwrócił *Dodatek H – pozarządowe organizacje specjalizujące się w problemach turystyki*. Pierwszy punkt listy wymieniał fundację o nazwie *Guilt Trips – kampanie na rzecz ekologicznej turystyki oraz populacji autochtonicznych zagrożonych lub osłabianych przez przedsięwzięcia turystyczne*. Poniżej zamieszczono dane kontaktowe i adres strony internetowej.

Kyle otworzył nową kartę w wyszukiwarce, wstukał adres *Guilt Trips* i znalazł się na rozczarowująco topornej stronie internetowej wyglądającej jak praca domowa wykonana na szkolne zajęcia z informatyki. Ale choć witryna nie zdobyłaby nagrody za projekt, Kyle był zafascynowany, kiedy kliknął mapę i zaczął czytać raporty o szkodach wyrządzanych przez przemysł turystyczny we wszystkich zakątkach świata.

Przeczytał o tym, jak wielka francuska sieć hotelowa osuszyła studnie indyjskim rolnikom, o mieszkańcach rumuńskiej wsi, których wyrzucono z ich własnej ziemi, aby zbudować na niej park rozrywki, i o tym, jak budowa parku safari na Florydzie doprowadziła do lokalnego wyginięcia kilku chronionych gatunków zwierząt. Był zdumiony, widząc, ile niegodziwości popełniano w imię rozwoju globalnej turystyki.

Odnosnik najbliższy interesującej go sprawy prowadził do arty-

kułu w kanadyjskiej gazecie mówiącego o tajlandzkich rybakach wyrzuconych z ich ziemi po przejściu cyklonu przed trzema laty. Na innej stronie znalazł artykuł o tsunami napisany specjalnie dla Guilt Trips.

Podczas gdy świat optakuje śmierć ponad pół miliona ludzi, grudniowa tragedia wywołała ożywienie wśród przedsiębiorstw budowlanych, właścicieli ziemi i deweloperów liczących na obfite zyski z projektów ponownego zagospodarowania obszarów dotkniętych kataklizmem. Niestety, niewiele owych planów reprezentuje najlepszy interes ubogich i postawionych w rozpaczliwej sytuacji ofiar tsunami. W wielu przypadkach ziemia jest przymusowo wykupywana od poszkodowanych, a następnie rozdzielana pomiędzy urzędników państwowych oraz ich popleczników.

Kyle miał nadzieję, że uda mu się skontaktować z organizacją w rodzaju Guilt Trips albo jakimś zaangażowanym dziennikarzem i nagłaśniając historię Aizata, wywołać falę oburzenia, okazało się jednak, że jego nowy znajomy dzieli los z tysiącami biedaków żyjących w całym regionie. W istocie Aizat miał nawet więcej szczęścia niż większość z nich, ponieważ na Langkawi władze zamierzały zlikwidować wioski jeszcze przed uderzeniem tsunami i zbudowały obozy, w których wysiedleni rybacy mogli przynajmniej znaleźć schronienie.

Odkrycie było przygnębiające, ale Kyle lubił Aizata i nie chciał go zawieść, zanim wypróbuje przynajmniej kilka możliwości.

W ciągu minionych lat Kyle dorabiał sobie rozmaitymi szwindlami, w tym rozprowadzaniem w kampusie pirackich kopii filmów i gier. Teraz mógł przynajmniej wykorzystać część swoich brudnych pieniędzy i wysłać Aizatowi książki, o które prosił, a może nawet dorzucić parę funtów z oszczędności, by go nieco wspomóc.

*

Następnego ranka Kyle zaczął dzień od lekcji matematyki, na którą poszedł, starannie unikając Jamesa, który musiał być w paskudnym nastroju po porażce Arsenalu dwa do czterech. Potem nie miał

zająć, więc choć nie żywił wielkiej nadziei, wrócił do swojego pokoju i wyjąwszy telefon, wystukał numer biura Guilt Trips w Londynie.

Kobieta, która podniosła słuchawkę, przedstawiła się jako Helena Bayliss. Poprzedniego dnia Kyle czytał kilka jej artykułów, a teraz pomyślał, że jej głos sugeruje kogoś znacznie młodszego, niż sobie wyobrażał.

Kyle opowiedział Helenie, co zaszło podczas i po tsunami, zmieniając tylko jeden szczegół: w tej wersji wydarzeń spędzał w Malezji wakacje z grupą młodzieżową, a nie pomagał w szkoleniu agentów supertajnej organizacji szpiegowskiej.

– W sytuacji Aizata, niestety, nie ma nic wyjątkowego – powiedziała Helena. – Media nie poświęciły szczególnej uwagi skutkom tsunami w Malezji, czego zresztą należało się spodziewać przy tak ogromnych zniszczeniach gdzie indziej.

Kyle westchnął.

– Wiedziałem, że powie pani coś takiego.

Helena się roześmiała.

– Czekaj, daj mi skończyć. Jest jedna rzecz, która mnie interesuje w tej sprawie. Powiedziałeś, że Aizat chciałby zainicjować coś w rodzaju lokalnej kampanii i że ty oraz być może inni członkowie twojej grupy młodzieżowej bylibyście gotowi udzielić mu pomocy, a nawet pewnego wsparcia finansowego. Guilt Trips to mała fundacja o ograniczonych zasobach, nie jesteśmy w stanie rozkręcić dla was globalnej kampanii, ale chętnie służymy wsparciem i radą wszelkim aktywistom, którzy są gotowi działać na własną rękę.

Kyle uśmiechnął się.

– To już coś. Ja oczywiście chcę pomóc, a Aizat mówi, że zebrał już grupę przyjaciół, którzy chcą zrobić jakąś akcję na Langkawi. Cały kłopot w tym, że nikt z nas nie wie, jak się do tego zabrać.

– Myślę, że powinniśmy się spotkać – orzekła Helena. – Dobrze by było, gdybym ja albo ktoś z naszych ochotników przyjechał z małym wykładem do twojej grupy młodzieżowej. I mogłabym skontakto-

wać się bezpośrednio z Aizatem.

Kyle uśmiechnął się do siebie na myśl o Helenie przyjeżdżającej z wizytą do kampusu CHERUBA.

– Macie biuro w Londynie – powiedział. – W sobotę będę w tamtej okolicy, może wpadnę, spotkamy się i omówimy sprawę? Ustalimy strategię działań dla nas i zastanowimy się, co można zrobić dla Aizata.

– Sprawdzę w kalendarzu – odpowiedziała Helena. – Dobrze, zdaje się, że będę wolna przez cały dzień do czwartej po południu. Trafisz do nas czy pojechać po ciebie na stację?

– Jestem tylko trochę przygłupi – zażartował Kyle. – Jestem pewien, że znajdę drogę.

18. WYCIĘCZKA

Helena Bayliss miała dwadzieścia trzy lata i wysoką smukłą sylwetkę modelki, którą przez haczykowaty nos i głęboką niechęć do chirurgii plastycznej nigdy nie została. Dawniej studiowała prawo, ale uznała to za zbyt nudne zajęcie, i teraz wiodła niezbyt wystawny żywot, pisząc dorywczo artykuły o turystyce i problemach ochrony środowiska oraz pracując na pół etatu jako działaczka Guilt Trips.

Krótko po spotkaniu z Kyle'em zadzwoniła do swojego kolegi, który pracował w ogólnokrajowej gazecie, by wyprosić u niego zaproszenie na oficjalne otwarcie nowego hotelu Regency Plaza na Langkawi. Poleciała tam na koszt hotelu luksusowym boeingiem 737 w towarzystwie trzydziestu żurnalistów, koneserów golfowych i speców od branży turystycznej.

Redakcja gazety wyznaczyła Helenie proste zadanie: napisać tysiąc słów o nowo otwartym kurorcie z uwzględnieniem swoich wrażeń z golfowego kursu dla początkujących, na który ją zapisano, by nadać artykułowi interesujący kontekst.

Dodatek turystyczny gazety właśnie podpisał kontrakt reklamowy z Regency Plaza Hotels oraz Tourism Malaysia, więc materiał musiał być pozytywny. Mogła sobie poutyskiwać na niechlujnie złożone ręczniki w pokoju albo wystrój restauracji, ale pisanie o zrównanych z ziemią wioskach i obozach dla wysiedlonych nie wchodziło w grę.

*

Broszura, którą Helena otrzymała od przedstawiciela Tourism Malaysia, obiecywała piękną pogodę przez cały rok i malezyjskie słońce wydawało się stać na wysokości zadania. Płyta lotniska parowała po tropikalnej burzy, kiedy dziennikarka zeszła po podstawionych do samolotu schodkach tuż za szefem największego brytyjskiego internetowego serwisu turystycznego oraz nieznanym mężczyzną, który próbował ją podrywać od trzeciej godziny lotu.

W punkcie odprawy celnej otwarto specjalne przejście dla VIP-ów, przez które przepuszczono znamienitych gości. Nikt nie sprawdzał dokumentów, a wydobyte z luków samolotu walizki pojechały bez kontroli prosto do bagażnika luksusowego autokaru. Godzinę po lądowaniu Helena leżała na gigantycznym łożu w swoim pokoju, wykąpana i przebrana w mięciutki hotelowy szlafrok.

Pokój był ogromny, z balkonem wychodzącym na ocean. Czekwały w nim trzy kosze z upominkami: jeden z czekoladkami i szampanem, większy wypełniony malezyjskimi produktami, od whisky i luksusowych przyborów toaletowych po wyroby rękodzieła ludowego, oraz ostatni koszyk zawierający olbrzymi bukiet kwiatów w wazonie z rżniętego szkła. Pod spód wsunięty był list i CD-ROM z zestawem materiałów prasowych oraz fotografii Malezji i hotelu. List głosił:

Droga Panno Bayliss!

W imieniu Regency Plaza Hotels i Tourism Malaysia mam zaszczyt powitać Panią w nowym hotelu, centrum golfowym i spa w Langkawii.

Jako gość kategorii VIP może Pani bez ograniczeń korzystać ze wszystkich hotelowych lokali gastronomicznych, spa, pól golfowych oraz wszelkich innych udogodnień. Berek oraz wszystkie inne udogodnienia w pokoju również są bezpłatnie do Pani dyspozycji, w tym także szlafrok Regency Spa.

Mam ponadto przyjemność zaprosić Panią na oficjalne otwarcie hotelu i uroczystą kolację, która odbędzie się w sobotę o godzinie 20.00. W programie wystąpienie gościa specjalnego, gubernatora Langkawii Tana Abdullaha, występy sław świata rozrywki oraz gość niespodzianka, jeden z najbardziej utytułowanych zawodowych golfistów na świecie.

Nasz personel jest do Pani dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dlatego proszę dać znać, jeżeli będzie Pani potrzebowała jakiegokolwiek pomocy lub jeśli zechce Pani, byśmy zorganizowali jej wycieczkę krajoznawczą po wyspie Langkawii.

Życzę miłego pobytu.

Michael Stephens

Dyrektor europejskiego biura Tourism Malaysia

Helena wtuliła twarz w miękki szlafrok i pomyślała, że świetnie zastąpiłby wyświechtaną szmatę, która służyła jako ręcznik w jej londyńskim mieszkanku. Przypomniła sobie też, jak bardzo była podekscytowana, kiedy mając dziesięć lat, po raz pierwszy miała nocować w hotelu. Dzieliła pokój ze starszą siostrą i obie zebrały burę od taty, kiedy wypiły wszystkie sprite'y z minibaru, nie zdając sobie sprawy, że kosztują po siedem i pół dolara za puszkę.

Ten hotel był nieporównanie bardziej luksusowy i jakaś część Heleny chciała spędzić w nim te trzy dni, jedząc, upijając się i pozwalając, by obsługa zaspokajała jej zachcianki, tak jak pragnęła tego, kiedy miała dziesięć lat. Jednak slogan, który zauważyła pod tekstem listu, wyrwał ją z marzeń: „Tourism Malaysia – przemy naprzód”.

Mdłe haselko subtelnie przypominało, że Malezja dobrze sobie radzi, podczas gdy większość konkurencyjnych lokalizacji turystycznych w regionie odbudowuje się po tsunami.

Helena poczuła przyływ gniewu, kiedy rozejrzała się po swoim luksusowym pokoju i pomyślała o zasobach, jakie zużyto, sprowadzając cały ten zbytek do odległego zakątka wyspy Langkawii tylko

po to, aby bogaci ludzie mogli się tu poopalać i pograć w golfa.

Stal i cement z Chin, dywany z Indii, ręczniki made in Wietnam, kwiaty z Arabii Saudyjskiej, telewizor i system dźwięku przestrzennego wyprodukowany na Filipinach. Do tego należało dodać olbrzymie ilości energii potrzebnej do oświetlania i klimatyzowania ogromnego budynku hotelu oraz tysiące litrów wody, ścieków i paliwa lotniczego, spalonego przez samoloty wożące turystów na wyspę i do domu.

Najbardziej obawiała się lekcji golfa. Zawsze nienawidziła tej gry, ale redakcja zapewniła jej odpowiedni strój oraz fotografa mody, który leciał z kontynentu, by zrobić jej zdjęcia. Helena mogła nie spełniać wygórowanych standardów wybiegu dla modelek, ale nie dostałaby tego przydziału, gdyby była niska i pękata.

Zdjęta obrzydzeniem i bezsilnym gniewem Helena zapragnęła cisnąć czymś łamliwym w ścianę. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że jej wybuch przysporzyłby pracy jakiejś biednej, skąpo opłacanej pokojówce.

Przecież nie przyjechała tu tylko dla tysiąca słów o rozkoszach masażu i lekcji golfa w najnowszym ośrodku wypoczynkowym w Malezji – ożywiwszy się nieco na tę myśl, podniosła telefon ze szklanego blatu biurka, wybrała zapisany w pamięci numer i wyszła na balkon, patrząc na morze.

– *Hai.*

– Aizat, cześć! – zawołała radośnie Helena. – Super, że się dozwoniłam.

Aizat się roześmiał.

– Jedyne pożytki z tego nowego hotelu: wszędzie tutaj mamy teraz świetny zasięg. No co tam? Jak podróż, w porządku?

– Nie było źle – odparła Helena. – Samolot dla VIP-ów, komforcik, większość lotu przespałam. Jestem już w swoim pokoju i mam kilka wolnych godzin. Bardzo chciałabym spotkać się gdzieś z tobą i pogadać. Nie jesteś zajęty?

– Mam parę spraw, ale nic tak ważnego, co nie mogłoby poczekać
– odpowiedział Aizat.

– Zrobiłabym też parę fotek na stronę Guilt Trips – dodała Helena.
– Chciałabym pokazać, gdzie była wasza wioska i gdzie mieszkacie teraz. Przygotowujemy zbiór materiałów edukacyjnych o zrównoważonym budownictwie i jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym nagrać z tobą krótki wywiad wideo.

– Śmiało, zrób ze mnie sławę, jak chcesz – rzekł Aizat. – Może spotkamy się w miejscu, gdzie była moja wioska? To niedaleko za hotelem, koło falochronu.

Helena potoczyła wzrokiem po złotym piasku.

– Widzę – powiedziała po chwili.

– Potem mogę zabrać cię do obozu i zapoznać z innymi członkami naszej organizacji. Może tak być?

– Doskonale! Kiedy chcesz się spotkać? Muszę rozpakować aparat i parę rzeczy, no i się przebrać, ale poza tym jestem wolna.

– Wobec tego o piątej – powiedział Aizat. – Masz lampę błyskową? Nim wrócimy z wioski, może się zrobić ciemno.

*

Helena bywała już przedtem na reklamowych wyjazdach sponzorowanych i wiedziała, że ludzie, którzy wykładają na nie pieniądze, lubią mieć na oku swoich hołubionych gości – dziennikarz napadnięty i obrabowany albo wpadający w pijanym widzie do kanału burzowego nie przekładał się na dobrą prasę.

Aby nie zwracać uwagi swoim wyjściem, Helena ubrała się w kostium z lycry i buty do biegania. Z butelką wody i aparatem fotograficznym w małym plecaku wyszła bocznymi drzwiami i potruchtała wzdłuż plaży niezauważona przez pracowników hotelu i przedstawicieli Tourism Malaysia.

Aizat siedział na piasku przy falochronie niecałe dwieście metrów od hotelu. Był muskularny, przystojny i zaskakująco dobrze ubrany w podrobione najki, krótkie bojówki i lnianą koszulę.

Wyglądał, jakby włożył swoje najlepsze ciuchy, co trochę rozczarowało Helenę: wolałaby mieć na fotografiach kogoś bardziej zdesperowanego.

Otworzyła plecak, by wyjąć długopis i mały notes, po czym zaczęła pytać, notując kluczowe informacje.

– Zatem masz szesnaście lat?

– Teraz siedemnaście – poprawił Aizat. – Wati wciąż ma osiem, a nasza babcia siedemdziesiąt.

– Chodźcie do szkoły, pracujecie czy...?

– Wati ma nauczycielkę, która przychodzi do obozu. Ja pracuję, inaczej pomarliibyśmy z głodu.

– Kyle mówił, że pomagasz cieśli.

Aizat skinął głową.

– Też, ale poza tym mam łódź. Robię różne rzeczy, pływam z rybami na kontynent, wożę pasażerów...

– Myślałam, że twoja łódź została zniszczona.

– Po fali ją naprawiliśmy, ale musiała wpaść w łapy tych bandytów. Kiedy po nią wróciliśmy, już jej nie było. Teraz mam drugą łódź.

– Skąd? – zapytała Helena i jeszcze raz upewniła się, czy jej dyktafon jest włączony.

– Zrobiliśmy ściepę w parę osób – powiedział enigmatycznie Aizat, po czym zmienił temat. – Co tam u Kyle'a? Często się widujecie?

– Widziałam się z nim dwa razy, odkąd skontaktował się ze mną na początku zeszłego miesiąca – odpowiedziała Helena. – Raz w biurze Guilt Trips i raz podczas demonstracji, którą zorganizowaliśmy przed ambasadą Kenii. Chłopak mieszka daleko od Londynu i zdaje się, że prowadzi dość intensywny tryb życia. Nauka, egzaminy chyba czy coś...

– Kyle to świetny facet – rozpromienił się Aizat. – Wysłał mi nawet koszulkę Arsenalu i trochę starych programów meczu.

– Powiedziałeś, że masz nową łódź. Dostałeś jakąś dotację czy coś

podobnego, żeby móc ją kupić?

– Dotację? – Aizat parsknął śmiechem. – A to niezłe, ale wolałbym nie rozmawiać o interesach przed mikrofonem. Chodź, przejdziemy się po plaży i pokażę ci, gdzie stały nasze chaty.

Kyle opowiadał wprawdzie, że w swojej wiosce Aizat był kimś w rodzaju przywódcy, ale Helenę i tak zaskakiwał sposób jego zachowania. Wyglądał na siedemnaście lat, ale wydawał się znacznie dośroślejszy od pryszczatych wyrostków, jacy w Londynie zaglądali jej pożądliwie za dekolt.

Aizat podniósł patyk i rozgarniał nim piasek, dopóki nie odgrzebał końcówki rozszczepionego drewnianego pała.

– Tu stała chata, która oberwała najmocniej, kiedy fala przyturlała po plaży to rusztowanie z budowy. Słyszałaś, prawda? W szczątkach zostały dwa niemowlaki. Kyle i jego koledzy z grupy pomogli je uratować.

Helena była zawiedziona. Miała nadzieję, że ślady po opuszczonych chatach będą nieco bardziej fotogeniczne niż sterczący z ziemi ułomek słupka.

– Co to jest? – zapytała, wskazując na szarobrazową maź odkrytą przez patyk Aizata.

– Wiele naszych plaż wciąż pokrywa muł – wyjaśnił Aizat. – Ale że spieszyli się z otwarciem hotelu, nie posprząтали tego jak należy, tylko przywieźli kupę piachu w kontenerach i zasypali tym brzeg. Jak popłyniesz sobie łódką wzdłuż wybrzeża, zobaczysz, że piasek tutaj i wokół hotelu jest żółtawy, a nie tak biały, jak gdzie indziej na wyspie.

Z drugiej strony falochronu dobiegł dziwny głos. Należał do groźnie wyglądającego mężczyzny w błękitnej koszuli ozdobionej epoletami z napisem „Regency Plaza ochrona gości”.

– Czy ten dżentelmen niepokoi panią? – zapytał strażnik, patrząc na Aizata przez lustrzane okulary.

Helena potrząsnęła przecząco głową i uśmiechnęła się niewinnie.

– Rozmawialiśmy sobie – zaszczębiotała. – Podziwiałam nowy hotel.

– Obawiam się, że na tę część plaży mają wstęp wyłącznie goście hotelu – oznajmił ochroniarz.

Helena potoczyła wzrokiem dookoła.

– Nie widzę żadnych płotów, znaków...

– Nie są potrzebne – odrzekł mężczyzna. – W tej części wyspy mieszka najwyżej kilkaset osób. Większość pracuje w hotelu, a ci, którzy nie pracują, wiedzą, gdzie wolno im chodzić, a gdzie nie. Czy życzy pani sobie, by odprowadzić ją do hotelu?

– Czy droga jest publiczna? – zapytała Helena. – Czy będzie w porządku, jeżeli dokończę rozmowę tam, dalej?

– Owszem... – powiedział ochroniarz niechętnie. – Ale wie pani, jeżeli chce pani ćwiczyć, mamy w hotelu świetną siłownię. Z najnowocześniejszym sprzętem.

Helena roześmiała się.

– Dlaczego, u licha, miałabym pocić się na staimasterze w klimatyzowanym pokoju, skoro tu jest tak pięknie? – prychnęła, rozkładając ręce w geście niedowierzania, po czym pożegnawszy ochroniarza machnięciem: „Nic mi nie będzie”, poszła w stronę drogi.

Aizat ruszył za nią.

– Niedobrze. Ten facet to tutaj szycha – powiedział, kiedy oddalili się od mężczyzny na bezpieczną odległość. – Był obok komendanta policji tamtej nocy, kiedy wykopali nas z wioski. To nie był dobry pomysł, żeby spotykać się tak blisko hotelu za dnia.

– Jesteśmy chyba w wolnym kraju czy nie? – mruknęła Helena.

– Lubisz długie spacerować? – zapytał Aizat. – Chodź, zaprowadzę cię do obozu. Poznasz moją grupę.

19. OCZY

Zanim Aizat i Helena dotarli do obozu dla wysiedleńców, słońce skryło się za koronami drzew. Choć większość rybaków zaraz po tsunami przeniosła się na kontynent, całkiem sporo zostało – z wyboru albo po prostu dlatego, że nie mieli dokąd pójść.

Sterylnie osiedle baraków, jakie Kyle oglądał trzy miesiące wcześniej, zmieniło się, kiedy baraki stały się domami. Dzieci pozakładały bandy, ludzie pobudowali parawany dla zwiększenia prywatności, a blaszane budy wyposażyli w otwory wentylacyjne, dodatkowe okna, a nawet przybudówki wzniesione z odpadów.

Jednak sytuacja daleka była od sielankowej. Mieszkańcom dawała się we znaki źle zaprojektowana kanalizacja. Budynki toalet brzęczały od rojów much i roztaczały obezwładniający smród, zaś obozowe ścieżki nieprzystosowane do intensywnego ruchu pieszego i rowerowego po każdej ulewie przemieniały się w bagno.

Białe trampki Heleny cmokały w lepkim błocie, podczas gdy Aizat prowadził ją do domu. Dla swojej rodziny znalazł dwa najlepsze baraki, daleko od cuchnących toalet i położone na wzniesieniu, gdzie ziemia schła szybciej. Aby zyskać dodatkową przestrzeń, połączył oba budynki wpasowaną pomiędzy nie drewniano-plastikową przybudówką.

Wnętrze domu wypełnił meblami odzyskanymi ze starej chaty na plaży oraz kilkoma sprzętami w zachodnim stylu zabranymi z hotelu Rozgwiazda, którego wyposażenie pani Leung rozdała wysiedlo-

nym rybakom, zanim sprzedała ziemię Tanowi Abdullahowi i wyniosła się na kontynent.

Helena zsunęła buty i weszła do domu w przemoczonych skarpetkach. Najpierw zauważyła kolekcję książek Aizata leżących w stercie pod ścianą, po czym jej wzrok przesunął się na stos tysięcy przedmiotów, takich samych jak te, które знаła ze swojego pokoju w hotelu: ręczników, serwetek, mydelniczek, prześcieradeł, lampek stołowych, zapalek, szkła i żarówek spiętrzonych aż pod sam sufit.

– Jestem paserem – wyznał Aizat, podczas gdy podziwiała łupy. – Tan Abdullah kradnie nam ziemię, więc my okradamy jego hotel. Pracownicy wynoszą fanty i przynoszą mnie. Ja zawożę je na kontynent i sprzedaję handlarzom na targowiskach.

Helena klasnęła w dłonie i zaniósła się śmiechem. Wyobraziła sobie już cudowny artykuł, jaki mogłaby napisać o skradzionej ziemi, skorumpowanych politykach budujących ogromne hotele i biednych wysiedleńcach, którzy muszą je okradać, aby przeżyć. Oddałaby wszystko za fotografię skradzionych dóbr, ale nie wyjęła aparatu – opublikowanie takiego zdjęcia z pewnością zaszkodziłoby Aizatowi.

– Dużo na tym zarabiasz? – zapytała.

Aizat wzruszył ramionami.

– Nie narzekam. Ale i tak musiałem się zapożyczyć, żeby kupić nową łódkę, a ludzie, którzy pożyczają takim jak ja, liczą sobie nielichy procent.

Jeszcze nim skończył mówić, do domu weszli chłopiec i dziewczyna. Byli od niego nieznacznie starsi, a ich uderzające podobieństwo nie pozwalało wątpić, że są rodzeństwem.

– Ja, Abdul i Noor tworzymy komitet naszej kampanii – wyjaśnił Aizat, podczas gdy Helena ścisnęła dłonie i rozdawała uśmiechy.

– No dobrze – powiedziała Helena. – To jakiego rodzaju działalnością zajmuje się wasza grupa?

– Ciężko jest, bo tkwimy w tej dziczy na północnym zachodzie – westchnęła Noor. – Ale spędziłam trochę czasu, pracując na połu-

dniu wyspy, rozdawałam ulotki i próbowałam rozmawiać z wpływowymi ludźmi, kiedy tylko jakichś znalazłam. Chodziłam też do różnych fundacji, organizacji pozarządowych i tak dalej.

– Z jakim skutkiem? – zapytała Helena.

Noor wzruszyła ramionami.

– Wiele osób okazuje dużo zrozumienia i chęć wsparcia, kiedy się z nimi rozmawia, ale tak w ogóle sprawa wydaje się beznadziejna.

Helena pokiwała głową ze smutkiem.

– Turystyka to największy przemysł na świecie. Nas jest bardzo mało, a walczymy z korporacjami mającymi miliardy dolarów. To frustrujące jak diabli, ale wszystko, co możemy zrobić, to cierpliwie skubać ludziom sumienia. W tej chwili mniej niż jedna osoba na tyśiąc w ogóle myśli o takich ludziach jak wy, wyrzuconych z własnej ziemi, bo komuś zachciało się postawić na niej hotel, albo o spustoszeniach, jakie sieją w środowisku naturalnym, kiedy wyjeżdżają na luksusowe wakacje. Ale jeśli będziemy uparcie nagłaśniać sprawę, może wkrótce pomyśli o tym jedna osoba na sto, może nawet na dziesięć, a na tym etapie korporacje i rządy będą musiały zacząć reagować, bo niereagowanie stanie się po prostu zbyt kosztowne.

Aizat, Noor i Abdul pokiwali głowami.

– To rzeczywiście bywa przygnębiające, bo zajmuje dużo czasu, a efektów prawie nie widać – powiedział Abdul szczerze. – Ale moi przodkowie żyli w tej wiosce od setek lat, a teraz zostało po niej kilka kikutów po drewnianych słupach.

– Macie jakąś strategię kampanii? – zapytała Helena.

Aizat skinął głową.

– Koncentrujemy się na Tanie Abdullahu. Rządził tą wyspą, jeszcze zanim się urodziłem, ale krąży plotka, że ostrzy sobie zęby na tekę ministra w Kuala Lumpur i chce, żeby jego najstarszy syn objął po nim stołek gubernatora Langkawii.

– Wszystko, co stawia Tana w złym świetle, może przeszkodzić mu w rozpoczęciu kariery w rządzie – wyjaśniła Noor. – Dlatego

próbujemy narobić jak najwięcej smrodu, nękając go podczas występów publicznych.

– Przyjeżdża tu w sobotę na otwarcie hotelu – powiedziała Helena.

Noor entuzjastycznie pokiwała głową.

– Będzie mnóstwo znanych ludzi, więc na pewno zainteresują się media. Pracujemy nad planem zepsucia im tej imprezki.

Helena uśmiechnęła się.

– Brzmi nieźle, tylko nie bądźcie zbyt agresywni. Jak tylko zaczniecie wpadać w ekstremizm, wrogowie okrzykną was terrorystami i wasza popularność poleci na łeb na szyję.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – skinął głową Aizat.

– Ale nieczęsto się zdarza, żeby Tan Abdullah zawitał tu razem z prasą, i musimy w pełni wykorzystać tę okazję.

W drzwiach pojawił się mniej więcej dwunastoletni chłopiec, który powiedział coś do Aizata po malajsku. Aizat podziękował mu, wydał jakieś zawiłe instrukcje, po czym wyjaśnił po angielsku, by zaspokoić ciekawość Heleny:

– Wygląda na to, że nasza wielka szycha posłała za nami szpiega.

– Niech to szlag – szepnęła nerwowo Helena.

Aby zdobyć zaproszenie do Regency Plaza, Helen poprosiła o przysługę jednego ze swoich najstarszych przyjaciół i gdyby do redakcji gazety w Londynie dotarły wieści o tym, że wzgardziła zaofiarowanymi jej luksusami i obraziła reklamodawców, rozmawiając z miejscowymi aktywistami, jej kariera dziennikarska spłynęłaby do ścieku, a jej przyjaciel miałby poważne kłopoty.

– Chodźcie, pogadamy sobie z nim – powiedział Aizat, wstając i wychodząc boso w błoto. – Chodź, Helena.

Helena z westchnieniem wciągnęła na stopy swoje prawie nowe asicsy, teraz zalane brudnożółtą wodą. Aizat poprowadził ją pomiędzy dwoma rzędami baraków w stronę przysadzistego mężczyzny w błękitnej koszuli i szortach, przyczajonego w pobliżu cuchnącego

budynku toalet.

– Śledzisz nas? – zapytał Aizat po angielsku, by Helena rozumiała rozmowę.

Mężczyzna uśmiechnął się tępo i wzruszył ramionami.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Niektórzy mają krótką pamięć – powiedział Aizat oskarżycielskim tonem. – Pracowałeś dla pani Leung w hotelu Rozgwiazda, prawda? Wyrzucili cię z twojej wioski tak samo jak resztę z nas, a ty teraz odwalasz za nich ich brudną robotę!

Ochroniarz cmoknął i machnął ręką na Aizata, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

– Jesteś głupi, dzieciaku – mruknął. – Co ty w ogóle wiesz? Kiedy pani Leung sprzedała Rozgwiazdę, powiedziała ludziom z hotelu, że jestem dobrym pracownikiem i żeby mi dali posadę. Mam pięćro małych dzieci i dwie dorosłe kobiety na utrzymaniu.

Helena rozumiała położenie mężczyzny, ale Aizat wciąż był rozgniewany.

– Nie masz za grosz godności – wysyczał. – Mogłeś wynieść się na kontynent jak wszyscy inni. Nikt cię nie zmusza do pracy dla Tana Abdullaha.

Sto metrów dalej, tuż za pierwszym szeregiem baraków, rozległ się dźwięk klaksonu. Szpieg odwrócił się gwałtownie w tamtą stronę, a światło księżyca na chwilę wyłowiło z mroku sylwetkę biegnącego po błocie chłopca – tego samego, który wcześniej rozmawiał z Aizatem. Jednocześnie dały się słyszeć szelesty i skrzypnięcia, zupełnie jakby samochód z wyłączonym silnikiem staczał się coraz szybciej pochyłą drogą wiodącą w stronę plaży. Mężczyzna zaklął szpetnie po malajsku i puścił się w pogoń za autem.

Helena spojrzała na Aizata.

– Takimi akcjami tylko niepotrzebnie narobisz sobie wrogów – powiedziała ostrzegawczym tonem.

– To przecież nie ja – bronił się Aizat i wyszczerzył zęby w uśmie-

chu. – Stałem tu, przy tobie, kiedy to się stało.

Samochód był małym terenowym suzuki. Chłopiec wspiał się do środka przez odkryty tył, zwolnił hamulec ręczny, a potem z pomocą kolegi zepchnął auto z górki.

Z baraków wylegli ludzie zaciekawieni pomstowaniem ochroniarza, a tymczasem samochód nabierał prędkości. Za pierwszym zakrętem małe suzuki z łomotem zjechało z drogi, przedarło się z chrzęstem przez splątane zarośla, po czym gruchnęło przodem w pień drzewa i przewróciło się na bok.

Tuziny dzieci i dorosłych popędziły drogą w dół, żeby obejrzeć wrak. Ochroniarz biegł na czele tłumu, ale kiedy się zatrzymał, dwaj mniej więcej trzynastoletni chłopcy zaczęli ciskać weń kamieniami.

– Przestań nas szpiegować! – wykrzykiwali. – Trzymaj się z dala albo jesteś trupem!

Mieszkańcy obozu wysiedleńców byli podzieleni. Część żywiła urazę, ale przecież niemal drugie tyle ludzi chowało swoją dumę i pracowało w Regency Plaza albo jako budowlańcy w innych obiektach budowanych przez Tana Abdullaha wzdłuż wybrzeża.

Helena wzdrygnęła się, kiedy dżunglę rozświetliła pomarańczowa kula płomieni. Nie wiedziała, czy bak małego suzuki zapalił się przypadkowo, czy został podpalony, ale tłum robił się coraz bardziej agresywny, a ona bała się, że lada chwila zjawi się policja i zacznie zadawać pytania.

Dziennikarski instynkt podpowiadał Helenie, by została i robiła zdjęcia, ale strach i złość kazały jej ruszyć szybkim krokiem w dół, w stronę plaży.

– Hej, a ty dokąd? – zawołał Aizat, podbiegając za nią.

– Wracam do hotelu – odpowiedziała Helena nerwowo. – Nie martw się, dam sobie radę.

– Lepiej, żebyś nie łąziła tu sama po zmroku – powiedział Aizat. – Od kiedy otworzyli hotel, kręcą się tu różne podejrzone typy.

Helena nie odpowiedziała. Szła w milczeniu, przebierając długimi

nogami tak energicznie, że Aizat miał kłopoty z dotrzymaniem jej kroku. Pod koronami drzew zwieszającymi się z obu stron wąskiej gruntowej drogi było przeraźliwie ciemno. W pewnej chwili musieli uskoczyć w las przed pędzącą z naprzeciwka toyotą.

U stóp wzgórza kończyła się dżungla i zaczynał inny świat. W dali jarzyły się sztucznym światłem okna hotelu i widać było jasno oświetlone pole golfowe. Zamiast skierować się prosto do hotelu, Helena przebiegła przez plażę i stanęła po kostki w wodzie, by obmyć buty z błota. Aizat zatrzymał się tuż za nią.

– Jesteś na mnie zła? – zapytał.

Helena odwróciła się z gniewną miną, odgradzając się od chłopca skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Nie mam pojęcia, jak to miało nam pomóc. Rozwalając samochody, tylko niepotrzebnie narażasz się ludziom.

– Może. – Aizat wzruszył ramionami, podchodząc bliżej wody i pozwalając, by nadciągająca fala oblała mu stopy. – Ale wiesz, gdyby każdy, kto jest tak wściekły jak ja, rozwalił im coś albo ukradł rzeczy za parę tysięcy dolców, to takie miejsca jak Regency Plaza w ogóle by nie istniały. Właściwie to nie wiem, czemu nie miałbym załadować pikapa beczkami z benzyną i wbić drania prosto w recepcję Regency Plaza?

– Bo albo usmażyłbyś się na miejscu, albo spędził resztę życia w więzieniu – powiedziała Helena z goryczą. – A przy okazji uśmierciłbyś z pół tuzina zwyczajnych pracowników hotelu próbujących z nędznej pensji wyżywić swoje rodziny, firma ubezpieczeniowa zapłaciłaby za remont recepcji, a Tan Abdullah nawet by okiem nie mrugnął.

– Pewnie tak – przytaknął Aizat i zaśmiał się sucho. – Ale co dobrego kiedykolwiek zrobiły twoje artykuły i kampanie? Czy kiedykolwiek naprawdę coś osiągnęłaś, siedząc przy biurczku i stukając teksty na komputerze? – zapytał, zbliżając się o dwa kroki do Heleny.

Helena zamachała rękami ze złością.

– Jasne, co ja tam wiem! – zawołała. – A walić to, idź i się zabij! Nie żebyś potrzebował mojej zgody zresztą. Ja tylko przyjechałam, żeby pomóc ci w twojej kampanii. Może też po to, żeby nadać sprawie trochę rozgłosu czy coś, ale jeśli nie potrzebujesz pomocy, to wracam do hotelu. Zrelaksuję się w spa, pójdę na durny kurs golfa, żeby jakiś zboczony fotopstryk mógł poślinić się do mojego tyłka, naskrobię tysiąc słów napuszonego panegiryku do dodatku turystycznego, a potem zapomnę o całym tym gównie.

– Czy ktokolwiek mówił ci już, jaka jesteś seksowna, kiedy się złościś? – uśmiechnął się Aizat.

Uwaga ta zbiła Helenę z pantałyku.

– Co za koszmarny tekst na podryw – powiedziała ze śmiechem.

– No więc co zamierzasz? – zapytał Aizat. – Pomożesz nam czy nie? Czy nie po to naciągnęłaś gazetę na tę darmową wycieczkę?

Helena wzruszyła ramionami i ruszyła brzegiem plaży.

– Jeśli mam być szczerą, Aizat, to trochę mnie to przerosło. Przyjechałam tu, żeby pomóc siedemnastoletniemu dzieciakowi zacząć własną akcję protestacyjną, ale ty radzisz sobie doskonale ze swoim małym paserskim biznesikiem i dzieciakami wypatrującymi szpiegów.

– Ludzie zawsze mówili mi, że jestem dojrzały – powiedział Aizat.

– Zresztą nie miałem wielkiego wyboru, bez rodziców i z siedemdziesięcioletnią babcią, która jest kochana i w ogóle, ale jest także takim typem człowieka, który odda ostatni kęs jedzenia psu przybędzie, zapominając, że za godzinę wraca ze szkoły dwójka jej głodnych wnuków.

– Wiesz co – powiedziała Helena takim tonem, jakby podjęła decyzję. – Pytałeś mnie, co zamierzam. W tej chwili kręci mi się w głowie od tego wszystkiego i jedyne, co chciałabym zrobić, to wrócić do mojego pokoju w hotelu i skuć się darmowym alkoholem.

20. GROŻBY

Helena otworzyła jedno oko. Leżała na brzuchu, zwisając z boku olbrzymiego hotelowego łóża, z jedną ręką na podłodze i nogami zaplątanymi w kołdrę. Głowa pulsowała jej bólem, a w spieczonych ustach czuła smak skwaśniałego mleka.

Ktoś dobijał się do drzwi.

– Panno Bayliss?!

– Czego tam! – odkrzyknęła z irytacją. – To pomyłka. Niczego nie zamawiałam.

Pomyślała, że być może to fotograf albo instruktor golfa, ale zegar mówił, że jest dopiero dziewiąta, co oznaczało, że ta tortura czeka ją dopiero za trzy godziny.

– Tu Michael Stephens z Tourism Malaysia – wyjaśnił męski głos o akcencie przywodzącym na myśl angielskie szkoły dla dzieci arystokratów. – Czy mógłbym wejść na krótką rozmowę?

– Właśnie biorę prysznic... Proszę zaczekać, włożę szlafrok.

– Nie ma pośpiechu – powiedział spokojnie Michael.

Usiadła na łóżku. Lustro na drzwiach garderoby pokazało jej własną bladą twarz i koszmarnie potargane długie włosy. Przemoczone trampki zostawiły ciemną plamę na nowiutkim dywanie. W łazience szumiał prysznic, a na podłodze wały się rozrzucone bezładnie ubrania Aizata.

Kopnęła jego buty pod łóżko, podniosła szorty i koszulę i pobiegła z nimi do łazienki. Było to obszerne pomieszczenie z dwiema

umywalkami i wanną z hydromasażem na jednym końcu. Na drugim końcu Aizat biczował się strumieniem wody w kabynie prysznicowej.

– Dzieńdoberek! – zawołał promiennie, odsuwając drzwi. – Wchodzisz?

Na twarzy miał tę samą triumfalną minę „dzień po”, jak każdy facet, z którym się kiedykolwiek przespała. Helena rzuciła ubrania na terakotową posadzkę, sięgnęła do kabiny i zakręciła wodę.

– Co do diabła?! – zaprotestował Aizat.

Po piersi spływały mu strugi piany.

– Teraz bądź cicho – powiedziała Helena stanowczo. – Przyszedł facet z Tourism Malaysia. Nie może się dowiedzieć, że tu jesteś.

Zamknęła drzwi łazienki, pospiesznie zarzuciła szlafrok na ramiona i wiążąc go w pasie, podbiegła do drzwi, by wpuścić Michaela do środka.

– Przepraszam – powiedziała, udając ziewnięcie. – Przekłęty jet-lag, a do tego lubię sobie pospać. Czy coś mnie ominęło?

Michael był eleganckim mężczyzną w szytym na miarę lnianym garniturze i butach wypolerowanych na lustro.

– Chciałbym zamienić z panią słówko – powiedział, obrzucając niechętnym spojrzeniem porzrzucone ubrania, puszki po piwie i niedopite butelki wina. – Może na balkonie?

– Oczywiście – odrzekła Helena.

Czuła się jak mała dziewczynka, która za chwilę ma dostać burę. Michael wyszedł na balkon i rozsiadł się na krześle.

– Czy wszystko w porządku? – zagał.

– W jak najlepszym – zapewniła Helena. – To naprawdę przepiękne miejsce.

– Poszła pani do obozu wysiedleńców z jednym z jego mieszkańców – powiedział Michael. – Nasze biuro ochrony obawiało się o pani bezpieczeństwo.

Helena zdała sobie sprawę, że czeka ją jedna z tych rozmów, w

których żadna ze stron nie mówi tego, co naprawdę ma na myśli. Michael wiedział, że spotkała się z miejscowymi aktywistami, którzy później zniszczyli samochód hotelowego szpiega.

– Wydawał się bardzo miły – powiedziała Helena. – Wyszłam trochę pobiegać, zaczęliśmy rozmawiać. Zaprosił mnie do siebie. To raczej ryzykowne dla samotnej dziewczyny w obcym miejscu, ale...

Michael sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył kilka złożonych kartek. Były to wydruki artykułów, które Helena napisała dla witryny Guilt Trips.

– Czy jest pani tą samą Heleną Bayliss, która napisała to? – zapytał Michael. – Pytam, bo szczerze mówiąc, Tourism Malaysia raczej nie ma dobrych stosunków z tą organizacją.

Helena przeczesła włosy dłonią i spróbowała roześmiać się bez troski.

– Skończyłam studia niecały rok temu. Staram się o etat w gazecie. Kolega doradził mi, żebym popracowała dla Guilt Trips, to będę miała więcej do wpisania w CV. Płacą od artykułu. Niewiele, ale mam na głowie czynsz i dwadzieścia tysięcy kredytu studenckiego. Wielkie tytuły na razie nie walą do mnie drzwiami i oknami z propozycjami pracy, więc biorę, co mi dają.

– Rozumiem – mruknął Michael, rzucając Helenie podejrzliwe spojrzenie. – I chciałyby pani pisać o turystyce, tak?

– O tak – przytaknęła Helena.

Michael pogroził jej palcem w protekcyjny sposób.

– To mały świadek – ostrzegł. – Każdy zna każdego. Przypuszczam, że napisanie tego artykułu zleciła pani Jane Baverstock.

Helena skinęła głową.

– To moja redaktorka.

– Wspaniała kobieta – rozpromienił się Michael. – Jane i ja znamy się od niepamiętnych czasów. Przez kilka lat pracowaliśmy razem dla nowozelandzkiej komisji turystyki. To świetny kontakt, jeżeli ktoś chciałby rozpocząć karierę w dziennikarstwie turystycznym.

Radzę pani trzymać z nią sztamę.

Helena pojęła, że Michael rzucił zawołowaną groźbę: jeśli w artykule znajdzie się choćby wzmianka o wysiedlonych rybakach, jego stara kumpela Jane Baverstock go nie opublikuje.

– Dlatego tak bardzo mi zależało na tym tekście o Regency Plaza – powiedziała Helena, nadymając się sztucznym entuzjazmem. – Do tej pory obrabiałam same poważne tematy. Ale ten artykuł, jeszcze w kontekście lekcji golfa, daje mi szansę na pokazanie, że potrafię pisać też lżejsze rzeczy.

Ku wielkiej uldze Heleny Michael wydawał się przyjmować te wyjaśnienia i jego ton nieco się ocieplił.

– Zatem nie będzie pani pisać o Langkawi dla Guilt Trips? – zapytał.

Helena zaśmiała się, jakby sugestia wydała się jej kompletną niedorzecznością.

– Będę się trzymać zaleceń mojej redakcji – obiecała.

– Mądra decyzja – powiedział sztywno Michael. – Bo widzi pani, w tych osiedlach w dżungli można spotkać kilka niezadowolonych marud, ale większość tubylców zarabia dobre pieniądze, pracując w turystyce, a malezyjskie władze zainwestowały potężne środki w ich dobrobyt. Mają czystą wodę i prąd, edukację i służbę zdrowia. Żadna z tych rzeczy nie byłaby osiągalna, gdyby nie pieniądze z turystyki.

Kiedy Michael wreszcie opuścił pokój, Helena westchnęła z ulgą. Nie była pewna, czy uwierzył we wszystkie jej zapewnienia, ale miała nadzieję, że legendą o początkującej reporterce przynajmniej kupiła sobie trochę czasu.

Opadła na łóżko nękana mdłościami i bólem głowy. W tej samej chwili z łazienki wybiegł nagi Aizat.

– Czy ten palant powiedział „służba zdrowia”? – prychnął gniewnie. – Moja babcia omal tam nie umarła. Połowa dzieciaków z obozu miała biegunkę i rzygała dalej, niż widziała. Nie mieliśmy lekarza

ani hydraulika, żeby zadbał o kanalizację. W końcu grupa krewnych z kontynentu zrzuciła się i opłaciła lekarza, który do nas przyjechał. Wiem, bo sam go wiozłem moją łódką, a potem, kiedy odwiozłem go z powrotem, kupowałem na kontynencie lekarstwa dla wioski.

Helena nie słuchała. Wyjazd nie przebiegał w sposób, na jaki liczyła, i była roztrzęsiona. Wyobrażała sobie, że przyjedzie na wyspę, wymknie się na spotkanie z Aizatem, wykorzysta swoje doświadczenie w organizowaniu kampanii dla Guilt Trips do zainspirowania współników Aizata i ożywienia ich akcji protestacyjnej, potem odbębni kurs golfa i popchnie własną karierę dziennikarską, pisząc mdły artykuł do dodatku turystycznego, by wreszcie wrócić do domu z poczuciem triumfu, upiekłszy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zamiast tego została przydybana przez ochronę hotelu zaledwie kilka minut po wyjściu na zewnątrz, odkryła, że miejscowi aktywiści mają już własne radykalne pomysły, a żeby do reszty skomplikować sytuację, spała się do nieprzytomności i poszła do łóżka z siedemnastolatkiem.

Jedynym plusem było to, że wszystko to działo się daleko od domu i mogła mieć nadzieję, że nikt, kto się liczy, przenigdy o tym nie usłyszy.

21. ZWROT

W ciągu następnych dwóch dni Helena wzięła trzy lekcje golfa, zdobyła kilka użytecznych kontaktów, jedząc i pijąc z kolegami po fachu, i próbowała zdławić poczucie winy, oddając się przyjemnościom zabiegów spa, kąpieli w jacuzzi oraz wycieczki szybką motorówką wokół wyspy.

Jej relacje z Aizatem były niezręczne. Chłopak był uroczy, ale nie zamierzała więcej z nim sypiać. Wymienili się kilkoma esemesami, snując plany ponownego spotkania dla omówienia strategii kampanii, ale w istocie nie rozmawiała z nim normalnie, dopóki nie zadzwonił na jej komórkę o wpół do siódmej w sobotni wieczór.

Była w swoim pokoju, gdzie z turbanem z ręcznika na głowie przeglądała ubrania, próbując wybrać coś odpowiedniego na uroczystą kolację.

– Musisz nam pomóc, wchodzimy dziś do hotelu – oznajmił Aizat.

Helenę przerażała ta perspektywa – wciąż miała w pamięci, co się stało z suzuki dwa wieczory wcześniej.

– Co dokładnie zamierzacie zrobić? – zapytała. – Z powodu wszystkich tych sław ściągnęli dodatkową ochronę. Ten hotel jest pilnowany lepiej niż skarbiec w banku.

Aizat roześmiał się.

– Oglądałaś *Gwiezdne wojny*? Pamiętasz oddział dzielnych rebeliantów, którzy zniszczyli „Gwiazdę Śmierci”? To ja, Noor i reszta

gangu za jakieś trzy godziny.

– Chyba nie planujecie jakichś rozbojów, co?

– Żadnej przemocy – potwierdził Aizat. – Ale nie będzie łatwo wydostać się z hotelu przy tak licznej ochronie. Pomyśleliśmy, że ktoś z nas mógłby przycząć się na trochę w twoim pokoju i wymknąć, kiedy szum przycichnie.

Helena była rozdarta. Przyjechała tu, aby pomóc Aizatowi, ale nie była pewna, czy jest gotowa posunąć się aż tak daleko.

– No, nie wiem – powiedziała niepewnie.

– Słowa nieoparte czynami nie mają żadnej mocy – powiedział z gniewem Aizat.

– Wyjeżdżasz mi tu z Che Guevarą? – odparowała Helena. – Widzę, że przynajmniej przeczytałeś książki, które ci przysłałam.

– A ja myślę, że robisz się miękka, siedząc tam sobie przy minibarze w puszystym szlafrocuku.

Helena przysiadła na narożniku łóżka i przygryzła wargę. Aizat miał odwagę, siłę przekonywania, a co więcej, w zasadzie miał także rację. Dała się uwieść luksusowemu otoczeniu i urokiem wygodnego życia starszych reporterów z dziećmi w prywatnych szkołach i letniskowymi domami na Sycylii. Ale czy naprawdę chciała spędzić życie na lekcjach golfa i pisaniu o restauracjach?

– Jesteś tam jeszcze? – zaniepokoił się Aizat.

– Cii, myślę – odparła Helena, a potem westchnęła. – Dobra, dobra, jasne, że wam pomogę.

*

Helena wyszła z windy i wkroczyła do ogromnego westybulu Regency Plaza. Minęła już ósma i hall był pełen ludzi. Mężczyźni w smokingach wodzili oczami po jej długich nogach i odsłaniającej ramiona sukni w kolorze kości słoniowej.

– Wygląda pani olśniewająco – powiedział Michael Stephens. – Udał się pani pobyt?

– Bardzo, dziękuję – odpowiedziała Helena. – Chociaż czuję się

nieco bez szans wśród tyłu wielgachnych brylantów i designerskich kreacji.

Przed głównym wejściem hotelu zatrzymał się czarny bentley. Błysnęły flesze i po czerwonym dywanie ruszył uśmiechnięty mężczyzna ze swoją dziewczyną. Jego twarz wydała się Helenie znajoma.

– Kto to jest? – zapytała.

– Nie jest pani entuzjastką golfa, prawda? – zaśmiał się Michael. – To Joe Wright-Newman, obecnie trzeci w światowym rankingu golfistów, zdobywca dwóch tytułów mistrzowskich. A właśnie, jak poszły pani lekcje?

– Jeszcze bolą mnie ręce – poskarżyła się Helena. – Ale uderzyłam kilka niezłych drajwów. Instruktor uważa, że jestem powyżej przeciętnej.

Michael dostrzegł kogoś po drugiej stronie hallu i na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

– Najmocniej przepraszam, pani Heleno, obowiązki wzywają.

Podczas gdy Michael potrząsał dłonią tłustego mężczyzny, Helena odwróciła się w lewo i ruszyła do wyjścia z hallu. Przeszła dwadzieścia metrów po marmurowej posadzce pomiędzy bujnymi palmami i ciurkającą wodą, po czym przeciągnęła swoją kartę-klucz przez elektroniczny czytnik. Szerokie drzwi rozsunęły się, wpuszczając ją do opustoszałego hotelowego zespołu basenów.

Zerknęła na zegarek i z udawaną swobodą ruszyła wzdłuż brzegu basenu w stronę damskiej toalety. Noor czekała w jednej z kabin, ubrana w niebiesko-pomarańczowy kombinezon, jaki nosił personel techniczny hotelu.

– Masz, to mój zapasowy – powiedziała Helena, podając dziewczynie klucz wielkości i kształtu karty kredytowej. – Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie, to wystarczy – powiedziała Noor. – Dziękuję.

*

Program ceremonii otwarcia wymagał, by wszyscy opuścili budynek hotelu – w którym wielu gości mieszkało od trzech dni – i zgromadzili się za grubą złotą wstęgą przed wejściem. Następnie wstęga została przecięta jednocześnie przez pięć par ogromnych nożyc trzymanyh przez Joego Wrighta-Newmana, znaną śpiewaczkę operową, dwie malezyjskie gwiazdy popu oraz gubernatora Tana Abdullaha.

Wyraziwszy aplauz brawami, tłum czterystu gości wlał się do głównej sali bankietowej hotelu. Tan Abdullah – niewysoki mężczyzna, lekko utykający z powodu chorego stawu biodrowego – zasiadł przy głównym stole ustawionym prostopadle do wszystkich pozostałych.

Resztę gości rozsadzono w kolejności zależnej od ich prestiżu, toteż Helena trafiła do ostatniego rzędu, przy wahadłowych drzwiach prowadzących do kuchni.

Jedzenie było średnie, a do tego, zanim podano je czterystu gościom, zdążyło wystygnać. Po trzecim daniu, kiedy na stoły wjechał deser i kawa, Tan Abdullah dźwignął się z krzesła i zaczął przemawiać. Operatorzy lokalnej stacji telewizyjnej lojalnie rejestrowali triumf ich gubernatora, podczas gdy grupa fotografów uwijała się na klęczkach przed głównym stołem, pstrykając zdjęcia celebrytom.

Kiedy Tan Abdullah ukłonił się z godnością i usiadł, by napawać się aplauzem, drzwi kuchni na tyłach sali otworzyły się i wybiegło z nich sześć zamaskowanych postaci w kombinezonach hotelowych techników. Cztery młodzi mężczyźni pobiegli w stronę głównego stołu, zaś pozostałe z tyłu dwie dziewczyny rozwinęły transparent ze zdjęciami przybrzeżnych wiosk rybackich na Langkawi.

Tłum gości jęknął ze zgrozy, kiedy dwaj intruzi rozpoczęli ostrzał stołu dla VIP-ów z ręcznych gaśnic napełnionych białą lepką cieczą. Celem był Tan Abdullah, ale porządnie dostało się także golfiście Wrightowi-Newmanowi i dwóm innym gwiazdom.

Kolejną falę poruszenia wywołał trzeci zamaskowany aktywista, który rozerwał foliowy worek wypchany ptasim pierzem i rzucił go na główny stół. Tymczasem jego kolega biegał pomiędzy stołami, rozrzucając wśród gości ulotki z mniejszego worka.

– Żądamy postawienia Tana Abdullaha przed sądem za nielegalne wyburzenie wiosek! – krzyknął Aizat.

Jeden z jego kolegów wskoczył na stół i krzyknął to samo po malajsku, podczas gdy do sali wbiegły oddziały policji oraz funkcjonariuszy ochrony w czarnych uniformach. Zamaskowani aktywiści rzucili się do ucieczki; pobiegli pomiędzy stołami z powrotem w stronę kuchni ścigani przez hotelowych ochroniarzy i policjantów z eskorty Tana Abdullaha.

Aizata schwytali pierwszego; jego drobną figurę powalił na ziemię zwalisty mężczyzna, jeden z hotelowych gości. W ciągu kilku sekund chłopca obsiedli mundurowi, skuwając mu ręce kajdankami.

Dwie dziewczyny, które stały z transparentem opodal kuchni, miały największe szanse ucieczki. Helena wystawiła nogę, podcinając ścigającego je policjanta, który runął dramatycznie przed siebie, wbijając twarz w sąsiedni stół. Następny mundurowy biegł kilka kroków za nim, ale kobiety zdążyły już zniknąć w kuchni, której przyjaźnie nastawiony personel opóźnił pościg, podtaczając przed wahadłowe drzwi wielki wózek barowy.

Tan Abdullah ryczał z wściekłości wśród fruujących chmur pierza, które przylepiało mu się do mokrego ubrania i skóry. W migoczącej kanonadzie fleszy skoczył na jednego z operatorów telewizyjnych, usiłując zasłonić dłonią obiektyw. U niektórych gości początkowy szok ustąpił miejsca rozbawieniu, ale Aizatowi i jego kolegom nie było do śmiechu, kiedy policjanci i ochroniarze wyprowadzili ich skutych kajdankami przez główny hall na zewnątrz.

Helena sama jednak wpadła w tarapaty, bo policjant, któremu podstawiła nogę, przyskoczył do niej oszołomiony i czerwony z wściekłości.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął. – Aresztuję panią!

Ale dziennikarka o imieniu Jennie, która gawędziła z Heleną podczas kolacji, zerwała się z miejsca i gwałtownie zaprotestowała.

– Przecież widziałam, że to wypadek. Niech pan nie będzie durniem!

Dwoje Malezyjczyków siedzących naprzeciwko jeło besztać mężczyznę po malajsku. Do stołu podszedł starszy rangą policjant, który w kilku ostrych słowach nakazał swojemu podwładnemu spokój.

– To był niefortunny wypadek – powiedział, zwracając się do Heleny. – Proszę wybaczyć mojemu koledze. Poniosły go emocje, ale trudno się dziwić: właśnie nabił sobie porządne guza.

– Ależ nic nie szkodzi – sapnęła Helena, odruchowo ocierając pot z poblądłej skroni.

Kiedy policjanci się oddalili, Jennie spojrzała na Helenę z uśmiechem.

– Już myślałam, że koleś zakuje cię w żelazo, dziewczyno.

– Ja też – odparła Helena drżącym głosem, przyciskając jedną dłoń do piersi, a drugą chwytając swój kieliszek z czerwonym winem, by opróżnić go jednym haustem.

Ulotki rozrzucono w przeciwnym końcu sali, ale podawane z rąk do rąk wędrowały wzdłuż stołów i jedną z nich ktoś podsunął Helenie.

Gratulujemy gubernatorowi Tanowi Abdullahowi zniszczenia naszych domów, naszego środowiska i pozostawienia nas, abyśmy zgnili w dżungli.

– Ciekawa sprawa – zauważyła Jennie. – Wszyscy mówią, że Abdullah to kawał bandziora, ale kto nim nie jest w tej branży?

– Naprawdę sądzisz, że on ma coś na sumieniu? – zapytała Helena, kiedy wróciły jej rumieńce.

Kelner zauważył jej pusty kieliszek i przysunął się z butelką, ale

Helena nakryła szkło dłonią.

– Dziękuję, wypiałam już dość.

Kiedy znów odwróciła się do stołu, dreszcz przebiegł jej po plecach. Trzy stoliki dalej stał Michael Stephens. Rozmawiał z jednym z hotelowych ochroniarzy, ale patrzył prosto na nią.

22. CELA

– Rozbieraj się, gównojadzie – warknął oficer, rozpinając Aizatowi kajdanki.

Policyjna cela była otwarta na kaprysy pogody, przykryta dachem z porzewiałej siatki, z brudną zapleśniałą posadzką i dziurą kanalizacyjną w narożniku okoloną zaskorupiałymi bryzgami odchodów. Aizat od początku wiedział, że ryzyko schwytania jest wysokie, ale to nie czyniło perspektywy aresztu ani trochę mniej przerażającą.

– Gacie też – rozkazał oficer i dla rozrywki zdzielił Aizata pałką przez plecy. – Wpakowałeś się w naprawdę paskudne łajno. Zadzieranie z Tanem Abdullahem na jego wyspie nie służy zdrowiu.

Kolejne uderzenie cisnęło więźnia na tylną ścianę celi. Policjant podszedł niespiesznie i chwyciwszy go za ramiona, wbił mu kolano w brzuch. Twarz chłopca wykrzywił grymas wściekłości.

– Co? Chcesz mi oddać? – zarechotał oficer. – No, dawaj! Śmiało, pokaż, co potrafisz.

Policjant kopnięciem wyrzucił ubranie Aizata z celi, po czym sam wyszedł i zatrzasnął za sobą kratę służącą jako drzwi.

Aizat osunął się plecami po ścianie. Odkryte cele zostały wybudowane wokół czterech boków prostokątnego dziedzińca. Chłopiec nasłuchiwał krzyków mężczyzn i łomotu zatrzaskiwanych krat. W pewnej chwili rozpoznał głosy Abdula i pozostałych dwóch kolegów.

– Hej, złapali dziewczyny? – zawołał.

Ktoś z drugiej strony ciemnego dziedzińca krzyknął, że nie wie, ale w następnej sekundzie przed celą Aizata zjawił się ogromny strażnik, który zagrzechotał pałką po kracie.

– Jeszcze jedno słowo, a każę was zakneblować – pogroził. – Aresztantom nie wolno się porozumiewać.

– Wal się! – krzyknął więzień.

– Och, tacy jesteście cwani? – wycedził strażnik.

Na plac wyszli kolejni dwaj policjanci.

– Szóstka – powiedział jeden.

Szczęknięty otwierane drzwi celi, dźwięk dobiegł z tej samej strony dziedzińca, po której była cela Aizata. Trzej strażnicy wywlekli więźnia na środek placu. Aizat przywarł do krat, starając się dojrzeć coś w półmroku.

– Ale za co? – jęczał mężczyzna. – Ja spałem.

– Jeden się odzywa, drugi dostaje łomot – odparł filozoficznie oficer.

Nagi więzień został przewrócony na ziemię, kilkakrotnie uderzony pałkami i na koniec brutalnie kopnięty w brzuch.

– Pozycja! – krzyknął inny policjant.

Więzień z doświadczenia wiedział, co ma robić. Rozstawił szeroko nogi, dłonie położył z tyłu głowy i przykucnął, zwieszając nagie pośladki kilka centymetrów nad ziemią. Pozycja ta, bardzo obciążająca i wymagająca nieustannej walki o równowagę, w ciągu niespełna dwudziestu minut powodowała bolesne skurcze mięśni.

– Posiedzi tak do rana – oznajmił policjant. – Jeszcze jedno słowo, a reszta z was dołączy do niego.

Aizat wzdrygnął się, łapiąc za pręty krat swojej celi. Przeczytał wiele książek wielkich myślicieli, czytał o rewolucjach, partyzantach i bojownikach o wolność, którzy odsiadywali wyroki w więzieniach. Na papierze wydawali się herosami, ale on sam był w tej chwili tylko nagi, cały w sińcach i śmiertelnie przerażony.

Gdyby Helena opuściła bankiet w pośpiechu, wyglądałoby to podejrzanie, dlatego pozostała w sali, starając się ukryć zdenerwowanie. Wśród dziennikarzy panował niefrasobliwy konsensus, że piana i pierze wspaniale ożywiły nudną kolację i być może uratowały ich przed koniecznością wysłuchiwania kolejnych przemówień. Ulotki protestujących wydawały się nie robić na nikim wrażenia i Helena zapytała o to Jennie.

– Miejscowi biją w ten sam bęben, gdzie tylko powstanie jakiś nowoczesny ośrodek turystyczny – powiedziała dziennikarka. – Współczuję tym ludziom, ale na tym polega rozwój. A że przy okazji jakiś cwaniak, jak Abdullah, nabije sobie kabzę, a kilku miejscowych zostanie zrobionych na szaro, cóż... Takie życie.

– Przecież musi być jakiś sposób na rozwijanie turystyki bez krzywdzenia ludzi – powiedziała Helena, odwracając ulotkę w dłoni.

– Na pewno jest, kochanie – uśmiechnęła się Jennie, protekcjonalnie poklepując Helenę po nagim ramieniu. – Ale widzisz, ja na przykład spędziłam trzy lata, relacjonując wojnę na Bałkanach. Ja dłam gówniane żarcie, miałam piasek w gaciach, ale serce na właściwym miejscu. Tyle że wszystkie moje słowa nie zmieniły ani jednej ważnej rzeczy na świecie, więc kiedy dostajesz taką przyjemną fuchę jak ta, to moja rada brzmi: napisz bzdet, jakiego chce redaktor, ukradnij ręcznik i nie huśtaj łódką.

Helenie nie podobała się cyniczna postawa koleżanki, ale po minionych dwóch dniach była w stanie ją zrozumieć.

Starszy dziennikarz, który kilka razy rozmawiał z Heleną podczas kolacji, życzył jej dobrej nocy. Jego wyjście ośmieliło ją do pójścia w jego ślady. Pojechała na górę i ostrożnie weszła do swojego pokoju, nie wiedząc, czy spodziewać się policjanta gotowego ją aresztować, czy dwóch młodych aktywistek przycupniętych w łazience.

Jednak kiedy włączyła światło, wszystko wydawało się w najlep-

szym porządku. Idąc dalej w głąb pokoju, zauważyła, że jej zapasowy klucz leży przed telewizorem, przyciskając kartkę z notesu z jakimś napisem. Wiadomość brzmiała:

„Pożyczyłyśmy parę ciuchów. Dzięki!”.

Dopiero teraz Helena zauważyła, że jej walizka została gruntownie przetrząśnięta. Brakowało dwóch par dżinsów, lekkiego płaszcza i czarnych czółenek. Poczula się wykorzystana. Cieszyła się, że aktywistki zdołały uciec, ale nie była bogata, a wśród skradzionych dżinsów były kosztowne diesle, na które musiała oszczędzać.

Dobrze, że chociaż zabrały ze sobą kombinezony, maski i nie zostawiły śladów swojej obecności, które musiałaby zacierać. Drzwi balkonu były otwarte i Helena uświadomiła sobie, że Noor i jej towarzyszka mogły po prostu zwiesić się z pierwszego piętra i zeskończyć na plażę. Jedyne kłopot polegał na tym, że nowoczesny hotel, jakim był Regency Plaza, na pewno miał nadzór wideo i jedna z kamer musiała zarejestrować, jak dziewczęta wchodzą do jej pokoju.

Pamiętając sposób, w jaki Michael Stephens wpatrywał się w nią na dole, zastanawiała się, czy nie byłoby najlepiej, gdyby spakowała się i wyjechała. Tyle że ten ustronny zakątek Langkawi nie był miejscem, w którym można po prostu wezwać taksówkę, a jedyna znana jej osoba mająca łódź została w jej obecności zabrana przez policję.

Co by się stało, gdyby ją aresztowano? Jaką tu mają procedurę? Czy inni reporterzy pomogliby jej, dowiedziawszy się, co ją spotkało? Czy dostałaby adwokata? Czy w Malezji człowiek w ogóle ma prawo do adwokata? Czy brytyjska ambasada pospieszyłaby jej na ratunek?

Helena miała dyplom z prawa, ale studia nie nauczyły jej niczego użytecznego. Gdyby miała laptop i połączenie z internetem, poszukałaby w sieci jakichś informacji, ale laptop był poza jej zasięgiem finansowym; artykuł o Regency Plaza zamierzała napisać po powrocie do domu, wystukując tekst na swoim prastarym pepecie.

Pomyślała o zatelefonowaniu do rodziców i powiadomieniu ich o

swoich kłopotach. Była jednak daleko od domu, rodzice i tak nie mogli zbyt wiele dla niej zrobić, a wizja jej rozpaczającej mamy ostatecznie zniechęciła ją do tego pomysłu.

Helena opadła na łóżko i w ciszy poczuła rytm swojego serca. Nie mogła uwierzyć, że okazała się tak naiwna, by dać się uwikłać w tę aferę. Wyobraziła sobie, jak wszyscy będą się śmiać z durnej Angielki, która dała się wykorzystać bandzie szalonych tubylców podpalających samochody albo oblepiających pierzem polityków i sławnych golfistów.

– Ale ja jestem głupia! – krzyknęła na siebie ze złością, po czym wbiła głowę w stos poduszek u wezgowia łóżka i wybuchła płaczem.

*

Była trzecia rano, ale Aizat nie spał, kiedy oficer załomotał pałką w drzwi celi. Rozgniatając stopami zimną pleśń na posadzce, chłopiec stanął przy kracie i wysunął dłonie przez szczelinę do podawania posiłków, pozwalając zakuć się w kajdanki. Kiedy poprowadzono go obok więźnia kucającego na środku dziedzińca, usłyszał jego ciężki oddech i bolesne stękanie.

Pokój przesłuchań mieścił się na drugim piętrze budynku komendy. Dwaj prowadzący Aizata policjanci obchodzili się z nim brutalnie, obijając nim ściany i używając jego głowy do otwierania drzwi. Prowokowali go, licząc na pretekst do użycia pałek i sprayów pieprzowych dyndających im u pasa.

W jasno oświetlonym pokoju przesłuchań stał stół, dwa krzesła i oparta o ścianę zwalista policjantka. Na stole piętrzył się stos książek, w których Aizat rozpoznał swoją własność. Karola Marksa, Che Guevarę i komunistów umieszczono na szczycie obok książek o walce miejskiej i taktykach partyzanckich.

– Siadaj, Aizat – powiedziała kobieta oschle. – Nie musisz się wstydzić, nie jesteś pierwszym więźniem, jakiego widzę nago.

– Jeszcze jeden sposób, żeby mnie upokorzyć – burknął Aizat.

Policjantka wzruszyła obojętnie ramionami.

– Służę w jednostce chroniącej gubernatora od ponad dziesięciu lat. Moja praca polega na bezwzględnym traktowaniu każdego, kto go wkurza.

Aizat spojrział na wieżę z książek.

– Dobra, niech zgadnę, jestem komunistą i terrorystą, poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju. Dlatego zamierzacie mnie zamknąć i wyrzucić klucz.

Kobieta roześmiała się ponuro.

– Musisz mieć nieźle narąbane w głowie, żeby zadzierać z gubernatorem Abdullahem na jego wyspie. Jediną rzeczą, jaką możesz zrobić, żeby ułatwić sobie życie, jest podpisanie pełnego zeznania. Przyznaj, że jesteś terrorystą, wskaż wszystkie osoby związane z waszą organizacją i zdaj się na łaskę sędziego. Masz dopiero siedemnaście lat. Może dostaniesz głupie pięć lat i skrócenie wyroku, jak będziesz grzecznym chłopczykiem.

Aizat potrząsnął głową.

– Opanierowałem gubernatora w farbie i pierzu i rozrzuciłem ulotki. Do tego się przyznam, ale na pewno nie do steku łgarstw.

– Przemyśl to sobie – uśmiechnęła się policjantka. – Jak będziesz zgrywał twardziela, znajdziemy świadków gotowych cię wkopać i spreparujemy zeznania, że jesteś terrorystą, który planował zakup materiałów wybuchowych i produkcję bomb. Dostaniesz trzydzieści lat. Oni zostaną wolni.

Aizat wskazał na swoje książki.

– Żadna z tych rzeczy nie dowodzi niczego oprócz intelektualnej ciekawości. Na tym stole jest tyle samo książek napisanych przez prawicowych polityków, ile o komunizmie. Są tam trzy prace o Gandhim – to przecież pacyfista, na miłość boską!

Policjantka demonstracyjnie zepchnęła kilka tomów ze stołu i postukała się palcem w skroń.

– Wbij sobie to wreszcie do łba, Aizat. To nie ma nic wspólnego z

prawdą. Liczy się to, że podpadłeś gubernatorowi Abdullahowi. Upokorzyłeś go przed setkami ludzi, prasą i ekipą telewizyjną. Naprawdę wierzysz, że pozwoli swojej policji postawić cię przed sądem pod zarzutem rozlewania farby i wypuścić z trzydziestodniowym wyrokiem? O nie! On chce wysłać jasną wiadomość do wszystkich, którzy próbują mu się stawiać; chce pokazać, że takie nic nieznaczące robaczki jak ty zostają przeżute i wyplute.

– Przyznam się do tego, co zrobiłem – powtórzył Aizat. – I nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie dostanę adwokata.

Kobieta podniosła długą czarną pałkę. Wcisnęła przełącznik w rękojeści, wywołując skwierczenie iskier pomiędzy elektrodami na drugim końcu, po czym opuściła narzędzie i lekko dotknęła nim rzepki kolanowej więźnia. Mimowolny spazm szarpnął ciałem Aizata, wyrzucając go z krzesła naprzód. Chłopiec wyrznął podbródkiem w blat biurka i osunął się na podłogę, gdzie jeszcze przez kilka sekund podrygiwał w konwulsjach.

– To się nazywa żądło – oznajmiła policjantka, gładząc pałkę z zadowolaniem. – Pewnie domyślasz się dlaczego.

Jeden z policjantów, którzy przyprowadzili Aizata, wpadł do pokoju zwabiony łomotem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Ja sobie radzę, ale on chyba nie za bardzo – zaśmiała się oficer i dźgnęła więźnia elektryczną pałką między łopatkami.

Aizat zawył z bólu i skulił się w pozycji płodowej twarzą do ściany.

– Jesteś pewien, że nie chcesz wyznać swoich grzechów, Aizat?

Odpowiedzią było wyzywające spojrzenie.

– Odwal się, stara wiedźmo.

Aizat spodziewał się kolejnego porażenia, ale zamiast tego policjantka odwróciła się i wydała polecenie swojemu koledze:

– Przykujcie go za kostki i nadgarstki do blatu, a potem prądem po podszwach. Co trzy minuty, dopóki nie wrócę.

Aizat czytał gdzieś, że uderzenia w podeszwy stóp są wyjątkowo bolesne, i wolał nawet sobie nie wyobrazić, jak to jest mieć stopy przypalane prądem. Pragnął być silny, ale strach urósł mu w trzewiach niczym wielka bryła lodu.

– Może mógłbym jednak coś podpisać – zaproponował szybko, kiedy dwaj strażnicy podeszli, by dźwignąć go z podłogi.

Policjantka sadystka zbliżyła się do Aizata i udała ziewnięcie.

– Miałeś swoją szansę, Aizat, a teraz to ja muszę się przespać. Ale nie martw się, kiedyś w końcu wrócę. Pamiętajcie, panowie, co trzy minuty.

– Wredna suka! – krzyknął Aizat za wychodzącą policjantką.

Dwaj gliniarze zrzucili resztę książek ze stołu i rzucili Aizata twarzą w dół na lśniący blat. Złapali go każdy za jedną rękę i przymocowali je do stołu plastikowymi opaskami.

– No, dla ciebie to nie będzie przyjemna noc, chłoptasiu – powiedział jeden z policjantów, z całej siły zaciągając opaskę unieruchamiającą prawą kostkę Aizata.

Aizat zawył przeraźliwie, kiedy skwierczące elektrody przejechały mu po podeszwie stopy.

– Niech pani wróci, błagam! – załkał rozpaczliwie, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo jeden z policjantów odciągnął mu głowę do tyłu i zatkał usta kawałkiem brudnej szmaty.

23. TELEWIZJA

Helena nie mogła zasnąć. Kąpiel z biczami wodnymi nie przyniosła jej ukojenia, a kiedy wyszła z kabiny w hotelowej łazience, zdenerwowanie rzuciło ją na kolana przed muszlą klozetową, zmuszając do zwrócenia całej czterodaniowej kolacji. Próbowwała się uspokoić, zamykając oczy i wyobrażając sobie, jak wymeldowuje się z hotelu i bez przeszkód dociera do terminalu na Biggin Hill.

Poszukała numeru lotniska na Langkawi i asekurując się bajką o chorym dziadku, zapytała o najbliższe loty do Londynu. Było jedno połączenie, następnego ranka z przesiadką w Singapurze, ale cena biletu last minute wynosząca 1460 funtów przekraczała limit jej karty kredytowej.

Jednak przecież była całkiem dobrą biegaczką. Pomyślała o porzuceniu bagaży i pobiegnięciu nadbrzeżną drogą na południe wyspy, gdzie mogła wybierać spośród setek małych łodzi kursujących pomiędzy Langkawi a kontynentem.

Tylko czy to rzeczywiście rozwiązałoby problem? Być może zyskałaby trochę na czasie, ale policja i tak dopadłaby ją przy próbie wyjazdu z kraju, zaś podejrzane zachowanie z pewnością nie pomogłoby w przekonaniu kogokolwiek o jej niewinności.

Myśli pędziły jej przez głowę i w każdej chwili spodziewała się huku otwieranych kopniakiem drzwi. Ale nic podobnego się nie stało i około trzeciej nad ranem Helena zaczęła myśleć, że być może denerwowała się niepotrzebnie. No dobrze, podstawiała nogę poli-

cjantowi i spotkała się z Aizatem, ale czy w ogóle mieli inne dowody?

Wreszcie porzuciła wszelką nadzieję na sen i włączyła ogromny telewizor zawieszony na ścianie naprzeciwko łóżka. Przerzucając kanały, natrafiła na wiadomości i ujrzała nazwiska Tana Abdullaħa i Joego Wrighta-Newmana na pasku przesuwającym się na dole ekranu. Tekst napisano po malajsku, dlatego niczego więcej nie udało jej się zrozumieć.

Usiadła na brzegu łóżka i wbiła wzrok w ekran, na który wypłynęła fotografia Tana Abdullaħa ujęta w prostokąt nad ramieniem prezentera. Dwie sekundy później obraz zmienił się na ujęcia przedstawiające atak aktywistów z farbą i pierzem. Kamery pokazały znacznie więcej, niż Helena mogła zobaczyć z odległego miejsca na tyłach sali. Groza na twarzy Tana Abdullaħa i jego znamienitych gości była bezcennym widowiskiem.

Amerykański golfista i śpiewaczka operowa przyjęli na siebie prawie tyle samo farby i pierza co gubernator i Helena pomyślała, że już samo to gwarantuje zdjęciom emisję w serwisach informacyjnych na całym świecie.

Być może niektóre stacje pokuszą się nawet o omówienie faktów stojących za protestem. Helena aż napęczniała z podziwu, uświadamiając sobie, jak przemyślny okazał się Aizat. Siedemnastolatek wymyślił i zrealizował plan, który wykorzystał potencjał sławy celebrytów do nadania znaczenia własnej kampanii.

Aizat jednak musiał wiedzieć, że wpadnie w ręce policyjnych zbiorów siedzących w kieszeni Abdullaħa. Po raz pierwszy od czasu ataku aktywistów Helena pomyślała o kimś innym niż ona sama. Miała nadzieję, że Aizatowi i jego przyjacielom nie stanie się nic złego.

*

– Fúj, ty mały brudasie! – zadrwiła śledcza, kiedy weszła do pokoju przesłuchań i wyrwała więźniowi knebel z ust.

Aizatowi rażono prądem podeszwy w trzyminutowych odstępach przez dwie i pół godziny. Podczas mimowolnych konwulsji chłopiec kilkakrotnie tracił kontrolę nad zwieraczami i wił się z bólu we własnym brudzie. W pokoju cuchnęło, ale policjantka była niewrażliwa na zapach jak hodowca świń przyzwyczajony do odoru łajna.

– Gotowy do spowiedzi? – zapytała.

Aizat pomyślał o bohaterach z jego książek, którzy heroicznie znosili każdą torturę. Czuł się żaloszny, nie mogąc powstrzymać łez zalewających mu twarz.

– Podpiszę, co chcecie – zaszlochał. – Tylko już mnie nie męczcie.

– Mały szczęściarz – zasyczała kobieta, po czym zwróciła się do obu strażników: – Zabierzcie go stąd. Zlejcie go wodą, zdezynfekujcie, dajcie czyste ciuchy i wsadźcie do jednej z klimatyzowanych cel na dole.

Dwaj policjanci spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

– Przecież chłopak pękł – jęknął jeden. – Podsunąć mu papier, to przyzna się, że zabił własną babcię.

– Jego mały chwyt reklamowy jest już informacją dnia we wszystkich wiadomościach – wyjaśniła oficer śledcza z uśmiechem goryczy. – Wszystkich: Star TV. BBC, CNN i tak dalej, dlatego nie będzie żadnych lewych zeznań. Cały świat patrzy nam na ręce i gubernator mówi, że musimy rozegrać to w zgodzie z przepisami.

– Zdaje się, że to twój szczęśliwy dzień, Aizat – powiedział jeden z policjantów, biorąc się do rozcinania plastikowych kajdanek. – No, wstawaj, chłopcze.

Poparzone podeszwy zapiekły bólem, kiedy chłopiec postawił je w kałuży moczu otaczającej stół. Kiedy spróbował zrobić krok, strażnik musiał przytrzymać go za ramiona, by więzień nie runął na twarz. Mimo bólu Aizat nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Jeśli świat dowiedział się, co Tan Abdullah zrobił z jego wioską, to warto było pocierpieć.

*

Helena obejrzała materiał malezyjskiej telewizji, po czym przełączyła odbiornik na CNN, by obejrzeć to samo po angielsku.

– Golfowy numer trzy na świecie Joe Wright-Newman został oblany farbą i oblepiony pierzem podczas protestu, jaki zakłócił otwarcie nowego luksusowego ośrodka golfowego na malezyjskiej wyspie Langkawi.

O przyczynach protestu nie wspomniano, ale przez udział w wydarzeniach, o których mówiono w światowych mediach, przynajmniej nie czuła się tak osamotniona jak wtedy, kiedy akcja rozgrywała się tylko pomiędzy nią i garstką miejscowych aktywistów a gubernatorem wyspy i oddanymi mu siłami policji.

Tuż po szóstej rano odezwał się telefon przy jej łóżku. Dzwonił recepcjonista, który twierdził, że na podziemnym parkingu czeka na nią kurier z przesyłką, oraz upierał się, że aby ją odebrać, Helena musi zejść na dół i przedstawić dokument tożsamości. Było to podejrzane, ale Helena uznała, że gdyby policja chciała ją aresztować, po prostu by po nią przyszli. Ubrała się szybko w szorty, trampki i jedną ze swoich golfowych koszulek. Recepcjonista z parteru wskazał jej schody prowadzące na parking pod hotelem.

Kurier był w eleganckim uniformie międzynarodowej firmy transportowej i trzymał duży prostopadłościenny pakunek. Obejrawszy paszport Heleny, wręczył jej podkładkę do pisania z przypiętym formularzem.

– Co to jest? – zapytała, mówiąc powoli, w nadziei, że kurier ją zrozumie.

– Deklaracja celna – usłyszała w odpowiedzi. – Bo to z zagranicy.

Kiwnęła głową i zaczęła wpisywać w rubryki swoje dane: imiona i nazwisko, numer paszportu, adres domowy w Wielkiej Brytanii, podpis pod formułką potwierdzającą odbiór nieuszkodzonej przesyłki. Po wypełnieniu dokumentu musiała złożyć drugi podpis na szarym ekranie ręcznego terminalu.

Wreszcie kurier podał jej tajemniczą paczkę, którą wcześniej postawił sobie między stopami.

– Życzę miłego dnia – powiedział i oddalił się.

Przesyłka była lekka i wydawała się niezbyt starannie zapakowana. Helena oparła ją na szczycie betonowego słupka, rozerwała teksturę i otworzyła usta ze zdumienia na widok swych czarnych czółenek i dżinsów od Diesla, teraz ubłoconych i z rozdarciem na siedzeniu.

W przypiływie paniki rozejrzała się nerwowo wokół siebie. Podziemny parking przypominał jej scenę z setek filmów, w której zza betonowego filara wyłania się morderca, na rampie słychać pisk opon i furgonetka rozjeżdża bohatera z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Nic się jednak nie wydarzyło i zalekniona Helena bez przeszkód dobiegła do windy. Kiedy jednak wjechała na swoje piętro, zastała drzwi pokoju otwarte i w jednej chwili uświadomiła sobie, że paczka była tylko fortelem, który pozwolił komuś wejść do niej dyskretnie i bez awantur. W środku hotelowa pokojówka pakowała jej rzeczy, a przy łóżku stał Michael Stephens.

Helena poczuła przypiływ odwagi, który ją zaskoczył.

– To są moje prywatne rzeczy! – wykrzyknęła wyzywająco. – Nie macie prawa.

– Panno Bayliss – powiedział Michael, dystyngowany jak zawsze, wyciągając dłoń w stronę balkonu. – To jest pan Singh z malezyjskich służb imigracyjnych.

Pan Singh odpstryknął niedopałek nad barierką i wszedł do pokoju. Był to szczupły mężczyzna o nieco zniewieściałym wyglądzie. W ręce trzymał błyszczącą plastikową aktówkę.

– Proszę usiąść przy biurku – powiedział.

Helena usiadła niepewnie naprzeciwko Singha przy wąskim hotelowym biurku. Klosz przegubowej lampki wisiał niezręcznie pomiędzy nimi.

– Czy to pani pismo? – zapytał Singh, podsuwając swojej rozmówczyni kartkę.

Była to fotokopia ręcznie zaadresowanej paczki z książkami, którą wysłała Aizatowi kilka tygodni po tym, jak skontaktowała się z nim po raz pierwszy.

Helena skinęła głową.

– Tak, to ja pisałam. Czy to nielegalne wysłać do Malezji paczkę z książkami?

– Nie – odparł Singh. – Chyba że to książki zakazane lub pornograficzne. Nie wiemy, co było w paczce, ale kiedy składała pani wniosek wizowy przed wjazdem do Malezji, podpisała pani deklarację, oświadczając, że jest dziennikarką i zamierza pisać o turystyce. Czy wspomniała pani, że zna pana Aizata Rakyata? Albo że zamierza pani skontaktować się z nim podczas pobytu w Malezji i wypytywać o jego działalność polityczną?

Helena poprawiła się na krześle.

– Czyż zadawanie pytań nie należy do obowiązków dziennikarza?

Singh potrząsnął głową.

– Pani wiza wjazdowa nie upoważnia do uprawiania dziennikarstwa politycznego, dlatego też zostaje cofnięta. Odwieziemy panią na lotnisko i umieścimy w pierwszym samolocie do Wielkiej Brytanii. Czy mogę prosić o paszport?

Helena spędziła całą noc, marząc o ucieczce z wyspy, ale widząc, że ją z niej wyrzucają, poczuła się upokorzona i zła.

– Czy mam prawo do złożenia odwołania? – zapytała ze złością.

Singh skinął głową.

– Oczywiście. W takim przypadku umieścimy panią w ośrodku zatrzymań służb imigracyjnych w Kuala Lumpur. Odwołanie zostanie rozpatrzone w ciągu sześciu do dziesięciu tygodni.

– Tam nie jest tak miło jak w Regency Plaza – dodał Michael z szyderczym uśmieszkiem. – A jeśli nie zechce pani opuścić wyspy

po cichu, mam fascynujące zdjęcia z kamer nadzoru, jakie mógłbym pokazać policji.

Helena niechętnie podała Singhowi paszport. Malezyjczyk wyciągnął ze swojej aktówki wielką pieczętkę i czerwoną poduszczkę do tuszu. Pieczętka pasowała rozmiarami do strony paszportu i zostawiła na niej ogromne X, wraz ze słowami: „Naruszenie warunków wydania wizy, wydalenie z Malezji, absolutny zakaz wjazdu”.

Singh lubił bawić się swoim wielkim stemplem i zamiast przystawić go raz, przewędrował z nim przez cały dokument, odbijając komunikat na co drugiej stronie. Oznaczało to, że po powrocie do kraju Helena będzie musiała udąć, że zgubiła paszport i wystąpić o wtórnik, chyba że chciała odpowiadać na szczegółowe pytania dotyczące przyczyn wydalenia z Malezji za każdym razem, kiedy spróbuje wyjechać za granicę.

– Ma pani lot o dziesiątej – powiedział Singh, zerkając przelotnie na zegarek. – Pan Stephens zorganizuje pani transport na lotnisko. Jeżeli nie znajdzie się pani na pokładzie samolotu, nie będzie pani mogła wsiąść do następnego, nie przeszedłszy uprzednio przez ośrodek zatrzymań w Kuala Lumpur. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak – odpowiedziała Helena.

Singh oddał jej paszport i uśmiechnął się.

– Życzę bezpiecznej podróży, panno Bayliss.

Kiedy trzasnęły za nim drzwi, Helena westchnęła ze smutkiem, a Michael spojrzał na nią wyniośle i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Dopilnuję, żebyś już nigdy nie znalazła pracy w dziennikarstwie turystycznym, głupia smarkulo.

Maj 2009 (ponownie)

24. PROŚBA

– Nie miałem o tym wszystkim pojęcia – powiedział James, siadając przy swoim biurku i otwierając YouTube w laptopie. – Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Musiałem siedzieć cicho – wyjaśnił Kyle. – Zawaliłem misję na Karaibach, przydybali mnie na jaraniu zioła na naszej misji antynarkotykowej. Gdyby ktokolwiek w kampusie dowiedział się, że poszedłem do Guilt Trips, żeby pomóc Aizatowi, wykopaliby mnie z CHERUBA na dobre.

James był nieco zgaszony.

– Ale mnie mogłeś zaufać.

Kyle parsknął śmiechem.

– Tak, jasne! Tu nikt nigdy nie dotrzymuje tajemnic. Przypomnij sobie, jak przeleciała cię ta panna w Luton, Lois chyba. Wiedzieć o tym mieli tylko Bruce i Dana, ale po trzech tygodniach twoja łazienkowa przygoda była już najgorętszym tematem w kampusie.

– Tak było – przyznał James. – Ale z drugiej strony nikt mnie nie wsypał. Nikt z kadry się nie dowiedział, do dziś nic nie wiedzą. A w ogóle to co ja mam tu wstukać?

Kyle spojrział na ekran i wzruszył ramionami.

– Spróbuj „Wright-Newman pierze”.

Wyszukiwarka znalazła klip z CNN i James patrzył, jak Aizat ci-ska farbą i pierzem w Tana Abdulla, a potem zostaje schwytany przez policję. Film obejrzano ponad ćwierć miliona razy, a pod spo-

dem ciągnęła się kolumna komentarzy:

Uwolnić Aizata i Abdula

Aizat rządzi!

Dobre panierowanie. Tan Abdullah to skurwiel.

Odwiedź witrynę Guilt Trips i podpisz petycję TERAZ.

Ale nie wszystkie komentarze były przychylne dla Aizata.

Tan dał Langkawi miejsca pracy i pieniądze, a jego syn kontynuuje jego dzieło. Ta wyspa nie miała NICZEGO, zanim On się nie zjawił!

Aizat to durny kołek i powinien zawisnąć.

Te gnojki to jakieś gejuchy. Więcej by działali z dziewiątką glocka!!!!

– Co się stało, kiedy Helenę deportowali, a Aizata przymknęli? – zapytał James.

– Nawet w centrum zainteresowania mediów Aizat wciąż tkwił po szyję w gównie – powiedział Kyle. – Ale dostał adwokata i zgodził się przyznać do zarzutów z farbą i pierzem. Policja odpuściła oskarżenie o terroryzm, a w zamian jego prawnik nie wniósł oficjalnej skargi w sprawie tortur. W końcu dostał pięć lat. Abdul i pozostali faceci dostali po trzy, a Noor i ta druga dziewczyna po osiemnaście miesięcy w zawieszeniu.

– To znaczy, że wszyscy już wyszli oprócz Aizata.

– Zgadza się – przytaknął Kyle. – A Aizatowi też niewiele już zostało.

– Co z Tanem i rybakami?

– Był mały skandal. Tan został malezyjskim ministrem turystyki i przepchnął ustawę chroniącą wszystkie pozostałe wioski. Zrobił tym dobre wrażenie, ale przedtem zdążył wyburzyć wszystkie wioski na Langkawi, czyli ustawa działała na jego korzyść, bo nie pozwalała konkurencji na budowanie nadmorskich hoteli w innych częściach

Malezji.

– Cwana szuja – powiedział James, kręcąc głową z podziwem.

– Teraz awansował na ministra obrony i zdaje się, że ta twoja misja ma polegać na zabawianiu jego żony i dzieciaków, podczas gdy on będzie kupował masę nowiutkich lśniących armat i czołgów.

– A co u Heleny?

Kyle postukał palcem w twarz Joego Wrighta-Newmana na ekranie laptopa.

– Joe okazał się całkiem równym gościem. Jego ludzie przyjrzeni się sytuacji z wioskami rybackimi, a potem podarował Guilt Trips trzysta tysięcy. Dzięki temu fundacja mogła się przeprowadzić do przyzwoitego biura, a do tego jeszcze pomógł jej w rozkręceniu działalności w Ameryce. Facet zbiera kupę kasy na dobroczynność na charytatywnych turniejach golfowych, a nawet ma własną kampanię na rzecz zrównoważonego budownictwa golfowego.

– A cóż to za dziwadło? – zdumiał się James.

– Zawsze jak buduje się pole golfowe, to trzeba najpierw oczyścić kawał terenu, potem zasypać go tonami nawozu i zużyć mnóstwo wody, żeby wyrosła ta śliczna zielona trawka. Fundacja Joego buduje pola golfowe, ale na odłogach przemysłowych, czyli na ziemi zdegradowanej ekologicznie. Na przykład jedno wybudowali na terenie dawnej kopalni odkrywkowej, a inne na miejscu wyburzonej fabryki samochodów. Do podlewania greenów używają tylko deszczówki, musi być możliwy dojazd transportem publicznym, dzieci z ubogich środowisk mogą grać za darmo i tak dalej. Chociaż nie sądzę, żeby dali kartę członkowską takiej łajzie jak ty.

– Ach, jakiś ty dowcipny – skrzywił się James i pokazał Kyle'owi środkowy palec.

– Helena radzi sobie bardzo dobrze. Teraz jest szefową działu operacji globalnych w Guilt Trips i przenieśli się z tej wstrętnej kanciapy nad sklepem w Camden Town do całkiem sporego lokalu. Poza tym pisze artykuły do gazet, wygłasza odczyty na uczelniach i

tak dalej. Ach, no i Aizat strzelił jej gola: Helena ma trzyletniego syna – Aizata Juniora, który jest także moim chrześniakiem.

– Chrześnia... – zachłysnął się James, po czym parsknął śmiechem.

– Niezły z ciebie numer, Kyle. Jesteśmy kumplami od pięciu lat, a tu wciąż wyłazą z ciebie nowe sekrety. No i wielki szacun dla Aizata: chłopak ma łeb na karku, robi dziecko starszej superlasce oraz kibicuje Arsenalowi.

– James? – jęknęła Kerry z łazienki.

– Co? – zapytał James, zaglądając za drzwi, po czym roześmiał się na widok Kerry nadal leżącej w jego wannie pod strumieniem wody z prysznicą. – Rany, cała się pomarszczyłaś. Wyglądasz jak rodzynka.

Kerry weszła w fazę użalania się nad sobą i odezwała się jękliwie:

– Nie bądź złośliwy. Możesz przynieść ręcznik i szlafrok z mojego pokoju?

James wskazał na wieszak.

– Tam są ręczniki.

– Nie chcę, nigdy ich nie pierzesz – poskarżyła się Kerry. – Ostatnim razem, kiedy się u ciebie kąpałam, wytarłam się, spojrzałam w lustro i okazało się, że na twarzy mam ze dwadzieścia twoich włosów łonowych.

Kyle usłyszał to i wybuchnął opętańczym rechotem.

– Spoko, ja przyniosę – zaoferował się, podrywając się z miejsca.

Pokój Kerry był tylko dwa numery dalej i Kyle wciąż chichotał, kiedy wrócił z jej rzeczami.

– Te futrzaste kapcie też wzięłam – zawołał, rzucając tobołek Jamesowi, który wychylił się z łazienki.

– Buziaczki! – odkrzyknęła Kerry.

– No pięknie – narzekał James, podając Kerry rękę, by pomóc jej wstać. – On dostaje buziaczki, a ja muszę wyciągnąć twój tłusty pijany tyłek z wanny.

– Nie jestem gruba – jęknęła Kerry, a potem zachichotała i trzep-

nęła Jamesa w plecy.

Próbował dźwignąć ją i postawić w pionie, by potem pomóc jej się wytrzeć, ale nie była w stanie nawet stanąć prosto, więc w końcu złapał ją w pasie i zarzucił sobie na ramię.

– Kyle, odsuń moją kołdrę!

Schyliwszy się, by nie uderzyć głową Kerry o framugę, James wszedł do pokoju i rzucił swoją dziewczynę na łóżko. Kyle zarzucił na nią kołdrę, a Kerry odwróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę.

– Jezu, jak fatalnie się czuję – wymamrotała. – Od dzisiaj przestaję pić.

James wyciągnął spod biurka kosz na śmieci i postawił go na stoliku przy łóżku.

– Nie waż się puszczać pawia na moją pościel. Jak zechce ci się rzygać, celuj w to.

Kerry nie odpowiedziała, więc James pochylił się i uważnie przyjrzał jej twarzy.

– Trup – oznajmił i potrząsnął głową. – A ze mnie normalnie taki dżentelmen, że ani trochę mnie nie korci, żeby porobić jej żenujące fotki, kiedy jest nieprzytomna.

Kyle wskazał palcem wprowadzenie do misji Jamesa.

– Słuchaj, trochę mi głupio, ale czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym wspomniał o tym Helenie? Pewno już wiedzą, że Tan Abdullah przyjeżdża do Wielkiej Brytanii, ale nie będą mieli takiego szczegółowego planu wizyty, jak ty masz tutaj.

– Śmiało – odpowiedział James. – Nie pojedę na misję chronić tego padalca. I powiem jeszcze Laurze, to na pewno też się z tego wymiksuje.

– To może być ostatnia misja, jaką ci zaproponują – ostrzegł Kyle. – Nie będę miał ci za złe, że wzięłaś w niej udział, tylko pozwól mi skopiować ten plan.

James potrząsnął głową.

– Wiem, że zawsze są jakieś szare strefy, ale cherubini mieli stać po dobrej stronie. Nie po to szkoliłem się i trenowałem do wyrzycania flaków, żeby zostać gorylem takiego drania jak Tan Abdullah. Kurde, normalnie kusi mnie, żeby pójść z tobą i dołączyć do protestu.

25. ZMIANY

Dzięki niedawnemu awansowi na szefową opiekunów Meryl Spencer miała teraz własnego sekretarza oraz gabinet na parterze głównego budynku, dwa numery za biurem prezeski. Był poniedziałkowy poranek i James miał wyznaczone spotkanie na dziesiątą.

– Coraz lepiej ci się powodzi. – James wyszczerzył się w uśmiechu, rozglądając się po przestronnym pomieszczeniu, podziwiając modne sklejkowe biurko, błyszczący chromem ekspres do kawy i pomarańczowe obrotowe krzesła. – Trochę to lepsze niż ta zatęchła nora, którą miałaś na szóstym piętrze.

Meryl uśmiechnęła się.

– A najlepsze, że nie muszę już słuchać wrzasków obłąkanych dzieciaków ganiających się po korytarzu, kiedy próbuję pracować.

James ruszył w stronę krzesła przy biurku, ale Meryl zastąpiła mu drogę i skierowała do kanapy i stolika do kawy, na którym spoczywała sterta grubych informatorów uczelnianych.

– Przy biurku siadają tylko ci, którzy mają kłopoty – wyjaśniła. – Rozsiądź się wygodnie. Masz ochotę na filiżankę herbaty? A może kawy?

– Nie, dziękuję – odparł James, a Meryl położyła na stole gruby segregator opatrzony nalepką z napisem: „James Adams – program przeniesienia i usamodzielnienia”.

– Ponieważ twoja misja u Bandytów trochę się przeciągnęła, jesteśmy nieco w tyle z organizacją twojego wyjścia z kampusu – zaczęła

Meryl. – Jeszcze nie ma się czym martwić, ale wezwałam cię dziś do siebie, bo musimy zacząć podejmować decyzje dotyczące twojej przyszłości.

– Jasne – zgodził się z nią James. – Żeby gdybym chciał zacząć studia w październiku, nie okazało się, że jest za późno na złożenie papierów czy coś.

– Niektórzy cherubini, na przykład Kyle, są bardzo zorganizowani. Kyle wiedział, że chce studiować prawo, i wiedział, gdzie chce je studiować, więc w jego przypadku wystarczyło znormalizować świadectwa i złożyć standardowe zgłoszenie na uczelni.

– Znormalizować? – zdziwił się James.

– Przepraszam – powiedziała Meryl. – Myślałam, że wiesz, jak to działa. W ciągu minionych lat zaliczałeś egzaminy małej i dużej matury, kiedy miałeś wystarczające umiejętności i czas, by je zdać. Świadectwa wystawiano na nazwisko Jamesa Adamsa. Kiedy odejdziesz z kampusu, przyjmiesz nową tożsamość, a wtedy wystawimy ci świadectwa ponownie, na nowe nazwisko i z nową datą, żeby wyglądało, jakbyś zdał wszystkie egzaminy w tym samym roku, jak uczeń normalnej szkoły.

– Jasne. – James do tej pory wszystko rozumiał. – Nie przypuszczam, żeby była jakaś szansa na dopisanie do listy paru przedmiotów?

– Jesteś chyba setną osobą, która zadaje to pytanie – westchnęła Meryl. – Odpowiedź brzmi: nie. Nie zmusilibyśmy nikogo w kampusie do żadnej pracy szkolnej, gdybyśmy na wylocie po prostu wręczali wam pakiet lewych świadectw. Zresztą przy twoich zdolnościach matematycznych nie masz się czym martwić. Jakie masz oceny z matury?

– Bardzo dobry z hiszpana, celujące z rosyjskiego, matematyki, fizyki, rozszerzonej matmy i statystyki.

– Pięć celujących i jeden bardzo dobry – podsumowała z uśmiechem Meryl. – Wyobraź sobie, co mógłbyś mieć, gdybyś naprawdę

się przyłożył.

James roześmiał się.

– Cóż mogę rzec, jestem geniuszem.

Meryl chrząknęła.

– A jak ego ci spuchnie jeszcze bardziej, to nie zmieścisz się w drzwiach. Dobra, oto pierwsze pytanie, jakie mam do ciebie: czy myślałeś już o swojej tożsamości?

James skinął głową.

– Pomyślałem, że wrócę do nazwiska mojej mamy – Choke. Poza tym chciałbym zamienić imiona miejscami, będę więc Robertem Jamesem Chokiem.

– Brzmi rozsądnie – przyznała Meryl i zanotowała nazwisko. – Następne pytanie dotyczy twojego ojca. Czy w ogóle o nim myślałeś? Chciałbyś się z nim skontaktować?

– Akurat ten problem trochę mnie męczy – odpowiedział James cicho, przeczesując dłonią włosy. – Czytałem list, jaki mój tata wysłał na nasz stary adres. Wydaje się całkiem sympatycznym gościem, ale...

– Nie musisz decydować w tej chwili – przerwała Meryl. – Ale podczas tworzenia twojej nowej pocherubowej tożsamości musimy uwzględnić to, że twój ojciec żyje, oraz wziąć pod uwagę, czy chciałbyś nawiązać z nim kontakt w jakimkolwiek momencie swojej przyszłości. Może warto porozmawiać o swoich uczuciach z fachowcem. Jeżeli chcesz, mogę zorganizować ci spotkanie z jednym z naszych psychologów.

– Dzięki, chyba dam sobie radę – powiedział James. – Rozmawiałem z Laurą i Kerry o ewentualnym spotkaniu z tatą. Myślę, że w pewnym momencie swojego życia będę chciał obejrzeć się na własną przeszłość i wtedy pewnie się z nim spotkam. Może nastąpi to za dwa lata, a może za dwadzieścia, kiedy moje własne dzieci zaczną dopytywać się o dziadka, nie wiem. Wiem za to, że teraz muszę opuścić CHERUBA, a to jest bardzo poważna sprawa. Mam zacząć

całkiem nowe życie i raczej nie chcę dodatkowej komplikacji w postaci ojca, którego nigdy nie spotkałem, macochy i przyrodniej siostrzyczki. A co, jeśli koleśowi zechce się zgrywać tatusia, zaczniesz mi mówić, co mam robić i w ogóle?

Meryl uśmiechnęła się po raz kolejny.

– Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Myślę, że twoja postawa jest rozsądna: nie zamykasz sobie drogi do różnych możliwości, a z drugiej strony niczego nie robisz na siłę. Trzecia sprawa, o której musimy porozmawiać, to pieniądze. Twoja mama zostawiła ci całkiem pokaźny majątek. Była właścicielką waszego mieszkania w Tufnell Park i wynajmowała inne, należące do waszej babci. Hipoteki obu lokali zostały spłacone z polis ubezpieczeń na życie, kiedy umarła. Miała także sporo pieniędzy na zagranicznych kontach bankowych plus biżuteria i gotówka w trzech skrzynkach depozytowych. Wasza mama lokowała pieniądze w obligacjach i teraz jej majątek opiewa na sześćset osiemdziesiąt tysięcy funtów. Dzielicie się z Laurą po połowie, zatem zostanie ci trzysta czterdzieści tysięcy.

– Nieźle – wyszczerzył zęby James.

– Dodatkowo wypłacimy ci wynagrodzenie za misję. Będzie to równowartość podstawowej pensji najniższego rangą funkcjonariusza służb wywiadowczych, naliczona od momentu ukończenia przez ciebie szkolenia podstawowego do twoich osiemnastych urodzin, czyli osiemnaście tysięcy sześćset funtów rocznie od stycznia 2004 do października 2009. – Meryl sięgnęła po kalkulator. – Siedemdziesiąt miesięcy razy tysiąc pięćset pięćdziesiąt miesięcznie to będzie...

– Sto osiem tysięcy pięćset – wtrącił James.

Meryl ponownie się roześmiała.

– Kurczę, lubię, jak to robisz. W sumie otrzymasz jakieś czterysta pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Super – nie ukrywał zadowolenia James. – Kupię sobie ze dwa ferrari, a resztę przepuszczę na laski i kokę.

Meryl chrząknęła znacząco.

– W dniu twoich osiemnastych urodzin pieniądze będą twoje i jeśli postanowisz kupić sobie ferrari, to nie będę mogła ci tego zabronić. Ale jedno mogę zrobić i zrobię: umówię cię na rozmowę z doradcą finansowym. Poznasz możliwości zbudowania portfela inwestycyjnego, jaki dałby ci przyzwoity stały dochód przez okres twoich studiów, a potem, kiedy będziesz starszy, będziesz mógł użyć tych pieniędzy do kupienia nieruchomości albo rozkręcenia własnej firmy. Jeśli zachowasz rozsądek, taka suma może zapewnić ci finansowe bezpieczeństwo do końca życia. Teraz wydaje się, że pół miliona funtów to bardzo dużo, ale pieniądze łatwo się rozchodzą, a jeśli je wydasz, nie będziesz miał żadnego zabezpieczenia.

James pokiwał głową z powagą.

– Być może kupię motocykl, ale to będzie jedyna moja ekstrawagancja.

– Znakomicie – powiedziała Meryl. – Muszę powiedzieć, że trochę się bałam, kiedy wzywałam cię na to spotkanie. Cieszę się, że podchodzisz do tego z taką rozwagą.

James uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Szczerze mówiąc, to niezupełnie jest tak, jak myślisz. Kerry, Kyle i Laura suszą mi głowę od miesięcy, powtarzając, że mam poważnie traktować swoją przyszłość.

– I dobrze robią – orzekła Meryl, kładąc dłoń na stercie informatyków. – Skoro więc omówiliśmy kwestie twojej tożsamości, twojego ojca i twoich finansów, możemy przejść do najtrudniejszego tematu. Czy zastanawiałeś się już, gdzie i kiedy zamierzasz studiować?

– Uniwersytet Stanforda w Kalifornii – powiedział bez wahania James. – Ciepło, słońce... Rozmawiałem chyba z godzinę przez telefon, omawiając opcje z tym doradcą od studiów z Chicago. Podobno to czwarta najlepsza uczelnia w Stanach, wydział matematyki mają jeden z najlepszych na świecie, a dziewięćdziesiąt osiem procent studentów mieszka w miasteczku uniwersyteckim, więc mogę się

nie martwić, że będę czuł się samotny i nie będę poznawał ludzi.

– I jesteś pewny, że chcesz studiować w Ameryce?

James skinął głową.

– Tak. Myślę, że fajnie będzie pomieszkać tam przez parę lat. Zresztą po tym, jak szlajałem się z Bandytami przez większą część roku, John Jones mówi, że to dobry pomysł, żebym wyjechał z kraju. Wiesz, na wszelki wypadek, żeby jakiś Mściwy Bękart nie rozpoznał mnie i nie rzucił się na mnie z siekierą.

– Tak, omawiałam już z Johnem kwestię bezpieczeństwa – powiedziała Meryl. – Poznałeś bardzo wielu bikerów i żyłeś wśród nich przez długi czas, więc ryzyko istnieje, zwłaszcza podczas wojny gangów. Poza tym amerykańskie uczelnie trzymają bardzo wysoki poziom, a Stanford należy do najlepszych z najlepszych. Jedyne, co mnie niepokoi, to twoja nauka. Możemy pociągnąć parę sznurków, żeby cię przepchnąć przez próg, ale jak już zaczniesz studia, nie będziemy w stanie nic zrobić, żeby cię nie wywalili, jak zawalisz egzaminy.

James pokiwał głową.

– Z matmą czy fizyką dam sobie radę. Dopiero jak trzeba czytać książki albo pisać długie prace, mózg zamienia mi się w błoto.

Meryl podeszła do komputera na biurku. Pochyliła się nad ekranem i przez kilka sekund wpatrywała się w wyświetloną na nim tabelę.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat do Stanford poszli jeszcze dwaj agenci CHERUBA – powiedziała, czytając z ekranu. – Oba poprzednie przyjęcia do Stanford obsługiwał dla nas wydział relokacji CIA, oba zostały załatwione w trybie pilnym i bez żadnych problemów. A w związku z narażeniem twojego bezpieczeństwa przez sprawę z Bandytami CHERUB będzie pokrywał koszty twojego czesnego oraz utrzymania aż do czasu, kiedy postanowisz zakończyć edukację.

– Doradca powiedział też, że powinienem porozmawiać o amerykańskim obywatelstwie – powiedział James.

Meryl skinęła głową.

– Sugerowałabym, żebyś na razie przyjął obywatelstwo brytyjskie. Jeżeli później będziesz chciał to zmienić, będziemy w stanie wyrobić ci amerykański paszport.

– Brzmi nieźle.

– Kolejny dość oczywisty problem z twoim wyjazdem do Ameryki polega na tym, że nie będziesz mógł wpadać do kampusu, żeby odwiedzić Laureę, albo wyskakiwać na weekend do Kyle'a – przypomniała Meryl. – Poza tym myślałam, że wciąż pozostajesz w poważnym związku z Kerry.

– W Stanach studia są modułowe – wyjaśnił James. – Zaliczę pierwszy rok i będę mógł zrobić sobie przerwę. Kiedy Kerry wyjdzie z CHERUBA mniej więcej w tym czasie w przyszłym roku, będzie mogła pójść na studia ze mną albo weźmiemy rok wolnego i pojedziemy w świat. No i piękne jest to, że niedaleko Stanford jest wiele innych fajnych uczelni. Kerry mogłaby pójść na Berkeley albo wybrać Uniwersytet Południowej Kalifornii i wciąż byłibyśmy blisko siebie.

– Zakładam, że chciałbyś polecieć do Stanów i zobaczyć kampus Stanforda, zanim podejmiesz ostateczną decyzję? – zapytała Meryl. – Musisz to zrobić w miarę szybko, bo nawet nasz kontakt w relokacji CIA potrzebuje czasu na przetworzenie dokumentów i załatwienie ci wizy studenckiej.

James skinął głową.

– Doradca również sugerował, żebym się najpierw rozejrzał. Powiedział, że może załatwić wycieczki po uczelniach z normalnymi przewodnikami i wszystkim.

– Zarezerwuję ci bilet na samolot – powiedziała Meryl. – Poleciałbyś mniej więcej za dwa tygodnie, jeśli ci to nie przeszkadza. I myślę, że powinieneś wziąć ze sobą Kerry, jeżeli nadal jest ważną częścią twoich życiowych planów.

Na myśl o wycieczce do Kalifornii z Kerry James uśmiechnął się

szeroko.

– Jest jeszcze jedna rzecz – westchnęła Meryl. – Chyba wołałabym nie zadawać tego pytania, ale czuję, że muszę. Jak bardzo jesteś przekonany, że twój związek z Kerry przetrzyma próbę przynajmniej jednorocznej rozłąki?

James wzruszył ramionami i przez chwilę jego wzrok błąkał się niepewnie po ścianach.

– Wiesz, bywaliśmy już rozdzieleni na misjach i tak dalej. Ale w sumie trzeba myśleć realistycznie... Oboje jesteśmy młodzi. Parę razy zrywaliśmy ze sobą. Ja naprawdę mam nadzieję, że wszystko się nam ułoży, że będziemy razem studiować w Kalifornii i w ogóle, ale w życiu różnie bywa, prawda?

Śmiejąc się, Meryl wyszła z za biurka.

– Bardzo różnie – przytaknęła. – Wstawaj, James, niech no cię uściskam.

James był zaskoczony. Meryl zawsze zachowywała się przyjaźnie, ale nie do tego stopnia, by rzucać się na ludzi i ich przytulać.

– Na chodźżeż, dawaj tu ten swój włochaty tyłek – zażądała, rozpościerając muskularne ramiona.

Meryl mocno przycisnęła swojego podopiecznego do piersi poklepała po plecach, omal nie odbijając mu płuc. Mierząca metr dziewięćdziesiąt była sprinterka olimpijska była jedną z niewielu kobiet na tyle dużych i silnych, by móc matkować barczystemu siedemnastolatкови w typie Jamesa.

– Czasem bywałam dla ciebie szorstka, przyznaję, ale tylko wtedy, kiedy musiałam – powiedziała Meryl, uwalniając Jamesa z uścisku. – Jestem naprawdę dumna z tego, jak przemyślałeś swoją przyszłość. Świetny z ciebie facet i będzie mi ciebie brakować, kiedy odejdziesz. Już tęsknię!

James poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

– Nie wiedziałem, że tak się o mnie... troszczysz – wymamrotał, pociągając nosem.

– Oczywiście, że się troszczę, głuptasie – powiedziała Meryl z uśmiechem. – Owszem, bywacie upierdliwi jak nieszczęście, ale wszyscy jesteście dla mnie jak moje dzieci. No, może z wyjątkiem tego wrednego gnojka Jake’a Parkera.

26. ZAKUPY

James wkroczył do stołówki, nucąc pod nosem *Going to California* Zeppelinów. Był to czas porannej przerwy i przy kontuarach tłoczył się tłumek młodszych dzieci czekających w kolejkach po gorące napoje i bułki z bekonem. Jamesowi nie chciało się czekać, więc od razu skierował się do stolika pod oknem, by dołączyć do swojej siostry Laury i jej chłopaka Rata.

– Wyglądasz dziwnie radośnie – zauważyła Laura. – Kerry kupiła sobie seksowną bieliznę czy co?

– Och, jakaś ty zabawna – odrzekł oschle James. – A ty gdzie się wczoraj szlajałaś?

– Długi spacer z grupą weselnych gości. Było naprawdę miło. Piękny dzień. Zjedliśmy lunch w tym wiejskim pubie.

– Mam odciski – poskarżył się Rat.

Laura odwróciła głowę i spiorunowała go wzrokiem.

– Podobno ci się podobało.

– W ogóle to było okej – natychmiast wycofał się Rat.

James roześmiał się.

– Jesteście ze sobą stanowczo zbyt długo, zaczynacie się zachowywać jak stare małżeństwo. W każdym razie ja miałem właśnie spotkanie z Meryl...

– Sądząc po minie, poszło nie najgorzej – powiedziała Laura.

– Załatwia mi wycieczkę do Kalifornii, żebym obejrzał sobie Uniwersytet Stanforda. Policzyła też, jak wypadam finansowo. Należy

mi się jakieś czterysta pięćdziesiąt kawałków. Ty dostaniesz jeszcze więcej, bo przeszłaś szkolenie podstawowe, jak miałaś dziesięć lat.

Rat dmuchnął sobie na koniuszki palców i uśmiechnął się kaśliwie.

– To niezbyt wiele – powiedział. – ASIS odkryło, że niektóre obrazy mojego ojca były zapisane na mnie. Zdaje się, że jakiś Picasso za pięć i pół, jakiś Pollock, ze dwa Warhole... W sumie wszystko poszło na aukcji za jakieś osiem i pół miliona, o ile dobrze pamiętam.

– Sssukinkot – syknął z podziwem James.

Laura pokiwała głową.

– Jestem z nim tylko z powodu całej tej kasy, jaką zgarnie, kiedy skończy osiemnaście lat. Wyjdę za niego, a potem rozwód i puszczać leszcza z torbami.

– Cóż, ze mnie tam żaden milioner – westchnął James. – Ale mam dość forsy, żeby nie musieć martwić się o pożyczki studenckie czy kredyt na samochód.

– Szkoda mi takich dzieciaków jak Bruce i Kyle – powiedziała Laura. – Ich rodzice nie zostawili im złamanego grosza.

– Przecież Kyle nie ma źle – zauważył James. – Jego starzy byli biedni, więc dostaje dodatkowy zasiłek z funduszu powierniczego CHERUBA. Mamy szczęście, że tak o nas dbają. Pamiętam, jak siedziałem w Zoo w Luton, dzieciaki po siedemnastce dostawały kawalerkę w bloku, zasiłek, dwieście funtów zapomogi na meble i do widzenia.

– Muszą o nas dbać, kiedy kończymy służbę – powiedział Rat. – Gdyby nie dbali, jakiś zdesperowany smutas mógłby napisać książkę o CHERUBIE albo spróbować przemycić zdjęcia kampusu i sprzedać je gazetom.

– A skoro mowa o Kyle'u – zaczął James, posyłając Laurze znaczące spojrzenie. – Przeczytałaś e-mail, który ci wysłał? Ten o Tanie Abdullahu?

Laura wyglądała na nieco zmieszaną.

– Zjrzałam tylko, kiedy wróciłam wczoraj z tego spaceru.

– Ale rozumiesz, o co chodzi? Znasz sedno sprawy? – naciskał James, a widząc, że siostra kiwa głową, ciągnął: – Zaraz po przerwie idę do Ewarta porozmawiać o misji. Myślę, że powinniśmy pójść razem, żeby powiedzieć, że nie jedziemy. Mogę też pogadać z Kevinem, jak go gdzieś zobaczę...

– Ja chyba wezmę tę misję – przerwała Laura.

James znieruchomiał z otwartymi ustami.

– Ty... że co? – wykrztusił po sekundzie.

– Ty jesteś w innej sytuacji – powiedziała Laura. – I tak jesteś na wylocie, jak zrezygnujesz, to nie będzie miało żadnego znaczenia. Ale jeśli ja dam ciała na tydzień przed rozpoczęciem misji, to będzie plama na mojej karierze.

James potrząsnął głową.

– Wcale nie. Spójrz na swoją historię, jesteś jednym z najlepszych agentów. Jak będą potrzebowali kogoś do ważnej misji i będziesz spełniać warunki, to nie odrzucą cię tylko dlatego, że zrezygnowałaś z jakiejś debilnej pseudomisji, gdzie miałaś robić za goryla jakichś dzieciaków.

Rat osłonił usta dłonią i odezwał się teatralnym szeptem, udając, że Laura nie może go usłyszeć.

– Ona chce iść na zakupy.

– A co to ma wspólnego z zakupami? – zdziwił się James, a Laura wbiła Ratowi łokieć między zębra.

– Nie może przestać o tym gadać – wyjaśnił Rat, przewracając oczami. – Tan Abdullah jest milionerem, a jego najnowsza żona top modelką słynącą z tego, że szasta kasą po sklepach.

– Aaaa – powiedział James, kiedy strzępy informacji połączyły mu się w głowie w całość.

Laura nigdy nie była typową dziewczynką w kwestii upodobania do makijażu, sukienek i innych różowości, za to stereotyp nastolatki opętanej obsesją zakupów pasował do niej doskonale.

– Zona Tana Abdullaha nazywa się June Ling – wyjaśniła Laura, na wpeł przepaszajaco, na wpeł podeksycytowana tym, co mówi. – Czytałam o niej w różnych pismach. Jest zakupoholiczką. Wchodzi do Harveya Nicholasa i wydaje sześćdziesiąt tysięcy na sukienki. W jednym artykule napisali, że kiedy dzieci Abdullaha były małe, zabrała je do Hamleya i wybuliła osiemnaście patoli na zabawki za jednym zamachem!

James kręcił głową z niedowierzaniem. Tymczasem do stolika podszedł kumpel Rata Andy Lagan, trzymając przed sobą tacę z dwiema bułkami z bekonem i kubkiem gorącego kakao z pływającymi w nim piankami. Andy skinął na powitanie Jamesowi, a potem potrząsnął głową.

– Powiedz, że nie opowiadasz znowu o tej zakupowej misji – powiedział błagalnie i westchnął. – Wczoraj na matmie wylądowałem w jednej ławce z Laurą, Bethany i Tiffany. O niczym innym nie potrafiły rozmawiać.

– Zżera je zazdrość – powiedziała Laura z satysfakcją.

James walnął dłonią w blat i odsunął się od stołu na krześle.

– Nie wierzę, Laura – wypalił ze złością. – Zwykle to ty jesteś ta supermoralna. Ta, która nie je mięsa, bo biedne zwierzątka; ta, która na urodziny każe mi bulić kasę na jakąś akcję: „Adoptuj zagrożonego króliczka”. Ale kiedy ludzie są torturowani i wykopywani z własnych domów, to wszystko nieważne, bylebyś mogła poszpendać się po wypasionych sklepach z jakąś chińską modelką!

– James, nikt nie straci domu przez to, że pójde na zakupy.

– No to zrób to dla Kyle’a – zażądał James. – On zaryzykował dla ciebie całą swoją karierę w CHERUBIE, kiedy Large próbował cię szantażować.

– Mam zamiar zakumplować się z parą dzieciaków, skoczyć na zakupy i spędzić noc w luksusowym hotelu – naburmuszyła się Laura. – Jeżeli Kyle będzie miał z tym problem, znajdę inny sposób, żeby mu to wynagrodzić.

– Nigdy jej nie przekonasz, James – powiedział Rat. – Czeka na to od tygodni i nie zmieni zdania, choćbyś się posrał.

Laura wstała od stołu.

– Muszę iść, mam trening pływacki – oznajmiła, po czym spojrzała oskarżycielsko na Rata. – A ty powinienesz bardziej mnie wspierać.

Zarzuciła na ramię plecak z rzeczami na basen i ruszyła do wyjścia. James spojrzał na Rata i wzruszył ramionami.

– Przepraszam, stary – powiedział. – Nie chciałem, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

– Daj spokój – uśmiechnął się Rat.

James zauważył, że Andy nie tknął swoich kanapek.

– Będziesz to jadł? – zapytał, sięgając po jedną.

– Weź sobie – westchnął Andy takim tonem, jakby dźwigał na grzbiecie ciężar całego świata.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się James.

Andy przytaknął kiwnięciem głowy, ale Rat poczuł się w obowiązku wytłumaczyć kolegę.

– Jest taki, odkąd Bethany wróciła z misji z Bruce'em i dała mu kopa w tyłek. Zresztą wydaje mi się, że oni coś z Bruce'em kombinują. Raz przechodziłem obok pokoju Bethany i słyszałem ich. Myśleliśmy nawet, żeby zamontować im w pokoju kamerę, nagrać ich, a potem wrzucić film na YouTube.

Odgryzając kęs bułki, James zaśmiał się rozbawiony pomysłem. Ale choć szczerze nie cierpiał Bethany, Bruce wciąż był jednym z jego najlepszych przyjaciół.

– Ale nie mówisz poważnie? – upewnił się. – Przecież wywaliliby ich z CHERUBA na zbity pysk.

– Oczywiście, że nie mówię poważnie – parsknął śmiechem Rat. – Wyobraź sobie, co by było, gdyby Bruce się dowiedział. Nasz oczekiwany czas życia zmalałby do jakichś czterech koma siedem milisekundy.

*

James był zdecydowany podjąć próbę powstrzymania CHERUBA przed pomaganiem Tanowi Abdullahowi, nawet jeśli oznaczało to wkurzenie Laury. Budynek centrum kontroli misji należał do najnowszych w kampusie, ale po zimie ultranowoczesny dach ze stali i szkła zaczął przeciekać, szpecąc ściany brudnymi zaciekami i plamami pleśni, a do tego zanieczyszczając powietrze stęchłym wyziewem wilgotnej piwnicy.

Starszy koordynator misji Ewart Asker wyglądał na przemęczonego. Kiedy James przekroczył próg jego gabinetu, ujrzał najpierw biurko zavalone stertami papierów, a potem samego koordynatora leżącego za swoim komputerem i szamoczącego się wśród pęków kabli.

– Nic tu, kurde, nie działa – poskarżył się Ewart, wstając z podłogi. – Co cię do mnie sprowadza, James?

James przyjrzał się metalowej kolumnie pożyłkowanej rdzawymi zaciekami.

– Jeszcze nie ponaprawiali tych niedoróbek? – zdziwił się.

– Koszmar – westchnął Ewart, opadając na krzesło za biurkiem. – Jest kilka firm, które potrafią naprawić ten rodzaj dachu, ale zgadnij, ile z nich ma poświadczenie bezpieczeństwa niezbędne, by podjąć pracę w kampusie CHERUBA.

– Pewnie żadna.

– Skąd wiesz?

– A co z firmą, która zbudowała ten budynek? – zapytał James.

– Splajtowała – odpowiedział Ewart. – A żeby było jeszcze fajniej, mój kolega, starszy koordynator Dennis King, wylądował w szpitalu z powodu operacji prostaty, mój komputer nie działa, a informatyk miał tu być trzydzieści pięć minut temu.

James już miał powiedzieć, że nie przyszedł z niczym ważnym i że wróci później, ale rozmyślił się i zaczął mówić.

– Ja w sprawie tej misji, na którą mnie posyłacie. Sprawdziłem

Tana Abdullaha i nie podoba mi się to. Delikatnie rzecz ujmując, ten koleś to straszna łajza.

– Masz na myśli aresztowania w zeszłe lato? – zapytał Ewart.

James zmarszczył brwi.

– Aresztowania?

– No, opozycji, polityków. Zgarniętych przez armię na podstawie oskarżeń o terroryzm. Nie o to ci chodziło?

– Widziałem tylko reportaże o wyrzucaniu rybaków z ich domów na wyspie Langkawi.

Ewart wzruszył ramionami.

– O tym nic nie słyszałem. Ale rzeczywiście, Tan Abdullah to kawał drania.

– No to dlaczego mu pomagamy? – zapytał James z nutką pretensji w głosie.

Ewart wzruszył ramionami jeszcze raz.

– Abdullah przyjeżdża do Wielkiej Brytanii podpisać kontrakt zbrojeniowy na pięć miliardów funtów. Malezyjczycy modernizują wojsko i biorą wszystko, od broni ręcznej po szkolno-treningowe odrzutowce i silniki turbinowe do ich nowiutkich fregat.

James słuchał tego z wyraźnym obrzydzeniem.

– Przymykamy oczy na tortury i łamanie praw człowieka, dopóki możemy zarobić na tym parę groszy, tak?

– Och, zejź na ziemię, James – powiedział Ewart lekko poirytowany. – Byłeś na zbyt wielu misjach, żeby być tak naiwny. Niewielu ludzi dostaje się na wysokie stołki w polityce, biznesie i w ogóle w większości branż, nie będąc bezlitosnymi sukinsynami. Nie jestem bynajmniej dumny z tego, że przyjmujemy kogoś takiego jak Abdullah w naszym kraju, ale jeśli nie położymy łapy na tych pięciu miliardach, to zyskamy tyle, że zgarną je Amerykanie, Francuzi albo Rosjanie.

James uznał argument Ewarta, ale miał zobowiązania wobec Kyle'a i nie zamierzał zmieniać swojej decyzji.

– Mimo wszystko wolałbym nie brać w tym udziału – oznajmił spokojnie.

Celowo nie wspomniał o Kyle’u, który nie był już aktywnym agentem CHERUBA i samo rozmawianie z nim o misji było poważnym naruszeniem przepisów.

Ewart oklapł na swoim krześle.

– Rozumiem – westchnął. – Czy czeka mnie także wizyta Laury?

– Nie, ona nie ma z tym żadnych problemów – powiedział James.

– Chce pójść na zakupy z żoną miliardera. A z Kevinem nawet nie rozmawiałem. To fajny dzieciak i nie chciałem komplikować mu życia.

– Wobec tego w porządku – powiedział Ewart, splatając dłonie przed sobą i kiwając głową. – Wypisujemy cię, żaden problem. Spokojnie dajcie sobie radę z dwoma agentami.

– Och... okej – bąknął James nieco zawiedziony tym, że jego moralna postawa okazała się zupełnie bez znaczenia dla losów świata.

– Słuchaj, czy myślę się, sądząc, że wszystkie swoje programy nauczania masz już pozaliczane i z głowy? – zapytał Ewart.

James skinął głową.

– Kiedy zagoją mi się nogi, wrócę do ciężarów i pewnie wznowie treningi w dojo, ale jeśli chodzi o naukę, to chyba napisałem już swoją ostatnią pracę pisemną w kampusie. I dzięki Bogu.

– Brakuje mi rąk do pracy i zaczynam się trochę stresować, co być może nie uszło twojej uwadze – powiedział Ewart. – Czy jest jakaś szansa, że będziesz w stanie wpadać tu przez jakiś czas na dwie, trzy godzinki dziennie, żeby trochę nam pomóc?

James nie był zachwycony pomysłem, ale sam zauważył, że Ewart rozpaczliwie potrzebuje pomocy, a w dodatku doświadczenie przy koordynacji misji mogło mu się przydać, gdyby kiedykolwiek wrócił do kampusu, by starać się o pracę na lato.

– Czemu nie – odpowiedział. – To może być nawet ciekawe, zobaczyć, jak wyglądają misje od tej strony.

27. PORANEK

Tydzień później

Było wpół do piątej rano, kiedy komórka Jamesa ryknęła motywem przewodnim z *Ojca chrzestnego*. W pokoju Kerry było ciemno. James spał wyciągnięty obok swojej dziewczyny, nosem prawie dotykając jej karku. Rzadko dzielili łóżko, bo Kerry miała niespokojny sen, a James zwyczaj owijania się całą kołdrą, ale poprzedniego wieczoru tulili się do siebie podczas oglądania filmu i zasnęli przed telewizorem.

James wyskoczył z łóżka. Odtwarzacz DVD trwał w trybie uśpienia i niebieskie logo błakające się leniwie po ekranie dawało wystarczająco dużo światła, by umożliwić znalezienie dzinsów rzuconych niedbale na podłogę. Kerry odwróciła się na drugi bok i uniosła na łokciu.

– Jezu, kto dzwoni o tej porze? – zachrypiała i rozdziawiła usta w niekontrolowanym ziewnięciu.

– Nie przejmuj się tym – powiedział James, ale kiedy przetoczył się po materacu i wyciągnął rękę po spodnie, w których miał telefon, plastikowe naczynie z okruciami kukurydzianych chipsów i niedojedzonymi sosami runęło z łóżka na podłogę. – Szit!

Kerry poderwała się i włączyła lampkę.

– Ożeż... ty cycu jeden! – jęknęła na widok pobojuwiska.

Podczas gdy Kerry rzuciła się na drugą stronę łóżka, by ocalić tyle

dywanu, ile się da, przed salsą i guacamole, James rozsunął swoją nokię.

– Kyle? – powiedział cicho.

– Pobudka, misiu! – zawołał radośnie Kyle. – Zamawiałeś budzenie, prawda? Jesteś już na nogach? Gotowy skopać tyłek Tanowi Abdullahowi? Nawet nie myśl o tym, żeby się walnąć z powrotem na wyro.

– Spoko, już nie śpię, ale jestem u Kerry. Zasnęliśmy razem przy filmie. Zadzwonię, jak będę już w wozie, i dam znać, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

– Super – powiedział Kyle. – To do usłyszenia.

James zakończył połączenie i zaczął wciągać dzinsy. Kerry kuciała przy łóżku, próbując nagarnąć zieloną breję z dywanu na przezroczystą pokrywkę od pudełka po nachos.

– Przepraszam cię za to – powiedział James. – Telefon mnie zdekoncentrował. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że na łóżku zostało jakieś żarcie.

– Wypadki się zdarzają. Co chciał Kyle o tak nieprzyzwoitej porze?

Zrobiło się niezręcznie. Wcześniej James powiedział Kerry – jak wszystkim w kampusie – że zamierza odwiedzić kilka brytyjskich uniwersytetów, żeby sprawdzić je, na wypadek gdyby nie spodobało mu się w Stanfordzie, który miał obejrzeć tydzień później. Zamierzał zniknąć, zanim ktokolwiek się obudzi, i pobudka Kyle’a nie przysporzyłaby mu żadnych problemów, gdyby tylko spał we własnym łóżku.

– Mówiłem ci, że się z nim umówiłem.

Kerry zmierzyła Jamesa podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie, nie mówiłeś. Poza tym Kyle mieszka w Cambridge, a ty miałeś jechać na uniwersytet Birmingham.

– Muszę już lecieć – powiedział James zmienionym głosem – Poprosiłem Kyle’a, żeby pojechał ze mną. Sam studiuje, więc pomyśla-

łem, że mógłby się przydać, no wiesz... obejrzyć wszystko okiem znawcy.

Kerry potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– James, jest wpół do piątej rano. Birmingham nie jest aż tak daleko.

– Ale korki, godzina szczytu, wiesz, jak jest – jęknął James. – Chciałem mieć czasowy margines bezpieczeństwa.

Kerry dźwignęła się z kolan i stanęła tuż przed nim.

– Nie lubię, jak wciskają mi kit – oznajmiła sucho.

Miała na sobie tylko spodnie od pizamy z kraciastej flaneli. James opuścił wzrok na jej pierś i uśmiechnął się.

– Ale ty mnie podniecasz, jak się złościś – sapnął.

Kerry zacisnęła usta. Złapała w dwa palce fałdę skóry na brzuchu Jamesa i mocno przekręciła.

– Nawet nie próbuj zbyć mnie w taki sposób – warknęła ostrzegawczo prosto w wykrzywioną z bólu twarz. – A teraz gadaj!

– Ajajaj, to boli! – zaprotestował James, ale Kerry ścisnęła mocniej.

– Dżizas, masz pazury jak brzytwy! Dobra, okej, powiem. Robimy taką akcję, to dotyczy Kyle'a i tej niańkomisji, z której się wymiksowałem. Nic ci nie wspominałem, bo nie chciałem, żebyś się martwiła, a poza tym nie znoszę tej twojej wściekłej miny, którą masz zawsze, kiedy nie podoba ci się coś, co robię.

– Jakiej wściekłej miny? – zapytała Kerry.

– O, właśnie tej – uśmiechnął się James. – Kerry, naprawdę jesteś prześliczna, seksowna i kocham cię nad życie, jednak tym razem musisz mi zaufać. Wszystko ci wyjaśnię, kiedy wrócę, a teraz czy mogłabyś, proszę, przestać mnie dziurawić?

Kerry puściła brzuch Jamesa i odsunęła go od siebie lekkim pchnięciem.

– Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie, jak wrócisz – powiedziała z groźbą w głosie. – A następnym razem, kiedy spróbujesz wcierać mi kit w czoło, to wykręcę ci coś innego niż brzuch.

James zgarnął z kanapy swoją koszulkę polo i dżinsową kurtkę, po czym pożegnał Kerry szybkim pocałunkiem.

– Wszystko zrozumiesz, obiecuję.

Światła na korytarzu były przyciemnione w ramach wprowadzonego w całym kampusie programu oszczędzania wody i energii. Naciągnąwszy w półmroku koszulki, na tors, James wszedł do swojego pokoju. Tam otworzył szufladę biurka i wyjął kartę pamięci MicroSD w przezroczystym plastikowym pudełeczku.

Pospiesznie wsunąwszy stopy w najbliższą parę sportowych butów, James chwycił z kosza na pranie sztywną od błota sportową skarpetę i wypadł na korytarz. Starając się nie robić hałasu, wbiegł po czterech ciągach schodów na ósme piętro i podkradł się pod pokój Laury.

Nie mógł sprawdzić, czy Laura śpi, dopóki nie otworzył drzwi do jej pokoju, dlatego wcześniej obmyślił fortel: gdyby nie spała, udałby, że zamierzał zrobić jej dowcip, kładąc na twarz brudną skarpetę.

Ale nie było takiej potrzeby. Laura nie zamknęła drzwi, a jej chrapanie obudziło w Jamesie falę wspomnień: od lat nie spał z siostrą w jednym pokoju, ale wydawała z siebie ten sam świszczący dźwięk, jakim wypełniała sypialnię, odkąd skończyła trzy lata.

Ponieważ James miał wkrótce opuścić CHERUBA, nie wymieniono mu telefonu na najnowszy model, ale ultra nowoczesny smartfon Laury stał w doku ładującym na jej biurku. Wyjęte z gniazda urządzenie pisnęło ostrzegawczo, na szczęście nie dość głośno, by przebudzić właścicielkę.

James wyjął kartę pamięci z plastikowego pudełka i wsunął ją w szczelinę z boku telefonu Laury. Następnie rozsunął aparat i wzdrygnął się na widok tapety ekranowej z Laurą i Bethany na przyjęciu gwiazdkowym, owiniętymi błyszczącą lametą i pozującymi do zdjęcia z wywalonymi językami.

Karta pamięci zawierała prosty program szpiegujący stworzony przez służby wywiadowcze. Wykorzystując wbudowany w telefon

odbiornik GPS, program w regularnych odstępach czasu rejestrował dokładne współrzędne aparatu i wysyłał je w postaci wiadomości tekstowej bez wiedzy użytkownika.

Instalacja programu trwała nerwowe półtorej minuty, po czym na wyświetlaczu rozwinęła się karta ustawień. James ustawił częstotliwość, z jaką telefon Laury miał podawać własną lokalizację, na jeden esemes co pięć minut, i zaczął wstukiwać numer, na jaki miały być wysyłane wiadomości ze współrzędnymi. Aby nie ryzykować wytopienia własnego telefonu, wcześniej wypożyczył wysłużoną starą komórkę z magazynu kampusu.

Podczas gdy wstukiwał numer, chrapanie Laury urwało się na chwilę. James bezgłośnie cofnął się pod okno i stał nieruchomo niczym posąg, nasłuchując szelestów poruszającej się kołdry. Laura wydobyła spod niej rękę i półprzytomnie potarła czoło wierzchem dłoni, jakby ją zaswedziało. Potem jednak rozluźniła się, nie budząc całkowicie, i po krótkiej chwili James odetchnął z ulgą, słysząc w ciemności znajome poświstywanie.

Skończył wpisywanie numeru i wcisnął przycisk OK. Wszelkie ślady programu szpiegowskiego znikły bez śladu, i na wyświetlacz znowu wypłynęło zdjęcie Laury i Bethany z językami na wierzchu. Telefon piknął cicho, gdy znalazł się z powrotem w stacji dokującej, po czym James, stąpając na palcach, wymknął się z pokoju.

Miał jeszcze godzinę. Poprosił Kyle'a, żeby zadzwonił o wpół do piątej, ponieważ tak wczesna pora zwiększała prawdopodobieństwo, że Laura wciąż będzie spała, ale poza tym naprawdę chciał wyjechać z kampusu, zanim ludzie zaczną się budzić i zadawać niewygodne pytania, a przede wszystkim zanim ktoś z kadry zasiądzie przy biurku recepcji, mając na oku każdego, kto przyjdzie po kluczyki od jednego z kampusowych samochodów.

Stołówkę otwierano dopiero o szóstej, ale na szóstym piętrze naprzeciwko gabinetu opiekuna była spiżarka, a w niej automaty do zimnych i gorących napojów, zapas przekąsek, takich jak batony

owocowe i czekoladowe, a także lodówka pełna kanapek i dań do odgrzania w mikrofalówce. Mogli się tam posilić cherubini, którzy musieli wyjść bladym świtem albo wrócili z misji o drugiej w nocy.

James wetknął wkład do ekspresu do kawy i uśmiechnął się, przeczytawszy odręcznie napisaną wiadomość, którą ktoś powiesił na ścianie tuż nad batonikami:

Jedz zdrowo! Baton czekoladowy i puszka napoju gazowanego mogą zawierać nawet sześćset kalorii. To więcej, niż przeciętny trzynastolatek spala podczas dwugodzinnego biegu na bieżni. Szukasz zdrowszej alternatywy? Spróbuj marchewek maczanych w serku twarogowym albo kanapek z wsadem niskotłuszczowym!

Otworzył lodówkę i z zadowoleniem spojrzął na świeżo uzupełniony zapas mikrofalówkowych naleśników, które mógł odgrzać u siebie. Rzucił opakowanie na plastikową tackę, po czym dołożył jeszcze trzy pomarańcze, dwie saszetki nutelli i sztucce. Kiedy odwrócił się, by wziąć sobie kawę, do spiżarni wparował Bruce Norris ubrany w szorty i sportowe buty, w mokrej koszulce rozsiewającej woń gorącego potu.

Zdumiony James zamrugął oczami.

– A ty co? Na bieganie ci się zebrało?

– Nie mogłem, kurde, spać – wykrztusił zasapany Bruce. – Rzucałem się tylko na prawo i lewo, a pokój stawał się jakby coraz mniejszy i coraz bardziej duszny. Pomyślałem, że przebiegnę parę kilometrów, zmacham się trochę, to może mnie powali.

– Coś cię trapi?

– Bethany mnie rzuciła – odpowiedział rzeczowo Bruce.

– Och... – zająknął się James. – Naprawdę bardzo mi przykro, stary.

– Wcale ci nie jest przykro – zaśmiał się Bruce. – Nienawidzisz jej do głębi flaków.

– Skłamałbym, mówiąc, że jestem jej największym fanem – przyznał James. – Ale i tak mi przykro, bo jesteś moim kumplem, a ona zraniła twoje uczucia.

Bruce wzruszył ramionami.

– Wiesz, to chyba nawet nie przez nią nie mogę spać – powiedział z namysłem. – Kiedy zerwaliśmy z Kerry, to wtedy, owszem, bolało. Fizycznie bolało, jakby jakiś byczy facet spuścił mi łomot. Ale z Bethany jest inaczej. Fajnie było, ale zawsze wiedziałem, że w końcu znajdzie sobie kogoś innego.

James czuł się niezręcznie, słuchając wyznań przyjaciela na temat Kerry. Siorbnął łyk kawy, obmyślając ostrożną odpowiedź.

– Na pewno kiedyś odnajdziesz swoją Kerry – powiedział w końcu, uśmiechając się lekko. – Cieszę się, że masz tyle rozsądku, by nie pozwolić się skrzywdzić takiej kretynce jak Bethany. A w ogóle to jak ty się dałeś w to wciągnąć?

– Na tej naszej misji, mówiłem ci. – Bruce pociągnął nosem. – Wpakowała mi się do pokoju w środku nocy, wlaża pod kołdrę i jęczy, że się nudzi. No więc pytam: „Co z Andym?”, a ona na to: „Jakim Andym? A w ogóle to jestem na pigułce”.

– Piękna historia – powiedział James ze śmiechem. – Mała dama z wielką klasą!

– No i wyszło, jak wyszło – ciągnął Bruce. – Zresztą jaki facet by odmówił w takiej sytuacji.

– Skoro spodziewałeś się, że Bethany prędzej czy później cię rzuci, to czemu zasuwasz jak wariat po kampusie o trzeciej nad ranem?

– Jeśli ci powiem, obiecujesz, że nie nazwiesz mnie cieniem?

– Zawsze możesz sklepać mi czaszkę, jeśli to zrobię – powiedział James. – Ale nie, oczywiście, że cię tak nie nazwę.

– Kiedy byłem z Kerry, to ja byłem zakochany jak wariat, ale ona nie bardzo. Nawet kiedy prowadziła się z Daną, wciąż miałem wrażenie, że Kerry wzięła mnie tylko na zastępstwo, dopóki ty i ona nie wyjaśnicie sobie paru spraw i nie dojdziecie do porozumienia. Z

Bethany dla odmiany to była czysta pierwotna chuć. Ale jeszcze nigdy nie miałem tak, żeby czuć się z kimś idealnie. Kojarzysz, jak czasem ludzie są ze sobą na luzie? No wiesz, jak twoja siostra z Ratem? Albo jak kiedyś Michael z Gabriellą? Albo jak ty i Kerry?

– Masz dopiero szesnaście lat – powiedział James. – Pewnego dnia i ciebie to spotka. Może to nawet lepiej, jeśli nie poznasz panny Idealnej, dopóki nie będziesz starszy. Wiesz, jak to głupio, że idę na studia, kiedy Kerry musi być agentką jeszcze przez cały rok? Chciałbym być z nią przez resztę mojego życia, ale mamy po siedemnaście lat. Jeśli mam być ze sobą całkowicie szczerzy, to muszę przyznać, że mamy raczej nikłe szanse na to, że za dziesięć lat wciąż będziemy razem.

– A ty co tak wcześnie wstałeś? – zmienił temat Bruce.

James przyciszył głos.

– Wspominałem ci o tej sprawie z Kyle'em.

Bruce'owi pojaśniała twarz.

– Och, to dzisiaj? Powodzenia, stary. Kiedy wyruszasz?

James wskazał na swoje naleśniki.

– Jak tylko to odgrzeję i zjem, schodzę na dół i biorę wóz. Ludziom powiedziałem, że jadę do Birmingham zobaczyć uniwersytet. Jak chcesz, to chodź ze mną, zajmiesz czymś myśli, przestaniesz się zamartwiać.

Bruce zerknął na swój zegarek treningowy i wydawało się, że rozważa pomysł.

– Problem w tym, że mam lekcje. Dostanę karne rundki.

James potrząsnął głową.

– Meryl awansowała, a Joe jest najłagodniejszym opiekunem w kampusie. Pójdę z tobą; powiemy, że byłeś rozbity po zerwaniu z Bethany i że zabrałem cię ze sobą, żebyś pomyślał o czymś innym. Dadzą ci dwadzieścia, góra trzydzieści okrążeń, a jak się popłaczesz i powiesz, że chcesz porozmawiać z psychologiem, to może całkiem ci się upiecze.

Bruce słuchał z uwagą, ale wciąż nie był przekonany.

– Znając moje szczęście, ostrzelają mnie ze wszystkich paragrafów. A z Joem miałem już przejścia. Pamiętasz, jak wywiesiłem Romana Walsha za balkon, po tym jak ciągle dręczył te dziewczynki z juniorów?

– Protest przeciwko Tanowi Abdullahowi może łatwo przemienić się w rozróbę – rzucił od niechcienia James.

Wspominanie o przemocy przy Brusie było niczym wspomnienie o sosie czekoladowym przy sześciolatku.

– Tak sądzisz? – Bruce’owi rozbłyły oczy. – Myślę, że może mógłbym urwać sobie dzień lekcji. W sumie co to jest setka karnych rundek między przyjaciółmi?

– Otóż to – zgodził się James. – Idź pod prysznic, zmyj z siebie ten sztywny, zjedz coś i za pół godziny widzimy się na parkingu.

28. UKŁADY

Royal Suite w londyńskim porcie lotniczym Heathrow był oddzielnym miniterminalem z dwiema bramkami samolotowymi, punktem odprawy celnej i luksusową poczekalnią, w której serwowali drinki sztywni, odziani w biel kelnerzy. Laura Adams i dwunastoletni Kevin Sumner przylecieli z kampusu śmigłowcem, a teraz siedzieli rozparci w ogromnych skórzanych fotelach, obserwując samoloty lądujące na południowym pasie.

Laura miała na sobie sukienkę w paski, cytrynowy kardigan i białe czółenka, w jakich normalnie nie pozwoliłaby się oglądać choćby w trumnie. Kevin włożył chinosy i pasiastą koszulę od Ralphi Lauren oraz sweter z warkoczowym splotem, którym obwiązał się w pasie. W założeniu mieli wyglądać jak nadziane dzieci siedzącego obok nich elegancko ubranego pana.

David Secombe był łysiejącym mężczyzną z wystającym brzuchem i połyskującym na nadgarstku masywnym zegarkiem, który wyglądał, jakby kosztował więcej niż rodzinne kombi. Secombe cieszył się reputacją człowieka z koneksjami na najwyższych szczeblach brytyjskich władz. Kiedy negocjowano miliardowe kontrakty zbrojeniowe, to on był człowiekiem, który potrafił załatwić broń za rozsądną cenę wraz z licencjami eksportowymi, niezbędnymi, by wywieźć ją z Wielkiej Brytanii, a wszystko bez konieczności odpowiadania na niewygodne pytania.

Tan Abdullah nie miał pojęcia, że to ścierna. W rzeczywistości

David Secombe był oficerem tajnej służby wywiadowczej. Jego oficjalna tożsamość była fałszywa, a prowadzona przezeń firma służyła jako parawan dla agencji brytyjskiego rządu. W ten sposób osiągnano podwójny cel: dawano klientom poczucie, że ubili wyjątkowo korzystny interes dzięki dobrze ustosunkowanemu kontaktowi w kręgach władz, a jeżeli coś poszło nie tak, rząd zawsze mógł zrzucić winę na spółkę Secombe'a.

Gdyby jakaś organizacja broniąca praw człowieka zaczęła głośno pytać, dlaczego Wielka Brytania sprzedaje kajdany na nogi południowoamerykańskim dyktatorom albo dostarcza miny przeciwpięchotne afrykańskim partyzantom, energiczne rządowe śledztwo ujawniłoby nienagannie skonstruowany łańcuch dokumentów dowodzący niezbicie, że firma Secombe'a zwiodła władze fałszywymi informacjami. Secombe zniknąłby bez śladu, politycy zachowali swoje stołki, zaś wywiad założył nową lewą firmę, żeby nakręcić cały kant od nowa.

Standardowa legenda Secombe'a czyniła go wdowcem i ojcem trojga dzieci. Nieżyjąca żona była dobrym chwytem marketingowym, ponieważ wzbudzała współczucie, pozwalając jednocześnie na włączenie się z klientami po obskurnych barach, bez wychodzenia na skończonego menela.

Nawet na najwyższych szczeblach władzy i służb wywiadowczych o CHERUBIE wiedzieli tylko ci, którzy musieli, i dokładnie tyle, ile potrzebowali wiedzieć. Secombe wpadł w panikę, kiedy Tan Abdullah wyraził chęć przywiezienia do Londynu swojej rodziny i spotkania z jego nieistniejącymi dziećmi, ale pociągnięto odpowiednie sznurki i Zara Asker zgodziła się dostarczyć tyle dzieci, ilu Secombe potrzebuje, jeżeli tylko miało to pomóc w zdobyciu pięciomiliardowego kontraktu zbrojeniowego, a w konsekwencji także w ocaleniu dwunastu tysięcy brytyjskich miejsc pracy.

Laura obejrzała się na odgłos szpilek stukających miarowo w marmurową posadzkę. Ich właścicielka usiadła tuż przy niej. Na

imię miała Melissa, a przynajmniej tak powiedziano Laurze i Kevinowi. Dwudziestoosmioletnia, chuda jak szczapa funkcjonariuszka wywiadu miała podczas wizyty Tana grać rolę ich macochy.

– Jest nasz ptaszek, zdaje się – powiedział Kevin, wskazując przez szybę na dyspozycyjny odrzutowiec dalekiego zasięgu, który gruchnął ciężko na pas startowy, wzbijając kłęby dymu z przypalonych opon. – Cóż, nie nazwałbym tego miękkim lądowaniem.

Dwudziestoczteremiejskowy samolot musiał poczekać, aż A380 linii Qantas wzbije się w powietrze, nim wydano mu zgodę na przecięcie pasa i pokołowanie do drugiej bramki Royal Suite. Kiedy maszyna manewrowała pod terminalem, Kevin odczytał namalowany na kadłubie napis „Abdullah Budownictwo i Rekreacja”, powtórzony obok arabskim pismem.

Kiedy schodki samolotu opadły na beton, David Secombe dźwignął się z fotela.

– No, rodzinka, do roboty – zarządził.

Na płycie lotniska Tan Abdullah formalnie uścisnął dłoń wiceministrowi obrony, pilotowi śmigłowca RAF-u oraz ambasadorowi Malezji w Wielkiej Brytanii. Nagle rozpromienił się na widok mężczyzny, który stanął za nimi.

– Secombe, stary druhu! – ryknął radośnie.

Tan Abdullah był niedużym mężczyzną i stopy oderwały mu się od ziemi, kiedy Secombe porwał go do serdecznego uścisku. Stojący nieco z tyłu Laura i Kevin przechylili się, by spojrzeć na dzieci wychodzące za ojcem i macochą po schodkach samolotu.

Laura zmierzyła wzrokiem czternastoletnią córkę Tana, nienawidząc swojej letniej sukienki i kardiganu bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Suzie była pulchną azjatycką gotką ubraną w znoszone converse'y, pasiaste rajstopy z drabinkami rozcięć od góry do dołu oraz włochaty fioletowy sweter, który opatulał jej tułów i schodził w dół aż po kolana. Laura była zła, ponieważ jej strój małej księżniczki musiał utrudnić nawiązanie znajomości z Suzie bardziej niż dzinsy i

dresowe bluzy, które nosiła na co dzień.

Kevin miał mniej powodów do obaw. Tan Junior, znany też jako TJ, miał jedenaście lat i wyglądał, jakby przyjechał kręcić raperski klip. Ubrany był w najki, obwisłe hiphopowe spodnie, koszykarską koszulkę Phoenix Suns oraz baseballówkę odwróconą daszkiem do tyłu.

– Kevin, co nie? – wrzasnął entuzjastycznie TJ ponad gasnącym wizgiem odrzutowych silników. – Łazzaaap, dog?!

Ziomalska zagrywka wypadła idiotycznie, a marna angielszczyzna połączona z malezyjskim akcentem tylko pogłębiła komiczny efekt, ale Kevin zachował pokerową twarz i przybił Juniorowi piątkę.

David Secombe zagadywał Tana, a Melissa podlizywała się jego żonie, modelce June Ling, zachwycając się jej sukienką w panterkę. Widząc, że pozostałe pary tworzą się zgodnie z planem, Laura uśmiechnęła się do Suzie.

– Cześć, jestem Laura.

Suzie spojrzała na nią z góry i wydała z siebie odgłos, jakby próbowała wykaszleć martwego wróbla, który utkwiał jej w gardle.

– To angielskie dziewczyny wciąż się tak ubierają? – spytała drwiącym tonem.

– Tylko kiedy ich ojcowie idioci kupują im coś, w czym ich zdaniem wyglądają przeuroczo – odparła Laura.

Chciała, by zabrzmiało to sarkastycznie, ale angielski nie był ojczystym językiem Suzie i Malezyjka zrozumiała tylko tyle, że Laura jest typem córeczki tatusia, nawet bardziej lamerskiej, niż wskazywałyby na to jej letnia sukienka i kardigan.

Suzie uniosła środkowy palec, pokazując odpryskujący fioletowy lakier na paznokciu.

– Gdyby mój tata mówił mi, w co mam się ubierać, powiedziałabym mu, żeby się walił.

Z zenującej sytuacji wybawił Laurę kierownik Royal Suite, który

próbował zagonić wszystkich do terminalu.

– Czy ktokolwiek z naszych gości chciałby coś przekąsić bądź skorzystać z naszych pryszniców przed podjęciem dalszej podróży?

Podczas gdy bagażowi opróżniali przepastne luki odrzutowca z waliz i toreb, pilot RAF-u poprowadził Davida, Tana i pozostałych polityków do czekającego śmigłowca, który miał zabrać ich na pokaz systemu rakietowego w zakładach firmy zbrojeniowej w środkowej Anglii. Kobiety i dzieci weszły po schodach do Royal Suite. Tan Abdullah obejrzał się za żoną.

– Spróbuj nie wydać całej mojej forsy u Harrodsa! – zawołał. – „Forbes” twierdzi, że zostało mi już najwyżej cztery koma siedem miliarda.

*

Wypożyczony telefon zabrzączał Jamesowi w kieszeni, a mapka na ekranie pokazała, że Laura przemieszcza się na wschód wzdłuż autostrady M4, zmierzając w stronę Londynu. James przeszedł przez główne wrota kościoła w śródmieściu Londynu, gdzie działacze Guilt Trips zorganizowali punkt zborny przed planowaną demonstracją.

Mały chłopiec o oliwkowej skórze wystrzelił spomiędzy kościelnych ław i podbiegł do Kyle’a.

– Superman! – zawołał, dumnie prezentując przed sobą plastikową figurkę.

– Bardzo fajny – pochwalił Kyle, biorąc malca na rękę, po czym obejrzał się na Jamesa i Bruce’a. – To jest mały Aizat – wyjaśnił, a chłopiec zawstydzził się i ukrył twarz pod jego pachą.

Od strony ołtarza zbliżała się energicznym krokiem Helena Bayliss. Ubrana była w elegancki kostium biurowy i wyglądała na pewną siebie, kiedy witała Kyle’a pocałunkiem w policzek.

– To są moi starzy przyjaciele, James i Bruce – oznajmił Kyle. – Jak wyglądamy z frekwencją?

– Świetnie, zwłaszcza jak na dzień powszedni – powiedziała He-

lena. – Staralam się ściągnąć jak najwięcej ludzi. Tan Abdullah nie cieszy się popularnością wśród antyzbrojeniowców, za to June Ling jest znana z tego, że pozuje i chodzi na co dzień w futrach, więc dołączyła też garstka obrońców praw zwierząt, żeby jej także dać trochę popalić.

Kyle uśmiechnął się.

– No, no, trzy protesty w jednym. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby polecieć też w prawa zwierząt.

– Jeżeli mamy być skuteczni, potrzebujemy ludzi – powiedziała Helena. – A na obrońców zwierząt zawsze można liczyć, jeżeli zależy ci na narobieniu porządnego hałasu.

– Mam informacje od mojego źródła – oświadczył Kyle. – Samolot Tana wylądował punktualnie. Zdaje się, że zakupowicze są już w drodze do Londynu.

Helena uśmiechnęła się promiennie, słysząc informacje wywiadowcze.

– Ach tak, twoje tajemnicze źródło. Jak często możemy spodziewać się aktualizacji pozycji?

– Zawsze, kiedy zajdzie taka potrzeba – odpowiedział Kyle w tej samej chwili, w której głowa Supermana zatkała mu ucho. – Aizat, nie wygłupiaj się!

– Filmowcy szykują się w zakrystii. Czy twoi koledzy mogą chwilę zaczekać, przedstawiłabym cię?

Kyle potrząsnął głową przecząco.

– Mogą iść z nami. Ufam im całkowicie.

Helena nie była przekonana.

– Z całym szacunkiem dla twoich przyjaciół, Kyle, ale im więcej osób zna nasze plany, tym większe niebezpieczeństwo przecieku.

– Są absolutnie pewni – upierał się Kyle. – Powiedz, czy ja kiedykolwiek nawaliłem?

– No cóż, skoro jesteś całkowicie przekonany... – W głosie Heleny można było wyczuć nutkę zdenerwowania. – Ale to ty wciąż mi

powtarzałeś, żeby nie rozszerzać kręgu wtajemniczonych bez potrzeby.

– Pobawimy się później – powiedział Kyle, stawiając naburmuszonego Aizata na kościelnej posadzce.

Idąc za Heleną, Kyle, James i Bruce minęli grupę aktywistów, którzy za pomocą zszywaczy tapicerskich mocowali transparenty do drewnianych żerdzi. Zanurkowali w niskie drzwi pod schodami prowadzącymi na emporę organową i pokonawszy krótki korytarz o nierównej posadzce, weszli do obszernej zakrystii. Słońce sączące się do wnętrza przez wielki okrągły witraż malowało surowe kamienne ściany na fantastyczne kolory.

Wokół stolika na metalowych nóżkach stało troje ludzi. Wszyscy w wieku około trzydziestki, pochylali się nad małą kamerą wideo niczym zespół chirurgów nad stołem operacyjnym.

– Jakiś problem? – zapytała Helena.

– Zatrask strzelił przy akumulatorku – wyjaśnił wysoki Francuz o kręconych włosach. – Zakleimy taśmą izolacyjną. Nic poważnego.

– To tylko mała kamerka do filmowania z boku – dodała kobieta.

W niewielkiej odległości od stołu siedział starszawy mężczyzna. Miał na sobie pikowany bezrękawnik z rzędami małych kieszeni i spoglądał znad półramkowych okularów na krzyżówkę w „Time-sie”. James natychmiast rozpoznał twarz, którą widywał wcześniej w niezliczonych reportażach telewizyjnych, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

– Chłopcy, jestem pewna, że znacie Hugh Verhoevena – powiedziała pogodnym tonem Helena.

Z wyrazem oszołomienia i zachwytu na twarzy Kyle podszedł, by uścisnąć mężczyźnie dłoń.

– Jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni, że zechciał pan zająć się naszą historią, panie Verhoeven – powiedział z przekonaniem. – Pamiętam, jak oglądałem pana reportaż z Kosowa, kiedy miałem osiem czy dziewięć lat. Były naprawdę poruszające.

Starszy reporter uśmiechnął się ciepło.

– Mów mi Hugh – powiedział. – Helena opowiadała mi, jak bardzo pomogłeś jej przy kampanii Guilt Trips. Z tego, co słyszałem, jesteś imponującym młodym człowiekiem.

Kyle uśmiechnął się z wdzięcznością, podczas gdy Helena przedstawiła Bruce'a i Jamesa. James potrząsnął dłonią reportera i nagle zapragnął powiedzieć coś inteligentnego, tak jak Kyle.

– Widziałem ten filmik, jak pana postrzelili, na YouTube. Miał ponad milion odsłon.

Verhoeven uniósł jedną brew i dumnie wyprostował się na krześle.

– Miło mi, że sprawiłem ci frajdę – wycedził sucho i sięgnął do guzika koszuli. – Chcesz może zobaczyć ranę wylotową?

Pod lodowatym spojrzeniem Heleny i Kyle'a James uświadomił sobie, że palnął gafę.

– Nie, przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – wyrzucił z siebie pospiesznie, po czym zrehabilitował się bardziej sensownym pytaniem. – Kyle mówił, że jest pan na częściowej emeryturze. Skąd to nagłe zainteresowanie Tanem Abdullahem?

– A widzisz, to mój biały wieloryb! – ryknął entuzjastycznie Verhoeven. – Parę lat temu miałem śliskiego łajdaka na patelni. Malezyjczycy podpisali z Francuzami umowę na dostawę partii myśliwców Mirage po promocyjnej cenie. Uruchomiłem śledztwo i odkryłem całą sieć korupcyjną: łapówki, kosztowne prezenty, a w samym sercu tego wszystkiego Tan Abdullah, który posmarował łapki tuzinowi ludzi, zgarnął potężną prowizję i jeszcze wcisnął do dilu swój awans na ministra obrony.

– No i co się stało? – zapytał Kyle.

– Mój temat zmarł śmiercią gwałtowną i nienaturalną – powiedział Verhoeven. – Obudziłem się z paskudnym bólem głowy w splądrowanym pokoju hotelowym. Mój malezyjski researcher i operatorka kamery zniknęli razem ze wszystkimi taśmami i notatkami z

wywiadów. Ludzie zaczęli odkładać słuchawkę, kiedy do nich dzwoniłem, a parę dni później cofnęli mi malezyjską akredytację prasową. Musiałem zmykać szybkim promem do Tajlandii, zanim mnie deportują.

Kyle uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ale dzisiaj wszystko to naprawimy.

– O tak! – rozpromienił się Verhoeven i uderzył pięścią w dłoń. – Dziś Tan Abdullah zapłaci za swoje grzechy!

29. PLAMA

Trzy czarne mercedesy klasy S na dyplomatycznych tablicach mknęły pasem dla autobusów, zmierzając w stronę ekskluzywnego końca londyńskiej Oxford Street. TJ i Kevin mieli hektary miejsca na tylnej kanapie, podczas gdy Laura jechała z przodu, obok posągowego masywu kierowcy ochroniarza z ambasady Malezji.

Przed opuszczeniem Royal Suite TJ wziął prysznic i jego czarne, rozjaśnione pasemkami włosy wciąż były mokre. W obawie przed chłodnym brytyjskim klimatem włożył też nieco staroświecki w stylu dres Adidasa. Kevin uznał, że chłopak w zasadzie jest w porządku, choć jak na jedenaście lat zachowywał się niezbyt dojrzałe.

TJ nosił ze sobą płócienny woreczek wypełniony suchymi ziarnami soczewicy. Co pewien czas wciskał jeden w wylot plastikowej słomki, wkładał słomkę do ust i wystrzeliwał pocisk prosto w kark Laury.

Po piątym strzale Laura miała już serdecznie dość.

– Przestań, ty kmiecie!

TJ i Kevin roześmiali się na widok jej wściekłej miny.

– No co tak patrzysz? – Kevin wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu, ukradkiem chowając słomkę do kieszeni bluzy. – Coś cię trafiło? Nie mam pojęcia, skąd to przyleciało. Ja też dostałem, wiesz?

Kevin starał się zachować neutralność, ale nie zdołał pohamować uśmiechu, widząc TJ-a udającego niewiniątko.

Wyraźnie podbudowany aprobatą kolegi TJ wcisnął w słomkę ko-

lejne ziarenko.

Laura była zła. Gdyby któryś z juniorów w kampusie strzelił w nią ze spluwy, gorzko by tego pożałował, ale tu nie mogła załatwić swoich porachunków, tłukąc malezyjskich gości.

TJ podsunął słomkę Kevinowi.

– Masz, strzel sobie. Spróbuj trafić w ucho, to dopiero się wścieknie.

Kevin nie ośmieliłby się skorzystać z propozycji, ale korzystając z okazji, po słomkę sięgnęła Laura.

– Za wolno! – skrzywił się szyderczo TJ, szybko cofając rękę, by natychmiast wystrzelić kolejny pocisk.

Ziarenko było bardzo lekkie, ale poruszało się wystarczająco szybko, żeby Laurę nieprzyjemnie zapiekła szyja, kiedy trafiło ją tuż poniżej ucha. Perspektywa skończenia na ostrym dyżurze z soczewicą w kanale usznym nie podobała jej się ani trochę, więc przeniósła rozwścieczone spojrzenie na Kevina.

– Każ mu natychmiast przestać albo pożałujesz – rozkazała.

Na widok furii w jej oczach Kevin spoważniał w ułamku sekundy.

– Stary, to się robi nudne – powiedział do TJ-a, wsuwając rękę pod podłokietnik, by przechwycić woreczek z soczewicą.

TJ sięgnął ze swojej strony, ale zdołał tylko potrącić torebkę, rozsypując ziarenka na skórzaną tapicerkę i grubą wykładzinę pod nogami. Kierowca przywykł do grubiańskich manier pasażerów, ale nie miał najmniejszego zamiaru sprzątać cudzego bałaganu.

– Dość tego! – ryknął grzmiącym głosem, od którego TJ podskoczył na swoim miejscu.

Gdy minął pierwszy szok, chłopiec zhardział.

– Może nie takim tonem, co? – prychnął, krzywiąc się pogardliwie. – Wiesz, kim jest mój ojciec? Może wywalić cię z pracy, o tak.

TJ strzelił palcami, ale cała jego demonstracja tylko dodatkowo zirytowała kierowcę, który poczekał z odpowiedzią, dopóki nie okrążyli ronda.

– Dla mnie może być samym królem Chin! – krzyknął w końcu. – Pozbierać mi to zaraz, a potem siad na tyłkach i gęby na kłódkę! Mój samochód, moje zasady, a jak się nie podoba, to wynocha stąd i jazda na piechotę!

Kevin obserwował TJ-a, który był w szoku. Twarz mieniła mu się oburzeniem i przez chwilę wydawało się, że napad szału jest nieunikniony. Jednak kierowca wyglądał jak bokser wagi ciężkiej i ostatecznie TJ postanowił z nim nie zadzierać.

Podczas gdy Kevin zgarniał soczewicę z siedzenia i wsypywał z powrotem do woreczka, TJ rozpiął pasy i zsunął się na podłogę, by wyskubać ziarenka z wykładziny. Laura obdarzyła kierowcę uśmiechem wdzięczności.

W samochodzie wciąż turlało się kilka niezauważonych ziarenek, kiedy konwój mercedesów zatrzymał się przed bocznym wejściem ekskluzywnego domu towarowego Elbridge. Portier rzucił się do drzwi samochodów, by pomóc kierowcom i ochroniarzom w wypuszczeniu podróżnych, a z wnętrza budynku wybiegł mężczyzna, najwyraźniej przygotowany na przybycie gości, który od razu przypadł do June Ling. Kiedy przywitał ją pocałunkiem w policzek, wyglądała na poirytowaną.

TJ był jednym z nielicznych obecnych, którzy nie czuli respektu przed statusem supermodelki June Ling. Chłopiec bezceremonialnie pociągnął ją za ramię.

– Będziesz godzinami przebierać w sukienkach – powiedział kwaśnym tonem. – Daj mi goryla, to pójdziemy oglądać coś dla chłopaków.

Lekko przygnębiona Laura ruszyła za June Ling, Suzie i Melissą. Dla odmiany Kevin wyglądał raczej radośnie, kiedy wraz z TJ-em odłączyli się od kobiet i pognali przez wielki dział perfum pod eskortą dwóch przerośniętych zakapiorów.

– Zawsze chodzisz z ochroną? – zapytał Kevin.

– Zawsze i wszędzie – przytaknął TJ. – Moją najstarszą siostrę po-

rwali kiedyś dla okupu. Chcieli milion dolarów, więc tata powiedział im, żeby ją sobie wzięli.

– Nie Suzie?

– Nie, to była jedna z moich przyrodniczych siostr z pierwszego małżeństwa taty. One wszystkie są stare, mają po trzydzieści lat czy ileś.

TJ wydawał się nieźle orientować w rozkładzie Elbridge'a. Zbiegłszy po ruchomych schodach, chłopcy znaleźli się w dziale ubiorów sportowych.

Kevin od czasu do czasu chodził z kolegami do galerii handlowych, ale kieszonkowe CHERUBA nie było niebotyczne, więc zwykle tylko oglądali. TJ żył w zupełnie innym świecie. Podszedł do ściany z butami, zdjął z haków sześć par, które wpadły mu w oko, i kazał niedowierzającemu subiektowi przynieść wszystkie w odpowiednim rozmiarze. Potem zaatakował regał z koszulkami piłkarskimi.

– Kogo lubisz? – zapytał Kevin.

Zanim otrzymał odpowiedź, TJ zdjął z drążka dwie koszulki Chelsea, domową i wyjazdową, i rzucił je jednemu z ochroniarzy.

– Albo lepiej wezmę po dwie z każdego rodzaju – powiedział. – Jedną do kolekcji, jedną do noszenia.

– Troszkę rozpuszczony to ty jesteś, co nie? – wyszczerzył zęby Kevin.

Subiekt wrócił z czterema parami obuwia – tyle było na stanie rozmiarze TJ-a. Chłopiec wziął jeden i zaczął przymierzać, ale nagle spojrzał z gniewem na sprzedawcę i wydłubał z buta kulę zgniecionego brązowego papieru.

– No i po co zostawiać to w środku?! – krzyknął z furją, ciskając papier w głąb sklepu, po czym zwrócił się do Kevina: – A ty komu kibicujesz?

– Nie jestem wielkim fanem piłki, ale jeśli miałbym wybierać, to byłbym za Arsenalem – powiedział Kevin.

– Straszne gówno – skrzywił się TJ i spojrzał na ochroniarza. –

Przynieś mu koszulkę Arsenalu.

– Daj spokój, nie mogę – zaprotestował Kevin.

Nie powstrzymał jednak uśmiechu, kiedy ochroniarz wrócił, rozpościerając w dłoniach koszulkę domową Arsenal FC. Podczas gdy ścigał bluzę i przymierzał swój prezent, TJ chwycił jeszcze dwie futbolówki Nike i dwie bluzy dresowe, rzucił je na stertę zakupów, po czym wbił wzrok w kask do rugby z autografem w szklanej gablocie wystawowej.

– A za to ile? – zapytał obcesowo i zrobił zawiedzioną minę, kiedy sprzedawca oświadczył, że kask nie jest na sprzedaż.

– Masz jakiś limit wydatków? – zapytał Kevin, podczas gdy jeden z agentów ochrony kazał sprzedawcy obciążyć rachunek Tana Abdullaha kosztami zakupów i zanieść wszystko do mercedesa na parkingu.

– To i tak nic – rzucił obojętnie TJ. – Za wszystko to razem będzie jakieś pięćset funtów. Moja macocha wydaje dziesięć razy tyle na jedną sukienkę. Co teraz?

– Byłem tu tylko raz, ale dział gier wideo jest całkiem fajny. Poza tym teraz jest szkoła, więc wszystkie konsole będą wolne.

TJ potrząsnął głową.

– Dostaję każdą nową grę, jaka wchodzi na rynek.

Kevin uznał, że to tylko czcza przechwałka, ale TJ wyjaśnił mu, jak to działa.

– Mój tata ma z pięćdziesiąt hoteli, jak nie więcej, i w niektórych w pokojach są konsole do gier. Duże firmy przysyłają nam wszystkie swoje gry i nowe konsole do wypróbowania. Większości nawet nie rozpakowuję. Ale ciuchy mają tu nie najgorsze. Rozejrzemy się?

Kevin wzruszył ramionami.

– Ty jesteś gościem.

TJ powtórzył swoje przedstawienie w dziale markowych ubiorów dla dzieci, przepuszczając prawie trzy tysiące funtów na same najlepsze metki. Kevin grał rolę syna bogatego handlarza bronią i do-

stał dwieście funtów kieszonkowego. Jedyną rzeczą, która naprawdę mu się podobała, była skórzana kurtka, ale jej cena wynosiła pięćset funtów.

– Przymierz – nalegał TJ.

Kevin potarł w palcach miękką czarą skórę. Kurtka była przytwierdzona do wieszaka zapięciem przeplecionym przez rękaw, ale kiedy tylko sprzedawca zorientował się, że Kevin jest z TJ-em, natychmiast podbiegł, by zdjąć zabezpieczenie.

– Słuchaj, nie bardzo mnie stać – tłumaczył się Kevin.

– Twój ojciec to kutwa – orzekł TJ. – Dwie stówki to główniany limit.

– Nie jesteśmy biedni – odparł Kevin. – Tyle że jesteśmy bogaci w stylu dwa domy i drogie fury, a nie prywatne odrzutowce i pięćdziesięciopokojowe pałace.

– Jak mój tata próbuje mi czegoś odmawiać, dostaję szału i zaczynam rozwalać rzeczy – pochwalił się TJ. – Raz stłukłem popielniczkę. Tata się wściekł, bo ona była z jakiegoś sławnego filmu i zapłacił za nią na aukcji chyba z siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Kevin nie był pewien, czy TJ mówi serio, czy tylko zmyśla dla szpanu. Sprzedawca trzymał kurtkę przed sobą i wydawało się raziącą nieuprzejmością nie wsunąć rąk w rękawy, by przejrzeć się w lustrze. Pasowała idealnie. Oczami wyobraźni Kevin ujrzał siebie przechadzającego się w niej po kampusie, wśród udręczonych spojrzeń oszalałych z zazdrości kolegów.

Regulamin CHERUBA nie pozwalał agentom zatrzymywać na własność kosztownych rzeczy i pieniędzy zdobytych podczas misji, ale przecież nikt nie prowadził ewidencji jego ciuchów i Kevin pomyślał, że gdyby chciał, bez trudu ominąłby zakaz.

TJ kazał sprzedawcy odpiąć drugą, niemal identyczną kurtkę, ale ta miała wstawki z wężowej skóry i kosztowała prawie dwa razy więcej. Chłopiec włożył ją i stanął obok Kevina przed lustrem.

– Wyglądamy czadersko! – zawołał. – Biorę obie.

Kevin potrząsnął głową.

– Koszulka wystarczy, stary. Nie mogę przyjąć takiego prezentu.

Ale ta kwestia zdawała się nie podlegać dyskusji. TJ podjął już decyzję i teraz przyglądał się krytycznie Kevinowi.

– Wiem, że seksowny ze mnie chłopak, ale nieładnie się tak gapić

– powiedział Kevin po chwili niezręcznej ciszy.

TJ wystawił środkowy palec.

– Nie jestem ciotą! Ale podobają mi się twoje buty i chinosy. Gdzie można takie kupić?

Buty Kevina były z Timberlandu i sprzedawca pokierował ich do stosownego sklepu piętro wyżej. TJ odszukał takie same buty i spodnie, w jakie ubrany był Kevin, i uparł się, że włoży je od razu razem z kurtką.

– No, zgłodniałem – oznajmił TJ. – A ty? W bistrze na tym piętrze dają ogromniaste burgery.

*

Laura nie od razu weszła w komitywę z Suzie, ale ich relacje ociepliły się po odłączeniu od Melissy i June. Dziewczęta uciekły od sukienek po trzy tysiące funtów za sztukę, zaprojektowanych dla kobiet chudych jak ołówki, zbiegły piętro niżej i teraz przechadzały się niespiesznie po dziale o pretensjonalnej nazwie Młoda Dama, obserwowane przez utrzymującego dyskretny dystans ochroniarza.

Jeśli TJ był uosobieniem rozpuszczonego smarkacza, Suzie wpiśywała się w stereotyp durnej opryskliwej nastolatki. Sunęła między wieszakami, wodząc po ubraniach lekko znudzonym wzrokiem, a kiedy wybierała jakąś rzecz, to tylko po to, żeby oznajmić, że to śmieć i że wszystkie londyńskie sklepy są gówniane w porównaniu z Paryżem albo Tokio. Laura nie była bogoojczyźnianą patriotką, ale zgrzytała zębami, słysząc, jak Malezyjka bez krzty wyczucia natrząsa się z jej kraju.

– Camden Market byłby lepszy – powiedziała Laura. – Towar bardziej w naszym stylu.

– Camden jest okej – przyznała Suzie, co w jej świecie było odpowiednikiem salutu z dwudziestu jeden dźwięków. – Znasz tu jakieś bary w pobliżu? Mam ochotę nażreć się sushi i pić wódkę z colą, aż wszystko zacznie się kiwać.

– Na pewno jest tu mnóstwo barów, ale nas nie obsłużą – odpowiedziała Laura. – A mój diler od heroiny akurat w tym tygodniu jeździ na nartach na południu Francji.

Suzie potrzebowała kilku sekund na zrozumienie, że Laura żartuje, a kiedy wreszcie załapała, parsknęła głośnym śmiechem.

– Czternaście lat to najgorszy wiek – poskarżyła się. – Człowiek chce wszystkiego, ale gównem może.

Laura pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Mój ojciec to straszny wrzód na dupie – powiedziała. – Żałuję, że dałam mu się przekonać, żeby ubrać się w te szmaty. Czuję się jak kretynka.

– Powinnaś kupić coś od czapy i pokazać mu się w tym – zasugerowała Suzie. – Plastikowe spodnie, skórzany kapelusz ze swastykami...

Laura skinęła głową.

– Albo T-shirt z napakowanym gołym facetem z Wackiem na wierzchu.

Suzie aż ryknęła śmiechem.

– Och, gdyby tylko mieli tu takie – pisnęła, ocierając łzę z oka. – Mój stary by się chyba posikał.

Okrążywszy wewnętrzne stoisko sklepowe z dziwną kolekcją fluorescencyjnych strojów z lycry, dziewczęta wyszły prosto na tandetnie urządzone bistro w stylu lat 50. Przepierzenie oddzielające restaurację od części sklepowej zasłaniało Kevina i TJ-a, ale ponad ścianką sterczały przypominające kowadła łby ich ochroniarzy.

– Powkurzamy naszych braciaków? – ożywiła się Suzie. – TJ to taki dupek, że nie wiem. Ma jedenaście lat, a zachowuje się, jakby miał z osiem.

Lokal był prawie pusty i chłopcy jedli naprzeciwko siebie w boksie dla czterech osób. Agenci ochrony siedzieli kilka stolików dalej, pochłaniając potrójne cheeseburgery.

– Patrz, zamówili całą krowę – prychnęła szyderczo Laura, podchodząc do stolika chłopców.

– Posuń się! – rozkazała Suzie i brutalnym pchnięciem zepchnęła TJ-a na krawędź wyściełanej ławki.

Kevin nie potrzebował zachęty, by zrobić miejsce dla Laury, która usiadła, przyglądając się badawczo jego kurtce. Przyjrzała się charakterystycznemu wzorowi plamek na miękkiej skórze, przeczytała metkę i rzuciła koledze spojrzenie wagi ciężkiej.

– To ze strusia – powiedziała oskarżycielskim tonem.

– Dla mnie może być nawet panda – odparł Kevin z ustami wypchanymi potężnym kęsem hamburgera. – Ważne, że to najzajefajniejsza kurtka, jaką kiedykolwiek miałem.

TJ uniósł poły swojej nieco bardziej ekskluzywnej kurtki.

– A ta ma jeszcze wstawki z węża – pochwalił się.

Suzie spojrzała na chinosy brata i potrząsnęła głową z mieszaniną niedowierzania i pogardy.

– Ubrałeś się tak samo jak Kevin. Czy ty kiedykolwiek w życiu miałeś choć jedną oryginalną myśl?

– Pocałuj mnie gdzieś – odciął się TJ.

Suzie zwróciła się do Laury.

– Powiedzieć ci o nim coś śmiesznego? – zapytała i włożyła sobie wskazujący palec głęboko do ust. – Koleś cierpi na ostrą ślinofobię.

Aby dowieść prawdziwości swoich słów, Suzie unieruchomiła TJ-a, przyciskając go do ściany boksu, po czym z sadystycznym uśmiechem uniosła szklący się palec i wetknęła go bratu do ucha.

TJ szarpnął się, wrzasnął i zaczął przeraźliwie krzyżeć.

– Złaż ze mnie... Suzie, ty mała głupia! Jezu, jesteś obrzydliwa!

Kelnerka i przechodzący zakupowicze spojrzeli z przerażeniem w stronę dzieci, ale ochroniarze najwyraźniej widywali już gorsze rze-

czy i przeżywali swoje jedzenie, jakby nic się nie wydarzyło.

Po krótkiej walce TJ zdołał zerwać się na nogi na siedzisku ławki i przewalić przez przepierzenie do części sklepowej. Kevin ze zdumieniem spostrzegł, że jedenastoletek jest bliski płaczu. Pochlipując, TJ wstał z podłogi i odbiegł, krzycząc: „Gdzie jest łazienka?“, oraz: „Muszę umyć ucho”.

– O w mordę, co to było? – zapytał z niedowierzaniem Kevin, patrząc za TJ-em i ścigającym go ochroniarzem.

– Ślinofobia, mówiłam – odpowiedziała Suzie i eksperymentalnie podsunęła mokry palec Kevinowi pod nos, by sprawdzić, czy wywoła to podobny efekt. – Zrobi się ciekawie, jak znajdzie sobie pierwszą dziewczynę.

W odpowiedzi na prowokację Kevin ostentacyjnie zamerdał językiem.

– Lubię gotki – oznajmił, poruszając brwiami w górę i w dół. – Mogę wymienić z tobą płyny, kiedy tylko chcesz.

Kevin był całkiem przystojny, ale miał dopiero dwanaście lat, więc Suzie udało, że propozycja wzbudziła w niej wyłącznie obrzydzenie. Laura otoczyła ramieniem szyję Kevina i kostkami palców natarła mu czubek głowy.

– No czyż nie jest słodki ten mój braciszek? – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Mały zboczony strusiobójca.

TJ wrócił kilka minut później. Ucho i połowę twarzy miał aż czerwone od szorowania gorącą wodą z mydłem. Chciał zgarnąć Kevina i ruszyć na obchód sklepów bez dziewczyn, ale w tej samej chwili zadzwoniła June Ling, by kazać dzieciom zejść do samochodów.

Kiedy zeszli na dół, ujrzeli, jak jeden z trzech goryli June Ling łapie za gardło kobietę, która sfotografowała umiarkowanie znaną modelkę telefonem komórkowym.

– Skasuj to albo ja skasuję ciebie! – ryknął, a potem zawisł złowrogo nad przerażoną ofiarą usuwającą zdjęcie trzęsącymi się dłońmi.

Na zewnątrz czekały trzy identyczne mercedesy zawczasu wyprowadzone z podziemnego parkingu. Personel domu towarowego upychał w bagażnikach tuziny charakterystycznych fioletowych reklamówek. Chłopcy wybiegli ze sklepu pierwsi i wskoczyli na tył ostatniego samochodu, nie zauważając niczego niezwykłego, ale kiedy na chodnik wyszła June Ling z Melissą, nagle rozpętało się piekło.

Grupa kilkanaściorga obrońców praw zwierząt przypadła do mercedesów i zablokowała drzwi.

– Futro to morderstwo! – krzyknął ktoś, podczas gdy jakaś kobieta podbiegła do June Ling od tyłu i spryskała jej plecy keczupem z plastikowej wyciskanej butelki.

Kilku paparazzich dostało wcześniej cynk i flesze rozbłysły karabinową serią, kiedy modelka rzuciła się na kobietę w wyświechtanej parce i pomarańczowej chuście zasłaniającej twarz.

– Gdzie moja ochrona?! – wrzasnęła skrzekliwie June Ling.

Odpowiedź nadeszła w postaci olbrzymiego ochroniarza, który odciągnął demonstrantkę i odrzucił ją w stronę budynku Elbridge z taką siłą, że głowa kobiety dźwięknęła głośno o szybę witryny.

W normalnej sytuacji Laura trzymałaby stronę przeciwników naturalnych futer w starciu z jędzowatą modelką, ale tym razem padła ofiarą winy przez skojarzenie. Drogę do samochodu zastąpił jej mężczyzna unoszący plakat ze straszliwą fotografią świeżo oskórowanej norki.

– Futro to morderstwo! – wykrzyknął. – Cholerna nadziana księżniczka.

– Z drogi! – krzyknęła Laura, a Suzie odłączyła się od niej i pognąła w stronę mercedesa. – Jestem wegetarianką, więc odczep się, dobrze?

Podczas gdy mężczyzna przetrawiał to, co powiedziała, jego koleżanka złapała ją wpół i zaczęła odciągać od samochodów.

Laura chciała użyć minimalnej siły, zahaczając czólenkiem nogę

kobiety i podcinając ją, ale ruch ten jest trudny, kiedy jest się wleczonym do tyłu, i ostatecznie musiała pomóc sobie łokciem.

Trafiła w zuchwę, posyłając na chodnik kobietę i osobno jej dwa przednie zęby. Kiedy wyprostowała się, gotując do stawienia czoła mężczyźnie, który wciąż stał między nią a samochodami, jeden z ogromnych ochroniarzy złapał go za klapy kurtki i wbił kolano w brzuch.

Ktoś w mercedesie otworzył drzwi i Laura wskoczyła do środka.

– Dzięki, Melissa – sapnęła zdyszana, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, po czym spojrzała na zewnątrz, gdzie ochroniarze rozprawiali się brutalnie z największym i najbardziej natarczywym z demonstrantów.

W samochodzie June Ling wrzeszczała histerycznie na mężczyznę za kierownicą:

– Dlaczego napada mnie banda niedomytych oprychów?! Gdzie mój parawan ochronny?! Gdyby to byli porywacze, zdjęliby mnie z tego chodnika, zanim cokolwiek byście zauważyli, bezużyteczne durnie!

Melissa była spokojniejsza, ale na jej twarzy malowało się zdumienie.

– Skąd oni w ogóle wiedzieli, że tu jesteśmy?

Jeden z ochroniarzy wskoczył na fotel obok kierowcy i mercedes z szarpnięciem odbił od krawężnika.

– Może ktoś ze sklepu dał im cynk? – zasugerowała Laura.

– Niewykluczone – zgodziła się Melissa. – Ale akcja nie wyglądała na zorganizowaną naprędce. Tuzin demonstrantów z przygotowanymi transparentami i prasę zawiadomili...

– Zdrajca jest wśród nas – wtrąciła gwałtownie June Ling. – Zdecydowałam, do którego sklepu jedziemy, dopiero kiedy wsiadłam do auta. Tylko ludzie w samochodach wiedzieli, gdzie będziemy.

– Czy chce pani odwiedzić inne sklepy? – zapytał kierowca i schował głowę w ramiona, kiedy jego pasażerka praktycznie zionęła

ogniem.

– A jak myślisz, bałwanie?! – wrzasnęła June Ling. – Dlaczego wszyscy musicie być takimi durnymi ćwokami? Mam może paradować po Londynie z tym czerwonym syfem na plecach? Jazda do hotelu, ale migiem!

Podczas gdy Laura patrzyła na sunący za oknem rząd ekskluzywnych sklepów, gnębiona poczuciem winy po pobiciu obrończyni praw zwierząt, i zastanawiając się, kto mógłby być wtyczką, która zdradziła demonstrantom miejsce ich pobytu, telefon w jej kieszeni niepostrzeżenie wysłał Jamesowi wiadomość wskazującą, że grupa znowu jest w drodze.

30. KWIATY

– Dzięki za info, James – powiedział Kyle. – Już jadę.

Kyle siedział w szoferce japońskiego mikrovana ubrany w dżinsy i zieloną koszulkę polo z małym logo najlepszej kwiaciarni wysyłkowej w Mayfair wyhaftowanym z boku na piersi. Schowawszy telefon do kieszeni, uruchomił silnik, ruszył i natychmiast zahamował otrąbiony przez taksówkarza, któremu zajęchał drogę.

– Sorka, stary! – zawołał, wystawiając rękę za okno w przeproszającym geście.

Jednolitrowy silnik i wysokie nadwozie nie ułatwiały dynamicznej jazdy, a na ostatnich stu metrach Kyle utknął za śmieciarką. Leith był niedawno otwartym hotelem butikowym z pstrokatą żółto-różową recepcją ozdobioną surrealistyczną rzeźbą w postaci wystających ze stropu instrumentów dętych.

Na widok zatrzymującej się przed wejściem furgonetki Kyle'a portier w prążkowanej liberii potruchtał w jej stronę.

– Za chwilę przybędą tu bardzo ważni goście – poinformował z uśmiechem. – Nie możesz tu zaparkować, chłopcze.

– Rodzinka Tana Abdullaha? – zapytał Kyle.

Nie czekając na odpowiedź, wyskoczył z szoferki i zauważył niewielkie zgromadzenie po drugiej stronie wąskiej jednokierunkowej uliczki. Miał nadzieję, że zanim zjawią się trzy mercedesy, grupa urośnie o kolejnych dwadzieścia, może trzydzieści osób.

– Naprawdę nie możesz się tu zatrzymać, nie w tej chwili! – po-

wtórzył portier coraz bardziej nerwowym tonem.

– Mam kwiaty pani June Ling – powiedział Kyle. – Właśnie dostaliśmy wiadomość, że przyjeżdża wcześniej. Te bukiety muszą znaleźć się w jej apartamencie, zanim przyjedzie, albo urządzi awanturę.

– Dobry Boże, tego byśmy nie chcieli, nieprawdaż? – powiedział portier, wzdragając się na samą myśl. – W porządku, wypakuj kwiaty, chłopcze, a my zaniesiemy je do pokoju.

Kyle potrząsnął głową.

– To jest wyjątkowa kompozycja floralna – odburknął z urażoną miną. – Tylko ja wiem, jak rozstawić ją w pomieszczeniu.

Portier przyskoczył do drzwi, wetknął głowę do środka i zawołał niejakiego Carla, który przybiegł po chwili, pchając przed sobą wózek bagażowy. Kyle wyładował trzy ogromne wazony kwiatów i zaparkował samochód w bocznej alejce obok hotelu.

Szklaną windę zamontowano na hotelowym dziedzińcu i Carlo musiał przeciągnąć swoją kartę przez czytnik, by kabina zawiozła ich do luksusowych apartamentów na najwyższym piętrze. Zarówno Tan Abdullah, jak i June Ling mieli osobistych asystentów, którzy prosto z lotniska pojechali do hotelu, by para miliarderów mogła zastać tam rozpakowane bagaże, łóżka pościelone według ich osobistych upodobań, jak również spełnione wszelkie życzenia dodatkowe.

Carlo zapukał i podwójne drzwi rozchyliły się, przepuszczając Kyle'a do nietuzinkowo urządzonego salonu, którego centralnym elementem była okrągła skórzana kanapa z kreskami odbłaskowego różu biegnącymi pomiędzy poduszkami. Na widok kwiatów przysadzisty asystent June Ling zrobił przerażoną minę.

– Co to ma znaczyć? – prychnął nerwowo. – Pani Ling będzie tu lada chwila, a tak się składa, że nie jest w najlepszym nastroju. Nie wolno wam tutaj wchodzić!

Carlo rozejrzał się panicznie, ale Kyle zachował spokój. Zerknął w

głęb ogromnej marmurowej łazienki, gdzie szumiał kran napełniający wannę przed przybyciem June Ling.

– Te kwiaty są podarunkiem dla pani i pana Abdullahów od ambasadora Francji – skłamał gładko. – Czy życzy pan sobie, byśmy przekazali ambasadzie wyjaśnienie, dlaczego nie zostały przyjęte?

Osobisty asystent Tana, który krzątał się po salonie, pozornie nie zwracając uwagi na przybyłych, na dźwięk słowa „ambasador” pośpiesznie podbiegł do drzwi i uśmiechnął się przymilnie.

– Z ambasady, powiada pan? Oczywiście, że przyjmujemy kwiaty. Raczy pan zostawić na stole jadalnym?

Kyle przez kilka sekund przyglądał się krytycznie stołowi, po czym kiwnął głową.

– Myślę, że słońce wpadające przez świetlik pięknie oświetli bukiety w tej pozycji. Mam także wiadomość dla pana Tana Abdulla-ha.

Kyle podał asystentowi kopertę opatrzoną godłem francuskiej ambasady w Londynie.

– Dopilnuję, by pan Abdullah otrzymał ją niezwłocznie, kiedy tylko pojawi się w hotelu – obiecał asystent.

Tymczasem Carlo podtoczył wózek do stołu i Kyle zaczął ustawiać wazon na blacie, manipulując łądygami zgodnie ze swoją mocno ograniczoną wiedzą o układaniu kwiatów, jaką nabył w kwiaciarni w północnym Londynie kilka godzin wcześniej. Podczas gdy zajmował się kwiatami, asystent Tana pomachał elektroniczną różdżką nad bukietami, upewniając się że nie ukryto w nich urządzeń podsłuchowych.

– Właśnie dostałem wiadomość od kierowcy – zawołał asystent June Ling. – Będą tu za dwie minuty. Musimy natychmiast opuścić apartament.

*

Po ataku pod domem towarowym do konwoju mercedesów dołączyła eskorta w postaci radiowozu, ale nawet okazjonalne włączanie

syreny nie zdawało się na wiele i pokonanie dwóch mil pomiędzy Oxford Street a hotelem w Mayfair zajęło dwadzieścia pięć minut.

Leith mieścił się przy wąskiej ulicy, naprzeciw szeregu ekskluzywnych butików i tuż obok niewielkiej narożnej kawiarni. Kiedy tylko ostatni czarny mercedes przytarł krawężnik przed wejściem hotelu, pół tuzina kawoszy dotychczas spokojnie sączących latte wysypało się na ulicę, wymachując transparentami.

Kevin obejrzał się i w oszołomieniu potoczył wzrokiem po wielkim bannerze z antyzbrojeniowym sloganem, plakatach z logo Guilt Trips i fotografiach oprawionej norki, którą pamiętał spod domu towarowego.

Podskoczył, kiedy na tylnej szybie rozprysło się jajko.

– Dawaj wsteczny i rura! – zażądał TJ. – Przejedźmy tych sukinsynów.

– Cicho! – huknął kierowca, usadzając rozgorączkowanego jedenastolatka.

Jako agent ochrony był przeszkolony w zaawansowanych technikach jazdy, ale nawet najwspanialsze umiejętności nie mogły się przydać w długim wozie, który utknął na wąskiej ulicy. Drogę przed maską blokowały dwa mercedesy, dlatego wrzucił wsteczny i ruszył do tyłu, wciskając klakson w regularnych odstępach czasu.

Ten agresywny manewr nie spodobał się demonstrantom, którzy otoczyli wóz ze wszystkich stron. Na oknach i klapie bagażnika załomotały pięści. Podekscytowany TJ docisnął do szyby środkowy palec i zaczął stroić miny.

– Nie prowokuj ich – rozkazał poirytowanym tonem kierowca, który patrzył w tył z ręką za oparciem fotela.

Przed nimi środkowy mercedes stał w połowie na ulicy, w połowie na podjeździe hotelu Leith. Kilka tuzinów demonstrantów blokowało mu drogę, nie pozwalając wjechać dalej.

– Dlaczego policjanci tylko siedzą w swoim wozie? – denerwowała się June Ling.

– Czeka ją na wsparcie, jak przypuszczam – powiedział ochroniarz na przednim siedzeniu. – Gdyby wyszli sami przed taki tłum, tylko zrobiliby z siebie idiotów.

– Wszystko jedno, nie zamierzam być niczym więźniem! – wrzasnęła modelka tak przenikliwym głosem, że Laura zakryła lewe ucho dłonią na wypadek powtórki. – Dobra, ja idę do hotelu. Jesteście moją ochroną, więc mnie chrońcie!

Tłum zafalował, kiedy June Ling gwałtownie otworzyła tylne drzwi. Błysnęło kilka fleszy. Porzuciwszy szpilki w mercedesie, modelka wyskoczyła boso na beton i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przedarła się przez grupę demonstrantów, by przebiec dziesięć metrów dzielących ją od hotelowego westybulu.

Rozległy się gniewne okrzyki protestujących, którzy zorientowali się, że umyka im główny cel, jednak gdy sekundę później z mercedesa wyskoczył ochroniarz, byli już lepiej przygotowani. Przez otwarte drzwi do wnętrza samochodu poleciały jajka, z których jedno rozbiło się na siedzeniu obok Melissy i opryskało jej nogę. Melissa spojrzała na Laurę.

– Wiejemy?

– A co tam, możemy spróbować. – Laura skinęła głową. – Inaczej będziemy tkwić w tym samochodzie do końca świata.

Policjanci właśnie złapali jednego z demonstrantów i korzystając z zamieszania, Melissa wraz z ochroniarzem z przedniego miejsca wyskoczyli z wozu i puścili się biegiem w stronę hotelu. Laura, nie zwlekając, naciągnęła sweter na głowę i pognała korytarzem wyoranym w tłumie przez wielkiego mężczyznę. Hotelowy odźwierny odważnie wybiegł naprzeciw trojgu uciekinierom, by wielkim parasolem osłonić ich przed gradem jaj. Laurze prawie się udało, ale w chwili gdy przekraczała próg hotelu, spadły na nią jednocześnie dwa pociski: jeden trafił w plecy, drugi rozprysnął się na głowie osłoniętej kardiganem.

– Nic ci nie jest, złotko? – zapytała Melissa, podczas gdy Laura

wściekłymi ruchami wyplątywała się ze swetra.

Na zewnątrz jeden z protestujących próbował otworzyć szklane drzwi, podczas gdy portier ciągnął w drugą stronę. June Ling stała z rękami założonymi na piersi i czekała na windę, dysząc z wściekłości.

– Jest mi ogromnie przykro – powiedziała Melissa.

– Nie twoja wina, nie ty miałaś mnie chronić – wycedziła rozjuszona modelka, gromiąc wzrokiem ochroniarza. – To największa wtopa, jaką widziałam. Ci ludzie znają każdy nasz krok!

Drzwi windy rozsunęły się z dźwiękiem gongu i spiesząc się, by jak najszybciej odpocząć w swoim apartamencie, June Ling zderzyła się z młodym mężczyzną w zielonej koszulce polo, który próbował wysiąść z kabiny. Laurze opadła szczeka, kiedy Kyle prześliznął się obok niej w milczeniu i oddalił w stronę wyjścia.

31. TELEFON

Hotel Leith nie był duży i całe najwyższe piętro zostało zarezerwowane przez rząd Malezji i Davida Secombe'a. Laura dostała dwusypialniowy apartament, który miała dzielić z Kevinem, ale ten zniknął gdzieś z TJ-em i kiedy przyczłapała z łazienki w szlafroku i bamboszach, była w pokoju zupełnie sama. Wyjęła z ubrania komórkę, odsunęła szklane drzwi i wyszła na balkon.

Wybrała numer Kyle'a, po czym spojrzała w dół i spostrzegła, że policja spędziła demonstrantów w zbitą grupkę po drugiej stronie ulicy. Na hotelowym podjeździe stała policyjna furgonetka, a wejścia pilnowali uzbrojeni funkcjonariusze.

– Kyle, co tu się dzieje, do jasnej cholery? – zapytała Laura ostro, ale ściszym głosem na wypadek, gdyby ktoś stał na jednym z sąsiednich balkonów.

– Eee... cześć – Kyle był wyraźnie zakłopotany.

– Przeczytałeś wprowadzenie do misji Jamesa, zanim się wycofał, prawda? – powiedziała Laura oskarżycielskim tonem. – To dlatego demonstranci wiedzieli, w którym hotelu się zatrzymujemy.

– Rzeczywiście, mogłem zajrzeć do planu – przyznał Kyle.

Laura potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, już nigdy nie wpuszczą cię do kampusu. Odetną cię finansowo i jeśli tylko znajdą pretekst, postawią cię przed sądem i oskarżą o wszystko, o co tylko się da. A przestępca przeszłość to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz, jeżeli chcesz zostać

adwokatem.

– Właśnie dlatego nic ci nie powiedziałem – odrzekł Kyle. – Nie jestem debilem. Pracuję z dobrymi ludźmi.

– Wiedzą, że jest przeciek – powiedziała Laura. – Mam nadzieję, że się przyłożyłeś, kiedy zacierałeś za sobą ślady. A co z Jamesem? Też jest w to zamieszany?

Kyle musiał się zastanowić, zanim odpowiedział. Nie chciał kłamać, ale ważniejsze było trzymanie Jamesa jak najdalej od całej afe-ry.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest twój brat – odpowiedział wreszcie.

– Czy jest coś, co powinnam wiedzieć? – drażyła temat Laura. – Co to za numer z tym twoim przebraniem kwiaciarza?

– Lepiej, żebyś nic nie wiedziała – powiedział Kyle stanowczo. – Pewnie jeszcze spotkacie paru demonstrantów, kiedy ruszycie w miasto, ale element zaskoczenia przepadł. Teraz gliny będą łązić za wami krok w krok.

– Uważaj na siebie, dobrze?

– Będę uważał – obiecał Kyle. – Gniewasz się, że nic ci nie powiedziałem?

– Trochę – przyznała Laura i w tej samej chwili usłyszała chłopców wchodzących do pokoju. – Muszę kończyć, pa. Czego chcecie? – zapytała ze złością, wracając do apartamentu.

– Zabrali cały alk z minibarów i zablokowali pornole w kablówce – poskarżył się Kevin. – Nudzi nam się.

TJ przyjrzał się uwalanemu surowym jajkiem kardiganowi zwi-niętemu w kłęb na podłodze.

– Ładnie oberwałaś – uśmiechnął się złośliwie. – Trzeba było poczekać z pięć minut. Nas odeskortowało chyba ze dwudziestu gli-niarzy.

Ktoś zapukał do drzwi. Kevin otworzył i do środka wtoczyła się Suzie, która nie zwracając uwagi na chłopców, odezwała się do Lau-ry.

– Goryle mówią, że nie ma mowy, żebyśmy wyszli gdzieś przed kolacją. To jak, może pójdziemy na dół do spa i damy się wymasować jakimś dwóm ciasteczkom?

Laura uśmiechnęła się lubieżnie.

– Uuuu, to brzmi naprawdę nieźle.

*

Podczas gdy demonstranci ścigali June Ling i jej rodzinę po Londynie, podstarzały reporter Hugh Verhoeven brylował w kościelnej zakrystii. James, Bruce, Helena Bayliss i pospiesznie zorganizowana ekipa filmowa spijali każde słowo z jego ust, kiedy opowiadał historie ze swojej pięćdziesięcioletniej kariery reportera.

W latach 60. fałszował swoją tożsamość, by wstąpić do Ku-Klux-Klanu i cudem uniknął śmierci, kiedy wyszło na jaw, że w rzeczywistości jest brytyjskim dziennikarzem telewizyjnym. Był w Dallas, kiedy zastrzelono Kennedy'ego, przeprowadzał wywiady z Clintem Eastwoodem i Marilyn Monroe, widział burzenie muru berlińskiego i był w Bagdadzie, gdy zaczynała się każda z dwóch wojen w Zatoce Perskiej.

Verhoeven wiódł nadzwyczajne życie. Opowiadał bardzo ciekawie i James był zły, kiedy Helena wręczyła mu pięćdziesiąt funtów i posłała po lunch dla wszystkich do najbliższego Pret A Manger.

Kyle wrócił do kościoła, kiedy James rozdawał tortille z kurczakiem, koktajle owocowe i pudełka z sałatką.

– Wszystko dobrze – oznajmił Kyle, po czym odciągnął Jamesa na bok i poinformował go o sytuacji z Laurą.

Ostatni element uknutego przez Verhoevena planu zniszczenia Tana Abdullaha przybył kilka minut później. Był to otyły mężczyzna w przepięknie skrojonym granatowym garniturze i bezramkowych okularach, które nadawały mu nieco profesorski wygląd. W ręce niósł elegancką dyplomatkę, a spod pachy sterczał mu złożony egzemplarz „Financial Timesa”.

– To jest Dion Frei – oznajmił Verhoeven. – Przez dwadzieścia lat

czołowy przedstawiciel handlowy francusko-szwajcarskiego producenta silników raketowych i turbinowych, niedawno zwolniony z posady. Pomógł mojemu przyjacielowi w Genewie napisać rewelacyjny demaskatorski kawałek o szwajcarskim przemyśle zbrojeniowym, a dziś pomoże nam załatwić Tana Abdullaha.

– Dwadzieścia sześć lat – poprawił Dion z nutką goryczy w głosie.
– Wielu ludzi wzbogaciło się na kontraktach, które zawarłem. W nagrodę dostałem kopa w tyłek i list, z którego wynikało, że firmowa emerytura jest żartem.

Verhoeven roześmiał się i spojrział na Bruce'a, który chłonał jego opowieści z otwartymi ustami i był zdecydowanie najmłodszą osobą w grupie.

– Widzisz, młody człowieku, niektórych z nas motywuje szczytna sprawa, innych zaś szpila skąpej odprawy.

Bruce pokiwał głową.

– No dobra, to jak się to wszystko ma odbyć? – zapytał.

Verhoeven rozciągnął usta w zadowolonym uśmiechu, jakby przez całe życie czekał na chwilę, w której ujawni swój chytry plan.

*

Kiedy Tan Abdullah i David Secombe przybyli do Leith, zastali kobiety w spa, ochroniarzy rzucających w pokera na zapałki oraz dwóch chłopców ganiających się po apartamencie Tana, toczących bitwy na poduszki i obrzucających się minstrelami i cukierkami M&M's znalezionymi w minibarze.

TJ przywitał ojca szybkim uściskiem, zaś asystent Tana Max wszedł do pokoju, trzymając kopertę, którą dołączono do kwiatów.

– Pomyślałem, że chciałby pan zerknąć na to od razu – powiedział Max. – Nie chciałem ryzykować przez telefon.

Tan otworzył kopertę i brwi wystrzeliły mu w górę, kiedy wyjął z niej lotniczą fotografię wyspy na Pacyfiku. Dyskretnie obejrzał się na Davida Secombe'a, który tymczasem odgrywał rolę wyluzowanego ojca, przechwytyjąc od Kevina paczkę minstrelów i wsypując sobie

do ust całą garść czekoladowych drażetek.

– Zezresz mi całą amunicję! – zaprotestował Kevin.

– David, mam rodzinną sprawę do załatwienia – skłamał gładko Tan. – Przepraszę cię na kilka chwil, dobrze?

Tan wyszedł za Maksem do swojej luksusowo wyposażonej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– Czy to autentyk? – zapytał.

Max skinął głową.

– Koperta jest z francuskiej ambasady. Podany numer do Diona Freia jest autentycznym numerem należącym do tejże ambasady. Nie wiem tylko, o co chodzi z tą wyspą.

Tan chwycił pilota od wielkiego plazmowego telewizora. Włączył go, pogłośnił dźwięk i stanął tuż obok głośników.

– Ostrożności nigdy za wiele – oświadczył. – Jeżeli brytyjski rząd chciał założyć tu podsłuch, miał na to całe tygodnie.

– Sprawdziłem bardzo dokładnie – zapewnił Max lekko urażonym tonem.

– Tych najnowszych pluskiew nie wykryjesz – powiedział Tan, po czym zniżył głos jeszcze bardziej. – A ta wyspa jest na Pacyfiku. Należy do archipelagu na skraju strefy, gdzie Francuzi testowali kiedyś swoje bomby atomowe. Prawie dziewicza, przepiękna dzika przyroda, idealna baza dla nurków i fanów Island-hoppingu. Odpowiednio przystosowana do turystyki mogłaby zarabiać na czysto sześćdziesiąt do osiemdziesięciu milionów dolarów rocznie.

– A jaki to ma związek z panem?

Tan uniósł brew, jakby nie dowierzał, że Max może być tak tępy.

– Lata temu interesowałem się tą wyspą. Chciałem na niej budować, ale Francuzi odmówili. Teraz, dzień przed tym, jak mam podpisać z Brytolami kontrakt na turbiny do naszych nowych fregat, dyndają mi nią przed nosem.

– Proponują łapówkę? – zapytał Max.

– Nigdy nie używaj tego słowa! – zirytował się Tan i podskoczył

ze strachu, kiedy huknęły otwierane drzwi.

Do sypialni wpadł TJ, a tuż za nim wpadła poduszka ciśnięta przez Kevina.

– Wynocha stąd! – ryknął wściekle Tan. – Co to jest?! Chcesz dostać w ten głupi łeb?

Zaskoczony TJ na chwilę znieruchomiał w szoku, a potem porwał poduszkę i wybiegł z pokoju.

– Ufa pan temu Freiowi? – zapytał Max po chwili milczenia.

– Solidny jak skała. Oddany swojej firmie. Poznałem go piętnaście lat temu, kiedy kupowaliśmy silniki do łodzi dla ośrodka wczasowego. Jego firma przystąpiła do przetargu na te turbiny do fregat, ale nie wyrobiłaby się w harmonogramie dostaw.

– No więc co robimy? – zapytał Max. – Spotka się pan z nim?

– Owszem – skinął głową Tan. – David Secombe nie może wiedzieć, że rozmawiam z konkurencją, a tu wszędzie są gliny.

– Ambasada? – zasugerował Max.

– Nie, za dużo ludzi wtykających nosy w nie swoje sprawy. Porozmawiaj, ale dyskretnie, z hotelowym konsjerżem. Dopytaj się, czy mają pokój albo jakiś gabinet na którymś z niższych pięter, dokąd mógłbym się wymknąć na godzinkę. Potem zadzwoń do Diona Freia. Powiedz, że jestem bardzo zainteresowany fotografią, ale spotkam się tylko z nim, i to w cztery oczy. Nie życzę sobie nikogo innego w pomieszczeniu.

– Kiedy?

– Najszybciej, jak to możliwe – powiedział Tan. – Jutro mam podpisać kontrakt, więc jeśli to ma ręce i nogi, to musimy się pośpieszyć. Dobra, chwytaj za telefon. Ja lepiej już pójdę, zanim Secombe pomyśli, że rozmawiamy o nim.

*

W swojej karierze Dion Frei obrócił miliardami euro na londyńskich targach broni i w rezultacie znał każdego, kto się liczył we francuskiej ambasadzie. Załatwienie przekierowania z numeru am-

basady na jego prywatną komórkę nie było żadnym problemem.

Kiedy zadzwonił telefon, Dion uniesieniem dłoni uciszył towarzystwo w zakrystii.

– Max? – powiedział do aparatu lekko zaskoczonym tonem. – Ach, pewnie jesteś nowy. A co się stało z Lucy...? Wielka szkoda, to była wspaniała dziewczyna... Oczywiście, z radością spotkam się z panem Abdullahem jeszcze dzisiaj. W tej chwili mam krótkie spotkanie, ale mógłbym zjawić się u was za, powiedzmy, półtorej godziny... Rozumiem... W porządku, zatem jesteśmy umówieni. Miło się rozmawiało, Max.

– No i? – zapytał Verhoeven, kiedy tylko Dion zatrzęsął telefonem.

– Zorganizował prywatną jadalnię w restauracji na szóstym piętrze – powiedział Dion.

Po drugiej stronie zakrystii Helena wyjęła plan pięter hotelu Leith i rozpostarła na stole. Verhoeven postukał w plan i powiódł po nim palcem, zaczynając od restauracji na szóstym piętrze.

– Mógłby wyjść z apartamentu, zjechać windą i wejść głównym wejściem restauracji, ale będzie wpół do trzeciej, a lokal jest popularny, więc widziałoby go mnóstwo ludzi. Bardziej prawdopodobne jest, że Tan wyjdzie od siebie, zjedzie na dół tylnymi schodami i wejdzie przez kuchnię.

– Na pewno – zgodził się Kyle. – Tym bardziej że windy są szklane.

– Skąd wiemy, że Dion nie zostanie przeszukany na okoliczność podsłuchu? – zapytał James.

– Tego nie wiemy – powiedział Verhoeven. – Takie rzeczy należą do wkalkulowanego ryzyka. Istnieje niezerowe prawdopodobieństwo, że Dion zostanie poddany rewizji, podobnie jak musimy liczyć się z tym, że w którymś momencie od teraz do drugiej trzydziści Tan Abdullah odkryje, że Dion Frei nie jest już lojalnym, zaangażowanym agentem handlowym francusko-szwajcarskiego producenta silników turbinowych.

– Nie zrewidują mnie – powiedział z przekonaniem Dion. – W swojej karierze byłem na tysiącach spotkań i nikt nigdy mnie nie przeszukał. Tego się po prostu nie robi.

– No dobrze – westchnął Verhoeven, kiedy uwaga wszystkich na powrót skupiła się na mapie. – Sprzęt wniesiemy do hotelu w walizkach. Nikt nawet nie mrugnie okiem. W czasie gdy panowie będą załatwiać interesy, posiedzimy sobie w barze i w międzyczasie dyskretnie rozpakujemy rzeczy w łazience. Kiedy Tan Abdullah wyjdzie ze spotkania, dorwiemy go tutaj, na klatce schodowej, jak będzie wracał na ósme piętro. Musimy bardzo uważać na nagrania. Kiedy Tan zorientuje się, co jest grane, pośle za nami ochronę po taśmy i karty pamięci.

– Będą mieli broń? – zapytał jeden z pomocników.

– Nie, chyba że noszą ją nielegalnie – odpowiedział Kyle. – Ale ci kolesie są kolosalni, więc nie wdawałbym się z nimi w szamotaninę.

James zerknął na Bruce'a i dostrzegł na jego twarzy wyraz błęgiego oczekiwania.

– Najważniejsza rzecz, to żeby ten, kto będzie miał przy sobie nagrany materiał, jak najszybciej zniknął z budynku. Sam jestem stary i zgrzybiały, więc nie czekajcie na mnie. Po prostu wynoście się z hotelu i biegiem w miasto albo wskakujcie do pierwszej taksówki, jaka się nawinie. Po wszystkim spotykamy się tutaj.

32. PODSTĘP

Kyle nasunął czapkę głębiej na oczy i wkroczył do hotelu Leith, trzymając w rękach pudełko zapakowane w ozdobny papier. James i Bruce szli przodem, a kiedy podeszli do wind, stojąca opodal policjantka grzecznie zapytała ich, co robią w hotelu.

James spojrzał na nią niespeszony.

– Idziemy do dziadka na urodzinowy lunch. Mamy spotkać się w barze na szóstym piętrze. Czy coś się stało?

– Zaostrzone środki bezpieczeństwa dla jakichś VIP-ów z ostatniego piętra – wyjaśniła kobieta. – Nie ma się czego obawiać. Bawcie się dobrze, chłopcy.

– Postaramy się, dzięki – uśmiechnął się James, a Kyle wdusił kciukiem guzik przywołania windy.

Podczas jazdy na szóste piętro Kyle poczuł się w obowiązku ostrzec Bruce'a.

– Ja już odszedłem z CHERUBA, a James jest na wylocie, ale twoja kariera trwa. Pamiętaj, jeśli ktokolwiek się o tym dowie, mogą wykopać cię z kampusu.

– Powinieneś trzymać się z dala – przytaknął James.

Bruce zbył kolegów machnięciem ręki.

– Ta, jasne. Dotarłem tak daleko, a wy chcecie, żebym zrezygnował z nawalanki?

Restaurację i bar urządzono równie ekstrawagancko jak resztę hotelu. Posadzkę wyłożono mozaiką ze złotych i srebrnych płytek, a

fantazyjny łukowaty bar został zbudowany ze szkła, przez które widać było ruchliwe nogi ubranych na czarno barmanek.

Hugh Verhoeven, w tweedowej marynarce, z kaszkietem i laską do kompletu, siedział przy stoliku w głębi sali, popijając gin z tonikiem.

– Wszystkiego najlepszego, dziadku – powiedział Kyle, podając mu prezent.

Verhoeven uniósł brew i uśmiechnął się.

– Och, dziękuję, kochany wnuczku. Co też to może być?

Do stolika podeszła kelnerka, Kyle zamówił butelkę Peroni, James i Bruce poprzestali na coli.

– To miejsce przypomina mi burdel, w którym byłem podczas wojny w Wietnamie – zauważył reporter. – Ale podejrzewam, że drinki są tu cokolwiek droższe.

James wyszczerzył się obleśnie.

– Czy tylko mi się zdaje, czy w większości pańskich historii występuje jakiś burdel?

Verhoeven, który odrzucił pompatyczną pozę, odkąd oswoił się z towarzystwem chłopców, gruchnął rubasznym śmiechem.

– Zawsze byłem dżentelmenem – zapewnił i pogroził Jamesowi palcem. – Ale kiedy szuka się prawdy, to prędzej znajdzie się ją w knajpie pełnej pijaków niż na konferencji prasowej w Hiltonie.

Bruce wydawał się oczarowany Verhoevenem.

– Dziennikarstwo to całkiem ciekawa sprawa – wyznał. – W sumie mógłbym zostać takim korespondentem wojennym czy kimś w tym stylu.

Podczas gdy kelnerka stawiała na stole napoje i miskę z orzeszkami, James rozejrzał się dyskretnie i wypatrzył trzyosobową ekipę filmowców siedzących w boksie kilka stolików dalej. Kiedy kelnerka odeszła, Verhoeven rozerwał papier na swoim prezencie.

Pudełko z twardej tektury zawierało bezprzewodowy, zakończony gąbkową kulą mikrofon z rodzaju tych, jakie reporterzy podtyka-

ją ludziom pod nos, oraz odbiornik krótkiego zasięgu, którego zadaniem było rejestrowanie sygnału miniaturowego urządzenia podsłuchowego ukrytego pod klapą Diona Freia.

Kyle zerknął na zegarek.

– To już chyba niedługo.

*

Tan Abdullah przemknął chyłkiem na szóste piętro w towarzystwie dwóch ochroniarzy i byłby dotarł do prywatnej sali restauracji niezauważony, gdyby nie to, że ludzie w barze czekali właśnie na niego.

Poza mikrofonem z nadajnikiem pod klapą marynarki Dion Frei miał przy sobie bezprzewodową mikrokamerę wysyłającą obraz do rejestratora w neseserze, który położył przed sobą na dużym owalnym stole. W swojej karierze odbył tysiące podobnych spotkań, z czego tuziny z Tanem Abdullahem. Był spokojny, ale dwadzieścia minut oczekiwania to dość, by w głowie zaczęły się rodzić czarne myśli, i Dion odetchnął z ulgą, kiedy do pokoju wkroczył jego gość.

– Miło cię widzieć, Dion – powiedział Tan, gdy potrząśnięcie dłonią przeobraziło się w męski uścisk. – Co za przepiękny garnitur. Jak ty to robisz, że zawsze wyglądasz młodziej niż ja?

– Żadnej żony, żadnych stresujących dzieci, no i dobry krawiec – roześmiał się Dion. – Dałem wizytówkę mojemu krawca twojemu poprzedniemu asystentowi, kiedy mieliśmy to spotkanie w Genewie. Powinieneś kiedyś zadzwonić. Na pewno przysłałiby ci kogoś do hotelu. Mają salon pięć minut drogi stąd, na Savile Row.

– A wiesz, może skorzystam? – powiedział Tan. – June jest w podłym nastroju. Poluje na nas banda jakichś demonstrantów. Obrzucili ją jajami pod Elbridge'em i wygląda na to, że mamy przeciek informacji, więc na razie nici z zakupów.

– O rany! – powiedział Dion jowialnie. – Cieszę się, że nie było mnie wtedy w zasięgu jej wrzasku.

Tan roześmiał się.

– Na szczęście mnie też nie było. Poleciałem z Davidem Secombe’em. Armia demonstrowała K61.

– Niczego sobie rakietka! – powiedział Dion. – Słyszałem, że ściągnęli na próby grupę z USAF, żeby się zareklamować, i wybuchła im na wyrzutni.

– Wyobraź sobie, że zapytałem ich o to – uśmiechnął się Tan. – Zapadła wtedy taka niezręczna cisza. No, a jak tam interesy w TSMF? Słyszałem, że zwolnili masę ludzi. Podobno zlikwidowali nawet jedną z linii produkcyjnych, czy to prawda?

Dion wziął głębszy wdech. Nie mógł wiedzieć, czy Tan pyta z czystej ciekawości, czy może wykonał kilka telefonów i już wie, że Dion już tam nie pracuje.

– To była prawdziwa jatka – przyznał. – Wyrzucili kilku moich bliskich kolegów, kiedy francuski rząd uratował nas przed bankructwem, ale ja siedzę tam od dwudziestu siedmiu lat.

– Musiało być ciężko – powiedział Tan. – No dobra, to dlaczego tu jestem? Co się stało, że kuisz mnie zdjęciami wysp?

– To taki mały drobiazg od ludu Francji, żebyś jakoś przebiedował, kiedy wycofasz się z polityki, zanim zaczniesz zarabiać prawdziwe pieniądze.

– To już niedługo – skinął głową Tan. – Nasz szef rządu jest obecnie mniej więcej tak popularny jak gównno w wazonie z ponczem.

– Szykujesz się na jego stołek lidera partii?

Tan potrząsnął głową.

– Jestem za stary, za brzydki i zbyt dużo brudu zebrało mi się na łapach – przyznał z westchnieniem. – Kiedy kopną go w tyłek we wrześnie, wycofam się z polityki.

– Słusznie, po co się stresować – przytaknął Dion, który uświadomił sobie, jaką wartość miałoby nagranie z Tanem szkalującym swojego premiera, i postanowił zapolować na więcej brudu. – Czyli nie wierzysz, że wybiorą go na trzecią kadencję?

– Facet stracił cały power – powiedział Tan, wzruszając ramiona-

mi. – Zrobił się miękki. Przez cały czas nic, tylko martwi się o notowania, ale przywódca powinien rządzić, a nie tylko kombinować, jak dogodzić tym czy tamtym. Mój najstarszy syn jest teraz gubernatorem Langkawi. Za kolejnych dziesięć lat może zostać premierem.

– Z korzyścią dla interesów – zaśmiał się Dion, po czym odchrząknął i zabrał się do tkania wyrafinowanej sieci kłamstw. – Jak wiesz, TSMF nie była w stanie złożyć oferty przetargowej w sprawie turbin dla waszych ośmiu nowych fregat, ponieważ nasz zakład już pracował pełną parą, budując silniki dla państw z Zatoki Perskiej.

Tan skinął głową.

– Wszyscy tam rozbudowują floty. W południowo-wschodniej Azji zresztą tak samo. Robimy w portki ze strachu i potrzebujemy szaberek, żeby potrząsać nimi na Chińczyków.

– Chodzi jednak o to, że Saudyjczycy mają problemy ze zbudowaniem swoich okrętów na czas – ciągnął Dion.

– Zamówili silniki z dostawą w dwa tysiące trzynastym, ale wygląda na to, że nie będą ich potrzebowali jeszcze przez trzy lata po tym terminie. To otwiera nam lukę w harmonogramie produkcji na tyle dużą, by zbudować turbiny dla twoich fregat. Wycenimy je na trzy procent poniżej Brytyjczyków, a w ramach wynagrodzenia za twoje osobiste zaangażowanie francuskie władze są gotowe zezwolić na wydzierżawienie ci twojej ulubionej wyspy na dziewięćdziesiąt dziewięć lat za dziesięć milionów euro.

Tan uśmiechnął się.

– Dziesięć to dobra cena!

– Dzierżawa jest warta co najmniej czterdzieści – powiedział Dion.

– Możesz sprzedać i zgarnąć trzydzieści milionów bez ryzyka albo zagospodarować wyspę i zarobić dziesięć razy tyle w dłuższym czasie.

– Tyle że moment jest fatalny – poskarżył się Tan. – Kontrakt z Londynem jest gotowy i czeka na podpisanie. Jutro rano ściskam dłonie i pozuję do zdjęć w pałacu Buckingham. Będą gazety i wszy-

scy. Pięć miliardów i dwanaście tysięcy miejsc pracy!

Dion wzruszył ramionami.

– Wystarczy, że cichaczem wsadysz klucz między tryby. Bądź twórczy: mogą zginać jakieś papiery, jeden z twoich admirałów może nagle zmienić zdanie, albo znajdź prawnika, który namąci coś w sprawie samego kontraktu na turbiny. W końcu to tylko dziewięćset milionów z pięciu i pół miliarda. Możesz zrobić sobie jutro zdjęcie z księciem, potem z przykrością unieważnisz zamówienie na turbiny z powodu jakiegoś kruczka, a za parę tygodni ogłosisz, że Francuzi zgłosili kontrofertę. Podpiszesz kontrakt z nami na osiemset siedemdziesiąt milionów i dostaniesz swoją upragnioną wyspę za pestki.

Tan odchylił się na oparciu krzesła i przez dwadzieścia sekund zastanawiał się w milczeniu. Potem uśmiechnął się.

– Będę musiał działać szybko, żeby to zgrabnie rozegrać. Muszę przyznać, że odrobiłeś pracę domową, Dion.

– Zatem umowa stoi? – zapytał Dion, wstając i wyciągając rękę ponad stołem.

Tan kiwnął głową i ujął podsuniętą dłoń.

– Jak najbardziej, panie Frei. Sądzę, że ubiliśmy znakomity interes.

33. KŁOPOTY

Przez wetkniętą w ucho słuchawkę Hugh Verhoeven dyskretnie słuchał głosów Tana Abdullaha i Diona Freia omawiających fikcyjną umowę. Miał nadzieję nagrać Tana godzącego się na przyjęcie łapówki, ale jako doświadczony dziennikarz wiedział, że komentarze o malezyjskim premierze mają jeszcze większą wartość.

Krytyczne uwagi nie tylko zapewniały ogromne zainteresowanie mediów w Malezji, ale gwarantowały także, że szef rządu, najpotężniejszy człowiek w kraju, zwróci się przeciwko swojemu ministrowi obrony, zamiast próbować go osłaniać.

Ale choć najtrudniejsza część fortelu poszła nadspodziewanie gładko, do mety wciąż było daleko.

– Weź to – powiedział Hugh nerwowo, podając Jamesowi dyktafon. – Leć do windy i wynoś się stąd. Kyle, złap Diona, odbierz od niego neseser i uciekaj schodami pożarowymi. Nagranie audio nie jest najlepszej jakości, więc jeśli nasza historia ma być wiarygodna, będziemy potrzebować zapisu z rejestratora wideo.

– A ja? Co mam robić? – zapytał Bruce.

– Mówisz, że chciałbyś zostać reporterem, tak? – powiedział Hugh. – No to zostań tu i obserwuj, a potem się zobaczy.

Dion i Tan wyłonili z prywatnej jadalni cali w uśmiechach. Hugh odczekał, aż Dion wejdzie na kilka kroków w głąb restauracji, po czym wyciągnął mikrofon i dał ręką sygnał.

Troje filmowców jednocześnie wstało od stolika: kędzierzawy

Francuz z dużą kamerą wideo i jego dwie asystentki. Jedna trzymała silny reflektor, druga małą kamerę pomocniczą.

– Panie Abdullah! – zawołał Verhoeven, kiedy niski Malezyjczyk skierował się w stronę kuchni. – Czy odpowie pan na kilka pytań?

Tan skrzywił się, kiedy reflektor zaświecił mu w twarz. Ochroniarze sprężyli się do skoku, ale Tan był politykiem i musiał zachowywać się odpowiednio, kiedy celowały weń obiektywy kamer.

– Żadnych wywiadów – powiedział uprzejmym tonem. – Proszę skontaktować się z moim sekretarzem, spróbuje wcisnąć was w harmonogram.

Verhoeven zignorował próbę spławienia go.

– Panie Abdullah, dlaczego przyjął pan ofertę łapówki od Diona Freia?

Tanowi na ułamek sekundy zrzędała mina, po czym minister przyjął postawę agresywną.

– Kto tak twierdzi? To niedorzeczność!

– Panie Abdullah – powiedział łagodnie Verhoeven. – Dion Frei został zwolniony z TSMF jedenaście miesięcy temu. Przebieg waszego spotkania został zarejestrowany. Czy zechciałby pan rozwinąć myśl zawartą w pańskiej uwadze, że premier Malezji jest, cytując: „Mniej więcej tak popularny jak gówno w wazie z ponczem”?

Tan zrozumiał, że go wrobiono, i odwrócił się gwałtownie do swoich ludzi.

– Brać ich sprzęt! Natychmiast – rozkazał, po czym zwrócił się ponownie do Verhoevena. – To, co tutaj robicie, jest nielegalne. Nie wolno wam mnie nagrywać. Mam status dyplomaty!

Kyle i Dion byli już dwa piętra niżej, ale nawet stamtąd słyszeli tumult, jaki wybuchł, kiedy ochroniarze Tana rzucili się na Verhoevena i jego kamery.

– Mam nadzieję, że Hugh nic się nie stanie – wysapał Dion w biegu, łapczywie chwytając oddech. – Szczyt formy ma już parę dekad za sobą.

Dopiero w tym momencie Kyle uświadomił sobie, że w rozgrywanej się przed nim scenie brakuje ważnego elementu.

– Gdzie neseser?! – wypalił ze zgrozą.

Dion zahamował gwałtownie i spojrział w dół, na swoje dłonie, nie mogąc uwierzyć, że dyplomatkę nie ma w żadnej z nich.

– *Merde!*

– Niech pan ucieka – powiedział stanowczo Kyle. – Mnie nikt nie widział. Wśliznę się z powrotem i spróbuję wykraść go z jadalni.

Na górze Bruce uśmiechnął się promiennie, kiedy dwaj ochroniarze rzucili się na operatora kamery. Byli to wielcy i silni, ale powolni przeciwnicy, tacy, z jakimi uwielbiał się bić, ale kiedy skoczył naprzód, by wklinować się pomiędzy nich a grupę filmowców, potknął się na nieznacznie wystającej płytce posadzki i padł płasko na twarz.

Wbiegając z powrotem na szóste piętro, Kyle usłyszał, jak od strony apartamentów na górze zbiega po schodach kolejna grupa goryli Tana Abdullaha. Tan wycofał się do swojego apartamentu, ale jeden z jego ochroniarzy zdołał odebrać filmowcom kamerę i teraz mocował się z operatorem i jego dwiema pomocniczkami. Nieopodal drugi osiłek przyciskał Verhoevena do ściany i krzyczał mu z bliska w twarz:

– Kto to wszystko zaplanował? Coście za jedni?!

Kyle nie dostrzegł Bruce'a pomiędzy szamoczącymi się ciałami, ale nie poświęcił temu większej uwagi, ponieważ w tamtej chwili najważniejszy był neseser. Szczęśliwie droga do prywatnej jadalni była wolna. Kyle wbiegł do środka i odetchnął z ulgą, widząc, że dyplomatkę wciąż leży na stole, gdzie pozostawił ją Dion.

W pierwszym odruchu chciał po prostu porwać ją i rzucić się do ucieczki, ale pamiętając, że do restauracji już biegną kolejni ochroniarze Tana, uznał, że lepiej będzie się z nią nie pokazywać. Przy padł do walizeczki i z ulgą stwierdził, że dwa sprężynowe zamki nie są zamknięte na klucz. Nie znał tego konkretnego egzemplarza, ale

był to standardowy model, niezbyt wyrafinowany w porównaniu z neserami, z jakimi miał do czynienia na szkoleniach CHERUBA.

Wyrzuciwszy ze środka „Financial Timesa” wraz z plikiem magazynów o muzyce klasycznej, Kyle powiódł palcami wokół wyściółki i odszukał ukrytą klapkę. Uchyłona, odsłoniła wysuwany panel z przyciskami do włączania i wyłączenia kamery oraz – co ważniejsze – gniazdem na kartę pamięci typu SD.

Kyle wysunął kartę z gniazda i schował do kieszeni džinsów. Kiedy zamykał neser, do pokoju wparowali dwaj niedźwiedzio-waci mężczyźni z ochrony Tana.

– Co ty tu robisz? – wycedził złowrogo jeden z nich, kiedy ruszyli w stronę Kyle’a po przeciwnych stronach owalnego stołu. – Co jest w tej walizce?

– A weź ją sobie – powiedział Kyle i pchnął neser po blacie.

Miał nadzieję, że to wystarczy, ale wcześniej szkoda mu było czasu na ukrycie panelu sterującego. Ochroniarzowi wystarczyło zerknąć do środka, by domyślić się, co zaszło.

– Karta! – ryknął olbrzym i rąbnął pięścią w stół. – Pogrywaj ze mną dalej, to rozwalę ci łeb.

Kyle przypuścił mężczyzn bliżej siebie, czekając, aż oddalą się od wejścia, po czym wskoczył na stół, korzystając z krzesła jak ze schodka. Ochroniarze rzucili się, by złapać go za nogi, ale przesadził ich zgrabnym susem i przebiegłszy długość blatu, zeskoczył z drugiej strony i wypadł przez drzwi restauracji.

Pierwszym, co zobaczył, był Bruce stojący trzy metry przed nim. Miał rozcięte czoło i wyglądał na oszołomionego.

– Nic ci nie jest, stary? – zaniepokoił się Kyle, próbując wyobrazić sobie rozmiary człowieka, który zdołał powalić Bruce’a.

– Potknąłem się – powiedział Bruce z niedowierzaniem i środkowym palcem zebrał krew ciekącą mu strużką po twarzy. – Nie-równa podłoga, wyobraź sobie. Powinienem ich pozwać.

Kyle szybko ocenił sytuację. Jeden z ochroniarzy wciąż trzymał

Verhoevena przy ścianie, dwaj szamotali się z filmowcami, a dwaj inni mieli lada chwila wypaść za nim z prywatnej jadalni.

Bruce zauważył, że przyprawy i oliwa na stolikach znajdują się w zagłębieniach wyżłobionych w masywnych łupkowych podstawkach o podłużnym kształcie. Niewiele myśląc, porwał jedną z najbliższego stolika, wytrząsnął z niej pojemniki z przyprawami i odwrócił się akurat w porę, by zobaczyć dwóch ochroniarzy wypadających z jadalni za Kyle'em.

Kyle wyprowadził kopnięcie w tył, trafiając pierwszego mężczyznę w brzuch. Kiedy dryblas zgiął się wpół, Bruce złamał mu na głowie swoją kamienną pałkę, pozbawiając go przytomności. Drugi ochroniarz potknął się o nogi pierwszego i runął na twarz, dając Bruce'owi sposobność do chwycenia go za nadgarstek. Bruce błyskawicznym ruchem wykręcił mu rękę, żeby usztywnić stawy, po czym kopnął potężnie, wywołując straszne chrupnięcie gruchotanych kości.

– Mam kartę pamięci z nagraniem wideo. Musimy ją stąd wydość – powiedział Kyle, wyglądając na korytarz w stronę kuchni, gdzie jednak nie zauważył żadnych następnych ochroniarzy.

– Leć na dół – powiedział Bruce zdecydowanym tonem. – Zajmę się tymi miškami.

Podczas gdy Kyle pognał w stronę schodów pożarowych, mijając parę oszołomionych kelnerów, Bruce złapał krzesło i podbiegł do ochroniarza, który trzymał Verhoevena.

– Trochę szacunku dla starszych, co? – zasugerował Bruce.

Ochroniarz odwrócił się od Verhoevena i spróbował kopnąć chłopaka, ale ten uchylił się bez trudu, po czym krzesło w jego dłoniach uległo kompletnej dezintegracji, roztrzaskując się mężczyźnie na grzbiecie.

– I nie wstawaj – rozkazał Bruce. – Bo zrobię tak, że będziesz musiał leżeć.

Nie żeby ochroniarz był w stanie się podnieść, z potrzaskanymi

zebrami i palcami dłoni, którą próbował się zasłonić, sterczącymi w różne dziwne strony.

– Bruce Norris, tak? – stęknął nieco sponiewierany Verhoeven. – Rozumiem, że to imię i nazwisko to nie przypadek?

– Niech pan złapie windę – rozkazał Bruce, oglądając się na dwóch ochroniarzy, którzy pastwili się nad przygwożdżonym do podłogi operatorem. – Ci ochroniarze są strasznie ciency. Załatwię jeszcze tych dwóch, a potem wszyscy razem zjedziemy na dół.

*

Kyle zeskoczył na podest piątego piętra i w ostatniej chwili spostrzegł, że na półpiętrze poniżej przejście blokują dwaj tędy policjanci, którzy zdawali się czekać na wsparcie przed wkroczeniem do restauracji. Mógł spróbować przejść, usypiając ich czujność jakimś kłamstwem, ale podejrzewał, że najpierw go aresztują, a potem będą zadawać pytania.

Nie tylko nie miał ochoty na udrękę aresztu i ryzyko znalezienia się w policyjnych rejestrach, ale miał podstawy przypuszczać, że służby wywiadowcze nie opublikują zawartości karty pamięci, kiedy już dostaną ją w swoje ręce. Bardziej prawdopodobne było, że wykorzystają materiał do szantażowania Tana Abdullaha.

Dlatego Kyle okręcił się na pięcie i po raz drugi wrócił na górę. Wyglądało na to, że Verhoeven i pozostali złapali windę, bo szóste piętro było spokojne i puste, jeśli nie liczyć dwóch przerażonych kelnerek i jęczących na podłodze pracowników ochrony Tana.

Pomyślał o wezwaniu windy, ale podejrzewał, że w głównym hallu na dole czeka już tłum policjantów. Miałby szansę wydostać się z budynku w towarzystwie starego Verhoevena i jego ludzi, ale samotny młodzieniec mógłby wzbudzić podejrzenia.

Oznaczało to, że jedyna droga ucieczki wiodła w górę. Na siódmym piętrze Kyle zatrzymał się w nadziei, że znajdzie jakieś wyjście ewakuacyjne, ale kiedy otworzył drzwi na korytarz, zamiast niego zobaczył metalową barierkę na balkonie nad barem i restauracją,

których strop był na podwójnej wysokości.

Ósme piętro należało do Tana i z pewnością było dobrze strzeżone. Kyle pomyślał o dachu, ale nie miał ochoty ryzykować potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznego pościgu na wysokości. I wtedy przypomniał sobie, że w hotelu jest Laura. Była ostatnią osobą, od jakiej odebrał telefon, wystarczyło więc wcisnąć jeden guzik, by do niej oddzwonić.

Odebrała po piątym sygnale.

– Wiesz może, co tu się dzieje? – zapytała z niepokojem w głosie. – Nie powinnam nawet z tobą gadać. Jak się dowiedzą, że rozmawialiśmy, będą chcieli wiedzieć dlaczego, a wtedy w życiu się z tego nie wytłumaczę.

– Jestem na tylnych schodach – powiedział Kyle, nadstawiając ucha, bo właśnie wydało mu się, że słyszy z dołu odgłos zbliżających się kroków.

– Jakich znowu schodach? – denerwowała się Laura. – Ja tu mam jakieś pandemonium! Tan piekli się i wrzeszczy na swojego sekretarza. David Secombe dostaje kota, bo Tan wykopał nas wszystkich ze swojego apartamentu i nie chce powiedzieć, co się dzieje.

– Nie chciałem cię w to mieszać, ale mam tę kartę pamięci i jeśli gliny mnie dopadną, pewnie już jej nie odzyskam – powiedział pośpiesznie Kyle.

– Jaką kartę? – zdumiała się Laura. – Co na niej jest?

– Nie mam czasu ci tłumaczyć – w głosie Kyle’a słychać było błagalną nutkę. – Wiesz, że dobry ze mnie facet, tak? Czy na korytarzu twojego pokoju są strażnicy? Mogę się dostać do twojego pokoju?

– Mamy tu dom wariatów – powiedziała Laura. – Większość goryli Tana poleciała na dół, ale zostali policjanci, po jednym na każdym końcu korytarza.

– W którym pokoju jesteś?

– Kyle, mogą mnie za to wywalić z CHERUBA! Powiedziałeś, że to tylko paru demonstrantów. Muszę wiedzieć, o co tu chodzi.

Kyle nie usłyszał ostatnich słów Laury. Odsunął telefon od ucha, nasłuchując coraz głośniejszego hałasu na dole.

– Laura, gliny tu biegną! – wykrzyknął niecierpliwie do aparatu. – W którym jesteś pokoju? Spróbuję się do ciebie przedrzeć, okej? Po prostu weźmiesz kartę i dasz ją Jamesowi.

– Osiemset dwa – odpowiedziała Laura z wahaniem. – To tuż przy windzie. Zara dała mi ostatnie ostrzeżenie, Kyle. Nie mogę mieć kłopotów.

– Laura, błagam! – jęknął Kyle, biegnąc po schodach.

Kiedy stanął na podeście ósmego piętra, tupot buciorów na schodach był już wyraźnie słyszalny. Kyle wyjrzał przez żaluzję w drzwiach i zobaczył stojącego za nimi znudzonego policjanta.

Zebrawszy całą swoją siłę, Kyle staranował drzwi, obalając wartownika na podłogę, po czym popędził korytarzem, rozglądając się za numerem osiemset dwa.

– Stój, bo strzelam! – zawołał za nim policjant.

Kyle wiedział, że to blef – brytyjska policja strzela tylko w wypadku, gdy uciekający bezpośrednio komuś zagraża – biegł więc dalej. Daleko przed nim uchyliły się drzwi i wychynęła z nich głowa Laury. W tym samym momencie bliższe drzwi otworzyły się z hukiem i wystrzelił z nich ogromny mężczyzna, który przechwycił biegnącego niczym rugbysta, obalając go na podłogę. Padając, Kyle grzmotnął głową o ścianę, po czym uszło z niego całe powietrze, kiedy masywne kolano zgmiotło mu pierś. Olbrzymim wysiłkiem odwrócił się na brzuch i strząsnął z siebie napastnika, odpychając się obiema nogami od podłogi. Ale tymczasem zawisł nad nim wściekły wartownik z pałką wzniesioną do ciosu, a korytarzem już nadbiegał kolejny policjant. Z takiej kabały nawet Bruce nie wywinąłby się zbyt łatwo i Kyle potulnie uniósł ręce w geście kapitulacji.

Laura czuła się podle, patrząc na Kyle'a leżącego pod buciorem ochroniarza miażdżącym mu grzbiet, podczas gdy policjant zamykał mu kajdanki na nadgarstkach. Kevin wyjrzał z pokoju za Laurą i

wytrzeszczył oczy w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

– Hej, czy to nie jest Kyle Blueman? – zachłysnął się. – Czy on pracuje z nami?

– Cicho bądź, dobrze? – syknęła niecierpliwie Laura.

Kyle'a poderwano na nogi, a na korytarzu zaroilo się od policjantów, którzy tymczasem nadbiegli schodami pożarowymi.

– Byłem w restauracji, z dziadkiem, na urodzinach – próbowałem tłumaczyć się Kyle. – Zrobiło się zamieszanie, spanikowałem i uciekłem. Strasznie mi przykro, panie oficerze, nie widziałem pana, kiedy wbiegałem przez tamte drzwi.

Kyle grał sugestywnie i wyglądał, jakby był bliski łez, ale jednocześnie za plecami dawał znaki Laurze, wskazując dwoma palcami podłogę.

– Właśnie upuścił za sobą zgniecioną chusteczkę – wyszeptał Kevin. – Co on kombinuje?

– Kevin, nie wiem, okej? – wycedziła z irytacją Laura, a Kyle kopnął białą kulkę pod listwę przypodłogową. – Dobra, zaraz to podniosę. Wracaj do pokoju i z nikim o tym nie rozmawiaj.

Laura wyszła na korytarz i ruszyła w stronę Kyle'a i policjantów. Zbliżywszy się, wyjęła z kieszeni chusteczkę i udała, że wydmuchuje nos.

– Bardzo przepraszam – powiedziała grzecznie. – Muszę coś wziąć z pokoju taty.

– Żaden problem – odpowiedział jeden z policjantów i wycofał się pod ścianę.

Mijając Kyle'a, Laura upuściła swoją zgniecioną chusteczkę i szybko przykucnęła, żeby ją podnieść, jednocześnie zgarniając chusteczkę, którą wcześniej upuścił Kyle.

Szła spięta, w każdej chwili spodziewając się zatrzymania. W dłoni ścisnęła miękką kulkę i wyczuła ukryty w jej wnętrzu prostokąt karty pamięci.

Zastanawiała się, co też może zawierać oraz co ona sama zrobi,

kiedy się tego dowie.

34. GRA

Melissa otworzyła drzwi swojego apartamentu i wpuściła Laurę do środka.

– Co tu się dzieje? – zapytała Laura, starając się ukryć zdenerwowanie. – Jest u ciebie David?

– Wszystko, co wiem, to to, że jacyś dziennikarze dostali się do hotelu i osaczyli Tana – odpowiedziała Melissa, prowadząc Laurę w głąb apartamentu. – David próbuje ustalić, co dokładnie się wydarzyło. Tan nie chce go widzieć, więc poleciał na dół spróbować wyciągnąć coś sensownego od policjantów.

Dwusypialniowy apartament był taki sam jak ten, który przydzielono Laurze i Kevinowi. Melissa przygotowała sobie wieczorową suknię z czarnego jedwabiu, którą udrapowała na oparciu kanapy. Laura przeciągnęła dłonią po miękkim materiale.

– Chciałabym, żeby we własnym życiu stać mnie było na takie ciuchy – uśmiechnęła się Melissa. – Nie, żeby zapraszano mnie na imprezy, na które mogłabym się tak ubierać.

Laura spojrzała w stronę balkonu i jej wzrok padł na leżący na biurku włączony laptop.

– Mogłabym skorzystać? – zapytała, gestem wskazując komputer. – Dawno nie sprawdzałam poczty.

– Śmiało – powiedziała Melissa. – Jest zalogowany i w ogóle, tylko zapisz mi zestawienie wydatków, zanim zamkniesz Excela.

Laura usiadła przy biurku.

– Fajnie było w tym spa – powiedziała, próbując uspić czujność agentki MI5 swobodną pogawędką.

Ku jej ogromnej uldze wielgachny laptop miał z boku rząd szczelin czytników kart.

– No bo i nieźle ci się trafiło – zaśmiała się Melissa. – Ten twój skandynawski masażyście był po prostu boski.

– Nieźle ciasteczko, prawda? – przytaknęła Laura, choć jej myśli koncentrowały się na laptopie i podjętej próbie dowiedzenia się, co zawiera karta pamięci.

Windows rozpoznał wsuniętą w czytnik kartę, ale zainstalowany odtwarzacz multimedialny odmówił otwarcia pliku. Program zaofertował się, że wyszuka i spróbuje ściągnąć odpowiedni kodek z internetu, a Laura kliknęła OK.

– Masz chłopaka w kampusie CHERUBA? – zapytała Melissa.

Pytanie na krótką chwilę zbiło Laurę z pantafyku. Nie przywykła, by ludzie z zewnątrz pytali ją o CHERUBA, ale Melissa była wysokim rangą funkcjonariuszem wywiadu, mogła zatem coś wiedzieć.

– Owszem, mam. – Laura powoli skinęła głową. – Ale choć wiesz o CHERUBIE, nadal nie zamierzam o nim rozmawiać bez powodu. Nie obraż się, takie są zasady.

– Nie obrażam się – powiedziała Melissa. – Przez nieostrożne gadki giną ludzie.

Na ekranie laptopa mignął zielony pasek postępu, po czym wyświetliło się okno dialogowe z komunikatem: „Kodek gotowy”. Laura nie miała pojęcia, co za chwilę zobaczy, dlatego na wszelki wypadek ściszyła dźwięk do jednej kreski ponad całkowitym wyciszeniem.

Zanim zdążyła uruchomić odtwarzanie, zadzwonił jej telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Kevina.

– Halo?

– Gliniarze właśnie wywlekli Kyle’a – wypalił Kevin w stanie wyraźnie słyszalnej paniki. – Co tu się dzieje, Laura? Myślałem, że on

już odszedł z CHERUBA.

Laura była zirytowana, ale musiała uspokoić młodszego kolegę.

– Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje – powiedziała, starannie ważąc słowa, ponieważ Melissa mogła ją słyszeć. – Zostań w swoim pokoju z TJ-em.

– TJ poszedł z ochroniarzem. Tan mówi, że tu nie jest bezpiecznie. Wszyscy pakują się i jadą do ambasady Malezji.

Laura spojrzała na ekran i okno programu gotowego do odtworzenia filmu. Wiedziała, że sprawa jest pilna, a zarazem była świadoma obecności Melissy.

– Kevin, dowiesz się, co się dzieje, kiedy tylko dowiem się ja. Pogadamy później.

Zatrzasnęła telefon i nacisnęła Play. Na ekranie pojawiło się pomieszczenie przypominające biuro, wielki stół oraz mężczyzna w okularach i granatowym garniturze. Widok za oknem oraz pretensjonalny wystrój upewniły Laurę, że miejsce to znajduje się gdzieś wewnątrz hotelu Leith.

Pasek czasu rozciągnięty na dole okna odtwarzania pokazywał, że nagranie trwa czterdzieści cztery minuty. Laura przeciągnęła suwak do przodu o dziesięć minut, a potem dwadzieścia i wtedy złapała moment, w którym do pokoju wszedł Tan Abdullah.

Melissa wyszła do swojej sypialni. Laura zwiększyła głośność o jedną kreskę, by słyszeć cokolwiek z dialogu między mężczyznami. Nie miała czasu na odsłuchanie całej rozmowy, ale nie musiała oglądać zbyt długo, by zorientować się, że Tan otrzymuje ofertę olbrzymiej łapówki i przyjmuje ją z entuzjazmem.

Kyle nie powiedział wprawdzie, że karta pamięci zawiera jedyną istniejącą kopię nagrania, ale jego desperacja nie pozwalała wątpić, że tak właśnie jest. Wejście Davida Secombe'a do apartamentu wkrótce miało to potwierdzić.

– Wszystko wali się w gruzy! – zawołał ze złością Secombe, aż Melissa wyszła z sypialni, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Laura nie mogła ryzykować dalszego oglądania filmu z dwojgiem dorosłych w pokoju. Zamknęła okno odtwarzacza i kliknęła ikonkę pliku wideo. Chciała wysłać kopię zapasową na swój adres e-mailowy, ale czterdziestoczworominutowy klip ważył ponad trzy gigabajty i transfer trwałby całe godziny, nawet przy dużej szybkości łącza.

– Co się wydarzyło tam na dole? – zapytała Melissa.

– Tan Abdullah dał się przyłapać na byciu małym zachłannym gnojkiem – wycedził z furją Secombe. – Pracowałem nad tym kontraktem osiem miesięcy!

David zamachnął się i wściekłym kopnięciem rozrzucił poduszki kanapy po pokoju.

– Nic nie rozumiem – mruknęła Melissa.

– Aresztowali jakiegoś nastolatka – wyjaśnił Secombe. – Wszystko wskazuje na to, że miał przy sobie kartę pamięci z nagraniem wideo, na którym Tan przyjmuje olbrzymią łapówkę. Gdybyśmy je zdobyli, być może zdołalibyśmy jeszcze uratować kontrakt, wykorzystując film do szantażowania Tana, ale jeśli to przecieknie do mediów, Tan straci wiarygodność. Będzie skończony. Wyleci z hukiem z rządu, a podpisanie umowy odwlecze się o kolejne miesiące, jeżeli w ogóle uda się ją podpisać.

– Przeszukali tego zatrzymanego? – zapytała Laura, wsuwając kartę pamięci do kieszeni džinsów.

– Tak, ale nie ma przy sobie tej karty – powiedział David. – Mógł ją połknąć, próbować wetknąć sobie w dupę albo schował ją gdzieś w budynku. Wezwałem już całe dostępne wsparcie i powiedziałem gliniarzom, że mają nie cofać się przed niczym, byle tylko ją znaleźć. W tej chwili dla brytyjskiej gospodarki ta karta jest warta pięć miliardów funtów.

Laura wstała od biurka.

– Niezły bałagan – powiedziała, usiłując ukryć zdenerwowanie. – Lepiej pójdę do siebie i powiem Kevinowi, co się dzieje.

Wciąż trzymając spocone palce na karcie pamięci w kieszeni, wyszła z apartamentu i poszła korytarzem w stronę pokoju osiemset dwa. Osobisty asystent Tana i ochroniarze próbowali wnieść kufer do windy, ale policjanci upierali się, że nikt nie opuści budynku, dopóki wszyscy nie zostaną oficjalnie przesłuchani. Z apartamentu June Ling dobiegały histeryczne wrzaski rozjuszonej modelki.

W części korytarza, w której schwytano Kyle'a, policjanci porozdzierali wykładzinę, by sprawdzić, czy więzień nie zdołał wepchnąć pod nią karty pamięci przez szczelinę przy listwie przypodłogowej. Laura wzdrygnęła się. Wkrótce ktoś musiał zacząć pytać o dziewczynę, która przechodziła obok zatrzymanego i upuściła przy nim chusteczkę dosłownie chwilę po aresztowaniu.

– To na sto procent był Kyle! – wypalił Kevin, przyskakując do Laury, kiedy tylko przekroczyła próg ich apartamentu. – Co tu się dzieje?

Laura odepchnęła go i ruszyła w stronę swojej sypialni.

– Zaufaj mi, nie chcesz nic o tym wiedzieć. Możemy wpakować się w straszne bagno.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i usiadła na krawędzi łóżka, usiłując poukładać myśli.

– Nie jestem dzieckiem, wiesz?! – krzyknął z salonu rozgoryczony Kevin.

Laura nie wiedziała, co robić. Gdyby przyłapano ją z kartą pamięci w kieszeni, wszyscy automatycznie założyliby, że była w zмовie z Kyle'em i demonstrantami. Wyleciałaby z CHERUBA w dwie sekundy.

Miała trzy wyjścia: ukryć kartę, pozbyć się jej, spuszczaając w toalecie, albo wymyślić sposób na przekazanie jej demonstrantom.

Toaleta była najprostszą opcją, ale Laura pomyślała o aresztowanym Kyle'u. Był dla niej kimś więcej niż tylko dobrym kolegą. Dwa lata wcześniej, kiedy Norman Large próbował ją szantażować, Kyle naraził dla niej swoją karierę w CHERUBIE. A poza tym Tan nie za-

sługiwał na to, by ratowała mu skórę.

W kwestii pięciomiliardowego kontraktu na broń była rozdarta, ale tylko trochę: może i mnóstwo Brytyjczyków musiało stracić pracę, gdyby interes spalił na panewce, ale zawsze mogli poszukać innego zajęcia, a ona wstąpiła do CHERUBA, żeby czynić świat lepszym miejscem, a nie żeby napędzać przemysł zbrojeniowy lewymi umowami.

Nie mogła zatelefonować do Kyle'a, który był w rękach policji, zadzwoniła więc do swojego brata.

– James? – zaczęła zaleknionym głosem. – Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Kyle'a zgarnęły gliny. Masz jakieś telefony kontaktowe do Heleny Bayliss albo kogokolwiek związanego z Guilt Trips?

– Szit – jęknął James. – Mieliśmy nadzieję, że się tu zjawi. Nie wiesz może, czy kiedy go zatrzymali, miał przy sobie kartę pamięci?

Laura była już całkiem skołowana.

– A ty skąd wiesz o karcie ?

– Jestem w naszym punkcie zbornym, w kościele, jakieś pół mili od tego hotelu, w którym jesteś.

– Jakim znowu punkcie zbornym?! – krzyknęła Laura, dodatkowo rozzłoszczona tym, że Kyle skłamał, sugerując, że James nie jest w to zamieszany. – Myślałam, że pojechałeś na jakiś uniwersytet, oglądać...

– To tylko przykrywka – wyjaśnił James. – Sorka, Laura, nie chciałem w to wciągać ciebie ani Kevina.

– Kyle to kłamliwy sukinsyn! – wypaliła Laura płaczliwym tonem, tupiąc w gruby sypialniany dywan. – Czego jeszcze mi nie powiedzieliście? Czy to wasza zgraja śledziła nas przez cały czas?

James uznał, że nie jest to najlepszy moment na informowanie siostry o programie szpiegowskim, który zainstalował w jej telefonie.

– Słuchaj, w tej chwili to nieważne – powiedział nerwowo. – Co dokładnie wiesz o tej karcie pamięci? Czy jest jakakolwiek możliwość, żebyś zdobyła ją dla nas albo chociaż zrobiła kopię?

– Mam ją w kieszeni – rzuciła sucho Laura.

James westchnął z ulgą i powiedział coś do Bruce’a, który stał tuż obok niego w zakrystii kościoła. Laura zrozumiała tylko odpowiedź Bruce’a:

– I dzięki cholernemu Bogu!

– Laura, ta karta jest dla nas niesamowicie ważna – podjął James.

– Możemy się spotkać?

– Może mi być trudno wydostać się z hotelu – odpowiedziała Laura. – Wszędzie kręcą się gliny.

– Ja ją wezmę – oznajmił Kevin, a Laura podskoczyła ze strachu, słysząc głos tuż za swoją głową.

Pochłonięta rozmową nawet nie usłyszała, kiedy wszedł do sypialni. Rozzłoszczona odwróciła się gwałtownie i wyciągnęła palec w stronę drzwi.

– Mówiłam ci, żebyś się w to nie mieszał! – ryknęła. – Wynoś się stąd, bo zaraz tak ci dosunę, że cię rodzona matka nie pozna!

Potem znowu uniosła telefon do ucha.

– Coś wymyślę. Gdzie chcesz się spotkać?

– Na rogu obok hotelu jest kawiarnia – powiedział James. – W tej chwili bliżej nie podejmiemy przy całych tych środkach bezpieczeństwa. Jeśli pobiegnę, mogę tam być za pięć minut.

– Dobra – zgodziła się Laura. – I lepiej powiedz tym z Guilt Trips, żeby dzwoniли po adwokata dla Kyle’a. David Secombe chce dostać tę kartę za wszelką cenę, tak bardzo, że zanim się chłopak obejrzy, będzie miał czyjeś palce w tyłku.

Laura zamknęła telefon i parsknęła gniewnie, widząc, że Kevin wciąż za nią stoi.

– Której części „nie mieszaj się w to” i „wynoś się” nie zrozumiałeś?! – krzyknęła.

– Nie jestem dzieckiem – powtórzył naburmuszony Kevin. – Powiedz mi, co tu się dzieje.

Laura uświadomiła sobie nagle, że potrzebuje Kevina, żeby ją krył

pod jej nieobecność. Westchnęła, potarła dłonią czoło, po czym w kilku słowach wyjaśniła Kevinowi istotę powiązań pomiędzy Kyle'em, próbą szantażu i zawartością karty pamięci w jej kieszeni.

– Wierzę, że nie wydasz mnie ani Jamesa – powiedziała na koniec.

– Ale jeśli ktokolwiek zacznie cię o coś pytać, to nie masz pojęcia o sprawie, jasne? To naprawdę cuchnące bagno. Mogą mnie za to wykopać z CHERUBA i nie ma sensu ciebie też w to wciągać.

Kevin skinął głową, ale jego mina sugerowała, że wciąż czuł się dotknięty.

– Nie mogę uwierzyć, że James nie powiedział mi, dlaczego naprawdę wypisał się z misji.

– Nie będzie mnie piętnaście, góra dwadzieścia minut – powiedziała Laura, zakładając bluzę z kapturem i kierując się ku drzwiom.

– Odkręć wodę w mojej łazience, a jak ktokolwiek tam wlezie, to myślałeś, że biorę prysznic.

Laura otworzyła drzwi. Była pewna, że zdoła wyklamać sobie wolną drogę u policjantów, ale ze zdumieniem spostrzegła, że zastąpiono ich tłumem mężczyzn odzianych w ciemne garnitury. Najbliższy stał niecałe dwa metry od drzwi jej apartamentu.

– Wracaj do pokoju, młoda damo – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Laura rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Bo kto mi każe?

Wielki mężczyzna był napompowany poczuciem własnej ważności.

– Służby bezpieczeństwa – oznajmił stanowczo. – Natychmiast wracaj do swojego pokoju. Nikt nie opuści tego piętra ani tu nie wejdzie, dopóki nie przeszukamy wszystkich i wszystkiego.

Laura wycofała się do apartamentu, czując łomotanie własnego serca. Z jej sypialni wyszedł Kevin ze skonsternowaną miną.

– Próbowałem odkręcić prysznic, ale nie działa – powiedział. – W ogóle nie ma wody.

– Ożeż w mordę – zaklęła Laura. – Zrobili to, co zwykle robią ci z narkotykowego: zakręcili wodę, żeby nie dało się nic spuścić w kiblu. Założę się, że założyli też separatory na kanalizację, żeby wyłapać wszystko, co mogło jednak spłynąć.

Kevin pokiwał głową.

– Dotarli tutaj tak szybko, że musieli być w pełnej gotowości. Już wcześniej podejrzewali, że ktoś z wewnątrz przekazuje informacje demonstrantom.

Laura wyjęła kartę z kieszeni i uniosła ją w dwóch palcach.

– Myślisz, że to wyjdzie na prześwietleniu, jeśli połknę?

– Na pewno – skinął głową Kevin i nagłym ruchem wyrwał jej z dłoni plastikowy prostokąt. – Dawaj, ja to zaniosę do tej kawiarni.

Laura potrząsnęła głową.

– Słodka buźka nie wystarczy, żeby te zbiry cię przepuściły – powiedziała z irytacją. – A teraz na karcie jest twoje DNA. To ja próbuję trzymać cię z dala od kłopotów, a ty właśnie sam się podłożyłeś.

– A kto powiedział, że idę tędy? – zdziwił się Kevin, po czym odwrócił się i ruszył w stronę balkonu. – Jakby ktoś pytał, to wyszedłem z TJ-em jakieś pół godziny temu.

Laura złapała go za ramię w chwili, gdy odsuwał szklane drzwi.

– Przecież nie zejdziesz tak z ósmego piętra – powiedziała. – Oddaj mi kartę, ja i tak siedzę już w tym po uszy. Nie musisz niczego brać na siebie.

Kevin zaskoczył Laurę swoją siłą, kiedy odepchnął ją od siebie i jednym susem znalazł się na balkonie. Zanim zdążyła odzyskać równowagę, dwunastolatek schował kartę pamięci do kieszeni i balansując rozpostartymi rękami stanął na metalowej poręczy, osiem pięter nad wąską uliczką. Laurze zakręciło się w głowie, kiedy Kevin błyskawicznym piruetem odwrócił się twarzą w stronę budynku i mocno wybił się w górę, by zawisnąć na gzymsie wystającym ze ściany pół metra nad szklanymi drzwiami balkonu. W pierwszym odruchu chciała złapać za dyndające tuż przed nią sto-

py, ale powstrzymała się, nie będąc pewna, czy zdoła go utrzymać, gdyby upadł niefortunnie i na przykład znalazł się za barierką. Tymczasem Kevin podciągnął się, wczepił w biegnącą nieco wyżej rynnę i kilka sekund później wpęłzał już na łagodnie nachylony dach hotelu.

Znalazszy się poza zasięgiem Laury, Kevin wysunął głowę poza krawędź dachu i wyszczerzył zęby w zadziornym uśmiechu.

– Jak spadnę i się zabiję, to powiedz Jamesowi i Bruce'owi, że trochę przesadzili, kiedy uczyli mnie walczyć z lękiem wysokości.

– Jezu, tylko uważaj, dobrze? – jęknęła Laura. Jakaś część niej była pod wrażeniem odwagi Kevina, ale przede wszystkim było jej niedobrze ze strachu. – Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz bezpieczny.

Kevin przetoczył się nieco dalej od krawędzi i krzyknął w przestachu, kiedy para grzywaczy, gniewnie trzepocząc skrzydłami, zerwała się do lotu tuż przed jego twarzą. Dał sobie kilka sekund na otrząśnięcie się z szoku, a potem wstał i rozejrzał się.

Wysokość nie była problemem, a dach stanowił znacznie pewniejsze podłoże niż kampusowy napowietrzny tor przeszkód w wietrzny dzień. Kłopot polegał na tym, że Kevin nie miał pojęcia, co dalej.

Przygarbiony, by nie rzucać się w oczy, potruchtał w stronę nasad kominowych, wyrastających długim rzędem wzdłuż krawędzi dachu, w miejscu, gdzie hotel Leith stykał się z budynkiem biurowym. Wejście na komin było koszmarem. Ceglany masyw obrastała gęstwa klimatyzatorów, kabli, anten satelitarnych oraz maszt telefonii komórkowej.

Gdy wreszcie stanął na szczycie, wychylił się pomiędzy dwiema ogromnymi nasadami kominowymi i odetchnął z ulgą, widząc, że od płaskiego dachu biurowca dzieli go tylko dwuipółmetrowy spadek. Skoczył, wylądował, upadając na bok dokładnie w taki sposób, jakiego nauczył się na szkoleniach CHERUBA, po czym pomknął żwawym truchtem po szorstkich pasach papy.

Znalazł pomalowane na szaro drzwi ewakuacyjne, ale można je było otworzyć tylko od wewnątrz, dlatego pobiegł na tył budynku, gdzie z ogłuszającym metalicznym łoskotem zeskoczył na schody ewakuacyjne. Zbiegał szybko, pochylając się, gdy mijał okna, za którymi kiwały się głowy ludzi o wyglądzie znudzonych biurowych trutni.

Na drugim piętrze zahamował gwałtownie, widząc grupę pracowników biurowych, którzy wyszli na papierosa na podest pod nim. Kevin stanął tak, aby nie było go widać, i czekał, aż mężczyźni skończą obgadywać swoją szefową imieniem Jody, której nikt nie lubił, oraz nową dziewczynę z księgowości, wyposażoną w parę rewelacyjnych buforów. Dwaj wkrótce zgasili papierosy i weszli do budynku, ale w tej samej chwili do pozostałych dołączyła kobieta z kubkiem ze Starbucksa i świeżo zapalonym długim marlboro w ustach. Im dłużej Kevin czekał, tym większe było prawdopodobieństwo, że ludzie z MI5 usiądą mu na ogonie, dlatego postanowił podjąć skalkulowane ryzyko i zszedł do palaczy, by odegrać scenkę z biednym zagubionym chłopczykiem.

– A ty skąd się tu wzięłeś, mały? – zdumiał się jeden z mężczyzn.

– Dzisiaj jest firmowy dzień dziecka – wyjaśnił Kevin. – Byłem na szóstym piętrze. Jak wyszedłem z łazienki, to chciałem zobaczyć, co jest za tymi drzwiami, ale zatrzasnęły się za mną, zanim zdążyłem wrócić do środka.

Kobieta roześmiała się.

– Ty biedna ofermo! – powiedziała pogodnie, wrzucając wypalonego do połowy papierosa do swojej kawy. – Chodź, zaprowadzę cię do windy.

Kevin pozwolił poprowadzić się przez szare, jakby przykurzone biura prawniczej agencji wydawniczej. Uprzejma palaczka wezwała windę przyciskiem w górę, dlatego wjechał na szóste piętro, zanim w końcu zjechał na parter i wyszedł prosto w słoneczne majowe popołudnie.

Szykowne chinosy Kevina były teraz całe w czarnych plamach, ręce miał upačkane ptasim łajnem, a do tego boleśnie otarł sobie łokieć. Chłopak ruszył jednak szybkim krokiem w stronę kawiarni na rogu, zerkając nerwowo na mijanych policjantów strzegących hotelu Leith.

James Adams siedział przy kawiarnianym stoliku i popijał colę z puszki.

– Dobra robota, chłopie – uśmiechnął się, kiedy Kevin wręczył mu kartę pamięci. – To ja wskakuję w taryfę i lecę z tym prosto do studia produkcyjnego w Soho. Znajomy reporter twierdzi, że da radę wcisnąć to do jutrzejszych gazet.

35. ŚLADY

Samolot Tana Abdullaha stał na płycie lotniska Heathrow. Luksusowy odrzutowiec oddalił się już od bramki terminalu, ale burza spowodowała opóźnienia w lotach i pilot ogłosił, że czeka ich czterdzieści minut oczekiwania na okno startowe.

W Malezji Tan mógł spodziewać się postawienia przed sądem pod zarzutem korupcji, a nagranie, na którym znieważał premiera własnego rządu, gwarantowało, że zaraz po wylądowaniu zostanie zatrzymany i wtrącony do celi. Był to poważny problem, który prowizorycznie rozwiązał, każąc pilotom zgłosić plan lotu do Nowego Jorku. June Ling była obywatelką Stanów Zjednoczonych, więc mogli pozostać tam przez nieograniczony czas.

TJ miał swoje miejsce w tylnej części kabiny pasażerskiej. Przebrał się już w piżamę i rozłożył na płasko oparcie fotela. Wokół jego ojca i macochy zawsze działały się jakieś dramaty, ale choć nikt nie pokwapił się, by wytłumaczyć mu, co się właściwie wydarzyło w hotelu Leith, wiedział, że sprawa jest poważna.

Nie był w stanie skupić się na swojej PSP i usiadł z policzkiem dociśniętym do okna, patrząc w ciemność na światła pozycyjne samolotu na końcach skrzydeł i jasno oświetlony szklany front terminalu, daleko po drugiej stronie głównego pasa startowego.

Z zamyślenia wyrwał go hałas nad jego głową, kiedy ojciec nachylił się nad nim, żeby otworzyć schowek podsufitowy.

– Może pójdziemy na mecz NBA, co? W Nowym Jorku – zapro-

ponował Tan, wyjmując coś ze schowka i wsuwając to do kieszeni marynarki.

– Byłoby superekstra – ucieszył się TJ. – NBA ma sklep na Times Square. Mają wszystkie koszulki NBA i masę innych rzeczy.

Tan zatrzasnął schowek i przeszedłszy na tył samolotu, zamknął się w toalecie. TJ spojrzał na drugą stronę przejścia między fotelami i spostrzegł, że Suzie naciągnęła kołdrę na głowę i najwyraźniej ułożyła się do snu. Pomyślał o ciśnięciu w nią trampkiem, ale Suzie była od niego większa i frajda z jej obudzenia nie wystarczyłaby do zrównoważenia przykrości, kiedy wyskoczyłaby ze swojego fotela i sprawiła mu tęgie manto.

Przy jego fotelu stanęła stewardesa z kubkiem gorącej czekolady w dłoni.

– Wiem, że zwykle pijesz ją po starcie – powiedziała, podając mu parujący napój – ale pomyślałam, że skoro utknęliśmy na ziemi na dłuższą chwilę...

TJ rozłożył stolik, a potem wziął kubek i zajrzawszy do środka, z zadowoleniem skonstatował, że czekolada jest przykryta pierzynką z bitej śmietany i słodkich pianek z marmoladą w środku, dokładnie tak, jak lubił. Podniósł kubek do twarzy i z lubością wciągnął w nozdrza ciepły aromat. Było mu błogo pod kołdrą podciągniętą pod samą szyję, przy ciemnym chłodnym oknie, na którym rozpryskiwały się pierwsze krople deszczu.

Wtedy rozległ się huk.

TJ poderwał się i zaklął, kiedy rozchlapana czekolada spłynęła po kubku i sparzyła go w dłoń. Suzie usiadła, rozglądając się w oszłomieniu. W kokpicie włączył się brzęczyk alarmu, na co zareagował pilot, szybko przerzucając rząd przełączników nad swoją głową.

Światło i wentylacja wyłączyły się na krótką chwilę, po czym włączyło się zasilanie awaryjne. Tymczasem drugi pilot wyskoczył z kabiny pilotów i pobiegł na tył samolotu w stronę stewardesy, która waliła pięścią w drzwi pokładowej toalety.

– Panie Abdullah! Panie Abdullah, czy wszystko w porządku?

Odpowiedzią była cisza. TJ i Suzie omal nie zderzyli się głowami, gdy jednocześnie wychylili się z foteli, by spojrzeć wzdłuż przejścia na tył kabiny. Stewardesa wrzasnęła i podskoczyła na widok strużki ciemnego płynu wypływającej spod drzwi toalety i zmierzającej do jej buta.

– To krew! – krzyknęła.

Drugi pilot przepchnął się między głowami Suzie i TJ-a i sięgnął w górę po klucz w kształcie litery T umocowany w zagłębieniu obok drzwi toalety. Klucz pasował do otworu poniżej klamki drzwi i pozwalał na sforsowanie blokady zamka od zewnątrz.

Drugi pilot odsunął drzwi i cofnął się gwałtownie. Stewardesa spojrzała i znowu krzyknęła, widząc pistolet w kałuży krwi rozlanej wokół pokładowych bamboszy Tana Abdullaha, ogromnego rozprysku krwi na ścianie oraz dziury wydartej w kadłubie tuż za ciałem ministra.

*

Było już ciemno, kiedy James przewiózł Bruce'a przez główną bramę kampusu w czarnym mini. Chłopcy zaparkowali przed głównym budynkiem i weszli do środka.

– Padam z głodu – oznajmił Bruce, podczas gdy James wieszał kluczyki w gablotce za kontuarem recepcji.

– Chodźmy prosto do stołówki.

– Tylko wypełnię papiery i zaraz do ciebie dołączę – zgodził się James.

Zwracając samochód wypożyczony z kampusu, trzeba było wypełnić krótki formularz, wpisując liczbę przejechanych mil oraz podpisując oświadczenie, że zwraca się wóz bez usterek. Kiedy James kładł wypełniony dokument na tackę, tuż za nim niepostrzeżenie wyrosła prezes Zara Asker.

– Dobry wieczór, chłopcy – zagaiła trudnym do rozszyfrowania tonem. – Możemy zamienić słówko w moim gabinecie?

Gabinet był im dobrze znany. Każda draka w kampusie kończyła się dywanikiem u prezeski, a James przeszedł przez to tyle razy, że już dawno odechciało mu się liczyć. Kiedy wstępował do CHERUBA, prezesem był Mac i winowajcy mogli liczyć na kary surowe, ale wymierzane konsekwentnie, wedle określonego systemu. Zara na ogół była łagodniejsza, ale James bał się jej bardziej, ponieważ nie sposób było przewidzieć, co zrobi.

– Jak tam wycieczka na uczelnię? – zapytała Zara, kiedy chłopcy usiedli przed jej biurkiem.

– Dobrze – odpowiedział James, modląc się w duchu, by powodem wezwania był Bruce, który opuścił kampus bez zezwolenia.

– Nie mogłam znaleźć żadnych śladów po twojej prośbie o zgodę na wyjście – powiedziała Zara do Bruce’a, po czym znowu zwróciła się do Jamesa: – No i dni otwarte na uniwersytetach są chyba o innej porze roku, co?

James i Bruce odezwali się jednocześnie.

– To nie był dzień otwarty. Po prostu pojechałem trochę się rozejrzeć – powiedział James.

– Nie wiedziałem, dokąd jedzie James, aż do ostatniej chwili – bronił się Bruce. – Chciałem porozmawiać z opiekunką, ale było wcześniej rano i wszyscy jeszcze spali.

Zara uśmiechnęła się i sięgnąwszy nad blat biurka, przyciągnęła do siebie segregator.

– Dzwonili do mnie ze służb bezpieczeństwa CHERUBA. Podobno wasz przyjaciel Kyle został aresztowany dziś po południu – powiedziała, odchylając okładkę, by odpiąć kilka dokumentów.

„Szlag” – zaklął w duchu James. Nie bał się o siebie, ale Bruce, Laura i Kevin mieli przed sobą jeszcze długą karierę w CHERUBIE.

– Mam tu kilka szalenie interesujących raportów – ciągnęła Zara. – Tuż przed aresztowaniem Kyle’a w hotelowej restauracji wybuchła bijatyka. Ciekawa jestem waszej opinii o tym zeznaniu złożonym przez kelnerkę: „Jeden chłopak, nie więcej niż szesnastoletni, który

wyglądał, jakby dawno nie był u fryzjera, wystartował do tych barczystych facetów, chociaż byli wielcy jak bramkarze w klubie nocnym. W życiu nie widziałam czegoś podobnego. Dzieciak śmigał jak tornado i zrobił z tych ochroniarzy absolutną miazgę. Jakbym oglądała jakiś film kung-fu. Jedyne, co sobie zrobił, to małe skaleczenie na czole – widziałam, jak uciekał”.

Bruce opuścił głowę, mając nadzieję, że bujna czupryna zasłoniła strup przed wzrokiem Zary.

– A mają jakieś zdjęcia z kamer nadzoru? – zainteresował się James. – Brzmi niesamowicie, kimkolwiek był ten kolo.

– Ciekawe, że o to pytasz – uśmiechnęła się Zara, a potem poszperała w papierach i wyciągnęła kolejne zeznanie.

– To od faceta, który pracuje w biurze za hotelową recepcją. Posłuchajcie: „Wyglądał bardzo młodo, chociaż wtedy zupełnie się nad tym nie zastanawiałem. Dobrze zbudowany, raczej przystojny. Wpakował mi się do biura i krzyczy, że jest z policji i że rekwiruje wszystkie taśmy z systemu nadzoru wizyjnego jako materiał dowodowy. Wy tłumaczyłem mu, że nagrania z hotelowych kamer przechowujemy na twardych dyskach w serwerze, a wtedy on spokojnie otworzył szafkę serwera, powyciągał wszystkie dyski i wyniósł je w kartonowym pudle”. Niżej jest jeszcze napisane, że był ubrany w „sportowe buty Nike, dzinsy i czapkę baseballówkę”.

– Do niczego taki rysopis – zauważył James. – Połowa młodzieńców w tym kraju nosi najki i dzinsy.

Zara uśmiechnęła się pod nosem.

– Wiesz, a mnie się to jakoś tak skojarzyło z raportem, który John Jones napisał po twojej misji u Bandytów. Pamiętasz, jak Führer zawsze starał się unieszkodliwić kamery, zanim do czegokolwiek doszło, a jeśli nie było takiej możliwości, to usunąć taśmy po rozrobie? Co zrobiłeś z tymi dyskami, James?

James uśmiechnął się niepewnie.

– Hipotetycznie, gdybym to naprawdę był ja, to chyba rozkręcił-

bym te dyski śrubokrętem, wyjął talerze, wrzucił do wiadra napełnionego do połowy benzyną i podpalił. Temperatura zniszczyłaby magnetyczną powłokę na dyskach, przez co byłyby już nie do odczytania.

– Ale, rzecz jasna, to nie byłeś ty, prawda? – zapytała Zara.

Bruce był całkiem pewien, że Zara, gdyby tylko chciała, mogłaby zetrzeć ich na proch: musiały być przecież odciski butów, palców, ślady DNA, inne kamery nadzoru w okolicy i tak dalej. Wyczuwał jednak, że prezeska nie ma ochoty tego robić.

– A chce pani, żebyśmy to byli my, czy nie? – wypalił nagle.

– Broń was Boże, żebyście to byli wy! – odparła Zara z udanym przerażeniem. – Ponieważ gdyby tak było, musiałabym uruchomić pełne dochodzenie przeciwko wam dwóm, a także przeciwko Laurze i Kevinowi, no i wszyscy wylecielibyście na zbity pysk. Poza tym musiałabym uznać Kyle'a za zagrożenie dla bezpieczeństwa, zakazać mu wstępu do kampusu i umieścić pod stałym nadzorem. Potem czekałoby mnie sporządzenie szczegółowego raportu wyjaśniającego, jakim cudem agent w stanie spoczynku uzyskał dostęp do ściśle tajnych dokumentów misji. Musiałabym także wyjaśnić, w jaki sposób organizacja, którą kieruję, uwikłała się w operację, w której dwaj moi obecni agenci oraz jeden były działali po drugiej stronie barykady, a do tego zaprzyjaźnili się z dziennikarzem śledczym. Na koniec będę musiała stanąć przed komisją etyki i wytłumaczyć się przed ministrem wywiadu w Londynie. Prawdopodobnie musiałabym podać się do dymisji. Koordynator odpowiedzialny za misję także musiałby odejść, a na wypadek gdybyście nie zwrócili uwagi, owym koordynatorem jest mój mąż.

Bruce'owi opadła szczęka.

– Rany, nie miałem pojęcia, że sprawa będzie aż tak poważna.

– Zatem nawet jeśli to byliśmy my, choć oczywiście nie byliśmy, byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby nikt poza tym pokojem nie dowiedział się, co naprawdę się stało? – zapytał ostrożnie James.

Zara skinęła głową i zamknęła segregator.

– W kampusie nie rozmawiajcie z nikim o tym, co zaszło. Przez pewien czas trzymajcie się z dala od Kyle'a; prawdopodobnie przez następne dwa lub trzy miesiące będzie pod obserwacją MI5. Poza tym żadnych kontaktów z Guilt Trips, Heleną Bayliss ani Hugh Verhoevenem.

– Nie można pomóc Kyle'owi? – zapytał Bruce. – Wyciągnąć go z mamra czy coś?

– To absolutnie wykluczone – powiedziała Zara. – Cokolwiek zrobię, żeby mu pomóc, wskaże na to, że jest byłym agentem CHERUBA. Kyle to już duży chłopiec. Jestem pewna, że Guilt Trips i Hugh Verhoeven mają dość pieniędzy, by zapewnić mu dobrego prawnika.

– Właściwie to o co mogą go oskarżyć? – zapytał James. – Nikogo nie skrzywdził i w zasadzie nie zrobił niczego, co byłoby nielegalne.

– Moim zdaniem dadzą mu najwyżej ostrzeżenie – przytaknął Bruce. – MI5 nie lubi prać swoich brudów przed jawnym sądem.

– No dobrze – powiedziała Zara i z lekkim westchnieniem wstała zza biurka. – To mniej więcej wszystko, co miałam do powiedzenia na ten temat. Przypuszczam, że jesteście porządnie głodni, a ja mam rodzinę, którą powinnam się zająć.

James i Bruce spojrzeli na siebie nawzajem i wstając, wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Zara przeszła przez gabinet i zdjęła płaszcz ze stojącego przy drzwiach wieszaka.

– Jest jeszcze jedno, co chciałabym dodać – powiedziała, wsuwając dłoń w rękaw. – Świat to niezwykle skomplikowane miejsce. Czasami trudno powiedzieć, kto jest w nim dobry, a kto zły, ale sądzę, że raczej nie ulega wątpliwości, że Tan Abdullah należy do tych drugich. Podjęliście kilka bardzo głupich i ryzykownych decyzji. Jako szefowa CHERUBA nie mogę darować wam tego, co zrobiliście, ale jako człowiek obdarzony sumieniem nie mogę też tego potępić.

Grudzień 2009 r.

36. TERMINAL

James przeszedł przez bramkę przylotów terminalu numer pięć lotniska Heathrow. Był rano. James miał osiemnaście lat i ubrany był w czerwony T-shirt z ptaszkiem Nike i godłem drużyny futbolu amerykańskiego Stanford Cardinals. Był ładnie opalony, ale pod oczami miał sine wory po dziesięciogodzinnym locie z San Francisco.

– Boże, jak ja tęskniłam! – zapiszczała Kerry, przyciągając go do ekstatycznego uścisku.

Jej palce zagłębiły się w ciało, które wydało się jej nieco pulchniejsze niż zwykle.

– Trochę się chyba zapuściliśmy, panie Adams.

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo James przywarł do niej w namiętnym pocałunku, wpychając dłoń pod pasek minispódniczki.

– Cztery miesiące – sapnął, gdy wreszcie odsunęli się od siebie, z oczami szklącymi się od łez. – To stanowczo za długo.

Starsza kobieta cmoknęła z dezaprobatą, mijając parę nastolatków całujących się i miętoszących bez opamiętania. James był nieogolony i jego ostra szczecina drapała partnerce policzki. Ale Kerry nie zwracała na to uwagi i oprzytomniała dopiero, kiedy mniej więcej trzynastoletni gołowąs gwizdnął przeciągle i krzyknął: „Niezła dupcia!”, za co oberwał delikatnego kuksańca od idącej obok mamy.

– Wszyscy się gapią – szepnęła Kerry, odpychając Jamesa i strzelając na boki niespokojnymi spojrzeniami.

– A niech się gapią – odparł James. – Jeśli o mnie chodzi, to mogą nas nawet aresztować za obrazę moralności, cokolwiek to znaczy. Chodź, znajdziemy jakąś łazienkę czy coś.

Kerry zaczęła się śmiać.

– James, nie będę się z tobą bzykać w lotniskowym kiblu!

– Dziewczyno, ja cierpię – jęknął James błagalnym tonem. – To prawie nowy terminal, kible muszą być całkiem czyste.

– Albo... moglibyśmy pojechać do naszego pokoju – powiedziała Kerry, podsuwając mu pod nos magnetyczny klucz przypominający kartę kredytową.

James wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Dżizas, ale ja cię kocham! – wypalił rozczulony.

– Ritz to to nie jest – przyznała Kerry. – Specjalna oferta internetowa za dwadzieścia funciaków, ale ma łóżko i prysznic. Pomyślałam, że moglibyśmy spędzić tam parę godzin, zanim spotkamy się z Laurą na mieście.

– Daleko to?

– Dziesięć minut jazdy – uśmiechnęła się Kerry. – Dasz radę opanować się przez dziesięć minut?

– Z trudem – burknął James, udając, że się dąsa.

Kerry wzięła jego grę na poważnie i przestraszyła się lekko, że James się gniewa, ponieważ nie odwzajemniła jego wyznania miłości.

– Ja ciebie też kocham – powiedziała szybko. – I wynajęłam ten pokój, bo nie tylko ty nie dałbyś rady doczekać do wieczora i powrotu do kampusu.

– No to jazda! – wykrzyknął James entuzjastycznie, obracając się na pięcie i rozglądając za wyjściem. – Dlaczego tu jeszcze stoimy?

Kerry podniosła podręczny bagaż Jamesa i razem ruszyli do wyjścia z ogromną torbą na dwóch kółkach turkoczącą im za plecami. Kiedy zbliżyli się do automatycznych drzwi, James znowu spróbował wsunąć dłoń pod poruszającą się kusząco spódniczkę, ale Kerry

trzępnęła go po nadgarstku.

– Przestań! – syknęła z irytacją. – Tyłek mi widać, kiedy tak robisz. Zawstydzasz mnie.

– Łatwo cię zawstydzić, co?

James wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu, po czym zatrzymał się i odwrócił, by stanąć twarzą do wielkiej zatłoczonej hali przylotów.

– James, co ty wyprawiasz? – zapytała zaniepokojona Kerry.

– Oto moja dziewczyna, Kerry Chang! – wykrzyknął na cały głos James. – Ma świetny tyłek i mam nadzieję, że wszyscy dobrze się bawiliście, patrząc na niego. A teraz zabieram ją do hotelu i będziemy bzykać się jak dzikie kró...

Nim zdążył skończyć, przerażona Kerry zatkała mu usta dłonią.

– Zamorduję cię, wiesz? – wycedziła, podczas gdy James zanosił się śmiechem.

Kerry wbiła mu palce pod żebra i łaskotała, póki nie opadł na kolana.

– Kocham ją! – ryknął w stronę ponad setki gapiących się ludzi, a Kerry spiekła raka ze wstydu.

Skończyli rozciągnięci na wznak na posadzce hali przylotów, obolali ze śmiechu, nie mogąc przestać rechotać nawet pod marsowym wzrokiem funkcjonariuszki służby ochrony lotniska.

– Po ile wy macie lat? Zachowujcie się, do cholery! – warknęła kobieta w żółtej kamizelce. – Blokujecie ludziom wyjście.

James wskazał na Kerry.

– To wszystko przez nią – powiedział z figlarnym grymasem. – To ona zaczęła.

Funkcjonariuszka nie widziała w tej sytuacji niczego zabawnego. Oparła ręce na biodrach i niecierpliwie postukała palcem w wiszące jej u pasa walkie-talkie.

– Jeżeli macie jakiś problem, możecie wyjaśnić go na lotniskowym posterunku policji.

James i Kerry wciąż mieli łzy w oczach, kiedy przechodzili przez automatyczne drzwi prowadzące na parking pod terminalem.

*

Z Laurą byli umówieni przy stacji metra East Finchley. Mieli się spotkać o drugiej, ale James i Kerry nie mogli się od siebie oderwać i przeciągali wyjście z hotelu tak długo, jak tylko się dało, w efekcie spóźnili się czterdzieści minut.

– Przepraszamy, koszarne korki – skłamał James, wysiadając ze srebrnego mercedesa, który Kerry wypożyczyła z kampusu, i witając siostrę pocałunkiem. – Urosłaś parę centymetrów, odkąd ostatnio cię widziałem.

– A ty pulchniutki się zrobiłeś – zauważyła Laura.

– Piwo i balangi – wyjaśnił James.

– Ja bym użyła słowa przytulny – uśmiechnęła się Kerry.

– Tak naprawdę to ostatnio nawet zrzuciłem parę kilo, odkąd wróciłem do ciężarów i biegania – powiedział James. – Ale na początku, kiedy przyjechałem do Stanfordu, co wieczór było totalne szaleństwo.

We troje pojechali do najbliższego lokalu Pizza Express i zasiedli do późnego lunchu.

– No i jak minął pierwszy semestr w Stanford? – zagaiła Laura, kiedy złożyli już zamówienie.

– Mówią na to kwartał, a nie semestr – wyjaśnił James. – W kampusie jest jak w CHERUBIE, tyle że mieszka się po kilka osób w pokoju i w sumie jest nas z dziesięć tysięcy ludzi, a nie parę setek. I powiem wam, z nauką nie jest łatwo. W życiu nie myślałem, że będę miał kłopot z matmą czy fizą, ale wszyscy na moich kierunkach mają tak napakowane łby, że mózgi przelewają im się uszami.

– A jak tam egzaminy? – zapytała Kerry i wgryzła się w swoją bruschettę.

– Pierwsza sesja będzie dopiero po drugim kwartale, w marcu – odpowiedział James. – Ale oceniani jesteśmy na bieżąco. Na razie

mam same celujące i bardzo dobre, z tym że na pierwszym roku trzeba zapisać się na co najmniej jednego humana. Wybrałem rosyjski, no bo niby znam już język, ale będę musiał przeczytać całą *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego, a ta cegła ma z sześćset stron, na których przez cały czas absolutnie nic się nie dzieje.

– A poza tym? Mówisz, że mnóstwo imprez?

James pokiwał głową.

– Dziko jest. Jak ktoś chce, to może chodzić na balangi co wieczór, ale człowiek szybko uczy się umiaru, inaczej na każdy wykład idziesz nie do życia.

Kerry czuła się nieswojo, słuchając tych wynurzeń. Nie wątpiła ani przez chwilę, że James ją kocha, ale wiedziała też, że jest wiecznie napalonym kogucikiem i nie potrafiła nie zadać sobie pytania, czy zdołał pozostać jej wierny przez cztery miesiące na uczelni pełnej jurnych osiemnastek.

– Złożyłam już papiery do Stanford – powiedziała Kerry. – Meryl twierdzi, że powinnam się dostać bez żadnych problemów.

– Ekstra! – ucieszył się James.

Przy stole wyrosła kelnerka z dwiema pizzami i lazanią dla Kerry.

– No a co tam słyszać w kampusie? – zapytał James.

– Cisza i spokój – powiedziała Laura. – Mnóstwo ludzi jest na mi-sjach. Rat siedzi w Australii z Andym, Bethany znowu zeszła się z Bruce'em, ale potrwalo to tylko jakieś trzy tygodnie, a Jake'a Parkera zawiesili po tym, jak spił Ronana i podpuścił go, żeby narobił do fontanny przed głównym budynkiem.

– Kevin dostał granatową koszulkę – dodała Kerry.

James uśmiechnął się szeroko.

– To super. Kevin to świetny dzieciak. Kto dostał mój stary pokój?

– Jakiś nowy szarak, James Watkinson chyba się nazywa – powiedziała Kerry i dmuchnęła na parującą grudę lazanii na widelcu. – Spokojny koleś, cichy, trochę zamknięty w sobie.

– Dziwnie jest teraz – powiedziała Laura. – Jake i Kevin byli kie-

dyś najmłodszymi szarymi koszulkami. Ale teraz ludzie tacy jak ty czy Shakeel poodchodzili, a przyszła grupa nowych, którzy są jeszcze młodsi.

– Zapomniałaś powiedzieć mu o straszliwym, ogromnym, szokującym seksskandalu, jaki mieliśmy w kampusie – powiedziała wesoło Kerry.

– O Boże, tak! – roześmiała się Laura. – Klops został tatusiem. Ta para, która wprowadziła się do starego domu Large'a, ma taką małą pudlicę i Klops uwiódł ją swoim zwierzęcym magnetyzmem.

Wszyscy śmiali się, dopóki Kerry nie przypomniała sobie czegoś.

– Aha, Joshua Asker kazał ci powiedzieć, że już dobrze pływa i że koniecznie musisz pójść z nim na basen, żeby mógł ci pokazać.

– Widziałam się z moim tatą – powiedziała Laura.

Rzuciła tę wiadomość niby od niechcienia, ale James omal nie udławił się pizzą.

– Spotkałaś się z wujkiem Ronem? Skąd wiedział, gdzie cię szukać?

– Napisał do ratusza Islington, a stamtąd przekierowano list do kampusu CHERUBA. Na początku nowego roku będzie mógł ubiegać się o zwolnienie warunkowe. Chciał rekomendację do wniosku o zwolnienie stwierdzającą, że utrzymywał kontakt z córką i że moim zdaniem jego wyjście na wolność będzie dla mnie korzystne. Podobno posiadanie bliskiej rodziny może pomóc w przekonaniu komisji na przesłuchaniu...

James potrzęsnał głową z niedowierzaniem.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś mu, żeby wsadził sobie ten pomysł głęboko w swój włochaty zad.

Laura wyglądała na zakłopotaną.

– Pojechałam do niego. Leczył się na raka, okropnie wychudł i wydaje mi się, że w więzieniu kilka razy go pobili. Powiedziałam, że napiszę mu tę rekomendację pod warunkiem, że nie będzie mnie nachodził, kiedy wyjdzie na wolność.

James ukrył twarz w dłoniach.

– Jak mogłaś to zrobić? – westchnął. – Ron pastwił się nad nami obojgiem. Traktował mamę jak śmiecia i to ty w końcu go wydałaś, kiedy przywalił ci tak, że miałaś śliwy pod oczami.

– Wiem – powiedziała Laura z nietypową dla siebie potulnością. – Ale to wszystko było dawno temu i bez względu na to, co zrobił, Ron wciąż jest moim tatą.

James skrzywił się z niesmakiem i przewrócił oczami, ale nic nie odpowiedział. Jego powrót do kampusu na święta miał być radosnym wydarzeniem, a poza tym Laura była uparta jak osioł i naciskając na nią, na pewno nie wygrałby sporu.

– A ty nie myślałaś o spotkaniu ze swoim tatą? – zapytała Kerry.

James przytaknął skinieniem głowy, a potem przeżuł i połknął kęs pizzy, zanim zaczął mówić.

– To było dziwaczne. Pierwszego dnia dali wszystkim listę podręczników, których będziemy potrzebować. Siedzę w swoim pokoju w akademiku, zamawiam, co trzeba, na Amazonie i nagle widzę, że współautorem jednej z książek do matematyki jest profesor James Duncan. Prawie zrzuciłem laptop z kolan. Chris, mój współlokator, pyta, co się stało, a ja mu na to: „Chyba właśnie odkryłem, że jeden z moich podręczników napisał mój ojciec”. To było jak jakiś znak czy nie wiem, zwłaszcza w czasie, kiedy dopiero co przyjechałem na uczelnię, czułem się trochę obco i tęskniłem za domem. Wygrzebałem adres e-mailowy taty i wysłałem mu wiadomość. Kilka dni później dostałem odpowiedź i od tamtej pory pisujemy do siebie regularnie.

Laura uśmiechnęła się.

– Zamierzasz się z nim spotkać?

– Tak – przyznał James. – Mam młodszą przyrodnią siostrę, która ma prawie cztery lata, i całkiem małego braciszka Alberta, który podobno dostał imię na cześć Einsteina.

– To kiedy do nich jedziesz?

James wzruszył ramionami.

– Nie umówiliśmy się konkretnie, bo nie wiedziałem, jak mi się poukładają inne plany. Ale spokojnie, mam całe trzy tygodnie, zanim będę musiał wracać do Stanów.

– Jak im wyjaśnisz lata spędzone w CHERUBIE? – zapytała Laura.

– Użyłem swojej standardowej legendy – wyjaśnił James. – Tata myśli, że kiedy umarła mama, wychowywałem się u kolejnych rodzin zastępczych. Opracowaliśmy całą historię, jeszcze zanim wyprowadziłem się z kampusu.

Kerry uśmiechnęła się.

– I jak, dostałeś od taty odpowiedzi na pytania z jego podręcznika?

– Nie – odparł James ze śmiechem – ale raz mi pomógł, kiedy utknąłem na jednym zadaniu. Wydaje się całkiem sympatyczny. Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy go odwiedzę i sobie pogadamy. Cieszę się na to spotkanie.

– A jak ci się żyje w tej Kalifornii? – zapytała Laura. – Opowiedz coś. Jaki jest ten twój współlokator?

– Kiedyś myślałeś, że on jest gejem, prawda? – dodała Kerry.

– Tak, dopóki nie wróciłem raz do pokoju i nie zastałem go w akcji z taką jedną hipopotamicą: „O, Chris, o, Chris, o tak, o tak, o taaaaaaaak!”.

Laura i Kerry parsknęły śmiechem, a James poczuł, że jest szczęśliwy, będąc znów z nimi i mając tak wiele rzeczy do obgadania.

*

Godzinę później Kerry zatrzymała srebrnego mercedesa u stóp wzgórza pokrytego wyschniętą trawą. Ruszyła kilka metrów za Jamesem, który szedł po długich żdzibłach kładących się na rozmięklej ziemi, w jednej ręce trzymając bukiet kwiatów, a drugą obejmując Laurę.

Wielka Brytania to mały kraj i londyńczyków chowa się po sześciu w jednym grobie, pod rozmieszczonymi w półmetrowych od-

stępach płytami nagrobnymi o wysokości ograniczonej do czterdziestu centymetrów. James, Laura i Kerry zatrzymali się przed rombem z różowawego marmuru, z inskrypcją pokrytą łuszczącym się złoceniem.

Gwendoline Choke
Maj 1966 – Wrzesień 2003
Bardzo za Tobą tęsknimy, James i Laura

Na dole płyty wyryto nieco komiksowy obrazek przedstawiający aniołka na tle tęczy dmącego w fanfarę. Laura podniosła wzrok na kamień i pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że wybrałam taki kiczowaty projekt – westchnęła.

– Miałaś dziewięć lat – powiedział James. – Gdybym to ja wybierał, skończyłabyś pewnie z godłem Arsenalu.

Laura zsunęła plecak z ramienia i wyjęła z niego butelkę z mydłami i gąbkę, by umyć nagrobek. James wyrwał sprzed płyty kilka garści zaschniętej trawy, udeptał ziemię na ich miejscu i ułożył tam bukiet słoneczników.

Zimny wiatr porwał celofan, w który owinięte były kwiaty, i James zderzył się z Kerry, kiedy oboje jednocześnie skoczyli, by pochwycić szeleszczący arkusz, ten jednak wystrzelił spiralą wysoko w górę, by uwięznąć w gałęziach pobliskiego drzewa. Kiedy James wrócił do przycupniętej przy nagrobku Laury, spostrzegł, że po twarzy płyną jej strużki łez.

– Hej – powiedział łagodnie, przyklękając przed siostrą na kolanie. – Co się stało? Zwykle się tak nie rozklejasz.

– Bardzo mi jej brakuje – chlipnęła Laura. – I ciebie też mi brakowało, kiedy byłeś w Ameryce.

– Ja też za tobą tęskniłem – powiedział łagodnie James.

– Za kilka lat pewnie sama pójde na studia – ciągnęła Laura. – Bę-

dziemy mieszkać w różnych miastach, być może w różnych krajach, i już nigdy nie będę mogła zejść piętro niżej, żeby powiedzieć ci „cześć” albo przyjść zobaczyć, co knujesz, kiedy będzie mi się nudziło.

– Życie zawsze jest smutne, kiedy patrzy się w przeszłość – powiedział James, czując, jak oczy napętniają mu się łzami. – Tak jak kiedy myślę o mamie. Albo kiedy uświadamiam sobie, że już nigdy nie pojedę na żadne zadanie ćwiczebne albo że nie zobaczę przyjaciół, których poznałem na misjach. Ale takie właśnie jest życie: wszystko się zmienia, wszystko kiedyś się kończy.

– Nigdy nie poznałam waszej mamy – powiedziała Kerry, podsuwając chusteczkę podnoszącej się Laurze. – Ale założę się, że byłaby dumna, gdyby mogła was teraz zobaczyć.

James uśmiechnął się i zagarnął jedną ręką Laurę, a drugą Kerry, przydusił je w serdecznym uścisku.

– Niesamowicie się cieszę, że was mam – wyznał. – Przed nami jeszcze całe życie i to jest najważniejsze. A teraz wracajmy do samochodu. Przyzwyczałem się do kalifornijskiego klimatu i czuję, że jeszcze chwila, a odmrozę sobie jajca.

EPILOG

Niniejsze uaktualnienie sporządzono na krótko przed publikacją tej książki, we wrześniu 2010 r.

RALPH DONNINGTON vel FÜHRER stanął przed sądem kryminalnym Old Bailey pod zarzutami przemytu i nielegalnego handlu bronią oraz stawiania oporu przy aresztowaniu. Otrzymał wyrok szesnastu lat pozbawienia wolności. Sądzony równolegle BRUDNY DAVE spędzi w więzieniu jedenaście lat.

Brutalna wojna pomiędzy Bandytami a konkurencyjnym gangiem Mściwych Bękartów wciąż trwa. W połowie 2009 r. brytyjscy Bandyści doprowadzili do eskalacji konfliktu, werbując ponad dwie setki członków gangów satelickich, takich jak Monster Bunch, w procesie zwanym łataniem. Mściwe Bękarty także przyłatały sobie ponad tuzin gangów.

Z drugiej strony policja jest zdania, że aresztowanie Ralphi Donningtona położyło kres przemytniczej działalności Bandytów i znacząco zmniejszyło ilość nielegalnej broni trafiającej do Wielkiej Brytanii.

Restauracja ALISON i KAMA LEE spłonęła w listopadzie 2009 r. w podejrzanych okolicznościach. Policja uważa, że był to atak odwetowy zorganizowany na polecenie Führera.

Babcia AIZATA RAKYATA zmarła w 2007 r. Jego siostrą WATI zaopiekowali się dawni przyjaciele z wioski Aizata mieszkający wówczas na kontynencie.

Aizat wyszedł na wolność w październiku 2009 roku. Podczas odsiadki wyroku w malezyjskim ośrodku karnym dla nieletnich ukończył edukację na poziomie szkoły średniej. Po zwolnieniu otrzymał stypendium od Guilt Trips i obecnie studiuje na uniwersytecie w północnej Malezji.

Teren jego dawnej wioski na Langkawi przekształcono w luksusowe osiedle letniskowe typu timeshare powiązane z sąsiadującym hotelem Regency Plaża. Pozew zbiorowy o odszkodowania wniesiony przez mieszkańców i sponsorowany przez Guilt Trips został odrzucony przez malezyjskiego sędziego pod pretekstem nieposiadania przez rybaków praw własności do ziemi, na której żyli od wielu pokoleń.

HELENA BAYLISS nadal pracuje jako szefowa działu operacji globalnych Guilt Trips. Organizacja ma swoje biura w ośmiu krajach i zatrudnia ponad dwadzieścioro pełnoetatowych pracowników. Ponadto Helena pisze artykuły o problemach ochrony środowiska i zrównoważonej turystyki dla czasopism na całym świecie oraz regularnie pojawia się w brytyjskiej telewizji w roli ekspertki tej branży.

Na początku 2010 r. Helena wygrała apelację o uchylenie zakazu wjazdu na terytorium Malezji. Zamierza wybrać się tam w 2011 r., dając synowi Aizatowi juniorowi okazję do poznania ojca.

Zgromadzony przez reportera HUGH VERHOEVENA materiał dotyczący Tana Abdullaħa spotkał się z umiarkowanym zainteresowaniem mediów w Wielkiej Brytanii, stał się jednak sensacją w Malezji. Skandal korupcyjny odegrał ważną rolę w upadku malezyjskiego rządu kilka miesięcy później.

Verhoeven powrócił na emeryturę i obecnie pracuje nad książko-

wą wersją swoich wspomnień z czasów kariery dziennikarskiej.

Po śmierci TANA ABDULLAHA pomiędzy jego ostatnią żoną JUNE LING, dwiema poprzednimi małżonkami oraz dziewięciorgiem dzieci rozpętała się bezkompromisowa wojna o pozostawiony przez niego majątek wyceniany na 4,4 miliarda dolarów. Spory toczony przed sądami Malezji, Tajlandii i Stanów Zjednoczonych najprawdopodobniej potrwać jeszcze przez długie lata.

Po krótkim pobycie w Nowym Jorku pod opieką macochy TJ i SUZIE wrócili do Malezji, by zamieszkać ze swoją biologiczną matką.

Najstarszy syn Tana wciąż jest gubernatorem Langkawi i pomimo kontrowersyjnej przeszłości ojca jest mocnym kandydatem na fotel szefa rządu Malezji.

Po zakończeniu dochodzeń w Malezji i Wielkiej Brytanii w kwietniu 2010 r. oba kraje podpisały nieco mniejszy, opiewający na 4,7 miliarda funtów kontrakt zbrojeniowy, w którego zawarciu pośredniczył DAVID SECOMBE.

Po aresztowaniu w hotelu Leith KYLE BLUEMAN trafił na krótko na posterunek policji w centralnym Londynie, skąd został zwolniony bez oskarżenia. Obecnie studiuje na ostatnim roku prawa na Uniwersytecie Cambridge. Chce zostać adwokatem. W wolnym czasie pracuje ochotniczo dla Guilt Trips.

KLOPS dostał kategorię zakaz wstępu do ogrodu sąsiadów. Laura również kategorię odmawia poddania go sterylizacji.

Trzy spółdzone przez Klopsa kundelki mieszkają w bloku juniorów w kampusie CHERUBA.

DANA SMITH rzuciła studia w londyńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obecnie pracuje na pół etatu w galerii prowadzonej przez jej

ugandyjskiego chłopaka.

DANTE WELSH udał się do Old Bailey na końcową rozprawę Ral-pha Donningtona i z satysfakcją wysłuchał długiej sentencji wyroku. Niedługo później na policję zgłosiła się była żona jednego z Bandy-tów, by oświadczyć gotowość do zeznania przed sądem, że w 2003 r. wraz z ówczesnym małżonkiem brała udział w akcji usuwania śla-dów po zabójstwie rodziców i dwojga rodzeństwa Dantego.

Proces o zabójstwo ma się odbyć w 2011 r., a Dante będzie jego głównym świadkiem. Jeżeli Führer zostanie uznany za winnego czterokrotnego morderstwa, najpewniej spędzi resztę życia za kra-tami.

Młodsza siostra Dantego HOLLY WELSH ma rozpocząć szkolenie podstawowe CHERUBA w 2012 r.

BETHANY PARKER wydano z CHERUBA po tym, jak ochrona kampusu odkryła jej związek z chłopcem poznanym podczas misji dwa lata wcześniej. Uznano to za poważne naruszenie zasad bezpie-czeństwa. Obecnie Bethany mieszka w pobliżu kampusu zakwate-rowana u koordynatorki misji Maureen Evans.

Po otrzymaniu granatowych koszulek KEVIN SUMNER i JAKE PARKER należą do najnowszego pokolenia wybitnych agentów CHERUBA. Jake od czasu do czasu odwiedza swoją siostrę Bethany, ale oboje nadal nie przepadają za sobą.

BRUCE NORRIS spędził większą część ostatniego roku swojej karie-ry w CHERUBIE na misji w Stanach Zjednoczonych. Zamierza stu-diować dziennikarstwo i fotografię, kiedy tylko wróci z rocznej wy-prawy po świecie, na którą wybiera się z bliźniakami CALLUMEM i CONNOREM REILLY.

Bruce ma także drugie marzenie: porządnie przypakować i zwy-

ciężyc w zawodach Ultimate Fighting Championship.

KERRY CHANG dostała się na Uniwersytet Stanforda i w sierpniu 2010 r. dołączyła do Jamesa w Palo Alto, w Kalifornii. Wbrew jej podejrzeniom James nie zdradził jej podczas swojego pierwszego roku studiów.

Długoletnia przyjaciółka Kerry GABRIELLA O'BRIEN studiuje medycynę na Uniwersytecie Sussex i zamierza zostać lekarką.

LAURA ADAMS pozostaje w dobrych stosunkach z Bethany Parker i swoim chłopakiem Ratem. Karierę agentki CHERUBA zakończy w 2012 r.

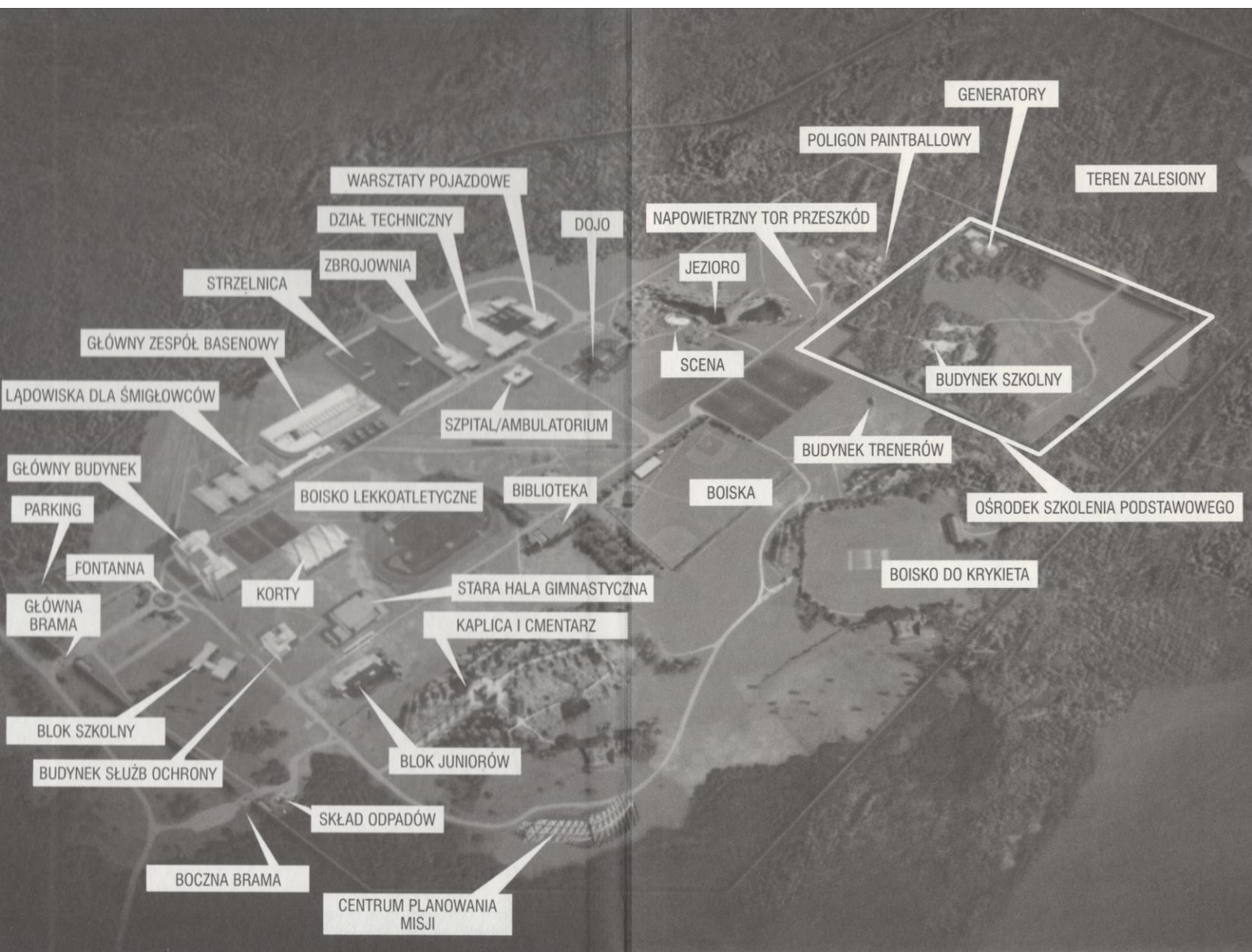
Jej ojciec RONALD ONIONS został zwolniony warunkowo z więzienia w marcu 2010 r. W owym czasie jego rak gardła był już w zaawansowanym stadium. Cztery miesiące później Ronald zmarł w londyńskim hospicjum. Laura oraz jej przyjaciele Bethany i Rat byli jedynymi uczestnikami jego ceremonii kremacyjnej.

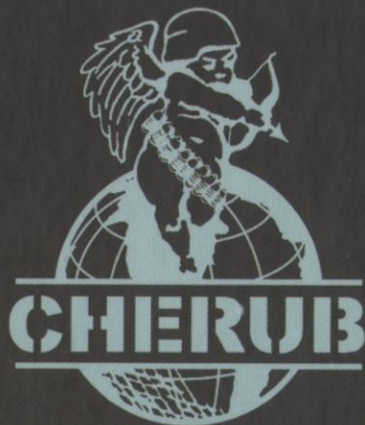
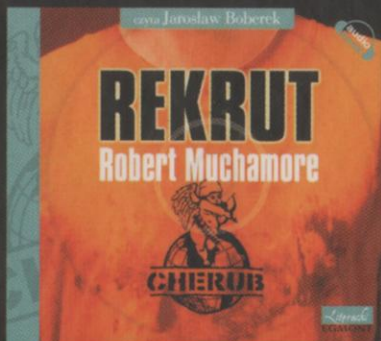
JAMES ADAMS studiuje na drugim roku matematyki i fizyki na Uniwersytecie Stanforda i osiąga całkiem niezłe wyniki. Wakacje spędził, pracując jako asystent w ośrodku letnim CHERUBA. Pozostaje w stałym kontakcie z ojcem, którego kilkakrotnie odwiedził podczas swoich wizyt w Wielkiej Brytanii. Wszystko wskazuje na to, że będzie żył długo i szczęśliwie.

Od autora ebooków.

Bardzo dziękuję, za cierpliwość przy oczekiwaniu na moje wydania. Zapewne wielu z Was czekało na nie, dlatego cieszę się jeśli mój czas nie poszedł na marne.

Pozdrawiam fanów CHERUBA i HB. Hartigan





**Audiobook
tomu 1 serii CHERUB
już w sprzedaży!**

Fala tsunami dewastuje tropikalną wyspę. Jej bezwzględny gubernator zrównuje z ziemią to, co pozostało po wioskach, by na ich miejscu postawić luksusowe hotele.

Kilka lat później James Adams ma chronić rodzinę gubernatora. Misja nie przypada do gustu doświadczonemu agentowi CHERUBA. W dodatku przyjaciel Jamesa, emerytowany agent Kyle Blueman, pojawia się z własnym, nieoficjalnym i szalenie niebezpiecznym planem.

James musi wybrać między CHERUBEM a przyjacielem – może pozostać wierny tylko w stosunku do jednej ze stron...

Agenci CHERUBA są skuteczni, ponieważ dorośli nie przypuszczają, że mogą być szpiegowani przez dzieci.

Oficjalnie nieletni agenci nie istnieją.

**NIEWSKAZANE
DLA CZYTELNIKÓW
PONIŻEJ 12 LAT**

Książkę polecają:

MAGAZYN KULTURY POPULARNEJ
ESENSJA
HTTP://WWW.ESENSJA.PL

Gimnazjalista
Victor
www.victor.com.pl

GILDIA.PL

nakanapie.pl

Interklasa.pl

www.valkiria.net



szukajmy dla naszych czytelników
Biblioteka
wielkie czytelnik informacje

Gandalf
KSIĘGARNIA INTERNETOWA
www.gandalf.com.pl

WP.PL

ksiazki.wp.pl

IS

9

www.seriacherub.pl

www.egmont.pl